

---

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

---

# OPIS OBYCZAJÓW W XV-LECIU MIĘDZYSOJUSZNICZYM

TOM III

TEATR TO MIEJSCE SPOTKANIA

---

CZĘŚĆ 1

PARADOKS O OGRÓDKACH



WYDAWNICTWO  
**ANTRAKT**

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

OPIS OBYCZAJÓW W 15-LECIU  
MIĘDZYSOJUSZNICZYM  
1989-2004

*Część I - Odsłanianie dramatu*  
(społeczeństwo)

*Część II - A Teraz Konkretnie*  
(media)

*Część III - Teatr to miejsce spotkania*  
(sztuka)

tom pierwszy - Paradoks

o Ogródkach

tom drugi - Thea to znaczy widzenie

Piętnaście lat Konkursu Teatrów Ogródkowych  
to kanwa opowieści o obyczajach III RP

Teoria estetyczna, praktyka polityczna,  
obyczaje kulturalne

Sztuka, media, pieniądze

Opisy spektakli, relacje zdarzeń, portrety ludzi

OPIS  
OBYCZAJÓW  
W XV-LECIU  
MIĘDZYSOJUSZNICZYM



*A inni - dzieło pisać mu radzili,  
Ile możliwości grube (!), z tablicami,  
Którego nigdy by nie rozkupili,  
Czytali głośno - chwalili stronami;  
Które by w Lipsku wyszło po trzech latach,*

*C. K. Norwid - Promethidion/Bogumil - dialog*



---

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

---

O P I S  
O B Y C Z A J Ó W  
W X V - L E C I U  
M I Ę D Z Y S O J U S Z N I C Z Y M

TOM III

TEATR TO MIEJSCE SPOTKANIA

---

CZĘŚĆ 1  
PARADOKS O OGRÓDKACH

Historia XV lat Konkursu Teatrów Ogródkowych  
(1992-2006)  
to kanwa Opisu Obyczajów  
w XV leciu międzysojusznicznym lat 1989 - 2004

WYDAWNICTWO  
**ANTRAKT**

PARADOKS O OGRÓDKACH    Andrzej Tadeusz Kijowski

Redakcja: SYLWIA FROŁOW

Korekta: GRZEGORZ BOGDAŁ, MAŁGORZATA GAGLA,  
MACIEJ SZKLARCZYK, JOLANTA SZTUCZYŃSKA

Projekt okładki i opracowanie techniczne: HANNA KARPIŃSKA

Na okładce: *Claude Gillot, Scena z przedstawienia, 1707, Musée du Louvre, Paryż*

© Copyright by Andrzej Tadeusz Kijowski  
Wydawnictwo „AnTraKt”  
ul. Jaworzyńska 5 m. 4, 00-634 Warszawa  
tel./fax +48 22 825 49 67, antrakt@kijowski.pl,  
www.opis-obyczajow.pl

ISBN 978-83-923292-8-2

Printed in Poland  
Wydawnictwo: „AnTraKt”  
Warszawa 2010

Wyd. I. Nakład 1000 egz.  
Papier druk.: Speed-E 80g  
Karton na okładkę jednostr. powlekany Arktika 250g  
Oddano do składu 30 października 2010  
Podpisano do druku w listopadzie 2010  
Druk ukończono w listopadzie 2010

**Druk:**  
**Team-Serwis Poligraficzny Spółka Jawna**  
Warszawa, ul. Jana Pawła II nr 20



## SPIS TREŚCI

Wstęp <i>Maciej Wojtyśzko</i> .....	1
I Sycylijskie korzenie .....	3
II Sądy Estetyczne .....	7
III Teatr to miejsce spotkania .....	9
IV Spotkanie z Lapidarium .....	23
V Habent sua fata... territoria .....	25
VI Igrzyska .....	29
VII Ogórkowe Ogródki .....	31
VIII Teatrzyk w Telewizji .....	35
IX Widzowie bardzo wierni .....	39
X O śpiewach i rymach osobno .....	41
XI Organizacja .....	45
XII KTO... (przed deszczem zaklinał) .....	47
XIII Teatry ogródkowe w Warszawie .....	51
XIV Towarzystwo .....	55
XV Teatralne szkatułki .....	59
XVI Marna pamięć Jerzego Koeniga .....	63
XVII Teatr Narodowy .....	65
XVIII Adama Hanuszkiewicza klasyczna awangarda .....	67
XIX Alians z widzami .....	73
XX Spacerkiem po Warszawie .....	77
XXI Mariensztat .....	81
XXII Paradoks o Ogródkach .....	85
XXIII Media ATaK i Grupy Trzymające Kulturę .....	87
XXIV Dolina Szwajcarska .....	93
XXV Para w gwizdek!!! Od Gąsiorowskiego po Sachsa .....	99
XXVI Między nami – szwoleżerami! .....	105

XXVII	Wolna, cicha i bogata .....	111
XXVIII	Chapeaux bas .....	113
XXIX	Nowe tysiąclecie .....	115
XXX	Warszawa jak miedza dla radnego Zająca .....	121
XXXI	Fantazje Adama Kiliana .....	125
XXXII	Firma, czyli Piotr Królikiewicz .....	129
XXXIII	Zające i króliki, czyli gdzie jest sałata .....	133
XXXIV	Jubileusz, czyli roboty ręczne .....	135
XXXV	Trudna rocznica .....	143
XXXVI	O Kaliszu, Buzku i Bluszczu z Legnicy .....	147
XXXVII	Wśród przyjaciół Moskali .....	151
XXXVIII	Wędrujący aktor .....	153
XXXIX	Emilian Kamiński i inni Jaskiniowcy .....	159
XL	Krystyna Janda i wspólne koszmary .....	161
XLI	Zosia Kucówna, czyli Przyjaciele .....	165
XLII	Edyta Jungowska, czyli vox populi .....	171
XLIII	Zbyszko Rymarz i czas piosenek .....	175
XLIV	Górka i Machnicki, czyli Unia Ogródkowa .....	181
XLV	Dionizje, czyli z Jurkiem Derflem w saunie .....	185
XLVI	Z Naimską po estakadach .....	191
XLVII	Z ducha tańca .....	197
XLVIII	Karaoke, czyli wspólne śpiewanie .....	201
XLIX	Znowu A. Urbański, czyli tragedie są dla ludzi .....	205
L	Lech Kaczyński a Sprawa Ogródkowa .....	209
LI	Dolina Szwajcarska i „gustowne zabawy” .....	221
LII	Co po psie w teatrze? .....	227
LIII	Elżbieta Ryl-Górska, czyli operetki czar .....	231
LIV	Dionizje Ogródkowe – Kaczyński sypnął groszem .....	235
LV	Lech Kaczyński i warszawska „klasa średnia” .....	241
	Indeks .....	248

Najprościej będzie, jeżeli – gorąco i serdecznie polecając lekturę tekstów Andrzeja Tadeusza Kijowskiego – spróbuję porównać jego styl ze stylem narracji bardziej ostrożnym. Niech będzie – moim. Przypuśćmy, że obaj żyliśmy nieco wcześniej i obaj obejrzelśmy premierowy spektakl *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, a potem rozmawialiśmy o tym z dyrektorem teatru Józefem Kotarbińskim i wybitnym krytykiem Stanisławem Tarnowskim.

Ja:

Oryginalny i niepokojący talent Stanisława Wyspiańskiego owocuje utworem złożonym, choć niewątpliwie trudnym w odbiorze. Należy docenić życzliwość dyrektora teatru, pana Józefa Kotarbińskiego, który podjął ryzyko wystawienia *Wesela*, ale również zrozumieć tych spośród starszych widzów i recenzentów, którzy nie wszystko w tym dziele przyjęli z życzliwością.

Sądzę, że *Wesele* to ważne wydarzenie w naszym życiu teatralnym.

Andrzej Tadeusz Kijowski:

Nawet jeśli z powodu zaawansowanego syfilisu Staszek ma takie, a nie inne wizje, to przedstawienie wyszło mu super! Kotarbiński robi w gacie, że go za tę hecę wyrzuca, a skretyniały Tarnowski bredzi, że całość kończy się wesołym oberkiem. Gdzie ten sklerotytek usłyszał tam oberka? A Wyspiański przywalił, aż im kapie spadły!

Nie ulega wątpliwości, że lektura książki Andrzeja Tadeusza Kijowskiego jest bardziej podniecająca i że dzięki jego stylowi do ważnych informacji dociera się znacznie szybciej.

A.T.K. jest niesprawiedliwy, stronniczy, gwałtowny i zbuntowany. W jego bojach o teatr można natrafić na oceny krzywdzące, ale dostrzega się również pasję, zaangażowanie i ogromne doświadczenie. Ta wielka energia, z jaką podejmował kolejne wyzwania, widoczna jest na każdej stronie. I widać też, że potrafi przywalić, aż im kapie spadną!

Sądzę, że ukazanie się tej książki okaże się wydarzeniem w naszym życiu teatralnym.

*Maciej Wojtyński*



## I

## SYCYLIJSKIE KORZENIE

Zacząło się przeszło trzydzieści lat temu. W sierpniu 1975 roku, w piątek 22 sierpnia, w trzy dni po wypadku, o którym się tego wieczora dowiedziałem: 19 sierpnia uległ katastrofie (dziś wiemy, że został ponoć zestrzelony przez Arabów i spłonął gdzieś nad Damaszkiem) czeski samolot Il-62 z Konradem Swinarskim na pokładzie. A ja, dwudziestoletni, głodny, ale bardziej niż spaghetti (z parmezanem!) wolności i swobody spragniony, dotarłem właśnie do Palermo, gdzie w nadmorskiej Marina di Palermo odkryłem cudowny park z Teatrem Ogródkowym.

Tego dnia aktorzy Giorgia Strehlera wystawiali *commedia dell'arte* zatytułowaną *Arlecchino con due Padroni* (*Sługa dwóch panów*) Carla Goldoniego. Takiego ogrodu w życiu nie widziałem. Tryskające fontanny, podświetlane gazony, fotele dla notabli i galeria dla studenterii. Bilety! Sprzedawane tak jak w warszawskiej filharmonii – na piątkową gałę drożej (tyle że to drożej na Sycylii to było bodaj dwadzieścia dolarów – ówczesna pensja Polaka!), na sobotę za połowę ceny.

Ale Polak potrafi. Nie czekałem soboty. W walizce miałem elegancki garnitur letni (odrzuć z eksportu Cory, szyte dla amerykańskiego domu towarowego „Alexander”). Doubrawszy się jak panicz, obszedłem teatr od tyłu, od winnic, obudziłem w sobie traperę, wykonałem coś w rodzaju skoku o tyczce, i z alejki zza żywopłotu jak skierka wskoczyłem w środek bajki. Ten ton, ten szyk, ten styl i szarm – ja sobie wyobrażam... Boże ty mój! Lekkość, radość, atmosfera niewymuszona i elegancka zarazem. Do dziś mam to pod powiekami. Wtedy zrozumiałem, poczułem raczej, że teatr pod dachem jest ponurą dziewiętnastowieczną pomyłką, że żyje tylko na powietrzu, gdzie istniał do XVIII wieku i gdzie cała Wielka Reforma teatru na powrót go wyprowadziła w wieku XX. Trzeba było innych doświadczeń. Zobaczyć podwóreczko gdzieś w Madrycie, obejrzeć kopenhaskie Tivoli, by zrozumieć, czego nam dziś potrzeba.

Drugie zetknięcie było pod koniec stanu wojennego. W Zakopanem Andrzej Dziuk z Julią Wernio tworzyli Teatr Witkacego. Późno się w nim pojawiłem. Dopiero bodaj w 1988 r. Ale, tak jak kiedyś w podstawówce nie musiałem być w Teatrze Laboratorium, by żyć jego ideą opisaną przez Ludwika Flaszena w *Cyrografie*, tak i teraz jeden opis w „Twórczości” był dla mnie ważniejszy niż sam spektakl. Bo spektakl... zawsze to czułem – spektakl to było spotkanie. Spektakl w czasie Warszawskich Spotkań Teatralnych toczył się dla mnie, gdy siedząc na wysuniętym fartuchu tej sceny oglądałem buty aktorów i lysiny patrzącej na mnie publiczności. I potem w kuluarach, gdzie może raz jeden czułem się na miejscu – swój wśród swoich. Tak, przecież to zawsze za mną chodziło. Nie scena, nie sztuka, nie problem. Tylko sprawienie, by było mi dobrze wśród ludzi. Właściwie wszystko wtedy zrozumiałem i... napisałem manifest.

W tym momencie (czyli w 1987 r.) byłem już przecież licencjonowanym doktorem nauk, estetykiem teatru, autorem książki, wykładowcą szkoły teatralnej, publicystą „Dialogu”. W 1987 r. odbyłem staż w paryskim Conservatoire u Jeana-Pierre’a Miquela. Nawet dzięki Małgosi Szpakowskiej, która oddała mi własną pracę, dostałem posadę konsultanta literackiego w Teatrze Studyjnym w Łodzi, u boku Grzegorza Jaskuły i Pawła Nowickiego. Zorganizowałem im wiosną 1987 r. przemądre sympozjum: „Teatr – dramat – polityka”. Odbyło się ono całkiem legalnie w Łodzi. Wśród zaproszonych, pamiętam, sporo było wyglądających z wierzchu na opozycjonistów. Wśród nich Kazimierz Wóycicki z „Więzi” (później pierwszy „nasz” redaktor „Życia Warszawy” [Tomasz Wołek był jego zastępcą]) i Andrzej Urbański, z którym przyjaźniłem się od zawsze, wydający wówczas półlegalnie gazetę u wolskich księży w Warszawie na Karolkowej.

W tym więc gronie sformułowałem i po raz pierwszy poddałem pod dyskusję tezę, iż sztuka jest pojęciem nowym i przelotnym, a teatr też nie tyle jest sztuką, co techniką organizacji zgromadzeń, czyli – miejscem spotkania. I pod tym tytułem, *Teatr jest miejscem spotkania* tekst zanieołem do „Dialogu”.

Co to się działo, co się działo, że strawestuję Wojciecha Młynarskiego, pół kolegium się ze śmiechu zataczało. Zachowałem maszynopis, na którego marginesach wyżywają się na mnie: chowająca mnie od szczenięcych intelektualnych lat Małgosia Szpakowska, ale także młodszy kolega po piórze, uznany za największy talent krytyczny i organizacyjny, Jacek Sieradzki, który objąwszy po Konstantym Puzynie stanowisko redaktora naczelnego „Dialogu”, trwa na nim już bez mała lat dwadzieścia. Ale wyśmiewał mnie także przyjaciel ze studiów

(nb. autor znakomitego szkicu o moim *Chwycie teatralnym*) Paweł Konic, który wówczas jeszcze w „Dialogu” pracował.

Konstatacja była taka: „Bełkoczesz, chłopczyku. Odsłaniasz swoje niedokształcenie, a przede wszystkim mylisz języki: dyskursywny z postulatorywnym”. Albo się jest uczonym (do czego miałem tytuł) i patrzy się na wszystko z dystansu, albo artystą (którym od dawna już być nie chciałem), ale za którego *nolens volens* wszyscy (szczególnie obcy) mnie brali. Bo artysta dla ogółu to jest taki, któremu się oczy palą.

Istotnie, mnie się paliły. „Gdybyś ty był jakiś Grotowski czy Kantor, to byśmy ci to opublikowali, bo za tym bełkotem stałaby praktyka. Więc jak chcesz – stwierdził Sieradzki – to taki teatr rób, bo pisać jeszcze nie ma o czym”.

No cóż... pewnie mieli rację. Mnie jednak żal było pracy, nie wiedziałem, że przyjdzie jeszcze czas, gdy nie będzie potrzebna zgoda szefa RSW „Prasy” na pisanie recenzji teatralnych czy błogosławieństwo ZPR-ów na organizację imprez.





## II

## SĄDY ESTETYCZNE

To, co zostało powiedziane w 1987 r., ostatecznie zobaczyło światło bodaj w 1992 r. – właśnie wtedy, gdy nagle okazało się, że jednak mogą zbliżyć się do praktyki. Jednak to, co wtedy wyraziłem, towarzyszyło mi przez lat piętnaście i z pewnością nie byłoby Ogródów Frascati, gdyby nie pewność teoretycznego zaplecza; gdyby nie chęć praktycznego udowodnienia mych racji teoretycznych.

Dwóch racji – że:

1. Sztuka piękna nie ma szczególnych praw, nie jest ponadczasowa, lecz że to koncept tylko i wyłącznie romantyczny; *episteme* sformułowana w końcu XVIII wieku, której produktem stała się instytucja sztuki z kategoriami „twórczości” i „artysty” – w naszych oczach ostatecznie się wyczerpująca.

2. Również Artysta Teatru z całą Sztuką Teatru, obwołany w 1905 r. przez Edwarda Gordona Craiga, jest modernistycznym, postromantycznym podstawieniem. A taki jak ja – animator kultury, jak dziś się nazywamy, nie jest potomkiem Craiga ani Leona Schillera czy nawet Arnolda Szyfmana, lecz się wprost od dworskich mistrzów ceremonii i antreprenerów w stylu Gustawa Zimajera wywodzi.

Tak zatem, ogłaszając i wprowadzając w czyn Towarzystwą Teorię Teatru, twierdząc, że teatr nie jest sztuką ani instytucją kultury – teatr jest bytem społecznym, miejscem spotkania.



## III

## TEATR TO MIEJSCE SPOTKANIA

Można powiedzieć, że sztuka i teatr są odwiecznie związane z działaniami kulturowymi człowieka. Można też stwierdzić, że historia tych pojęć jest stosunkowo krótka i wiąże się z epoką, która zaczęła się w latach oświecenia, a dziś zdaje się dobiegać kresu; z epoką postępowego optymizmu naukowego i relatywizmu doktrynalnego, słowem – z nowożytnością.

Istotnie, pojęcie sztuki pięknej zrobiło prawdziwą karierę gdzieś od połowy XVIII wieku – od Charles'a Batteux i Alexandra Baumgartena poczynając, poprzez Kanta, ustaliwszy się w koncepcji Schillera. Kryzys wiary w niezmienny porządek rzeczy, uszeregowanych według zasad hierarchii; kryzys, którego szczytowym przejawem były rewolucje społeczne z francuską na czele; ten kryzys fundujący zasady nowożytności: historyzmu, ruchu, postępu, zmienności, a w końcu względności, czyli relatywizmu, każe opierać wartościowanie na podstawowym czynniku nowości. W nowożytnych czasach dobre jest to, co nowe, i to, co wprowadzeniu nowości służy.

A co jej służy? Rzecz jasna: twórczość. Tę kategorię, długo zarezerwowaną dla czynności boskich, poczęto od XVII stulecia, od prac M.K. Sarbiewskiego na temat poetyki poczynając, odnosić do czynności artysty. Sugerować to może pozorną laicyzację pojęcia, skoro artysta w odróżnieniu od stwórcy nie tworzy *ex nihilo*, ale *ex re*. Jednak w gruncie rzeczy owo zaanektowanie przez sztukę pojęcia twórczości było świadectwem resakralizacji domeny artystycznej.

Sztuka piękna, która nie dysponowała osobnym pojęciem dopóty, dopóki była ściśle związana z kultem religijnym, odrywając się odeń, pozbawiła religię części jej mocy. Formy zaś estetyczne, upominając się o prawo tworzenia, odkryły tęsknotę za metafizyczną prawdą, która usankcjonowałaby ich siłę.

Nie będzie żadnym odkryciem stwierdzenie, że tzw. sztuka piękna zawdzięcza pozycję, jaką uzyskiwała w czasach nowożytnych, osłabieniu znaczenia religii.

Że instytucja sztuki – z artystami, estetykami i publicznością – wyrosła w miejscu, gdzie do niedawna niepodzielnie panowała instytucja kościelna: z kapłanami, teologami i wiernymi. Że, inaczej mówiąc, długo obowiązujący wzór religijnej pewności i celowości został w czasach nowych wyparty przez paradygmat estetycznej względności i bezinteresowności; paradygmat ze sfery sztuki rozszerzający się w XIX i XX wieku również na naukę, politykę, a także na moralność.

Tworzenie czegoś nowego stało się w czasach nowożytnych główną przesłanką określającą wartość człowieka. I w tym momencie artyści, pojmowani jako nosiciele twórczości, okazali się pretendentami do pierwszego miejsca na drabinie społecznej bądź też miano artysty stało się obiektem przetargów. Skoro lepiej dziś tworzyć (nawet nieudolnie), niż naśladować (choćby doskonale), o miano twórcy i przynależne mu honory upominają się wynalazcy i odkrywcy, jak się ich dzisiaj nazywa: twórcy kultury, nauki i techniki.

Tak więc twórczość, odkąd ten walor przestał być zarezerwowany dla Boga, stała się obiektem pożądania coraz szerszych rzesz ludzi. Właściwie nikt ambitny dobrowolnie nie zrezygnuje dziś z miana twórcy.

Proces ten nie był natychmiastowy. Można, przyglądając się rozwojowi instytucji teatralnej, która w nowożytnym sensie poczęła się formować około połowy XVII wieku, obserwować kolejne etapy demokratyzacji czy też entropii mocy tworzenia. Jeszcze G.E. Lessing odróżniał czynności twórcze i odtwórcze, sztukę dramaturgii zaliczając do pierwszej, aktorów zaś do drugiej kategorii. W XIX wieku na miano twórców zasłużą aktorzy, przełom XIX i XX stulecia wyznaczać będą spory między dramaturgią a reżyserią o stosunek tekstu do wizji inscenizacyjnej, by w połowie XX wieku o swoje prawa twórcze upomniała się publiczność. Publiczność uznana za integralny składnik teatru staje się bowiem współuczestnikiem kreacji zbiorowej.

Z punktu widzenia historii doktryny teatralnej, wymienione etapy mają swoją wagę, jednak w perspektywie zmian światopoglądowych zdają się one jedynie elementami, wręcz koniecznymi konsekwencjami zapanowania paradygmatu estetycznego i związanego z nim procesu laicyzacji pojęcia „twórczość”. Bowiem gdy uległo ono rozszerzeniu, a metafizyczna prawda wykluczona została z analiz umysłowych, cały konstrukt estetyczny, rządzący epoką nowożytną, jawić się może jako droga niepostrzeżenie wyprowadzająca człowieka w świat względności, w którym jedynym oparciem jednostki wydają się drudzy. Drudzy – wspóltwo-

rzący nasze życie, nadający sens naszej mowie, drudzy – będący publicznością, dla której, we wzajemnym sprzężeniu, gra się, i której gry się podziwia.

Paradygmat teatralnego współtworzenia byłby w takim rozumieniu konsekwencją upadku wzorca estetycznego. Wzorca, którego, gdy jeszcze nie wykształcił się na przelomie epoki oświecenia i preromantyzmu, można było nie dostrzegać, tak jak nie dostrzegał go Jan Jakub Rousseau, gdy w miejsce widowisk w estetycznej wersji proponował wersję najbardziej nam współczesną, nazwalibyśmy ją pewnie wspólnotową. W roku 1758 w *Liście do pana d'Alemberta o widowiskach* pisał: „Ale nie gódźmy się na ekskluzywne widowisko, przeznaczone dla garstki ludzi, którzy zamykają się smętnie w ciemnej speluncie i trwają, załęknięci i nieruchomi, w ciszy i bezczynności, oglądając tylko ściany, sztylety, żołnierzy, ponure obrazy niewoli i nierówności. Nie, ludy szczęśliwe, nie dla nas takie zabawy! Na pełnym powietrzu, pod gołym niebem powinnyście się gromadzić i rozkoszować poczuciem własnego szczęścia. Niech przyjemności wasze nie będą gnuśne ani możliwe do kupienia za pieniądze, niech nie zaturuwa ich nic, co tchnie przymusem, niech będą swobodne i wspaniałe jak wy, niech słońce opromienia wasze niewinne widowiska; lud sam stanie się widowiskiem, i to najgodniejszym z tych, jakie słońce może oświetlić”<sup>1</sup>.

Rzecz ciekawa. Wtedy, gdy rodziło się już pojęcie estetyczności, a z niego wyłaniało się dostrzeżenie różnych sztuk pięknych, gdy G.E. Lessing rozważał już zupełnie serio problematykę sceniczną, a Denis Diderot, A. F. Riccobini i wielu praktyków analizowało sztukę aktorską, ale nigdy nie nazywano jeszcze teatru sztuką samoistną, Rousseau jednocześnie rozszerza pojęcie teatru, nadając mu zakres i rozumienie bliskie temu, jakim posługują się dwudziestowieczni reformatorzy sceny, a zarazem nie dostrzega w nim żadnych elementów estetycznej umowności. Rousseau widzi teatr kompleksowo. Dostrzega jego przejawy zarówno w przedstawianym konflikcie, jak i w samej działalności aktorskiej, w sposobie aranżacji przestrzeni, a także w postawie publiczności, tak w trakcie spektaklu, względem teatralnej instytucji, jak i wobec treści wyrażanych w dramacie i ukazywanych na scenie. Jednak posługując się pojęciem teatru w sposób tak prekursorski, Rousseau abstrahuje od kategorii sztuki pięknej, nie przyjmuje paradygmatu estetycznego. Nie ma bowiem co, zdaniem obywatela genewskiego,

1 J. J. Rousseau, *List do pana d'Alemberta o widowiskach*, w: *Umowa społeczna i inne rozprawy*, przeł. W. Bieńkowska, Warszawa 1966, s. 482.

budować wyłączonych miejsc, w których publiczność biernie poddawałaby się wpływom i doznawała zastępczych przeżyć. Przeżycia nie mogą być sztuczne, one są zawsze prawdziwe.

„A co ma być tematem tych widowisk? – pyta Rousseau. – Co się będzie pokazywało na scenie. Właściwie nic. Gdy panuje wolność, na każdym najdrobniejszym zgromadzeniu panuje również radość.

Proszę wbić na środku placu drąg uwieńczony kwiatami, zbierzcie tam lud i będziecie mieli zabawę. Zróbcie jeszcze lepiej: niech widowisko stanowią sami widzowie, niech się staną aktorami, niech każdy siebie ogląda i kocha w innych, aby wszyscy czuli się mocniej złączeni”<sup>2</sup>. Czy takiego zdania nie mógłby wypowiedzieć Jerzy Grotowski albo Richard Schechner, albo Judith Malina? I czy takie zdania nie wyprowadziły właśnie Grotowskiego poza sferę, którą on sam, zgodnie z dziewiętnastowiecznym uzusem, zgodził się nazwać teatrem?

Paradoks polega na tym, że pojęcie teatru rozumianego jako kreacja zbiorowa wykształciło się w ramach nowożytnego światopoglądu estetycznego. Stale rozumiemy go więc jako zjawisko bezinteresowne i względne, godząc się, że o jego wartościach *non est disputandum*. Tymczasem środek, o którym pisze Rousseau, twórczość wspólnotowa, którą uprawiają uczestnicy współczesnych nam interakcji, ma zupełnie realne: polityczne, religijne, psychologiczne, czyli właśnie celowe i konkretne znaczenie.

Twórczość, jaką uprawia się w teatrze dziś, twórczość zbiorowa aktorów i publiczności jest zatem celowa i konkretna. Służy ludziom i stwarza to, co jest im do życia najbardziej potrzebne. Stwarza wspólnotę. Spektakle, i związane z nimi treści artystyczne, nie są, ani nigdy nie były, jedynym powodem zjawiania się publiczności w teatrze.

Sztuka sceniczna, która od zarania swych dziejów dążyła, poza wszystkimi innymi opisywanymi tu aspektami, również do tworzenia pięknych obrazów, przetrwała się dziś w kino. W fikcję kina i w prawdę obrazu. A tamte idą swoją drogą. Rozprzestrzenia je telewizja. Zachowuje video. Lecz to, co *stricte* teatralne, zdaje mi się ciągle społeczne, towarzyskie. Bowiem teatr z pewnością nie jest oderwaną od życia sztuką piękną. Ani jakąś świątynią estetyczną zdolną coś ludziom narzucić. Od dawna wiadomo, że teatr nie kształci publiczności, lecz jest od niej jak najbardziej zależny. Teatr jest sztuką codzienną, aktualną, gdzie walczą ze sobą rozum i uczucie, emocja i poza. Teatr jest umiejętnością wychodzenia

2 Op. cit., s. 482–483.

ludzi ku sobie, służy temu, by ludziom mogło być dobrze w gromadzie. Można kształtować go w klubach, na spotkaniach towarzyskich, wernisażach, różnorodnych sesjach wyjazdowych. A w teatrze? To znaczy w tym, co ciągle jeszcze nazywamy teatrem dramatycznym? W teatrze, sądzę, najwięcej teatru jest – czy raczej powinno być – w czasie przerwy. Niekiedy w czasie dyskusji z twórcami, gdy przestajemy mówić o sztuce w ogóle, lecz zaczynamy serio odnosić się do wartości, lub na bankiecie popremierowym, gdy plotkujemy o konkretach. Jednak to nie znaczy, podkreślam, by spektakl był czymś zbędnym, ani że przerwa robi się sama. Spektakl jest potrzebny, raz dlatego, że na przerwę trzeba zasłużyć, po drugie dlatego, że stwarza on zawsze nadzieję na spotkanie się z pięknem i mądrością. I wreszcie dlatego, że stanowi powód – kamuflaż, jeśli wolicie – naszego wyjścia ku ludziom. I przerwa także stwarza tę nadzieję, więc ją także trzeba może precyzyjniej jeszcze wyreżyserować. Nie stworzy jej ani same dobre piwo w bufecie, ani kategoryczny zakaz sprzedaży alkoholu. Nie stworzy jej nachalne organizowanie, deklaratywne „kochajmy się!”. Tak, to tutaj zaczyna się pole dla prawdziwej reżyserii. Od organizacji widowni poczynając.

Myślę, że idealna widownia nie powinna znać się zbyt dobrze ani też być sobie zupełnie obca czy daleka. Listę zaproszonych do teatru trzeba ustalić podobnie jak zestaw gości przyjmowanych na imieniny. Ludzie, którzy się spotykają, powinni być sobie nawzajem ciekawi. Powiedziałem: zaproszeni goście, a nie „zabietowani” widzowie. Czy to się da zrobić? – Przecież praktycznie to się już robi. Wszelkie formy organizacji widowni: dla szkół, zakładów pracy, różnorodnych zrzeszeń są chyba ruchem w tym kierunku właśnie. Z tym że ruchem odpersonalizowanym, zinstytucjonalizowanym, biurokratycznym, a teatr powinien zwracać się do osób. Umożliwiać im kontakt na nowych, twórczych zasadach. Powinien być nawet nieco ceremonialny i snobistyczny. I nie musi udawać, że się powietrzem żywi. A więc organizujemy spektakle, wyciągając wnioski ze znanej skądinąd prawdy, że każde przedstawienie jest wydarzeniem niepowtarzalnym. Przecież każdy chętnie wyjmie ze skrzynki list, w którym dyrektor teatru osobiście go zaprosi na spektakl taki czy taki, połączony z wernisażem lub cocktailem albo prelekcją w przerwie; na spektakl, na którym obecność swą zapowiedział ten czy ów, a którego koszt... wynosić będzie tyle a tyle, którą to kwotę itd. itp. W teatrze zaś taki już bardziej gość niż przypadkowy widz dowie się, że za odpowiednią opłatą może się stać członkiem klubu przyjaciół, z czym związane są określone

przywileje, sponsorem, któremu dziękować będzie się publicznie: w programach albo w prasie czy podczas toastów we *foyer* – jak kto woli.

Powiedziałem, że teatr powinien być miejscem nieco snobistycznym, ale także ceremonialnym. A i to znaczy, że powinny tu obowiązywać formy, jakich brak nam na co dzień. Właśnie takie, jak osobiste, choć oczywiście konwencjonalne, zwracanie się do gości, przyjaciół, dobrodziei, samych nawet władz. Choćby takie, jak uprzejmiejsza obsługa. Tutaj pomysły mogą być przeróżne. Niektóre pewnie staną się tradycją, inne winny się zmieniać. W najwspanialszej architekturze teatralnej, jaką znam, w warszawskim Teatrze Małym, czasy świetności łączą mi się zawsze z sympatycznym nastrojem, jaki wywierała na wchodzących sama szatnia. Ostatnio poszedłem po latach i... cud! Szatnia przetrwała. Wieszarki oparły się totalnej degrengoladzie. Nadal kulturalne garderobiane grzecznie odbierają płaszczki. I nadal obsługa jest tak liczna, że praktycznie nie istnieją kolejki. Chwała Dionizosowi i za to. Więc działajmy podobnie. Jeśli nie hańbi mnie „rozplaszczanie” i „powieszenie” gości wchodzących do mojego domu, to czy cały zespół z dyrekcją i reżyserem nie mogą witać gości oraz żegnać po spektaklu, eliminując kolejki do szatni? (A przy okazji do jakiejś skarbonki inkasować dobrowolną opłatę?). Idźmy dalej. Czy ci sami gospodarze-artyci nie mogą w trakcie antraktu lub po nim zorganizować niewielkiego przyjęcia, przechadzając się z tacami, częstując kanapkami, słodyczami, kawą czy napojami? A opłatę za to inkasowałyby się ryczałtem, być może w ogóle wkomponowując ją w cenę biletu. Że teatr będzie wówczas drogi? Niech będzie. Lubimy płacić dużo, byle byśmy wiedzieli, za co. Na pół litra prawie każdy biedak w Polsce wyda, a taki spektakl z bajerami ceny półlitrowki raczej nie przekroczy.

Ale to nie koniec. Oczywiście, także w czasie przerwy trzeba towarzystwo (tak – towarzystwo, a nie widzów) czymś zająć. W dawnych czasach istniały takie formy, a nazywały się *intermedia*. I tu właśnie powstaje możliwość przechodzenia z płaszczyzny fikcji scenicznej ku sprawom realnym. Tak jak powiedziałem – może być i dyskusja, i prelekcja, i występ muzyczny, nawet jakieś ważne video. Ale kompozycja tych elementów zależeć musi od całościowej wizji reżysera. Reżysera czy reżyserów, którzy w teatrze wykonują dziś ledwie jedną trzecią, i to najmniej istotną, z ciężących na nich obowiązków.

Czyżbym więc postulował jakąś nową, towarzyską reformę teatru? Można to i tak nazwać. I próżno głosić, że teatr tak naprawdę zawsze sprawdzał się



tylko wtedy, gdy spełniał tę rolę, jaką mu dzisiaj przypisują. Już to zresztą zrobiono. Choćby Jolanta Brach-Czaina zanalizowała przed laty pod tym kątem *Uczkę* Ksenofonta w artykule *Życie towarzyskie a spotkanie teatralne*<sup>3</sup>. Analitycznie można zresztą pewnie potwierdzić każdą teorię. I taką, i siaką. Rzecz jednak w tym, że, jak sądzę, opisany proces nie jest postulatem. On się już dokonuje. Przychodzi pora na teatr mały, środowiskowy, prywatny, nawet – jeśli jeszcze są ku temu warunki – domowy. Teatr, jak zakopiański Teatr im. Witkacego, przy kwaśnym mleku i ciasteczkach. Teatr, który bardziej chce służyć swojej publiczności i żyć dzięki temu zarówno w ekonomicznym, jak i społecznym prestiżu, niż ubiegać się o mniej lub bardziej podejrzane i politycznie uwikłane „dobre recenzje” czy „festiwalowe laury”. Teatr jest umiejętnością codzienną, teatryką – jak chciał Hugon od św. Wiktora – czy paedeutiką, *ars bene ludendi*, czyli sztuką zabawy, jak ją nazywał Alstedius – autor siedemnastowiecznej Encyklopedii. Jest instytucją i miejscem – miejscem spotkania.

---

3 Por. W. Tatarkiewicz, *Teatryka siódma sztuka*, w: tegoż, *Droga przez estetykę*, Warszawa 1972, s. 316–317.



## IV

## SPOTKANIE Z LAPIDARIUM

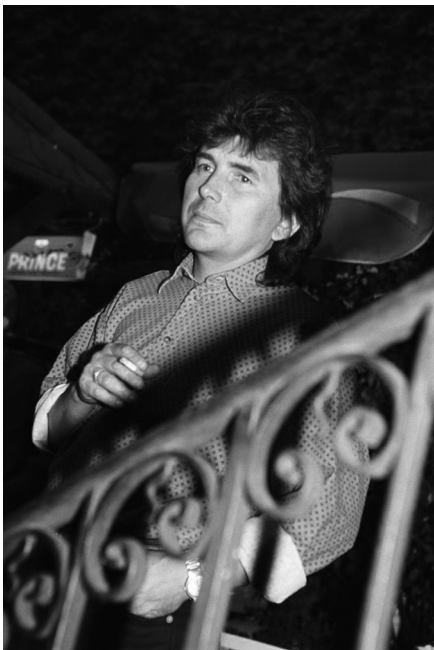
Powyższe było pisane w 1987 roku. Nie bez doświadczeń stanu wojennego i Teatru Domowego, którego organizacja w domu mego nieżyjącego Ojca na Jaworzyńskiej i u Hani Kirchner na Jelonkach była chyba moim pierwszym doświadczeniem organizacyjnym w teatrze. I wtedy przyszło to trzecie.

Przyszło – Lapidarium.

Bodaj w 1991 r., kiedy Andrzej Urbański był krótko wydawcą „Pegaza”, a ja pracowałem jeszcze w „Tygodniku Solidarność”, w którym właśnie przeprowadziłem ankietę *Głosowanie imienne*, pytając o celowość istnienia ministerstwa kultury oraz o to, jak dalece teatry winny być dotowane, wtedy właśnie zgłosiła się do mnie telewizja, bym się wypowiedział na temat dotacji dla sztuki. Materiał miał oczywiście tezę. Artyści chórem narzekali. Toteż nie znalazłem swojej „setki” między wypowiedziami wszystkich Englertów. Nie znalazłem, bo pamiętam, co wtedy mówiłem. Jako starówkowy radny zaprosiłem kamerę na ulicę Nowomiejską. Stanęliśmy na wprost Lapidarium.

Na tym dziedzińcu Muzeum Historycznego m.st. Warszawy próbował zadołować się teatr. W 1991 r. grali tam *Lizystratę* Arystofanesa. Bardzo spodobała mi się ta idea. Byłem „za” i twierdziłem do kamery, iż to najlepszy dowód, że nie jest źle, że reformy, swoboda dobrze służą sztuce.

Nie był to słuszny pogląd. Może nawet niesłuszny. Nie pojawiłem się na ekranie, a po roku aktorów na Nowomiejskiej także już nie było. Pojawił się za to Jacek Kiliński. Znałem go jeszcze z Komitetu Obywatelskiego, z ramienia którego rok wcześniej zostałem radnym Śródmieścia. Jacek to kupiec, plastyk ze Starego Miasta, który od malowania odręcznych portretów na poczekaniu w stylu Montmartre’u w latach 70., przez dziuplę w Barbakanie, Muzeum Szewców na Szerokim Dunaju, doszedł do sklepu z pamiątkami na Nowomiejskiej. Sklep, jakiego dziś nie powstydziliby się paryski



*Wróbel*  
(M. Wróblewski)

*Jacek Kiliński - twórca*  
*„Lapidarium”*

Beaubourg, powstał w lokalu dawnego EMPiK-u. Jacek to człowiek z fantazją. Marzyły nam się kluby, gazety, barki. Inicjatywa gonila pomysł. Tu niejaki Wolski otworzył barkę na Wiśle (skończyło mu się na Volfra Taxi...), tam miał powstać elitarny klub zamknięty na angielski wzorec, gdzie indziej w podwórku – kafejka. Poszedłem do niej. Na dziedziniec Lapidarium, który Jacek podnajął od profesora Durki, szefa (od 1951 nieprzerwanie do 2001 r.) Muzeum Historycznego m.st. Warszawy. Poszedłem z młodą żoną i oniemiałem. To jeszcze nie był czas ogródków. Rynek Staromiejski był pusty. Lapidarium świeciło triumfy. Wybudowano tam małą scenkę, na której w weekendy Mirek Wróblewski, czyli Wróbel, organizował koncerty. (W 1993 był nawet „zamówiony” do Lapidarium Bill Clinton i miał grać na saksofonie. Jednak, jak stwierdził Jacek: „Hillary była zmęczona...”).

Mirek był szefem sali, którą zorganizowano na zasadzie holdingu. Ktoś wzięł w ajencję bar. Ktoś handlował colą. Kto inny smażył creepsy w paryskim stylu. Butelka zmrożonej białej bułgarskiej Sofii, wartej w sklepie wówczas 3 zł, u Kilińskiego kosztowała może 5 zł. A piliśmy ją na galeryjce na wygodnych plastikowych krzeselkach, które wraz z parasolami Jacek dostał od Coca-Coli.

Niech się schowa Madryt czy Sewilla, gdzie widziałem takie zaufki. Podczas wędrówki maluchem po Hiszpanii w 1988 r., bodaj w Granadzie na jakimś podwórczku podglądałem występ teatralny czy cyrkowy. Ale tam, po pierwsze i ostatnie, nie było mnie stać na przestąpienie progu. A tu... no właśnie. Tylko teatru brakowało. Lapidarium zrobiło się modne. Jak zakładany właśnie przez Maćka Nowaka przy warszawskim ZASP-ie „Goniec Teatralny”. I jego pierwsi redaktorzy.

W kwietniu 1992 r. próbowałem z Anią Kowalską (do dziś redagującą „Mazowiecki Informator Kulturalny” przy MCKiS) i Hanią Zielonką odtworzyć „WIK”, czyli „Warszawski Informator Kulturalny”, który podupadł przed laty. Zacząłem kręcić się wokół Warszawskiego Ośrodka Kultury, któremu, jak się okazało, przekazano prawa wydawnicze. Siedzieliśmy zatem razem z moim ówczesnym zespołem (po „Tygodniku Solidarność” krótko kierowałem działem kultury w efemerydalnym dzienniku „Nowy Świat”, z którego mnie dopiero co wyrzucił Piotr Wierzbicki). Rozmawiałem więc z Jackiem Cieślakiem (właśnie zmykającym do „Rzepy”), z Tomkiem Płuciennikiem, który osiadł jako redaktor TVP Kultura, z Darkiem Wieronijczykiem (późniejszym szefem Telewizyjnej Agencji Filmowej za prezesury Bronka Wildsteina), z nieżyjącym już Julkiem Gostkowskim, z Ewą Gałązką, Tomkiem Mamcarzem. Przypomniał mi się teatrzyk grający w Lapidarium przed rokiem. Któryś z teatrologów wspomniiał XI-X-wieczne teatrzyki ogródkowe, o których nauczala nas w PWST pani Barbara Lasocka. „Co to dla nas: odtworzymy!” – wykrzyknąłem. Kilińskiemu też zapaliły się oczy. Zaraz zaproponował logo. Pamiętam wizytówkę: „Pierwszy Teatr Ogródkowy”. Ale skąd pieniądze? Nie sposób przecież ze środków społecznych wspierać wprost prywatnego biznesu. Ani liczyć na to, że pomysłowy biznesmen nie da się aktorkom zbajerować.

I tutaj zaczęła się moja rola. Bo kto miałby dać dotację? Kto gwarantować poziom? Fakt – miałem wszystkie sznurki w ręku. Byłem dziennikarzem, felietonistą kulturalnym II Programu Polskiego Radia, do którego chętnie wówczas mnie Iwona Smolka zapraszała, przewodniczącym Komisji Kultury, Oświaty i Sportu – posiadającej wówczas osobowość prawną Dzielnicy Śródmieście. Byłem też wicemarszałkiem Sejmiku Warszawskiego, gdzie miałem faks i ksero, komputer z pakietem Works i programem Bannermania, na którym przez trzy pierwsze lata rzeźbiłem programy konkursu na Teatralny Spektakl Ogródkowy. No i *last but not least* miałem też Piotrusia Królikiewicza, pełnego filozofa, teatralnego rekwizytora, a jak się z czasem okazało – znakomitego samorządowego urzędnika,

którego z konkursu pozwolił zatrudnić mi Piotr Fogler. Z jego to pomocą, na papierze (transparentnie!) dostarczonym z Urzędu Dzielnicy Śródmieście drukowałem pierwsze programy.

Musieli mieć zabawę ochroniarze z placu Bankowego, widząc, jak często po nocy pan marszałek atakuje ratusz od strony wjazdu z Elektorальной, przechodzi przez płot nad ciężką metalową bramą (wiadomo, że skoki przez płot cieszyły się wówczas jeszcze dobrą sławą), by po nocy w zaciszu gabinetu sejmikowego zająć się... No właśnie, wiele mogłoby im przyjść do głowy, ale chyba nie to, że miast kserować akty notarialne lub badać akta własności gruntów miejskich, zajmują się produkowaniem teatralnych programów. A na posiedzeniu zarządu miasta, pod nosem prezydenta Wyganowskiego, miast zadbać o wykup działki w Kampinosie, darłem karteczki, stemplując je na pierwsze amatorskie bilety i dowiadując się od zarządzającego miliardami skarbnika miasta, jak skonstruować książkę biletową.

No cóż – nie ma już tego prezydenta. Parę osób znikło, ktoś siedzi. Kogoś już z pudła wypuszczono. Ktoś inny pewnie nigdy nie siądzie, bo prawników ma dobrych, a powiadają, że stał się osobą jedną z najmajętniejszych spośród radnych... Piotruś też dał się kupić...

Mnie z tej historii udało się wykreować konkurs. Konkurs, który trwał piętnaście lat – tyle, co Polska między sojuszami.

Ten kawał historii współczesnego teatru powstał z poparciem samorządu. Ale też to byli inni radni niż ci partyjni zakładnicy, którzy dziś podpisują diety. To była Rada z Janem Ekiertem, profesorem fizyki i prorektorem politechniki na czele. A moim zastępcą (adiunkta i redaktora) była profesor polonistyki UW Maria Straszewska. Tym ludziom: architektowi Janowi Rutkiewiczowi, który był burmistrzem, Marcinowi Sobockiemu, jego zastępcy, niedługo trzeba było tłumaczyć, na czym polegają ponad dzielnicowe, a nawet ogólnopolskie zobowiązania gminy będącej śródmieściem stolicy Polski. A gdy ich zapewnilem, że do jury zaproszę takie sławy jak Adam Hanuszkiewicz, Iza Cywińska (świeżo po zakończeniu misji ministra kultury w rządzie Tadeusza Mazowieckiego), Jacka Sieradzkiego z „Dialogu”, ówczesną recenzentkę teatralną „Gazety Wyborczej” Wandę Zwinogrodzką i Pawła Konica, wówczas kierownika literackiego Teatru Dramatycznego, wszyscy byli zachwyceni, a burmistrz Rutkiewicz mianował mnie kierownikiem artystycznym i wyasygnował jedyne 60 mln zł, czyli 6 tys. dolarów na nagrody (po piętnastu latach suma nagrody na imprezie z dwustukrotnie



*Grzegorz Szepietowski  
operator,  
Transmisja  
teatralna „Polonii 1”*

zwiększoną publicznością wzrosła niewiele: w 2006 r. wyniosła 30 tys. zł, czyli oscylowała w granicach 10 tys. dolarów).

Podejrzewam jednak, że radni I kadencji odrodzonego samorządu decyzje burmistrza kontrasygnowali z taką ochotą, gdyż mieli w tym swój interes. Rozumieli dobrze, że jak się pozwoli przewodniczącemu Komisji Kultury, Oświaty i Sportu realizować się w plenerze – może będzie mniej swoją *grand* elokwencją na każdy temat na radach się popisywał... I nie pomylili się. Ogródek zaczął opłacać mnie jak powój.

Najbardziej zależało mi na niezawisłości jury. By żaden sponsor ani radny nie miał wpływu na werdykt. Dla zaspokojenia ambicji powołaliśmy też Komitet Honorowy z rektorem PWST Janem Englertem, burmistrzem dzielnicy Janem Rutkiewiczem, dyrektorem Muzeum Historycznego m.st. Warszawy prof. Januszem Durką oraz Jackiem Kilińskim, szefem Lapidarium.

Pierwsze posiedzenie jury odbyło się na bocianim gnieździe – jak by można nazwać przepiękny salonik, którym Muzeum Historyczne dysponuje na najwyższej kondygnacji kamieniczki Dekerta. Nie zostawszy przewodniczącym jury, Hanuszkiewicz natychmiast stracił zainteresowanie do zasiadania w jego gremium, w którym poza tym miała uczestniczyć nienależąca do miłośników mistrza Adama – Wanda Zwinogrodzka.

Adam (czyżby dlatego, że przyjaciel domu od lat szczeniących?) okazał się więc pierwszym i jedynym humbugiem z mojej strony. Reszta była niezawodna. I to jury nazywałem długo najlepszym i głównym produktem Teatru Ogródkowego. Po roku doszłusował Maciej Wojtyszko, po dwu Wojtek Malajkat. Wanda była,



Bronisław Myszkowski

Fot. Jacek Kiliński

gdy jej czas pozwalał. Całe to jury, wierne i zdyscyplinowane, służyło Ogródkowi z oddaniem i niemal charytatywnie przez lat siedem.

To niezależność jury stworzyła, jak sądzę, markę Konkursu Teatrów Ogródkowych, na którym debiutowała Edyta Olszówka, przedstawiali się warszawskiej publiczności Jolanta Fraszyńska czy Grupa Rafała Kmity, święcił pierwsze triumfy Bronisław Wrocławski czy Kabaret Moralnego Niepokoju.

Zaczęła się walka o formę. O to, czym Ogródek być może, a czym nie powinien. Przyszła telewizja. To znaczy telewizja publiczna pojawiła się zaraz. Jak dziś pamiętam, drugą chyba w moim życiu wizytę w studiu „Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego” (nikomu jeszcze nie śnił się WOT) u Anny Frankowskiej. Było pięknie, byłem próżny i pełen najlepszych intencji, ale materiał ze mną jako gościem „Kuriera” spadł, ponieważ bodaj pierwszy raz szosy zablokowali, ziarno rozrzucając jacyś rolnicy z nikomu nieznanym *excusez le mot* Andrzejem Lepperem na czele. Cóż, szybko poczułem te kłody...

By mi to jakoś nagrodzić, nazajutrz odnalazł mnie Janusz Leśniewski, też wówczas pracujący w „Kurierze”, i miast wywiadu w studiu, zrobił (nagrywaliśmy to w Fosie przy placu Zamkowym) pierwszy materiał o Teatrze Ogródkowym w Lapidarium. Opowiadano potem, że i jemu łatwo nie było. Któryś z wydawców obsztorcował go zdrowo za zrobienie materiału kryptoreklamowego, bowiem zdaniem nadredaktora z za pleców widowni wkręciło się w kadr całkiem nieodpłatnie logo Coca-Coli, pod której parasolami rzecz się działa.

Zatem na początku media były dla nas łaskawe. Jacek Cieślak załatwił zdjęcie z pierwszego teatryku w „Rzpie”. Wanda przychylność „Wyborczej”. Inny z moich studentów, pracujący w „Teleexpressie” niejaki Michał Jacoszek, rzeźbił 30-sekundowe newsy z teatryków na 17.15. Zgłosiła się nawet Magda Gardowska, która moją wypowiedź o teatrykach puściła w I Programie TVP po głównym



wydaniu mających jeszcze magazyn kulturalny niedzielnych „Wiadomości”. To były piękne dni. I świat zdawał się kłaniać nisko.

Ale zachciało mi się więcej. Bo tego pierwszego ogródkowego lata, w trakcie którego ze zmiennym powodzeniem walczyłem o reaktywację „Warszawskiego Informatora Kulturalnego”, układając dlań fantastyczne marketingowe plany, jednocześnie wygrałem swoisty *casting* urządzony przez Niezależną Telewizję Polską, która miała być pierwszą komercyjną stacją telewizyjną. Od Gabriela Maretica, Teresy Kotlarczyk, Krzysztofa Wyszyńskiego, Michała Komara, Mirka Chojeckiego, wpadającego na nasze kursy Andrzeja Wajdy, a wreszcie podczas stażu w sardyńskiej prywatnej telewizji Videolina w Cagliari nauczyłem się nowego zawodu.

Od grudnia 1992 r. zacząłem więc pracę w Nowej Telewizji Warszawa, gdzie bardzo szybko sam sobie zostałem sterem, żeglarzem i okrętem. To był istny obłęd. 150 godzinnych audycji, 100 półgodzinnych *live'ów*, ponad 700 dwuminutowych newsów oraz... blisko trzydzieści ogólnopolskich transmisji z Teatru Ogródkowego.

Angelo Palla nie wahał się długo, gdy w czerwcu 1993 r. pokazałem mu Lapidarium. Ustawa o prawach autorskich była jeszcze w powijakach, więc kto chciał, a honorarium nie żądał, mógł dać się całej Polsce oglądać. Nie ma co kryć. Przez dwa lata wypromowałem imprezę. Przyjeżdżałem z kamerą jako dziennikarz pod bramę Lapidarium, stawałem przed nią i zapraszałem jako organizator (taka zakamuflowana forma nieakceptowanego jeszcze wówczas, nie wiedzieć czemu, standuppera). Następnie z operatorami: Jackiem Boneckim, Rafałem Rutkowskim lub Tomkiem Machnowskim kręciliśmy zdjęcia. Wracalem do stacji, gdzie napisany przeze mnie komentarz najczęściej wgrzywał Jarek Kret, najbardziej solidarny z dziennikarzy, montował najczęściej Eryk Dankwa, tak zwany Pafka, czyli Piotrek Jarosiński, realizowali często Jarek Budner, Artur Twardo lub mistrz światła Wojtek Walkiewicz, i naród dowiadywał się, że Lapidarium czeka.

Czekało. Ludzie też na nie czekali. Ja działałem jakby w transie, obłędem niesiony. Choć inni, pamiętam komentarz Krzyśka Wyszyńskiego z NTV („promujesz sobie imprezę”), myśleli, że więcej rozumiem. Z tymczasowości, szansy nie do zaprzepaszczenia, niepowtarzalności okazji. A ja, jak dziecko spuszczone z lejców, bawiłem się sznureczkami. Miałem wszak zadrę w stosunku do szkoły teatralnej, gdzie podziękowano mi za pracę. Chciałem pokazać, że sobie poradzę. Jednak nie przeciw nim, lecz z nimi, może nawet dla nich. Chciałem, by ze mną współ-

pracowali. Jan Englert czy Barbara Lasocka z wysoka spoglądali na profesora, który się stoczył do gminu, lecz już inaczej śpiewał dyrektor Tadeusz Faber, zastępca ekonomiczny, którego prośby o dotację dla szkoły były w miarę możliwości (niemałych!) dzielniczy przychylnie i bezwarunkowo rozpatrywane. Faber dopiero wtedy zaczął mnie zauważać. Cóż, lubię dawać. I jeśli władza ma dla mnie jakiś urok, to wtedy, gdy daje, gdy może być łaskawa.

Impreza nabierała rozpędu. Nowa Telewizja Warszawa była całkowicie finansowana i technicznie też obsługiwana przez Sardyńczyka Nicola Grauso i jego *staff*. Ci pokazywali nam, jak sprawnie i efektywnie pracować. Bardzo się to nie podobało pełnym ambicji filmowcom po łódzkich szkołach, ale nie ulegało wątpliwości, że włoskie systemy lepiej były dostosowane do komercyjnej rzeczywistości medialnej. Na moje spektakle przyjeżdżali małym transmisyjnym wozem (kierowca i elektryk w jednej osobie oraz realizator w wozie, plus trzech, czasem czterech operatorów). Kto dziś o takiej ekonomii słyszał w telewizji publicznej, gdzie transmisja zaczyna się od tuzina honorariów! Zatem Włosi przyjeżdżali i *a vista*, montując obraz z trzech kamer, jak przy relacji na żywo, nagrywali spektakl granym w poniedziałek. W środę przybiegałem do wykładanej czerwonymi kafelkami dawnej siedziby „Życia Warszawy” (też kupionego przez Grauso) przy Marszałkowskiej 1, z Renato montowaliśmy czołówkę i napisy końcowe, korygowaliśmy ewentualne błędy żywego montażu, betę w specjalnej maszynie kopiowano na dwanaście U-Matic i w niedzielę, we wszystkich lokalnych stacjach Polonii 1 w prime time’ie można było nasz Ogródkowy Teatr Telewizji oglądać.

Minęły dwa lata. Pod wąskim daszkiem, na plastikowych krzesłach, pod cienutkimi parasolami rozkręcał się teatrzyk. Głównym atutem było wciąż jury, ale i telewizja grała swoją rolę. To było wielkie „być albo nie być”. Kto udźwignął monodram Zoszczenki i dał się całej Polsce pokazać, ten nie powie, że aktorstwo nie dało mu szansy i cieszy się z zapowiadania w radiu czy referowania prognozy pogody; kto zagrał jak Edyta Olszówka bosko w *Spacerku przed Snem*, ten do dziś z Teatru TV nie wychodzi.

Aż przyszedł ten deszczowy dzień. Lało jak z cebra. Wracałem z Buga, z nabytego przed rokiem za zarobione w Polonii 1 pieniądze siedliska we wsi Ołtarze-Gołacze, gdzie zostawiłem żonę z dwiema córeczkami. W NTW miałem umówione „A Teraz Konkretnie” z Janem Rokitą. W Lapidarium spektakl. Ale nie tylko deszcz przeszkodził w odbyciu tego przedstawienia.

## V

## HABENT SUA FATA... TERRITORIA

Miały przecież swych właścicieli – przestrzenie. Poukrywali się wówczas, na nowo określali obszary, szukali porozumienia z nową władzą. Ale wszak nie byli to ludzie nowi.

Lapidarium formalnie należało do Muzeum Historycznego m. st. Warszawy, kierowanego przez prof. Janusza Durkę. Człowieka, o którym ostatnio mówiono, że równie mocno osadzony był w kurii, jak niegdyś w KC, gdzie w latach 1968-71 pełnił obowiązki kierownika Zakładu Historii Partii, a w latach 1971-81 kierował Centralnym Archiwum KC.

Tak, Rynek Staromiejski to przestrzeń tajemnic. Stronę Dekerta, gdzie wszystkie kamieniczki w całości wypełnione są przez Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, nazwano stroną Durki. Stronę Kollątaja, tę z Fukierem, łatwiej zapamiętać nazywając dziś stroną Gesslerów; stronę Zakrzewskiego (od Horteksu i Krokodyla) – stroną Jachacego.

Ale najciekawsza jest strona Barsa z Dessą, z dawną Piętakową (wdową po Stanisławie – poecie) przy Kamiennych Schodkach na krańcach, a między nimi z Klubem Księgarza od dwudziestu z górą lat prowadzonym przez Jana Rodzenia – byłego komisarza stanu wojennego w Warszawskim Ośrodku Kultury, którego dyrektorem był od roku 1982. I Muzeum Literatury, od przeszło trzydziestu lat kierowanym przez profesora Janusza Odrowążą-Pieniążka (kto dziś pamięta, że to były wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej za wczesnego Gierka?). Wreszcie historyczna siedziba Klubu Krzywego Koła, czyli Staromiejski Dom Kultury, którym zarządzał świeżo podówczas wyzwolony spod bezpośredniego (przynajmniej formalnego) nadzoru rozsypującego się Socjalistycznego Związku Młodzieży Polskiej – Sebastian Lenart, pracujący tam też od lat trzydziestu z górą.

Trzeba było piętnastu lat, by Lenart (i to pod rządami Kaczora!) jawnie odkrył swoje korzenie. Spisując dzieje SDK przyznał, że z punktu widzenia kultury komunizm nie jest w niczym gorszy od kapitalizmu. Dla niego zaś wolność zaczęła się nawet nie w czerwcu 1989, lecz w roku 1987, kiedy to przekazano SDK ówczesnemu, całkiem jeszcze komuszemu, wojewodzie. No cóż, jeśli popatrzeć na ten wywód z wiedzą, którą dzisiaj mamy na temat faktycznego wpływu głośności i pieriestrojki na przewrót Okrągłego Stołu, trzeba przyznać, że mało może w nim patriotycznego romantyzmu, lecz sporo zimnej logiki.

Wtedy jednak wszyscy byli cisi i oczywiście bardziej od nas fachowi. Pomocą służyli, swoje mieli też w tym wyrachowanie. Jakie? Pokazały lata. Chyba już podczas pierwszego konkursu pani Maria Chmielewska proponowała radnemu, że organizacją Ogródków Teatralnych mógłby się zająć Staromiejski Dom Kultury. Jakoś nie miałem ochoty. Niezależność była dla mnie najwyższą wartością. O pieniądzech – po prostu nie myślałem, zresztą nie było ich wiele.. Więc w czasie pierwszego konkursu przybiegała Ewa Janowska – malutka, energiczna urzędniczka ze śródmiejskiego wydziału kultury i, co tu wiele kryć, tuszowała kikszy pana marszałka, który nie pomyślał w porę na przykład o pianinie. Wtedy ściągała je awaryjnie z SDK, od Sebastiana. Wydział dogadał się też z Mirkiem Wróblewskim, który nagłaśniał organizowane przez Kilińskiego w Lapidarium koncerty. Coś mu płacili. Zapłacono też jakieś śmieszne grosze jurorom. Honoraria pokryto w pierwszym roku dzięki Muzeum Historycznemu, potem, jak pamiętam, Staromiejskiemu Domowi Kultury Sebastiana Lenarta: koszt nagrody, kilku noclegów i przejazdów.

Organizacja krążyła więc gdzieś nad moją improwizacją. Organizacja i nadorganizacja, bo jak wiadomo – w trzecim roku Ogródka na Starówce pojawiła się tzw. mafia. Tu już nie chcę udawać, że rozumiem więcej, niż pojmuję. Interesy państwa Jachacych i Gesslerów, ich rozgrywki z Jackiem Kilińskim, przekraczają moje kompetencje.

Rokita nie przyszedł. Wiedział pewnie, że za kilka dni do Nowej Telewizji Warszawa, w której jeszcze w czerwcu '89 realizowałem (jako pirat) wywiad z urzędującym prezydentem RP Lechem Wałęsą, wkroczą pacholki ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w rządzie Pawłaka i Cimoszewicza.

Ten jakże szanowny dziś kandydat na wysokie unijne stanowiska nie zawahał się, by zdjąć z anteny już dobrze na rynku reklamy prosperującą stację komercyjną, która bardzo przeszkadzała zarówno publicznej TVP, jak i czającym się już

do skoku ludziom Solorza i Waltera. Tak więc na Grzybowską 77 wkroczyła policja. Nawet grzecznie mnie przesłuchano. Było trochę medialnego szumu, Grzegorz Kalinowski (dziś komentator sportowy w TVN) lamentował w „Wiadomościach” wieczornych, lecz... codzienny niezależny sygnał zamilkł. Koledzy stracili pracę. Mnie w sumie Włosi potraktowali najlepiej: jeszcze przez rok nadawałem, już nagrywany, „ATaK Show” przez satelitę Polonii 1.

Na Starówce też skończyły się żarty. Tu grano jeszcze ostrzej. Ktoś kogoś szantażował, ktoś (czyli Wróbel) haracz zapłacił, a Kiliński przyznał się do tego. Ktoś zorganizował bojkot, ktoś, czyli najemcy Lapidarium, nie wzięli w nim udziału. Dość że burmistrz Jan Rutkiewicz się wściekł, wycofał Konkurs i zaczęły się naciski na mnie, bym grał na Rynku. Na samym środku placu! Pomiędzy powstały mi właśnie w tym roku ogródkowymi kawiarenkami.

Bo wcześniej ich nie było! Przez dwa lata Lapidarium było jedynym miejscem, gdzie miał szansę zatrzymać się turysta. Teraz zorientowano się, że imprezy, które *nota bene* wieczorem właśnie wyciągały klientelę z Rynku do urokliwego Lapidarium, mogą przyciągnąć widzów. No więc dano mi szansę, a ja nie skorzystałem. Mówiłem, że teatr, intymność, *l'ambiance*... Przypominałem film *Mefisto* z Brandauerem i przypadek agorafobii. Patrzono na mnie z politowaniem. No cóż, *myszygene*. Zatem dopiąłem swego. Pan Grocholski z Londynu nie zgodził się wystąpić na wskazanej przez wydział kultury estradce, przenieśliśmy się do Gwiazdeczki.

A Rynek? Rozwijał się w swoim rytmie. Było *lobby*, potrzebny był produkt. Wymyślono Jazz na Starówce. Powstał dokładnie w tym samym 1994 r. dla ogródków kawiarnianych. Z mojego konkursu przejął tylko jedno – cykliczność. Dlatego dziś może nazywać się najdłużej trwającym festiwalem jazzowym Europy. I choć hałasu pewnie sobotni jazz robi więcej niż ogródkowe poniedziałkowe występy w Dolinie Szwajcarskiej, to protesty mieszkańców nie czynią większego wrażenia na władzach miasta.

Choć... przebąkiwał mi Andrzej Urbański, wówczas wiceprezydent ds. kultury, że Lech Kaczyński, który mnie ostatecznie z Doliny Szwajcarskiej wykurzył, miał zamiar i z jazzem potańcować.

Tyle że Krzysztof Wojciechowski – spokojniejszy. Nie plecie o budynku, nie uzgadnia zabudowy, nie zaniża kosztów. Raz w tygodniu wystawia na Rynku koszmarną scenę za kilkanaście tysięcy złotych, po dobrym koncercie scena znikła, i nikt nie liczy, że za pieniądze wydane na jej instalację można by w Arkadach

Kubickiego pod Zamkiem Królewskim, rekonstruowanych już lat bez mała dwadzieścia, wybudować amfiteatr.

Ale amfiteatrem nie nacieszą się najemcy rynkowych kawiarenek, ani nie utrzyma się z jego budowy Stołeczna Estrada. W każdym razie nie utrzymałaby się wtedy. Jeszcze przed podnoszącymi przekręt do artystycznych wymiarów ustawami: o finansach publicznych, o zamówieniach publicznych, że o pożytku publicznym nie wspomnę.

Skoro więc poddałem dobrowolnie temat Starówki, zaproponowano mi inne miejsce. Niby nic, cicho, sza ... – ktoś z wydziału kultury wskazał mi dziedzińiec Starej Dziekanki z piwiarnią pana Pszczoły. Spodobało mi się. I tak przypadkiem ten może właśnie telefon zdecydował o całym moim życiu: wzlotach, upadkach, bankructwie, rozwodzie i działaniu w poczuciu jakiejś coraz wyraźniej konkretyzującej się misji, działaniu pozbawionym *stricte* finansowego celu (choć pełnym marzeń o bogactwie) – opartym jednak na pragnieniu pozostawienia po sobie czegoś trwalszego od spiżu, a nawet od poematu. Stworzenie schroniska dla wspólnoty, która może się nawet bez budynku obejść. Coś niby instytucji, kościoła, jak ją dziś odnalazłszy nazywam – kulturalnej wspólnoty.

*„I stąd najlepszym Cezar historykiem,  
Który dyktował z konia – nie przy biurze –  
I Michał-Anioł, co kuł sam w marmurze...”  
(zacząłem za Norwidem powtarzać).<sup>1</sup>*

W zasadzie wszystko się skończyło. Wszystko, co oparte było na samorządowej władzy i telewizji, i – miejscu.

1 Cyprian Kamil Norwid, Promethidion, Bogumił - dialog, w którym jest rzecz o sztuce i stanowisku sztuki. Jako Forma

## VI

## IGRZYSKA

Czy ja ten ogródek traktowałem serio? Czy przypuszczałem, że może się on stać osią mego życia? – I tak, i nie. Jakoś nie do końca, bez determinacji jednak robiłem wszystko, by nie wyrzucić sobie, że czegoś zaniedbałem. Chodziłem więc od burmistrza Rutkiewicza do jego zastępcy Janka Latkowskiego, szukając nieco bardziej instytucjonalnej bazy dla tworzącej się imprezy. W okresie zawieszenia między Nowym Światem a NTW przygotowałem też projekt „Śródmiejskiego Banku Kultury”. Potem przekształciłem go w „Śródmiejski Impresariat Kultury”.

Ale nasz czas się kończył. W czerwcu przegrałem wybory na radnego, kandydując z listy Warszawskiego Forum Samorządowego.

Do Warszawy wracali przyczajeni przez minione cztery lata tzw. dobrzy fachowcy, chociaż partyjni. Solidaruchy takie jak ja lądować miały na śmietniku historii. Było w tym sporo naszej winy, niefachowości, buty. Choćby tej, która wywołała idiotyczny spór Rutkiewicza z Kilińskim i zrodziła pomysł naszych występów na środku Rynku.

Konkurs na Ogródkowy Spektakl Teatralny dorobił się nazwy KTO w trzecim roku istnienia. Pierwszy plakat wykonano właśnie na IV Konkurs. Już w Starej Dziekance. Straciwszy (z końcem czerwca) ostatecznie pracę w *Polonii 1* (Grauso sprzedął stację niejakiemu Verdianiemu), wysyłałem sygnały do Mariusza Waltera, zakładającego właśnie TVN, i do WOT-u, którego szefem został na krótko Maciej Rembiszewski. Jednocześnie uzyskałem kontrakt z Komitetu Badań Naukowych na produkcję filmów oświatowych. Kontrakt pozwolił mi przeżyć rok.

Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, kim jestem. Już nie dziennikarz, jeszcze nie telewizyjny producent, nie artysta, ale też pozbawiony finansowego zaplecza niby-biznesmen. *Summa summarum*, rozmowy z WOT-em nie wyszły, Walter z TVN-u odwołał spotkanie. KBN szedł (ale nie doszedł) w innym kierunku.



*Od lewej:  
W. Malajkat,  
I. Cywińska,  
J. Sieradzki  
i A. T. Kijowski*

*Fot. Robert Olkuśnik*

Czwarty Konkurs zapisał się w mojej pamięci plakatem, nowym, wolnym od lęku przed deszczem lokalem, no i pierwszym kontraktem, który sprawił, że zacząłem myśleć o imprezie również jako o potencjalnym źródle utrzymania. Pod koniec konkursu wydaliśmy folderek, napisałem doń wstęp. Pierwszy raz popatrzyłem wstecz, na odbyte spektakle, wręczone nagrody. Zacząłem rozpoznawać otoczenie, gromadzić przyjaciół.

Pojawił się już po raz kolejny teatr Pod Górkę Staszka, przybyli Hankiewiczowie z Teatru Tradycyjnego w Krakowie, Stanisławiakowie z Katowic, pojawił się po raz pierwszy Teatr Atlantis Jacka Pacochy. Aha! Zamówiłem czarno-białe zdjęcia. Widać na nich, że jury do winy stosunek miało nieobojętny.



## VII

## OGRÓDKOWE OGRÓDKI

Cztery konkursy i trzecia teatralna przestrzeń. Po Café Lapidarium, była kawiarenka Gwiazdeczka (przy Piwnej 40), potem trafiliśmy do Starej Dziekan-ki (przy Krakowskim Przedmieściu). Łączyło te miejsca ograniczenie przestrzeni, ale na otwartym powietrzu, oraz fakt, że publiczność nie przychodziła tam do teatru po to, by „zachłystywać się sztuką”. Ludzie przychodzili do tych miejsc, by się spotkać, pogadać, napić kawy lub wina. Ludzie już byli. Teatr przybywał potem. I próbował zagrać swoją rolę.

Nie frekwencja zatem budziła w Teatrach Ogródkowych lęk organizatora i aktorów. Ona tak naprawdę zależała od pogody. Od aktorów jednak zależało skupienie uwagi publiczności na scenie. I to był właśnie zasadniczy przedmiot oceny jury. Świetnych zawodowców, którzy swoim prestiżem sprawili, że nikt w tym ogródku nie mówił, iż nie godzi się „grać do kotleta”.

Jeden z tych zawodowców, Pawełek Konic, już nie żyje. Pracował w piśmie „Teatr”, w „Dialogu”. Współpracował z Maciejem Prusem. Był czas jakiś kierownikiem literackim w warszawskim Teatrze Dramatycznym, a także w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi. Potem – nie bez wpływu doświadczeń, jakie dało mu jurorowanie w Konkursie Teatrów Ogródkowych – przekształcił warszawski Teatr Mały w Scenę Impresaryjną. Zmarł nagle, wnet po objęciu funkcji szefa Teatru Telewizji. Będzie jeszcze o nim więcej i osobno.



*Paweł Konic*

Idea teatru ogródkowego odrodziła się w czasach optymizmu, gdy wydawało się, że wszystko będzie po nowemu, wszystko inaczej, a gdy jednocześnie było już widać pierwsze syndromy kryzysu sztuki.

W Lapidarium nawiązywaliśmy świadomie do tradycji XIX-wiecznej, kiedy to teatry Eldorado, Tivoli, Alhambra, Pod Lipką czy Pod Mostem były niewątpliwą odpowiedzią na zmiany społeczne, jakie zachodziły w kraju po roku 1863.

Taką samą odpowiedzią na zmiany dokonujące się po roku 1989 były organizowane przeze mnie przedstawienia. Miały być przede wszystkim propozycją pozytywną – dla tych, którzy chcieli coś robić, za takie pieniądze, jakie były do zdobycia, wtedy, gdy to możliwe, takim nakładem środków, jaki był osiągalny.

Teatr Ogródkowy istniał dzięki hojności radnych Dzielnicy Śródmieście Gminy Warszawa-Centrum. Dyrektor dzielnicy fundował nagrody: początkowo 70 mln zł, potem 100 mln zł, wreszcie na IV Konkursie w Dziekance 14 tys. nowych złotych. Sponsor zwracał kosztą jednego środka transportu i opłacał jedną noc w tanim hotelu w Warszawie. Dla mnie to było mnóstwo, a przecież środki, dzięki którym organizowałem kilkanaście przedstawień, teatrowi państwowemu wystarczyłyby ledwie na jedną większą premierę.

Czy wróci jeszcze w Polsce tak hojnie dotowany teatr, do jakiego przyzwyczailiśmy się w latach politycznej posuchy i teatralnych uniesień czasu PRL-u? Czy jedyną receptą są podobne do tych ogródków imprezy?

Konkurs Teatrów Ogródkowych wymyślony został na lato. Wtedy gdy w czas kanikuly gwiazdy schodzą z piedestału, by odpoczywać, szansę mają ci, którzy są skłonni, bądź wręcz muszą, zrezygnować z urlopu. A że lato u nas coraz dłuższe i gorętsze, więc i sezon ogródkowo-ogórkowy wydłużał się nawet do czterech miesięcy.

Czy to dobrze? Czy po czwartym konkursie ma nadejść piąty, a po piątym jubileuszowy dwudziesty piąty, po którym już pogrzebią w powązkowskim ogródku steranego kierownika artystycznego? Stawiałem pytanie nie wiedząc, że trzeba będzie wielkiego sukcesu piętnastolecia, by zawistnicy spróbowali jeszcze mnie żywcem pogrzebać...

Pytałem też o to, co przez cztery pierwsze lata (ponad 50 przedstawień) pokazała nam artystyczna Polska? Pokazała nam wolę istnienia. I chęć przezwyciężenia marazmu. Teatr Ogródkowy był z pewnością jakąś formą demonstracji, manifestu artystycznego pokolenia „Solidarności”. Tych, którzy powiedzieli nowemu

ustrojowi „tak”. Tych, którzy zdobyli się na to, by skrzyknąć się w czasie urlopu. Tych, którzy potworzyli artystyczne firmy, i po czterech latach zbierania doświadczeń zaczęli się godnie pieczętować REGON-ami i NIP-ami.

Teatr Ogródkowy jest niewątpliwie poszukiwaniem przez sztukę teatralną nowej formuły instytucjonalnej. W 1993 roku, jeszcze w Lapidarium, gdy najbardziej nie sprzyjała pogoda, obiecywałem zadaszanie. Dzięki panom z Polish Travel, którym w 1995 r. Teatr Ogródkowy zawdzięczał darmowe lokum na wynajętym przez nich podwórku Starej Dziekanki, kawałek płóciennego dachu pojawił się nad naszymi głowami.

„Czy za rok przyjdzie budować ściany? Czy artyści ogródkowi będą potrzebni? Sądząc po stale zwiększającej się liczbie zgłoszeń, raczej tak; sądząc z coraz większego zrozumienia władz samorządowych z panią Teresą Stanek i Markiem Rasińskim z Dzielnicy Śródmieście na czele, raczej tak; sądząc z niesłabnącego zainteresowania mediów i coraz bardziej własnej publiczności, raz jeszcze tak. A więc »Zagrajmy to jeszcze raz«”.

Tak w 1995 r. zapraszałem na V Konkurs. „Ogródki są po to, by zabrakło ogórków w Warszawie!” – wołałem.

No i co? Gdy zbrakło ogródków, pozostało... piwo i ogórki. O czym w czerwcu 2009 r. można przeczytać w felietonie Pawła Sztarbowskiego zatytułowanym *Piwnie Ogrody Frascati*<sup>1</sup>

---

1 P. Sztarbowski, *Piwnie Ogrody Frascati*, Polski Wortal Teatralny e-teatr.pl, 20 czerwca 2009. (<http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/75071.html>)



## VIII

## TEATRZYK W TELEWIZJI

Nadciągał jubileusz pięciolecia. Znów miałem jakieś wpływy w telewizji. Z Januszem Kieszkiewiczem „Kichą” robiliśmy filmy dla KBN-u, bez entuzjazmu emitowała je TV Polonia, ale dzięki temu miałem telewizyjną przepustkę, co umożliwiło mi atakowanie redakcji kulturalnych.

Osobna to sztuka – dawanie pomysłów na pożarcie. Oddałem kilka. Ale do jednego jestem szczególnie przywiązany. Właściwie ciągle wydaje mi się realizowalny, potrzebny, nośny.

Oto list skierowany do przedstawiciela tzw. ekipy „pampersów” Andrzeja Rychcika:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Oto kilka pomysłów programów publicystycznych, które jak sądzę można by wprowadzić do nowej ramówki.

1. Najpierw ramówka letnia:

Już od pięciu lat organizuję w naszym mieście latem Konkurs Teatrów Ogródkowych. Konkurs ten, w którym zespoły z całej Polski ubiegają się o nagrodę burmistrza (dziś dyrektora) Dzielnicy Warszawa Śródmieście, zyskał sobie dobrą sławę szczególnie dzięki bardzo fachowemu jury, w którym w tym roku zasiadają: Izabella Cywińska, Jacek Sieradzki, Paweł Konic, Wojciech Malajkat, Maciej Wojtyszko.

Konkurs, odpowiednio nagłośniony przez media, staje się, jak miemam, jednym z przykładów pozytywnego wkładu samorządu w dziedzinę kultury. W tym roku odbywać się on będzie dzięki tradycyjnej hojności Dzielnicy Śródmieście, której dyrektor Marek Rasiński poza pulą nagród w wysokości 17 tys. zł. finansuje działalność jury i w ograniczonym zakresie pokrywa koszty noclegów artystów oraz rozlicza koszt dojazdów.



*Aleksander  
Rozenfeld  
wśród  
widzów IV KTO  
St. Dziekanka `95*

*Fot. Robert Olejnik*

Konkurs organizowany będzie w tym roku na malowniczym dziedzińcu Starej Dziekanki w okresie od 20 czerwca do połowy września. Projektujemy jeden spektakl tygodniowo – zawsze we wtorki o godzinie 18.00.

Tradycyjnie interesują się nami w lecie media. Telewizje satelitarne, zachodnie i polskie, zawsze pojawia się »Kawa czy herbata?« lub inne programy letniej oprawy. I zawsze jest to nieco improwizowane. Czasem sam (jako też człowiek mediów) robiłem newsy lub nawet pełne transmisje telewizyjne z wozu, czasem występowaliśmy w studio tuż przed lub po przybyciu aktorów spoza Warszawy.

Kroi się w tym roku nawet możliwość umiędzynarodowienia imprezy. Dlatego proponujemy działania dwutorowe.

Z jednej strony wprowadzenie kilku-, kilkunastominutowej informacji o imprezie do letniej ramówki. W miejscu takim jak Stara Dziekanka rozmawiać można nie tylko o teatrze. Jest to dla nas miejsce spotkania, pretekst do ważnej kulturalnej rozmowy.

Z drugiej – zebranie materiału do 30-minutowej relacji podsumowującej całość imprezy; reportażu przeznaczonego do wyemitowania na przełomie sierpnia i września.

Formuła telewizyjna: interwencje letnie z pleneru najlepiej na żywo. O 18.00 pewnie niemożliwe, ale wykonalne w trakcie próby. W Dziekance nie mniej od aktorów i jury interesuje nas cały miniony letni tydzień kulturalny. Możemy w niej spotkać, kogo chcemy. Od aktorów po ministrów, wydawców, organizatorów wczasów, samorządowców.

Schemat roboczy: znowu w Dziekance, V Konkurs Teatrów Ogródkowych; dziś przybyli tacy a tacy artyści; na »spektakl przy piwie« wybiera się ten czy ów; rozmowa z tym czy z owym; fragment spektaklu; do zobaczenia za tydzień.

Organizująca Konkurs firma Media ATaK, którą prowadzę, zajmująca się także produkcją telewizyjną (obecnie emitowany program »Logos« w TV Polonia), podejmuje się program ten zrealizować bądź to na zlecenie, bądź jako współprodukcję z TVP”.

W nieco zmienionej formie po roku proponowałem to Barbarze Pietkiewicz w Polsce. Także bez rezultatu.

Teatr Ogródkowy stworzyła telewizja Polonia 1, przy wsparciu samorządu. W sposób naturalny jego byt przedłużyć chciałem w mediach. Nawet firmę nazywałem Media ATaK, wiedząc, jaka jest cena. Dziennikarze bowiem imprezy nie produkują, oni pomagają jej zaistnieć. Ale też impreza medialna jest w istocie wirtualna, tak jakby jej nie było. Pojawia się zdarzenie, wpada dziennikarz, ileś tam minut spędzasz na wizji, uzyskujesz jakąś oglądalność. Problem zaczyna się wtedy, gdy chcesz byt wirtualny zamienić w realny. Póki byłem dziennikarzem telewizyjnym, kreując ogródkowe zdarzenie sam sobie dostarczałem pożywki. Długo tak zresztą tłumaczyłem narodzenie się teatryku. Powstał jako pożywka dla kulturalnych mediów, które latem w Warszawie nie miały natłoku tego typu informacji. Powstał dla artystów, którzy zbiegali się:

*„Z różnych stron; z różnych dróg,  
I na nogach, i bez nóg  
Zbiega się artystów huk.  
Ledwie rozbrat wzięli z kurzem,  
Ten zadziera czub do gór,  
Ta smaruje buzię różem,  
Ta wypełnia brak figury,  
Ten dziwaczny strój nakłada,  
Ten swą fizys na gwałt zmienia,  
Ta z pamięci rolę gada.  
I nuż – dawać przedstawienia!”<sup>1</sup>*

1 Dyre, „Kolce” 1872

Nawiązywałem do dziewiętnastowiecznej tradycji, ale też określałem adresata imprezy. Było nim środowisko teatralne. Ludzie, publiczność – właściwie zbędni. Bywały však spektakle na II Konkursie przy fatalnej pogodzie, gdzie na widowni w deszczu siedziało może 5 osób, ale aktorzy grali – dla kamer Polonii 1, dla jej widowni idącej już w miliony.

Jakkolwiek więc chciałbym wspominać pierwsze Ogródki, początkowym ich adresatem było środowisko i media. „Chciałem Państwu wszystkim serdecznie podziękować, Państwu, którzy zrobiliście ten teatr ogródkowy, czyli Państwu aktorom, Państwu reżyserom, dyrektorom teatrów” – powiedział z całą mimowiedną szczerością burmistrz Jan Rutkiewicz, wręczając nagrody i dziękując zbranym po drugim przeglądzie w Lapidarium. „Publiczność przyszłaby również na gorsze spektakle, ale cieszę się, że przyszła na lepsze” – dodał.

A jednak! To publiczność właśnie ze spektaklu na spektakl, z roku na rok wybijała się na wiodącą siłę tego festiwalu. I to jakaś inna publiczność niż ta zwyczajowo komplementowana przez jurorów. Nie ślepych przecież, widzących pragnienie uczestnictwa i ogromny teatralny gust tych osób. Nie była to już „publiczność” (podobnie jak „społeczeństwo” czy „lud”), będąca w istocie figurą retoryczną w ustach agitatora. Na ogródkowych placach zaczął pojawiać się jakiś inny, autentyczny **zbiór osób**, które nawet ja, tak zapatrzony w siebie i z największym trudem poznający ludzi – z roku na rok coraz lepiej rozróżniałem.



## IX

## WIDZOWIE BARDZO WIERNI

Wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że zauważam ludzi. Chyba że jest mowa o zbiorowości, wspólnocie. Poszczególnych osób nie rozpoznaję. Podaj mi swój wzrost, wagę, rok urodzenia – jakąkolwiek liczbę, byle nie imię czy nazwisko, których nie spamiętam. Nie mam również pamięci do twarzy.

Tu jestem nieodrodnym synem ojca, który opowiadał mi, jak po premierze filmowej *Szyfrów* Wojciecha Hasa (według opowiadania i scenariusza Andrzeja Kijowskiego), rozmawiając podczas koktajlu z grającą w tym filmie główną rolę, *porte-parole* mojej babki (Żeglikowskiej z domu), Ireną Eichlerówną, zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna twarz tej rozcharakteryzowanej damy. Na pytanie, jak mu się film podoba, powiedział jej, że średnio, a już najbardziej to drażniła go aktorska maniera... Eichlerówny!

Takie męki przeżywam niemal codziennie. Pamiętam zdarzenia, utwory, konteksty – tylko nazwiska jakoś uciekają mej uwadze. Jednak do czasu. W którymś momencie ludzie stają się dla mnie bardzo ważni. W którym? Chyba wtedy, gdy przestają być elementami układanki, gdy czuję, że chodzi im o to samo, gdy widzę, jak tworzą, jak rozumieją swoją rolę.

Zacząłem odbierać w domu telefony bywalców. Ktoś kazał się tytułować „wujem”, nosił rzadkie nazwisko Żeglikowski. Tak jak mój pradziad opisany przez Seniora w *Dziecku przez ptaka przyniesionym* jako właściciel powozowni w Krakowie. Pod tym nazwiskiem pisywałem zresztą w stanie wojennym w paryskim „Kontakcie” – trudno nie zapamiętać zatem imigrantów z Krakowa. Państwo Dąbrowscy nazwisko mają za to bardzo popularne. Pojawili się na Ogródku dawno, jeszcze w Starej Dziekance.

Mniej znającym Warszawę podpowiem, że tzw. Stara Dziekanka to wewnętrzne podwóreczko Domu Akademickiego studentów szkół artystycznych, mieszczącego się na Krakowskim Przedmieściu na tyłach pomnika Mickiewicza. Tuż



od lewej:  
p. Żeglikowska,  
Wojtek Dąbrowski,  
p. Żeglikowski

koło kościoła Karmelitów i Pałacu Prezydenckiego – Namiestnikowskim niegdyś zwanego. To tu w 1988 r. z galeryjki nad drewnianymi podcieniami oglądałem reżyserowane bodaj przez Piotra Cieślaka przedstawienie *Snu Nocny Letniej*, wykonane przez studentów PWST z rocznika Edyty Jungowskiej. Drugie (po sycylijskim) moje ważne doświadczenie plenerowe.

Wracając do Dąbrowskich. Początkowo pani Ewa wydawała się ważniejsza. Bardzo aktywna. Tak, to musiał być 1995 r. – nadchodziły drugie wybory prezydenckie. Pamiętam, że pani Ewa zaangażowała się wtedy jako rzeczniczka kandydującego na prezydenta twórcy jednej z pierwszych prywatnych szkół biznesu Tadeusza Koźluka. Bardzo spodobało jej się „moje” miejsce w Dziekance i zapragnęła zorganizować na jej dziedzińcu konferencję prasową. Kampania prezydencka trwała krótko, była chyba jednak dobrą promocją szkoły, która od tego czasu zdaje rozwijać się znakomicie. Rozpoznawałem panią Ewę też jako wydawcę, przypominam sobie jakieś rozmowy z wydawnictwem „Trio” na temat redagowania serii teatralnej. Nawet jakiś wykonany (oczywiście *con amore*) projekt.

Czy mam dodawać, że nic z tych planów nie wyszło? Przynajmniej dla mnie, którego konspektami dyski komputerowe są zawirusowane.

Widoczna więc była pani Ewa. Wojciech, jej mąż – matematyk, zdawał się normalny. Do chwili, gdy nie zaczęły się śpiewy.

## X

## O ŚPIEWACH I RYMACH OSOBNO

Śpiewać lepiej czy gorzej nauczono mnie w czerwonym postkuroniowskim harcerstwie walterowskim. Śpiew jest też może jedną z niewielu rzeczy w moim sposobie bycia, którą uprawiam spontanicznie i... bez ambicji. Mogę śpiewać w chórze, nie muszę być pierwszy, a i tak myślę sobie, że ten rodzaj śpiewu jest jakoś cywilizacyjnie z południem Europy związany.

Tymczasem Polacy tak strasznie, tak dramatycznie śpiewać nie chcą, ani nie potrafią. A jeżeli już, to od razu solo, od razu popisowo. Więc się każdemu wydaje, że śpiew jest wyrazem próżności, gdy tak naprawdę wynika z poszukiwania jedności. Tęgo wytęsknionego *unisono*, jakim bywać potrafi teatralna wspólnota.

Czy najpierw był Staszek Górka ze swoim *Drogim Lwowem*, z *Hemarem* i z *Wesołego powszedniego dnia* – nie pamiętam. Powiem tyle, że zacząłem odczuwać potrzebę „oprawy”. Tęgo „dzień dobry” i „do widzenia”, towarzyskiego pozdrowienia, które coraz częściej już bardziej znajomym (przynajmniej z widzenia) niż widzom ode mnie się należało. A że „przemawiam” chętniej niż „rozmawiam” – przeto konwencjonalna forma piosenki była akuratna.

Zresztą, tak naprawdę to zmotywowała mnie telewizja. Na V Konkursie TVP 1 w osobie Andrzeja Rychcika zamówiła u mnie (czyli w Media ATaK-u) dwa dwudziestominutowe reportaże. Pierwszy historyczny, do którego zatrudniłem Jurka Zelnika i Romka Holca, został wyemitowany. Drugi, skupiony na przebiegu i werdykcie V KTO, emisji w całości się nie doczekał. Istotnym powodem był ponoć fakt, że w nagrodzonym *Punchu* wyreżyserowanym przez Włodka Fełenczaka nie sposób było znaleźć pięćdziesięciu telewizyjnych ramek wolnych od słownych czy mimicznych wulgaryzmów. Dlatego właśnie w miejsce nigdy w całości niewyemitowanego odcinka reportażu TV powstała ta trochę żenująca trzódka, którą na nutę przedwojennego lwowskiego przeboju *Bo piwo*

lwowsk'ym napisałem, a Staszek Górka z Wojtkiem Machnickim, przy akompaniamencie Zbyszka Rymarza, zrobili pierwsze nagranie:

*Hymn Konkursu Teatrów Ogródkowych*

*Dzisiaj do ogródka zbiegła się trzódka*

*Z całego kraju teatralnych scen.*

*Tu polskie piwo warzymy żywo,*

*Kto tego nie wie, nie wie, czy to sen.*

Ref.

*Teatr dla ludzi, który bawi, a nie nudzi.*

*Teatr w ogródku*

*to jest właśnie to!*

*Tu polskie piwo pijemy żywo.*

*Kto tego nie wie, nie wie, kto jest KTO – KaTeO!*

Trochę się wstydzilem tej trzódki, choć próbowałem w następnym, 1997 r. (bezsukutecznie!) zainteresować Żywiec słowem „żywo”...

Dorota Wyżyńska obśmiała mnie po latach, chociaż to właśnie „Gazeta Wyborcza” przypięła piosence estradowej skrzydła. Zresztą, jeśli pamiętam, to na VI Konkursie (piosenkę napisałem na finał piątego) ważnym powodem jej wykonywania była czyjaś prośba serdeczna, bym pomógł wracającej do zawodu Marcie Dobosz. Płaciłem Marcie grosze, ale może właśnie jej osoba sprawiła, że wykonywanie *Hymnu* opisywano, cytowano. „Po hymnie Teatrów Ogródkowych: »Dzisiaj do ogródka zbiegła się trzódka / Z całego kraju teatralnych scen...«, dziewczyna w kapeluszu z różyczkami, zastępująca gong, zapowiedziała śpiewając teatr z Bydgoszczy” – pisano w „Gazecie” w 1997 r., gdy pani Dorota zajmowała się recenzjami...

No cóż, dżentelmeni z damami o faktach nie dyskutują, trochę to jednak dziwne, że pani Dorota, która jurorem była znacznie później (od VIII do XI KTO, czyli w latach 1999–2001) i z takim samozaparciem znosiła wymyśloną trzy lata wcześniej i dość często śpiewaną piosenkę, nagle w 2006 r. stwierdziła, że ten tekst właśnie odrzucił ją od Ogródka.

Może jednak nie średnio (sam przynajmniej) udany tekst, tylko ewolucja imprezy, którą zapowiadał, z wolna od kręgów „Gazety Wyborczej” i pani Wyżyńskiej mnie oddalały. Imprezy coraz bardziej publicznej. Czyli ku publiczności skierowanej. Już nie dla aktorów, nie dla reżyserów i cmokierskich stołecznych kryty-

ków, nie dla mediów nawet, ale wprost i naprawdę – dla warszawiaków. Dla Polaków, dla tych, którzy może nie korzystali ze stypendiów Fulbrighta, którzy nie dostają środków od George’a Sorosa, ale których z pewnością do „łże-elit” się nie zaliczy. Z roku na rok to moje KTO, choć tworzone z kulturalnej tęsknoty, w coraz mniejszym stopniu zaczynało pasować do elit tak precyzyjnie enumerowanych przez Adama Michnika w jego debiutanckim zestawieniu towarzyskim zatytułowanym *Kościół, lewica, dialog*.

Towarzystwo Adama zbierało się w alei Róż u pani Janki i Antoniego Słonimskich, u Julii i Artura Międzyrzeckich na Marszałkowskiej. Bywało też w domu moich rodziców na Jaworzyńskiej. Pamiętam, jak mnie jednak zdziwiło, gdy debiut warszawskiego Demostenesa czytał, że mimo wszelkich uwagi w jego koteryjnych wyliczankach nazwisko mego Ojca bardzo rzadko pada. Jakbyśmy jednak w jednej armii, ale z innych regimentów pochodzili.

Towarzystwo Adama było w alei Przyjaciół i w salonach alei Róż. Swoje odnajdywałem na warszawskich „plantach”: w Lapidarium, w Dziekance, potem w położonej pod oknami mieszkania Pana Antoniego Dolinie Szwajcarskiej. W plenerach. By nie powiedzieć – na bruku.

Do Teatru Ogródkowego zaczęli ściągać biedni, przyzwoici, raczej ubodzy inteligenci. Nauczyciele. I to niekoniecznie języka polskiego. Inżynierowie z za biurka, lekarze z przychodni. Tacy właśnie jak wspomniany już mąż pani Ewy Dąbrowskiej – Wojciech, emerytowany nauczyciel matematyki, który usłyszawszy w 2002 podczas XI Konkursu, że cała sala ma zaśpiewać w Lapidarium, przybiegł do mnie ze swoimi pierwszymi kasetami zatytułowanymi po prostu *U cioci na imieninach*.

No i nie ukrywam, że pojawił się dla mnie problem. Pytanie o jakość repertuaru.

Ruch amatorski, amatorska twórczość kojarzą mi się bardzo źle. Na ambicji amatorów przez cały okres komunizmu zerowały instytucje sztuki, którymi zawiadywali pracownicy dobierani, uzależnieni od partyjnych apanaży trzeciorzędni profesjonalści. Działacze towarzystw kultury teatralnej, ognisk, domów kultury. Najgorsze towarzystwo! Urzędnicy kultury, związkowcy. To o nich (choć w sprofesjonalizowanej wersji) napisał Jacek Bierezin we wstępie do wydanego w 1977 r. poza zasięgiem cenzury tomiku poetyckiego *W połowie życia*: „Kiedyś legitymacją pisarza były jego dzieła, dziś wielkim dziełem pisarza jest legitymacja”.

To oni reprezentują czystą, wyzbytą jakichkolwiek wartości instytucję sztuki, którą zdefiniowałem u schyłku lat 80., której wytoczyłem świadomy bój,



*Stara Dziekanka -  
Fot. Robert Olkuśnik*

i oto teraz ona, ta wszechpotężna organizacja w swych różnych wcieleniach walczy ze mną i pyta: czyją instytucję sztuki pan, panie Kijowski, reprezentujesz? Pana Śliwonika (który z organu teatralnych amatorów, jakim było wydawane przez Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej pismo „Scena”, doszedł do pozycji rektora Akademii Teatralnej), czy pana Michnika, który aspiruje do rządu dusz polskich? Może państwa Machulskich, z ich sztuką wylławiania talentów z grona amatorskiej młodzieży? Czy też operatywnego Wojtka Dąbrowskiego, który podglądał mój ogródek i z miłego widza przeistacza się dziś w organizatora realizowanego w Krakowie (o ironio!) festiwalu piosenki retro im. M. Fogga? Na to więc mi przyszło... W tym kierunku wybije jedno ze źródeł ogródka...

Nie uprzedzajmy jednak zdarzeń. Wszak chronologicznie odbyłem dopiero IV Konkurs w Starej Dziekance. Wydrukowałem pierwszy folder i książeczkę, wykonałem kilka zdjęć. W następnym roku pracowałem nadal nad repertuarem. Zrealizowałem też dwa filmy dla TVP 1. Drugiego, niewyemitowanego po V KTO, używać będę przez cały następny sezon. W trakcie VI KTO pokażę go we fragmentach i w TVP 1, i w TV Polonia, a także w Polsce.

Organizacyjnie wspomagał mnie Urząd Dzielnicy Śródmieście. Pojawiła się na lat kilka w roli strażniczki Ogródka Małgosia Jurkowska, przemiła Agnieszka Wróblewska sprzedawała bilety. Ci pomocnicy przybywali i wracali, czasem z polecenia, innym razem z przypadkowego spotkania w pociągu. Czasem wakacyjnej pracy podejmowały się dzieci znajomych: Mat Rzepkowski, syn poznanej jeszcze w NTW Grażyny Stryzowskiej, Marysia Łyszczynska, córka szefowej harcerskiego Hufca Warszawa Śródmieście, Elżbiety Dehnel. Przyjaciele i marzyciele – takie krążyły wokół mnie organizacje.

## XI

## ORGANIZACJA

Rozmaicie ją nazywałem: zaczęło się od firmy, której nadałem status spółki cywilnej (s.c.) i po głębokim namyśle, bodaj w 1994 r., zarejestrowałem jako Media ATaK. Potem była fundacja. Nazwałem ją w taki sposób, żeby był skrót KTO – „Kultura Tutaj Obecna”. Ale to jeszcze potem, potem. Nigdy nie było mnie stać na księgową. I od tej chwili przez lat sześć czy siedem wykonywałem wszystkie możliwe prace: organizacyjne, projektowe, rozliczeniowe, opanowałem księgę przychodów i rozchodów, a nawet sam tworzyłem strony internetowe.

Słowem – robiłem za człowieka renesansu. I to był pewnie mój największy błąd. To, że zaakceptowałem zmienność losu. Postanowiłem nie błagać o posadę telewizyjnego prezentera, na którą z wielu powodów mogłem się czuć najlepiej przygotowany. Więc krążyłem wokół telewizji, po piątym Ogródku słałem dziesiątki faksów, wykorzystując bazę danych przejętą po Publi Polsce – agencji reklamowej mojej włoskiej telewizji. Odwiedziłem osobiście Mazowszankę, PepsiCo-Wedla, Zieloną Budkę, Bliklego. Głos wołającego na pustyni... Coraz głośniej mówiłem też o planie zagospodarowania Doliny Szwajcarskiej.

Walczyłem o pieniądze, ale nie były one dla mnie celem głównym. Wydawało mi się, że wartość obroni się sama. Nie miałem etatu. Po likwidacji Polonii 1 wywalczyłem jeden kontrakt z KBN-u, dla którego zrobiłem łącznie osiem programów poświęconych sylwetkom wybitnych polskich uczonych. Sześć z nich wyemitowała TV Polonia, dwa musiałem już oddać do Polsatu.

No cóż... Dużo się wówczas nauczyłem. Dowiedziałem się, co to jest kaproktam i *Helicobacter pylori*. Zgłębiałem tajniki strukturalnych modeli komputerowych, a nawet podczas spaceru z Aleksandrem Wolszczanem wewnątrz czaszy jednego z największych teleskopów w Piekarach pod Toruniem pojąłem, czym są pulsary. Długo, długo potem (choć zanim jeszcze o agenturalnych związkach

Wolszczana i jego przyjaciela profesora Andrzeja Kusa zrobiło się głośno), po rozmowie z tymi wspaniałymi uczonymi taki wiersz (przez niektórych też śpiewany) napisałem:

*PULSARY*

*Och znam – na pamięć znam ten szloch,  
Byśmy od ziemi oderwani,  
Bez ciał płynęli w mętny mrok  
I panowali nad zmysłami.  
Kosmos ci szumi? I planety  
Tańczą nad głową twoją biedną.  
A kosmos milczy i niestety  
Drwi z nas, choć wróżbę zna niejedną.  
Nie patrzaj w niebo, gdzie pulsary  
Nowe okręgi tworzą gwiazd.  
Tam nie odnajdziesz ludzkiej miary,  
Tam może nawet diablów zjazd.  
Nam „cicho siedzieć”, rzekł astronom,*

*Gdym go o gwiazd zapytał biegi.  
W ziemię spoglądać, krew i ciało.  
Póki w nas jeszcze żyją wieki,  
Póki historia w tobie żyje,  
Póki ku życiu skłonność masz,  
Kornie wyciągnij ku mnie szyję,  
Bym mógł przed Tobą paść na twarz.  
Bo w zapomnieniu i w poddaniu  
Możemy mówić o płasaniu.*



## XII

## KTO... PRZED DESZCZEM ZAKLIŃAŁ

Skończyliśmy pięć lat. Za nami wstępna nauka życia w sztuce w normalnych czasach. Za nami stawianie zamków z piasku, ale także pierwsze lekcje kapitalistycznej fizyki. Za nami Lapidarium. Przygody z mafią na Starówce. Płócienny dach Dziekanki. A przed nami...?

Rekonstrukcja Warszawy! Już nie budynków. Nie Starówki, która wzniesiona dekretem rządowym następnie prosi o ciszę. Przed nami wskrzeszenie warszawskiego ducha.

Zniszczono go, rozpędzono na cztery wiatry, zapomniano. Błąka się gdzieś w kronikach Prusa, wierszach Słonimskiego, czasem przemknie po Wolumenie w swojej najpopularniejszej postaci.

Jego tchnienie dało się czasem odczuć w naszych teatrach ogródkowych. Gdy hrabia Dzieduszycki czy grupa Pod Górkę wspominali kulturalny Lwów, gdy studenci prezentowali przedwojenne przeboje Petersburskiego, gdy Bronisław Wrocławski rozbawiał nas do łez swym teatralnym kunsztem, gdy na naszych oczach rodził się talent Edyty Olszówki.

Wtedy można było przeczuć, że istnieje także inteligencka tradycja warszawska. Wspomnieć, że były Dynasy, cyrk Staniewskich, reducy, kwesty na Krakowskim Przedmieściu, ślizgawki, koncerty i teatralne spektakle w Dolinie Szwajcarskiej...

W trakcie pięciu KTO towarzyszyła nam opieka niebios. Nie będę ukrywał, że w impresariacie teatralnym u świętego Piotra miałem pewne wpływy, dzięki którym – bywało – rozganiano chmury na pięć minut przed spektaklem. Jednak protekcja nieba dobra jest tylko wtedy, gdy towarzyszy jej sympatia widzów.

Na brak przyjaźni nie mogłem przecież narzekać, skoro w 1997 r. chcieli widzowie czekać półtorej godziny w ulewie obrywającej się chmury, skoro wspaniałe dziewczyny pod wodzą Julii Wernio z Teatru Miejskiego w Gdyni ani na moment

nie zwątpiły, że słońce musi zaświecić, gdy one przybyły ze spektaklem *Nie przerywajcie zabawy*. I nie przerwaliśmy! Widzowie ulewę przeczekali, artyści chcieli grać i spektakl się odbył. Skoro tak bardzo chcieliśmy, stał się teatr. Stał się tym razem, tak jak i wcześniej w 1993 r., gdy jeszcze w Lapidarium Teatr Siemaszkowej z Rzeszowa wygrywał II Konkurs spektaklem *Nienawidzę*. Tak jak i wtedy, gdy chmury pierzchały przed spektaklem *Nic nie jest takim, jakim się wydaje* wg Witkacego w wykonaniu studentów warszawskiej szkoły teatralnej...

Na palcach jednej ręki można było wyliczyć zagrożone przez pogodę spektakle. Taka bowiem była wola spotkania, że przyroda także była z nami!

*Pas d'place pour s'amuser* („Nie ma gdzie się rozerwać”) – ocenił Warszawę wczesnego Gierka w największym skrócie swego *argot* Dominique, mój znajomy paryżanin. To było przeszło 30 lat temu. Czy coś się od tego czasu zmieniło? Czy poza możliwością napicia się dużo lepszego piwa i większą nieco liczbą dyskotek Warszawa latem proponuje coś swoim mieszkańcom i przyjezdnym?

Czy jest w Warszawie miejsce, gdzie w sposób swobodny, bez pseudo artystycznego zadęcia rozerwać się mogą ludzie kulturalni? W czasie gdy piszę te słowa, 2 lipca 2009 r., przechodziłem właśnie placem Konstytucji, na którym Krystyna Janda, która debiutowała wszak plenerowo na moim konkursie, prezentuje sztuki Teatru Polonia.

Deszcz, mokre ławki, nieosłonięta scena, nieszczęsna aktorka wykrzykuje coś przez mikroport do garstki gapiów (kilkudziesięciu osób), które z ciekawości zechciały się zatrzymać.

Na wielkim placu, w zgiełku i smrodzie spalin, władze miasta Warszawy i wielka (oczywiście nieobecna) artystka pokazuje publiczności, jak ją szanuje! Zaś artystów utwierdza w przekonaniu (latami próbowałem im udowodnić coś zgoła przeciwnego), że gra w plenerze to najgorsze, co może się przydarzyć, i tylko wysokie honoraria mogą skłonić do tego poświęcenia.

Narody, których obywatele się nie szanują i nie wspierają – muszą zginąć. Kultury, które nie sumują swych doświadczeń – usychają. Ludzie myślący tylko o własnym interesie... No cóż... „losy jeszcze się ważą...”.

A jednak żal mi Polonii, teatru, Jandy. A najbardziej tej osieroconej, obrażonej, opuszczonej warszawskiej wspólnoty mi szkoda.

Tyle lat walczyłem o cichą Dolinę Szwajcarską, w której właśnie swój koncert w 2001 r. dawała pani Janda. Potem o Frascati. To zaledwie kilkaset metrów od stalinowskiej architektury placu Konstytucji!

Popatrzcie jednak państwo, jak tam jeszcze przed wojną wyglądało. Dolina Szwajcarska z lodowiskiem zimą i wrotkarnią latem, z salą balową i koncertową, z teatralnymi scenkami. Niech na to popatrzą rodzice, którym tak trudno zaproponować swym dzieciom sensowną rozrywkę.

Tych, których zmysł naśladowczy nie wyczerpuje się podczas oglądania szympansa w praskim zoo, litość nie uruchamia się jedynie na widok katowanego w cyrku słonia, a pragnienie doznania trwogi jest zaspokajane nie tylko przez *rollercoaster* – tych wszystkich zapraszałem do restauracji Doliny Szwajcarskiej. Proponowałem powołanie stowarzyszenia, którego celem miało być przywołanie tradycyjnych warszawskich zachowań kulturalnych, urządzenie zimą ślizgawki, rautów, gdzie zabawić by się można na karnawałowych redutach, gdzie urządziłoby się kwestę, a latem pokazało, że Warszawa nie jest gorsza od Avignonu ani Edynburga.

Położone na przecięciu traktów z Kopenhagi do Odessy i z Petersburga do Rzymu nasze miasto mogłoby stać się pożądanym miejscem letniego spotkania, jako że tu (jak może w żadnym innym miejscu Europy Centralnej) mamy szansę stworzyć nowoczesną formułę kultury czasu mediów.

A więc kto? Kto zbuduje dach dla KTO? Kto odbuduje Dolinę Szwajcarską? – pytałem.

My! Warszawiacy z urodzenia i z wyboru, którzy przybyliśmy tu na zgłiszcza „z różnych stron, z różnych dróg, i na nogach, i bez nóg”.

My, w przeważającej większości warszawiacy w drugim pokoleniu, potomkowie przybyszów z Krakowa i z Poznania, z Płocka i z Sieradza, następcy gości ze Lwowa i z Kalisza: niezapomnianego Trapszy, Zimajerki i Rapackiego, którzy jesienią 1899 r. przenieśli teatryki ogródkowe właśnie do Doliny Szwajcarskiej – tworząc tam pierwszy warszawski teatr prywatny. My mamy szansę odnowić warszawskiego ducha.

My artyści, my publiczność, my dziennikarze, my samorząd. My sami, od lat uporczywie budujący nasz ciągle bezdomny, a przecież chyba żywy teatr.

Głos wołającego na pustyni! A ściślej *Lament* na placu Konstytucji...

Dziekanka i Piąte KTO stało się asumptem do pierwszych podsumowań. Przewalczyłem wspomniany program w TVP 1. „Le Théâtre en Pologne” opublikował w dwu językach mój tekst programowy. W tej pracy i ja zsumowałem pozyskaną na temat historii teatrów plenerowych wiedzę.

A swoją drogą, ciekawe, czy na coś mi się to jeszcze kiedyś przyda?



## XIII

## TEATRY OGRÓDKOWE W WARSZAWIE

Teatry ogródkowe istniały w Warszawie od 1868 r. do I wojny światowej. Okres ich świetności trwał 20 lat. Na scenach ogródkowych doliczono się premier 80 polskich sztuk. Alhambra, Tivoli, U Giersza, Pod Mostem, Pod Lipką – były to sceny połączone z restauracjami.

W teatrach ogródkowych było coś z wolnej zabawy i sprzeciwu. Podlegały cenzurze, choć akcenty polskie łatwiej było przemycić na scenach uchodzących za ludowe. Teatr ogródkowy dawał szansę tym wszystkim, którzy w rządowych nie mogli lub nie chcieli występować. Artyści z prowincji przybywali do Warszawy wówczas, gdy aktorzy rządowi udawali się na urlop. Od czerwca do początku września podbijali stolicę przybysze z Kalisza, Radomska, Lwowa, Poznania. A na ich czele opanowywali letnią stolicę aktorzy tej miary co choćby Anastazy Trapszo.

Teatr ogródkowy był w dużej mierze sceną promocji; promował młodość. W ogródkach debiutował Ludwik Solski, Mieczysław Frenkiel. Tu publiczność zobaczyła po raz pierwszy Bolesława Leszczyńskiego. Aleksander Zelwerowicz

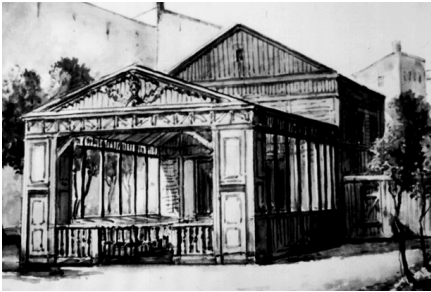


*Józef Galewski*

*Teatrzyk Ogródkowy  
Folwark Świętokrzyski*

debiutował w cyrku u Wołowskiego. Nawet Gabrielę Zapolską oglądać można było na warszawskiej scenie Teatru Nowego – u Kwaśniewskiego. Miał jednak teatr ogródkowy swoje i tylko swoje gwiazdy. Z Rufinem Morozowiczem i Adolfiną Zimajer na czele. Kariera Zimajerki mogła być wzorcem dla młodych artystek, które przychodząc do ogródka marzyły o wielkiej scenie.

Najdojrzsze owoce przestawały się mieć w letniej, restauracyjnej formule. Teatr ogródkowy stał się szczeblem na drodze do powstania w Warszawie teatru prywatnego. W tym kierunku zmierzali łączący swe siły niewątpliwie utalentowani zawodowcy: Adolfina Zimajer, Marcelli Trapszo (syn Anastazego i ojciec Mieczysławy Ćwiklińskiej) i Henryk Morozowicz, brat Rufina oraz rodzina Rapackich – obejmujący w 1889 r. warszawski Odeon.



*Józefa Galewskiego*

*Teatrzyk Ogródkowy  
Belle Vue*

A mój Konkurs Teatrów Ogródkowych narodził się nieomal wraz z odrodzeniem samorządu terytorialnego w Rzeczypospolitej oraz zniesieniem cenzorskich barier dla spontanicznych zgromadzeń i twórczości artystycznej. Aktorzy – wykształceni na kapłanów w świątyniach sztuk magistrzy – buntowali się przeciw grze do kotleta, bo tak ogródki postrzegali. Ale nie było gdzie grać. Nie było jeszcze polskich seriali, a aktor bez publiczności umiera. Więc pocieszałem ich jurorami. Pani Minister, Pan Redaktor, Pani z Telewizji, no i oczywiście telewizyjne kamery – czyli promocja. „Tu weryfikuje się wasz talent” – mówiłem. Wspominałem, jak jeszcze w Lapidarium u Kilińskiego bar (alkoholowy) sam się zamknął w konfrontacji ze sztuką Wrocławskiego. „Tu ludzie przyszli się rozerwać – mówiłem. – Napić piwa. W teatrze elżbieteńskim też publiczność podjadała, a złych aktorów traktowano zgniętymi pomidorami lub jajkami. Grajcie więc tak, by im się odechciało piwa, ale uważajcie na puszkę”. I rzuciłem okrutnym żartem: „Grajcie tak, by przynajmniej pełnymi puszkami nie rzucali”.

Jako się rzekło, Teatr Ogródkowy wypromował już swoje gwiazdy. Występy



*Józefa Galewskiego*

*Teatr Ogródkowy  
na Pradze*

dwukrotnego (1994, 1997) laureata Wielkiej Ogródkowej – dziekana wydziału aktorskiego łódzkiej szkoły filmowej Bronisława Wrocławskiego – w sztukach mistrza współczesnej groteski Bogusława Schaeffera (*Tutam*) czy Erica Bogosiana (*Seks, prochy i rock&roll*) – stały się wydarzeniami godnym odnotowania w teatralnych annałach. Podobne triumfy święcić zwykł na ogródkach słynny z niekonicznie do dzieci adresowanych przedstawień Białostocki Teatr Lalek (*Parady* – 1994, *Niech żyje Punch* – 1995, *Kabaret Dada* – 1996).

Przez deski kawiarnianej sceny przewinęły się zespoły lub grupy aktorskie z prawie wszystkich scen polskich, z takimi gwiazdami jak Ewa Dałkowska, Jerzy Bińczycki, Wojciech Dziędużycki, Mirosław Konarowski, Marta Bizoń, Jolanta Fraczyńska czy artyści Teatru 3/4 Zusno Krzysztofa Raua.

Idea KTO nawiązuje do formuły teatrów ogródkowych XIX-wiecznej Warszawy. Jednak gdy lepiej przyjrzeć się tradycji, okaże się, że wynikała w znacznym stopniu z konieczności, bo najzdolniejsi artyści wcale nie marzą o tym, by występować pod gołym niebem, przebierać się w nieotynkowanych magazynkach i drzeć, czy gwałtowna chmura lub wiatr nie rozpędzi spektaklu.

Jak pamiętamy, w tym kierunku zmierzała pod koniec XIX wieku dyrekcja Odeonu, uzyskawszy pozwolenie na prowadzenie imprezy również po zakończeniu sezonu letniego. Pierwsze jesienne przedstawienia po sezonie ogródkowym odbywały się w słynnej także ze ślizgawek Dolinie Szwajcarskiej. Doświadczenia lat 1992–2006 pokazują, że formuła ta bynajmniej się nie zużyła. Teatr ogródkowy nie spoczął na laurach. Nie okazał się też ani przez moment próbą jakiegś muzealnej rekonstrukcji przeszłości. Zrozumiałem, że „Ogródek toaczy powietrze”.

I wypowiedziałem to najprecyzyjniej, jak byłem w stanie, w artykule dla Warszawskiego Informatora Kulturalnego (WIK). Napisałem w nim, że:

„Marzę o odtworzeniu w Warszawie przy wsparciu samorządowych, a także prywatnych sponsorów – teatru prywatnego. Teatru, który pewnie będzie po trosze

i kawiarnią, i wrotkarnią, i telewizyjnym studiem. Teatru, który nie będzie placówką kultury lamentującą nad swym ciężkim losem, lecz miejscem spotkania ludzi, którzy chcą pogadać o interesach, poagitować politycznie, poflirtować, ale którzy także potrafią czasem spojrzeć na siebie z oddalenia i zadumać się nad kondycją człowieka, swym losem. Bowiem chodzi mi o teatr, który nie jest zbędny jak cudze ołtarze, lecz konieczny jak lustro w kieszeni”.

W Dziekanie zmierzylem się też po raz pierwszy z większymi przedsięwzięciami teatralnymi.

Najpierw podjęła się współpracy ze mną doświadczona w Impresariacie Teatru Małego Marynka Bersz-Szturo, która namówiła do przyjazdu Krzysztofa Raua z teatrem 3/4 z Zusna. Ściągnęła Teatr K-2 z Wrocławia z Jolantą Fraszyńską, za dbała też o poziom wydruków i wydawnictw – skromnie, ale estetycznie robionych przez panią Anię Jedlińską i Janusza Wójcika z firmy Cezan.

Pojawił się nawet sponsor. Kandydujący na radnego Wittek Romanowski z DEM-BUD-u. Obiecał 15 000 złotych, dał o ile mnie pamięć nie myli 7 czy 8, a jeszcze prosili potem o rachunki, generowanie kosztów... cuda niewidy.

VI Konkurs miał niezwykle bogatą oprawę medialną. Jakoś przeprosiłem się z WOT-em, co nie było dla mnie łatwe. Pamiętajmy, że ciągle jeszcze spadałem z bardzo wysokiego konia: – najpierw Polonii 1 z oglądalnością lepszą od TVP2, potem zaś własnych produkcji dla KBN-u jeszcze w 1996 roku, czyli w trakcie V KTO realizowanych. Miałem więc prawo sądzić, że teatr ogródkowy powinien stać się moim produktem. Ale na to nikt nie chciał mi pozwolić.

Nie było wyjścia. W 1997 przed VI KTO dogadałem się z panem Andrzejem Piotrowskim (z-cą szefa WOT-u) i gdy przestałem pleść o produkcjach czy współprodukcjach, słowem gdy zgodziłem się oddać imprezę za darmo – relacji z VI KTO wykonywanych przez debiutującą w NTV Sylwię Borowską doczekałem się sporo.

Jednak zasadniczo impreza wymyślona została dla małych zespołów. Dla, jak je nazywałem: „trup teatralnych”. Jednak w miarę rozwoju apetyt rósł, a i większe, w szczególności pozawarszawskie teatry pragnęły pokazać się Cywińskiej, Wojtyszce i Sieradzkemu.

Nie było chyba reżysera, który nie przewinałby się przez Starą Dziekanę. I Jarek Kilian, dzisiejszy dyrektor Teatru Polskiego, wystawiał tam pod auspicjami Teatru Atlantis, i Edek Wojtaszek (późniejszy dziekan w warszawskiej Akademii Teatralnej) z tym samym firmowanym przez Jacka Pacoche zespołem. I Maja Kleczewska, i Julia Wernio, i Wojciech Kępczyński, i Krzysztof Rau...



## XIV

## TOWARZYSTWO

Wszystko to byli znajomi. Bo jakoś tak jest z biegiem lat i dni, że wszyscy się znamy.

Poruszaliśmy się więc w sferze towarzystwa. Edka Wojtaszka ( syna Emila – wieloletniego ambasadora PRL we Francji, ministra spraw zagranicznych za późnego Gierka) poznałem jeszcze w walterowskich czasach na starym Dworcu Głównym przy Żelaznej, gdy w 1964 roku szczepiono nas na cholereę, która wybuchła właśnie we Wrocławiu.

Szliśmy peronem, pamiętam, jak dwaj skazańcy. Rozmowa szybko zeszła na pozę, akademię, teatr, którym obydwa dziesięć latki się interesowały.

– Pierwszy raz na obóz? – spytał mnie Edek.

– Tak. Pierwszy – odparłem.

– To trzymajmy się razem.

Niestety, rozdzielono nas do różnych kampusów, więc tylko czasem spotykaliśmy się w drodze do stołówki czy wracając z obiadu i przy myciu menażek piaskiem w wodach Siecina. Próbowaliśmy wtedy powrócić do przerwanej rozmowy o teatrze.

Zniknął potem Edek we Francji, aż go rozpoznałem siedzącego po turecku w cyrku na Chłodnej, w którym w 1974 r. w ramach Teatru Narodów swój *Rok 1789* prezentowała w Warszawie Ariane Mnouchkine. Edward na żywo tłumaczył wówczas improwizowane *lazzi*.

Potem znów przepadł, by odnaleźć się w późnych latach 80. jako szef awangardowego teatru Pracownia Teatr, który próbował zainstalować się w żoliborskim Domu Kultury przy Teatrze „Komedia”.

W Ogródku wystąpił z *Paradami* Jana Potockiego, które otrzymały nagrody za rolę Mirosława Zbrojewicza i efektownej Ewy Kobus. Przy okazji porozmawialiśmy sobie od serca. Poczulem w Edku tę wrażliwość zapamiętaną jeszcze znad siecińskiego jeziora, gdy wręcz mnie spytał, jak ja sobie psychicznie radzę w obecnej roli, gdy jeszcze nie tak dawno z telewizją leciałem... wysoko.

Cóż, spadam. I jak w tym dowcipie o góralu: ręce mam całe, nogi całe, a czy będę żyć – nie wiem; jeszcze lecę...

Na VI KTO przybył też Mirek Konarowski, który w tym czasie wyemigrował do Wrocławia. Przywieźli z Januszem Andrzejewskim *Opowiadanie o ZOO* Edwar-da Albee'go. Po spektaklu Iza Cywińska obdarzyła Mirka krótkim komentarzem: „aktorskie drewno”, ale ja co innego zapamiętuję. Spektakl był bardzo przyzwo-ity, najważniejsze jednak widać było podczas próby – że Mirek jest z „towarzy-stwa”. Bez wymagań, bez fochów. Gdy czegoś potrzebował, pracowaliśmy razem wspólnie w zespole. Nie musiałem mu tłumaczyć, że nie stać mnie na sześć garde-robianych i czterech tragarzy. Ludzie dobrze wychowani czują to instynktownie.

Podobne wspomnienie wiąże się z Włodkiem Paszyńskim, też harcerzem, któ-ry (dziś zakładnik LiD-u jako wiceprezydent u pani Gronkiewicz-Waltz), nawet będąc przez kilka miesięcy w rządzie Millera niefortunnym wiceministrem edu-kacji, jest jednak (czy był?) przede wszystkim twórcą podziemnej oświaty nieza-leżnej. Zapamiętać dał się też przez osiem lat (1990-98) jako bodaj najukochań-szy kurator oświaty w Warszawie. To Włodek właśnie z walterowskich, postkuro-niowskich, rewizjonistyczno-komunistycznych kręgów harcerskich wyciągał mnie w normalny zuchowy świat.

Otóż jak Mirka Konarowskiego zapamiętałem noszącego dekoracje w upale, tak nie zapomnę, gdy wchodzimy z Paszyńskim na Grzybowską do mojej NTW. Tam jako dziennikarz i marszałek sejmiku odbywałem transmitowane na żywo rozmo-wy pt. „A Teraz Konkretnie”. Wchodzimy więc z... ratanowymi fotelami na gło-wach. Dzięki zaradnej Uli Rzepczak wyczałem właśnie mebelki do dekoracji studia – na barter. Kurator Włodek spotkawszy mnie na parkingu, pomagał je taszczyć.

To się nazywa szyk lub brak kompleksów. Ale wracajmy do naszych bara-nów. Dygresja o Paszyńskim nie całkiem nie na miejscu. Wychowywaliśmy się z Edkiem i Włodkiem razem, czy lepiej powiedzieć – we wspólnym towarzy-stwie: obozy w Siecinie, Karwicy, Warchałach, w Gromie i Wesołowie. Potem, nie bez mojego sejmikowego udziału, mianowano Włodka wojewódzkim kura-torem Oświaty. Wymyślone przez „Paszczaka” i Holdysa „Wagary na Agrykoli” w pierwszy dzień wiosny to najbardziej wyrazisty przykład identyfikacji nauczy-cielia z uczniami. Kochany, uważny, choć – jak mówiła o nim śp. Irenka Dzierz-gowska – z czasem stawał się coraz bardziej „czerwony”.

No cóż – ja jestem daltonistą! I mam to od okulisty na piśmie! Choć szczerze mówiąc, z zielonym i czerwonym, a nawet ze Stendhalem sobie radzę. Dla mnie



*Edward Wójciszek w Starek Dziekanec,  
wrzesień 1996*

*Fot. A. T. Kijowski*

nie liczy się kolor, lecz to, co komu z oczu patrzy. I tu instynkt mam niezawodny, tak samo jak na mowę polską.

Głoszę i akceptuję jedynie takie poglądy, o których zwykłem mówić, że są **gramatyczne**. Nie głoszę takich, które źle brzmią po polsku. Podpiszę się natomiast pod prawie każdą tezą, jeśli będzie wyrażona składnie, stylistycznie i bez błędów językowych, usterek stylistycznych czy logicznych tautologii lub ekwiwokacji.

Opowieść – zanotował kiedyś mój Ojciec – jest dla stylu – nie styl dla opowieści. Co i tej teatralnej „szkatułki” dotyczy.



## XV

## TEATRALNE SZKATUŁKI

Zatem Dziekanka... Co po niej zostało? Pan Pszczoła, który mawiał, że kelnerów z piany nie rozlicza. Mirek Konarowski, Maja Kleczewska, która jeszcze jako studentka reżyserii PWST z aktorami z Koła Naukowego wystawiała *Ławeczkę* Aleksandra Gelmana.

Aktorzy z białostockiego Teatru Lalek, którzy pierwszą nagrodę, nazwaną w którymś momencie przez Jacka Sieradzkiego „Wielką Ogródkową”, zdobywali trzykrotnie.

Dziekanka to też pierwsze „wielkie” produkcje. Wiedziałem już od dawna, że przy bezhonoraryjnej formule konkursu (dotacja starczała mi z reguły na opłacenie jednego środka transportu i kilku noclegów w tanim hotelu ZNP, który nazwy zmieniał wraz z ustrojem: „Belfer”, „Teacher”, „Logos”, by ostatnio znów niebieski neon ZNP nad Wisłą zapalić).

Zatem przy takiej formule nie miałem co liczyć na większe teatralne zespoły, w których każdy artysta żądał od swego dyrektora honorarium za wyjazd i plener.

Teatr to przecież dwa gatunki ludzi. Tych z *Aktorów prowincjonalnych* Agnieszki Holland – twórców przez duże „Tfu...”. Świetnie sportretowanych też przez Wajdę w *Dyrygencie* wg opowiadania Seniora. A więc zakładników instytucji: groszorbów, magistrów sztuki wegetujących na etacie aktora w państwowym czy miejskim „przybytku sztuki”, animatorów w jakimś domu kultury, dla ZUS-u, a czasem i drobnych „podziękowań” od wdzięcznych admiratorów, lecz realizujących się w rodzinie, dorabiających dubbingami, objazdami – dziś jeszcze doszły telewizyjne reklamy. To spadek po *Dramaturgii hamburskiej* Gottholda Lessinga (och, jak mnie korci, żeby podać przykłady...). Ale przecież was jest Legion, czuję, jak niektórych mrowi po plecach – oszczędzę więc sobie tego *totum pro parte*...

No i ta druga: rybałtowska, rodzinna, prywatna, składająca się z postaci wyjętych z *Wieczoru kuglarzy* czy z *Tam, gdzie rosną poziomki* Ingmara Bergmana.

Tu już nazwiska wymienię – bo ich niewiele, a piękne. Na czele Parady postawiłbym Staszka Górkę z Grupą Pod Górkę (Wojtek Machnicki, Zbyszko Rymarz, Monika Świtaj), potem by szli Grzegorz i Lidia Stanisławiakowie z Teatru Własnego w Chorzowie, dalej Dagmara Foniok i Tadeusz Hankiewicz z Krakowa. Wreszcie rodzina Krzysztofa Raua, skupiona wokół Teatru 3/4 z Zusna oraz licznych trup, jakie Rau wygenerował wokół Szkoły i Teatru Lalek w Białymstoku.

Los dyrekcji Raua w Teatrze w Bielsku-Białej, gdzie dyrektor zaproponował całkiem nowy sposób pracy artystycznej opartej na grantach, o które mogli się ubiegać wszyscy członkowie zespołu, potwierdził nie po raz ostatni w ojczyźnie naszej, że kto stworzy części ludzi szansę rozwoju i pracy, tego filisterska część zazdrośników i leni z pewnością pozbędzie się jak najszybciej.

Zatem zespołów miejskich pojawiała się na Konkursie niezbyt wiele. A jeśli już, to przybywały pod koniec wakacji, we wrześniu, zasilone dotacją, która np. dzielnej wicedyrektor Grażynie Nowak z Tarnowskiego Teatru im. L. Solskiego pozwoliła przywieźć do Warszawy na rozpoczęcie roku szkolnego 1997/98 *Śluby Panięskie* w reżyserii i z udziałem Jerzego Bińczyckiego. Obejrzeliśmy w rezultacie bardzo statyczne, ale też jedno z mocniej teatralnych, klasycznych przedstawień, a kontakt z aktorem, próba, sam spektakl były swoistą nobilitacją Ogródka.

Pojawiły się teatry z Płocka, z Kielc, Teatr Wybrzeże z Gdańska, a w czasie dyrekcji Julii Wernio także i Teatr Miejski z Gdyni. Z ich pobylem w Dziekance 29 lipca 1996 r. łączy się jedna z najbarwniejszych historii pogodowych.

Miejski wystawiał muzyczne, skomplikowane technicznie przedstawienie *Nie przerywajcie zabawy* Jana Kantego Pawлуśkiewicza. Produkcja była ogromna, zdecydowanie przekraczająca te kilkaset złotych, które miałem na spektakl. Jednak skupione wokół Wernio piękne i chłodne dziewczyny nie znały przeszkód, skoro postanowiły swymi strzałami ugodzić teatralną Warszawę. Umówiliśmy się więc, że zespół zrezygnuje z hotelu, a ja wszystkie pieniądze przeznaczone na transport i nocleg, nie mówiąc o wartości sprzedanych biletów, przekażę Teatrowi. Tak się też stało. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że nas literalnie zalało! Przed siódmą nad Dziekanką po prostu oberwała się chmura. Kable (a było ich sporo), duża ilość aparatury nagłośnieniowej – wszystko zmoczone. Wydawało się, że nie ma szans na występ, gdyby nie to, że wszyscy go strasznie chcieli. Chcieli go aktorzy, którzy tłukli się do stolicy kilkaset kilometrów, by pokazać się Cywińskiej i Wojtyszce. Dyrektor Wernio, która wywaliła bezpowrotnie sporą kasę, ja, dla którego był to też największy z dotychczasowych spektakli. Przede wszystkim

jednak chciała go publiczność, której w ciepły dzień nie zraziła ulewa. Ludzie pochowali się pod balkonikiem Dziekanki i po ulewie spokojnie zasiedli pod parasolami. Jak powiedział Jacek Sieradzki: „Nie można było nie zagrać”. Elektrycy z Teatru Miejskiego przez pół godziny wykrywali „przebicia”, ale wyłapali je wszystkie. Wreszcie po dwóch godzinach, z poważnymi obawami o narażenie aparatury na awarię, spektakl się odbył, dając radość inną niż ingardenowskie „jakości artystyczne”. Dając radość dopełnionego spotkania.

Inną przygodą było spotkanie z Radomiem. Nigdy nie zapomnę pierwszego kontaktu z Wojciechem Kępczyńskim, mało jeszcze znanym dyrektorem Teatru Powszechnego w Radomiu, gdzie skupił znakomite grono rozśpiewanej młodzieży. W środku lipca Teatr był naturalnie na urlopie. Ale cieszący się w swym zespole niezwykle mirem Kępczyński skłonił bez trudu kolegów, by poświęcili jemu i Warszawie jeden dzień wolnego. Cała obsada Szekspirowskiej *Burzy* zjawiała się w Dziekance z różnych stron. Przybyli z Mazur, z Tatr, znad morza. Przybyli tu z: „dzwonekami, z zelami, z bębenki”... I zagrali – lekko, bezpretensjonalnie. Nagrody wprawdzie nie dostali, ale ja ogłosiłem wówczas, że przyznaję swoją, honorową, dyrektorowi – za talent organizatorski. I nie pomyliłem się. Jest dziś Wojciech Kępczyński jednym z najwybitniejszych organizatorów teatralnych w Polsce, twórcą sukcesu warszawskiej Romy. Sceny, która wprawdzie ku żalowi środowiska wyparła z Warszawy operetkę, jednak przybliżyła Teatr Muzyczny w iście brodwayowskim stylu młodzieży z Warszawy i całego kraju, czyniąc z teatru na Nowogrodzkiej jedną z najbardziej obleganych polskich instytucji kulturalnych.

Nie to, co gdynianie, którzy 21 lipca 1997 r. postanowili sobie przybyć do Warszawy z... *Muzykoterapią* wg Andrzeja Strzeleckiego. Tyle że akompaniator zaspał, i około drugiej po południu, gdy zespół zbierał się do próby, wydzwoniono go... trzysta sześćdziesiąt kilometrów na północ. Był daleko i na dodatek... z nutami! Nie było oczywiście żadnych podkładów, więc sprawa wydawała się przegrana. Tu jednak wykazałem się życiowym refleksem. Wiedziałem, że jest jeden jedyny człowiek w Polsce, który spektakl ten zna na pamięć. To oczywiście śp. Janek Raczkowski. Nauczyciel szkoły teatralnej. Towarzysz wszystkich dyplomów muzycznych całych pokoleń warszawskich absolwentów PWST, no ale przede wszystkim „oprawca” muzyczny: *Złego zachowania, Love czy Muzykoterapii*. Akompaniator tych arcyświetnych montaży muzyczno-choreograficznych Andrzeja Strzeleckiego z czasów, gdy za późnej komuny zmienił Teatr na Targówku w Teatr Rampa.

Nie wiem, jakie anioły nade mną czuwały. To wszakże nie był jeszcze czas

powszechnie dostępnych komórek. Jak zdobyłem telefon Jasia? Jak udało mi się go złapać gdzieś na wakacjach, ale pod Warszawą, jakich argumentów użyłem, by rzucił wszystko i niemal za darmo zgodził się przybyć do Dziekanki, aby ratować te biedne gdyńskie fajtlapy, które pod jego przewodem zagrały pewnie jeden z najlepszych spektakli w karierze? Naprawdę nie wiem. Ale najważniejsze było to, że wszystkim się chciało, że kochaliśmy naszą wolność, że to było dla miasta, dla swobody, dla nas.

W Dziekance młodość i godność witały seniorów i amatorów. Pojawił się wychowany zresztą przez Wojciecha Kępczyńskiego w Radomiu kultowo później śpiewający aktor Janek Bzdawka.

Odbываły się finały i pierwsze podsumowania. Akurat w Instytucie Sztuki wydobyto szkice Józefa Galewskiego ilustrujące teatry ogródkowe przełomu XIX i XX wieku. Więc teraz, na przełomie kolejnych stuleci, pozyskaliśmy wspaniałe reprodukcje, które eksponowaliśmy w tunelowej bramie wprowadzającej publiczność do Dziekanki.

Coraz częściej mówiłem też o Dolinie Szwajcarskiej, wskazując ją jako wymarzone miejsce teatralnego spotkania. Na finale pojawiła się zebrana z pięciu lat plejada moich laureatów, malowaliśmy obrazy, fotografowaliśmy się w jarmarczonym blejtrami wykonanym przez Olę Wolniak. Występowała i Olszówka, i Fraszyńska, a Okupska improwizowała rap. W finale jako gość specjalny, z tekstem dziewiętnastowiecznej farsy ogródkowej zgodził się wystąpić, bodajże ostatni raz w życiu pojawiając się na scenie – przyjaciel mego Taty, od zawsze znajomy – Andrzej Szczepkowski, ojciec Joasi.

W Dziekance po raz pierwszy pojawili się z Krakowa Tadzio Hankiewicz z Dagmarą Foniok. Ich krakauerski, osnuty na czeskich witzach humor z Grodzkiej nie bardzo bawi warszawiaków. Otrzymali jednak nagrodę. Nagrodę, którą w postaci realizacji spektaklu obiecywał mi zrealizować Jerzy Koenig szefujący podówczas Teatrowi Telewizji.

No cóż – Jerzy Koenig, krytyk, tłumacz – inteligentny, tchórzliwy oportunistą. No ale przecież znajomy od lat, facet, wobec którego zachowałem wszystkie należne środki ostrożności. Chyba jedyny, na przykładzie którego Ojciec, świetnie znający go z „Dialogu” – próbował uczyć mnie życia.



## XVI

## MARNA PAMIĘĆ JERZEGO KOENIGA

Zdaniem Komisji Konkursowej, która w 2003 r. odmówiła mi prawa rywalizowania z imiennikiem Januszem Kijowskim (zaprzyjaźnionym z ówczesnym ministrem kultury Waldemarem Dąbrowskim) w konkursie o fotel dyrektora Teatru Dramatycznego w Olsztynie – nie mam wykształcenia artystycznego, czyli tytułu magistra sztuki. Mam wykształcenie wysokie, jak stwierdził wicemarszałek sejmiku, jednak nieadekwatne. Niewątpliwie wykształcenia *sensu stricto* artystycznego nie miał ani Leon Schiller, ani Arnold Szyfman ani... Jerzy Koenig, ostatnio przez lata dyrektor nawet Starego Teatru w Krakowie. Mam za to wykształcenie takie, jakiego (w uzupełnieniu studiów polonistycznych) udzielali mi w szkole teatralnej właśnie wymieniony Jerzy Koenig, Zygmunt Hübner, Aleksander Bardini, Erwin Axer (jeszcze jakieś polskie nazwisko...?).

Otóż, szczerze powiedziawszy, robiąc w ramach indywidualnego toku studiów polonistycznych te moje 300 godzin w szkole teatralnej na reżyserii – najmniejszą miałem ochotę wstawać na ósmą rano, by słuchać stękania Koeniga o Meyerholdzie czy Wachtangowie. Zależało mi na zajęciach praktycznych. Ale wtedy powiedział mi Ojciec:

– Jędre! Czas szybko płynie, ani się obejrzyysz, jak będziesz gdzieś z Koenigiem pracował. Bo on jest wszędzie! A to wyjątkowa menda. I jeśli teraz zlekceważysz jego zajęcia, on zauważy to, zapamięta i wypomni po latach.

No cóż, więc wstawałem skoro świt. Co i tak nie na wiele się zdało. Ojciec się nie pomylił, pracowaliśmy już wkrótce razem. W stanie wojennym spotkałem się z Koenigiem w tejże szkole teatralnej, do której zatrudnił mnie nieszczerzy komunistą, ale przywoity Polak – Zygmunt Hintz. Nie odczuwałem (do Koeniga) specjalnej wrogości, acz o pobratymstwie dusz trudno w tym wypadku mówić. Kiedyś, dumny z mojego 6-letniego malucha, w szczycie kryzysu paliwowego (kartki!) i w mrozy, wiozłem pana Jerzego do domu gdzieś na Ursynów. Starałem się

mieć tę klasę, by nie pamiętać o reglamentacji. Nie było w tym lizusostwa. Przeciwnie, jakiś pański gest. Koenig się certolił, że coś tam do autobusu czy jakiegos przystanku. A ja powiedziałem, że to nie problem, a zresztą samochód musi się rozgrzać i na dłuższej trasie efektywnie mniej pali. „Trochę to faryzejskie” – rzucił Koenig spod nosa. Zapamiętałem na całe życie.

Inni go lubili: Wanda Zwinogrodzka, Marek Piekut, Janusz Majcherek. Wydawało się wtedy, że stanowimy paczkę. Rozlazło się to potem, gdy w grę weszły kariery i układy. Wandy rozjazd z Majcherkiem. I jakiś wypad do Radziejowic bodaj, na którym nieznaną mnie jeszcze wówczas świeża minister kultury – Iza Cywińska – rozdawała teatralne karty. Wanda ponad rok była recenzentką teatralną „Gazety Wyborczej”, dopóki nie ośmieliła się skrytykować Wajdy. Sieradzki utrzymał posadę w „Dialogu” (uzyskał ją jeszcze za późnej komuny po śmierci Konstantego Puzyny). Pismo „Teatr” objął zaprzyjaźniony z Koenigiem Andrzej Wanat z grupą młodzieży. Może znalazłoby się tam dla mnie miejsce, gdybym „w pierwszych słowach mego listu” nie wypowiedział się negatywnie o łódzkim *Wyzwoleniu* Wyspiańskiego w reżyserii Macieja Prusa, u którego kierownikiem literackim w Teatrze Dramatycznym wkrótce zostanie Paweł Konic. No i gdybym nie ćwiczył marnymi ocenami bystrej, acz niedouczzonej młodzieży, która jak Igor Janke, Dominika Wielowieyska, Natalia Adaszyńska czy Agnieszka Celeda – wnet będzie miała wielki wpływ w środowiskach. Tej rady mi już Ojciec dać nie potrafił. A była to, zdaje się, właśnie ewangelia Koeniga: uważajcie na uczniów i dzieci. Będziecie jeszcze od nich zależeć.

Dla mnie miejsca nie było. Nie należałem do „układu”, choć byłem z „towarzystwa”. Więc kiedy zaproponowałem Koenigowi, by potwierdził pisemnie umowę, że przyzna jako dodatkową nagrodę na Konkurs Teatrów Ogródkowych możliwość wskazania przez nader przecież kompetentne jury przedstawienia godnego realizacji w Teatrze Telewizji – uwierzyłem, gdy mnie zapewnił, że w tym przypadku wystarczy *gentlemen's agreement*.

Jury było istotnie kompetentne. W pierwszym roku nie znalazło godnego nagrody zespołu i premii nie przyznało. Jednak w drugim roku, czyli na VI KTO, nagrodę specjalną w postaci rekomendacji do realizacji przedstawienia w Teatrze Telewizji otrzymał Teatr Tradycyjny z Krakowa za spektakl *Długi, szeroki i krótkowzrostowy*. Szczególnie zachwycił jurorów Juliusz Grabowski w rewelacyjnej roli Królowej Złotowłosej.

Krótko dziś mogę tu skwitować krzywdę Hankiewiczów – Jerzy Koenig pozostawił po sobie raczej marną pamięć. Dżentelmenem też nie był!

## XVII

## TEATR NARODOWY

Moje teatralne życie zaczęło się w Teatrze Narodowym w okresie dyrekcji Kazimierza Dejmka. Latająca pod sufitem *Akademia Pana Kleksa*, a potem Holoubek z prześliczną Marią Wachowiak

„Nie dziw, że nas tu przeklinają,  
Wszak to już mija wiek,  
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają  
Samych łajdaków stek”.

Istotnie wypowiedanym z *proscenium*, rzuconym na jakiś podatny grunt sali, która podchwytowała te słowa, oklaskiwała – doznawała częstego w historii polskiego teatru zbiorowego *katharsis* znanego choćby z wystawień *Halki*, z pieśnią *Matko moja miła*, gdzie wszyscy wiedzieli, że „Matka” to znaczy „Polska”.

Tak, wtedy poczułem po raz pierwszy siłę teatru, ale potem zrozumiałem, że to **zapośredniczenie emocji zbiorowej** nie musi być koniecznie patriotyczne. Może mieć korzenie religijne, moralne, środowiskowe.

Może być nawet inspirowane, podgrzewane. Jak od dawna podejrzewają niektórzy zwolennicy spiskowej teorii dziejów, że cała sprawa była przygotowanym atakiem moczarowców. Może...

Może nawet Duch Święty inspirował nie tylko konklawe, lecz wywierał wpływ na członków Opus Dei, wierzycieli banku watykańskiego, a także policje jawne, tajne i dwupłciowe po obydwu stronach żelaznej kurtyny. Może działali nawet za pośrednictwem Hollywoodu, na co wskazuje kompletnie zapomniany film z Anthonyem Quinnem. Film z 1968 r., zatytułowany *Trzewiki rybaka* (*The Shoes of the Fisherman*), będący swoistą antycypacją, nieprawdopodobnym wręcz

proroctwem zapowiadającym – na 10 lat przed wyborem polskiego papieża – słowiański pontyfikat powołanego na stolicę Piotrową fikcyjnego biskupa Lwowa.

Jakkolwiek było, interwencja ducha w dzieje i jego objawianie się w przestrzeniach teatralnych, jakimi już za kilka lat miały się stać msze papieskie w plenerach – nie ulega dla mnie wątpliwości

Tak, wszelka kreacja, a nawet i prowokacja, jeśli ma być skuteczna, musi wiązać się wprost z autentyczną potrzebą grupy. Właśnie choćby taką jak proste spotkanie. Ze sporym obrzydzeniem oglądałem ostatnio w TVP Kultura jakiś program o Dejmkowskich *Dziadach*. Co ciekawe, sam Dejmek się tam nie wypowiedział. Mówili za to wiele, by nie powiedzieć – pletli – występujący w tym spektaklu aktorzy. W ich wspomnieniach naczelne miejsce zajmowała środowiskowa intryga, bojkot, który scenie narodowej próbowało zafundować środowisko. Zmiany pracy i posadki. Byłoby o czym mówić, gdyby te prześladowania były realne. Ale wbrew pozorom tak nie było. Miejsce partyjnego Dejmka w Teatrze Narodowym zgodził się zająć bezpartyjny Hanuszkiewicz!

Adam to konformista, rzecz jasna, jak wszyscy gotowi działać publicznie w owym czasie. Niezwykle jednak utalentowany artysta, któremu los pozwolił już wkrótce nawiązać autentyczny kontakt z młodzieżową publicznością.

Zatem kolejny początek czy raczej korzeń – to *Kordian* z Andrzejem Nardellim jeszcze w Teatrze Powszechnym. *Kordian* bez kurtyny, co było wówczas nowością, *Kordian* rozdwojony na dojrzałego Adama i tańczącego jazz w takt muzyki Kurylewicza na łóżku Wioletty niewinnego Młodego. „Zabił się młody”, tak samo jak Ludwik Spitznagel. Przepadł Nardelli w nurtach Narwi.

Tak! Nie zdołałam opowiedzieć mojego konserwatywnego Ogródka, a może nawet bezkrwawej rewolucji „Solidarności” bez wytłumaczenia, czym była: Adama Hanuszkiewicza - klasyczna awangarda...

## XVIII

ADAMA HANUSZKIEWICZA  
klasyczna awangarda

Nie można recytować Inwokacji z *Pana Tadeusza*, tak samo jak się nie da „ładnie” zmówić Modlitwy Pańskiej. Więc wystawiając *Pana Tadeusza* w Teatrze Narodowym, kazał Hanuszkiewicz zespołowi wypowiadać słowa skierowane do „Panny Świętej, co jasnej broni Częstochowy” tonem chóralnie powtarzanej modlitwy. Nie było to pierwsze takie intonacyjne „zagranie”. Podobnie zachował się wprowadzając do *Dziadów* inscenizowanych w Teatrze Małym w 1979 r. fragmenty *Ustępu III* części, nucone w melodyce mszalnego kantora.

Asystowałem przy tym spektaklu. Moim zadaniem było zbieranie latających kartek tworzonego między widownią a sceną egzemplarza i układanie ich w całość.



*Dziady*  
w reż.  
A. Hanuszkiewicza,  
Teatr Mały  
(Narodowy), 1977 r.

Fot. Cezary  
Marek Langda

Teatr Hanuszkiewicza kojarzy się z rekwizytami, z elementami dekoracji, nabierającymi na scenie nieprzewidzianych znaczeń. Z ową drabiną, z której szczytu Andrzej Nardelli wygłaszał monolog Kordiana na Mont Blanc, z nie mniej sławną hondą, na której, niczym na nowożytnej miotle, latała Goplana (Bożena Dykiel) w przedstawieniu *Balladyny*.

Reżyserski styl Adama Hanuszkiewicza wywodzi się z techniki nakładania planów właściwej Teatrowi Telewizji, którego był, jeszcze w latach 60., jednym z pierwszych twórców. Typowym przykładem telewizyjnego myślenia może być w teatrze ukazanie adresata, do którego Konrad (Krzysztof Kolberger) kierował słowa Wielkiej Improwizacji w *Dziadach*. Ten niby-Pan Bóg, niby-Szatan odślaniał w finale Wielkiej Improwizacji pod czarnym płaszczem mundur carskiego żołnierza, przybyłego do celi Bazylianów po to, by pomóc „słowo ostatnie wyrzygnąć”.

O teatrze Hanuszkiewicza zwykło się mówić, że nie jest to scena aktorska. Istotnie, ten reżyser i dyrektor nie stworzył „komisu” aktorskiego podobnego warszawskim teatrom Ateneum Janusza Warmińskiego czy Powszechnemu, jakim (po okresie dyrekcji jego i Hanuszkiewicza i po remoncie) stała się ta scena w rękach Zygmunta Hübnera. Stworzył jednak teatr inscenizacji, w którym lepiej dostrzegamy reżysera nie dlatego, by się aktor nie liczył, lecz dlatego, że kreacje sceniczne zapamiętujemy na tle całego zespołu. U Hanuszkiewicza aktor nigdy bowiem nie jest sam. Widzimy go zawsze wśród mówiącego, śpiewającego bądź tańczącego chóru albo w duecie. Efekty nie są najgorsze, biorąc pod uwagę, że przez ręce Hanuszkiewicza przeszło grono najzdolniejszej młodzieży teatralnej dwóch pokoleń. Wystarczy przypomnieć nazwiska: Andrzej Nardelli, Anita Dymśówna, Daniel Olbrychski, Anna Chodakowska, Wiktor Zborowski, Krystyna Janda, Grażyna Szapołowska czy Krzysztof Kolberger to tylko niektórzy spośród rzeszy aktorów stawiających pierwsze sceniczne kroki pod okiem Adama Hanuszkiewicza.

Można powiedzieć, że zasada dopełniania się aktorów określa istotę zespołowości teatru Hanuszkiewicza. Do niezapomnianych par zaliczyć trzeba duety samego Adama Hanuszkiewicza z Andrzejem Nardellim (*Kordian*, *Nie-Boska Komedia*), z Zofią Kucówną (*Wesele*, *Święta Joanna*), z Danielem Olbrychskim (*Hamlet*, *Beniowski*) czy z Anną Chodakowską (*Antygona*).

Hanuszkiewicz sam jest aktorem. I to wybitnym. Można go nazwać „mistrzem dyskretnej uwagi”. Hanuszkiewicz-aktor pilnuje w swoich spektaklach kompozycji, precyzji myślowego przewodu. To on stworzył pierwszy akt *Norwida*, który mimo wszystkich zabiegów inscenizatorskich, mimo muzyki Kurylewicza i mimo „pomyśłów”, musiałby uciec w rezonerstwo bez czujnej obecności głównego protagonisty.

Obecność Hanuszkiewicza-komentatora często wywołuje efekt osobliwości, nakłada kanwę narracyjną. Operując schematem doświadczony – niedoświadczony, prowadził Hanuszkiewicz na swojej scenie przez wiele lat ów podstawowy dialog między romantykami a pozytywistami. Dopasowując go każdorazowo do sytuacji



*Anna Chodakowska  
jako Antygona  
Sofoklesa  
w reż.  
A. Hanuszkiewicz,  
1972*

*Fot.  
Renard Dudley*

współczesnej Polski, weryfikując w słowie i w czynie, wpływając na dzieje i program kierowanej przezeń długo sceny narodowej. Opowiadał się Hanuszkiewicz zawsze konsekwentnie za trzeźwością, za realizmem, ale był jednocześnie głosi-cielem nadziei i buntu.

W przedstawieniach Adama Hanuszkiewicza zabawa sceniczna spleta się zwykłe z piosenką i liryczną tyradą. Jego teatr opiera się na kontrastach nastroju, którego kłamrą bywa dowcipnie i lekko rozgrywane przejście od przytaczania do bezpośredniego uobecniania zdarzeń. Teatr ten rodzi się na skutek nałożenia na klasykę wrażliwości dzisiejszego odbiorcy – odczytania jej postgombrowiczowską świadomością i przetworzenia postbrechtowską wyobraźnią. Jednak dystans do roli, autoironiczne, a nawet groteskowe chwytły są bardzo silnie nacechowane emocjonalnie. Słysząc to było w *Norwidzie* czy w *Beniowskim*, gdy – transakcentując rytmikę i wzbogacając zawartość iloczasową strofy – wybija Hanuszkiewicz swoje racje ponad zgielk i wszechogarniającą drwinę. Objawia się wtedy prawdziwe oblicze artysty, w braku współczesnej literatury wypowiadającego się językiem sceny.

Wszędzie tam, gdzie nie wchodząc w kompetencje Pana Boga, można przeciwstawić rozsądek entuzjazmowi, doświadczenie naiwności, słabości siłę, a nadziejom trzeźwą ocenę realiów; tam gdzie odzywa się Prezes w *Kordianie* czy Nieznajomy w *Wacława Dziejach* Garczyńskiego; tam gdzie można bronić racji Kreona

czy ukazać przesłanki postępowania Enony z *Fedry* – wszędzie tam usłyszymy głos Hanuszkiewiczowskiego teatru. Głos głębokiej wiary w słuszność postawy pragmatycznej i organicznikowskiej racji.

Został ten teatr zamieszany w politykę. W 1968 r., po zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego *Dziadów*, po związanych z tym faktem słynnych wydarzeniach marcowych i usunięciu ze stanowiska dyrektora tej sceny Kazimierza Dejmka – Hanuszkiewicz zgodził się połączyć dyrekcję kierowanego wówczas przez siebie, a wymagającego kapitalnego remontu Teatru Powszechnego, z dyrekcją Teatru Narodowego. To pragmatyczne zachowanie przysporzyło mu wielu wrogów. Stało się jednak, że nie kto inny, lecz właśnie Hanuszkiewicz, jeszcze ze sceny Teatru Powszechnego opowiedział *Kordianem* historię słusznego buntu studenta, który niekoniecznie zostanie rozstrzelany. Hanuszkiewicz odezwał się językiem rock opery i jazzu, zrozumiałym dla bigbeatowej młodzieży pokolenia marcowego.

Od tej chwili zaczął się, tak to można nazwać, romans Hanuszkiewicza z nastolatkami tłumnie przybywającymi na kolejne premiery romantycznego kanonu: na *Nie-Boską Komedję*, *Norwida*, tryptyk zatytułowany *Mickiewicz*, którego kulminacją stały się *Dziady* wystawione w 1978 r. na afiliowanej przy Teatrze Narodowym scenie Teatru Małego.

Jednym z ostatnich spektakli pokazywanych w Teatrze Narodowym, granym w ciągu 1982 roku i jeszcze w pierwszych miesiącach 1983 (już po karnym odwołaniu Hanuszkiewicza w stanie wojennym ze stanowiska dyrektora Teatru Narodowego), stała się inscenizacja *Pana Tadeusza*.

Mickiewiczowska epopeja chodziła za Hanuszkiewiczem niemal od zawsze. Wystawiał ją już w telewizji, w odcinkach, w ramach tzw. Studia 63.

Teraz reżyser ukazał na scenie zminiaturyzowaną dekorację – niczym zabawki, wspomnienia dziecięcych lat niczym lalkowe dekoracje płaczące się u nóg aktorów, przywołał: „bramę na wciąż otwartą”, „stogi użątka”, ów „dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany”.

Wrażenie wynikające ze skojarzenia miejsca, czasu oglądania, treści i formy widowiska pozostanie niezatarte w swej mocy. Podobnie jak i kreacja Zofii Kucówny, owej towarzyszącej Hanuszkiewiczowi w artystycznej drodze przez lata mistrzyni obecności bezpośredniej. To ona w tym spektaklu wypowiadała wstrząsające ludźmi, świeżo zakneblowanymi po wybuchu sierpniowej wolności, słowa:



*„O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,  
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!  
[...]  
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!  
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!  
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,  
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu”.*

Hanuszkiewiczowi i nam udało się przeżyć takich wiosen więcej. Już nie tak burzliwych, nie tak porywających, nie wyzwających tak wielu nadziei. Przychodzi zapytać, co znaczy dziś romantyczna treść literacka i awangardowa forma teatralna. I jedna, i druga są składnikiem naszej tradycji, są bogactwem kultury, osią wykształcenia. Jeśli coś konstituuje Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza*, to pewnie „malowanie słowem”, jeśli Hanuszkiewiczowi coś jest właściwe, to śpiewanie kształtem.

Teatr Hanuszkiewicza to bowiem głównie forma: bezbłędna, ostra, kontrowersyjna, lecz obecna. Może się jakiś spektakl bardziej, może mniej Adamowi Hanuszkiewiczowi udać. Mogą komuś: jego fraza, wyobrażenia, skojarzenia i inteligencja nie odpowiadać – ale pewne jest to, że obcuje ze skończonym kształtem. Konstrukcją samoświadomą, wykształconą, konsekwentną. Sztuką, którą można pewnie (i słusznie) kojarzyć z awangardą lat 20., skąd ogromna ilość środków została zapożyczona i w klasycznej formie utrwalona. Bo Hanuszkiewicz jest klasykiem – klasykiem awangardy teatralnej, któremu dobrze służy obcowanie z innymi. A najlepiej z romantycznymi klasykami.



## XIX

## ALIANS Z WIDZAMI

Tak, od Hanuszkiewicza nauczyłem się, że teatr nie jest dla aktora, związku zawodowego, nie jest dla cmokierów spod znaku Marty Fik, która w „Polityce” Mieczysława Rakowskiego udawała świętszą niż sam papież. Teatr jest dla publiczności. Od Adama nauczyłem się także, aż po dziś dzień tą widownią się bronić. Po 1968 r. mój Ojciec otrzymał zakaz druku pod nazwiskiem. Mógł jednak funkcjonować i zarabiać pod pseudonimami (*notabene* ja dziś pod nazwiskiem funkcjonować mogę w dość ograniczonym zakresie – zarabiać, nawet anonimowo, nie jestem w stanie...). Zaczął zatem Senior pod kryptonimem „Dedal” publikować *Przeglądy prasy*, z wolna przekształcane w stały felieton. Do Powszechnego na *Kordiana* poszliśmy zatem (znów razem) nastawieni negatywnie – by sponiewierać zdrajcę, co śmiał Teatr Narodowy Dejmkowi odebrać. Miałem już lat niespełna 16 – byłem bardzo buńczucznie nastawiony. Ale... no właśnie, to jedno niedogmatyczne „ale”, które kazało zmienić osąd. To był Nardelli, Hanuszkiewicz, muzyka i przede wszystkim reakcja publiczności. Włącznie z moją.

To sprawiło, że autor *Marcowej rezolucji pisarzy* zdecydował się podać rękę Hanuszkiewiczowi. Publikując w „Twórczości” recenzję zatytułowaną *Kordian dziecko* Senior sprzeciwił się cmokierom, specjalistom i środowiskowym autorytetom z zaprzyjaźnionym od lat Ketem Puzyną na czele, którzy uznawali, że Hanuszkiewicza zwalczać jest *dulce et decorum*. Miało to dla Adama spore znaczenie. W dużym stopniu pomogło mu zrzucić z siebie *odium* towarzyskiej infamii.

Jadało się wtedy w stołowce Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Hanuszkiewicz podszedł do nas i podziękował. Potem dosiadał się już coraz częściej. I tak zaczęła się przyjaźń. Spędziłem w domu Hanuszkiewiczów wiele dni. Adam z Zosią Kucówną opiekowali się mną, gdy mój Ojciec był w Stanach, a ja miałem zdawać maturę. Jeśli naturalnie można nazwać opieką kompletną swobodę i zgodę na permanentne wagary na widowni i w kulisach Narodowego.



*Zofia Kucówna  
w Beniowskim*

*Fot. Franciszek  
Myszkowski*

Hanuszkiewicz bowiem wprowadził zwyczaj prób otwartych. Zapraszał młodzież niemal na wszystkie próby. Zapychał licealistami balkony, kokietował ceglastym murem, na tle którego w Powszechnym wspinał się na drabinę Nardelli (efekt już nie do powtórzenia w Narodowym), i hondą Goplany, no i przebojami, które wraz z Kurylewiczem wyszły z *Norwida*, wreszcie... *Pieśnią Konfederatów*, która przed Papieżem, przed strajkami stała się nieformalnym hymnem pokolenia '54. Pokolenia Bujaka i Kwaśniewskiego – mojego, bodaj najlepiej w dziejach Polski służącego ojczyźnie – pokolenia „Solidarności”. Pokolenia, które nie złożyło daniny krwi, choć w 1981 r. było na to gotowe. Nie złożyło jej dzięki mądrości pokolenia Kolumbów, naszych Ojców, jakkolwiek im było na nazwisko: Kijowski czy Rakowski, Jaruzelski czy Goldzamt, Mazowiecki czy Giertych (członek PRON-u!), wiedzieli, doświadczeni hekatombą II wojny, że gdy młodzi śpiewają wychodząc z widowni:

*„Nigdy z królami nie będziem w aliansach,  
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi;  
Bo u Chrystusa my na ordynansach,*

*Śludzy Maryji!  
Więc choć się spęka świat i zadrzy słońce,  
Chociaż się chmury i morza nasrożą;  
Choćby na smokach wojska latające,  
Nas nie zatrwożą.  
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!  
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.  
Wszak póki On był z naszymi ojcami,  
Byli zwyciężce!  
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,  
Nie ukłękniemy przed mocarzy władzą,  
Wiedząc, że nawet grobowce nas same  
Bogu oddadzą.  
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy  
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,  
Ale w grobowcach mu jeszcze żołdacy  
I hufiec Boży.  
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu  
I szedł na święte kraju werbowanie;  
Ten de profundis z ciemnego kurbanu  
Na trąbę wstanie.  
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!  
Póki On z nami, całe piekła pękną!  
Ani ogniste smoki nas ustraszą,  
Ani ulękną.  
Nie złamie nas głód ni żaden frasunek,  
Ani zboldują żadne świata bołdy:  
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,  
Na jego żołdy”.*

Gdy młodzi tak śpiewają – można tylko śpiewać wraz z nimi. Bo nie ma już wyjścia. Pokojowego wyjścia. Kto chce pokoju, musi ustąpić i – ustąpili. Ustąpił Mieczysław Jagielski (ojciec mego szkolnego kolegi z Batorego) i Kuncewicz, szef jakiegoś Zjednoczenia, który w negocjacjach sierpniowych nieudolnie reprezentował ówczesnego wicepremiera Tadeusza Pykę. Kuncewicz miał dwóch

synów, których znalazłem jeszcze z podstawówki. Heniek reperował mojego malucha w późnym stanie wojennym i uczył wręczać łapówki. A ze zdolniejszym, więc uboższym, informatykiem Wiktoorem – dla odmiany spotykałem się na solidarnościowych demonstracjach, wspólnie kryjąc się przed flarami zomowców na placu Konstytucji w 1982 r.

I Michnik ustąpił, i Kuroń, i Mazowiecki. I bracia Kaczyńscy też ustąpili, jak już mieli szansę stworzyć rząd Komitetu Obywatelskiego. I działacze z SD ustąpili, umożliwiając udostępnienie struktur swej partii dla tworzącej się Unii Demokratycznej. Dużo perfekcyjniej to ustępstwo przekształceń uwłaszczeniowych wykonane zostało przez chłopskich roztropków, umiejętnie przepoczwarzających się z ZSL-u w PSL.

Ustępowaliśmy – i chwała nam za to. Dzięki temu żyjemy i walczymy dziś o dobre imię, posady, renty i grunty, a nie o onuce czy *pidżak* gdzieś w dalekim gulagu. Oczywiście bój toczy się twardy. A ja z moim teatrykiem poruszałem się między gruntami. Więc gdy już z Dziekanką przyszło się żegnać, a Dolina Szwajcarska była wciąż daleko – trzeba mi było aliansów. Ruszyłem na spacer po Warszawie. Szedłem Traktem Królewskim. Pełen hanuszkiewiczowskiego pragmatyzmu błądziłem – w poszukiwaniu miejsca teatralnego.

## XX

## SPACERKIEM PO WARSZAWIE

Zacząłem od Łazienek. Od parku przy Belwederze. Przyglądałem się Nowej Pomarańczarni z piękną kawiarnią prowadzoną przez Anetę Kręglicką, i kawiarence Trou Madame. Odkryłem miejsce estradowe z tyłu Starej Pomarańczarni i Teatru Stanisławowskiego i małą kawiarenkę dokładnie na wprost wejścia do Urzędu Rady Ministrów. Pamiętam ten kiosk od dziecka, teraz rozrósł się właściwie wbrew przepisom bezpieczeństwa, ale funkcjonuje pod czujnym okiem BOR-u, bo ministrowie lubią tam latem wpadać na kawę.

Oczywiście o większych zgromadzeniach w tym miejscu mowy być nie mogło, tak samo zresztą jak i w całych Łazienkach, około szóstej zamykanych, a wyjście z nich, na przykład z wynajmowanego czasem za ciężkie pieniądze Teatru na Wodzie, angażować musi duże środki na dodatkową ochronę.

Z Łazienek Królewskich droga prowadzi do Łazienek Północnych, inaczej zwanych Agrykołą. Niewiele, zgoła nic z dawnej Agrykoli nie zostało. A był taki park, z ogólnie dostępnymi skoczniami i bieżniami, niemal bobslejowym torem saneczkowym, po którym jeszcze w dzieciństwie, jeszcze na lekcjach WF-u szalałem. Około 1966 r. zbudowano tam nawet spory odkryty basen, ale funkcjonował krótko. Zlikwidowano to wszystko, tworząc pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, jakiegokolwiek intymności, niesłużące spacerowiczom ani dzieciom, występom ani zabawom – Łazienki Północne.

Założenie parkowe pomyślano jako dopełnienie widokowe osi odbudowanego za późnego Gierka Zamku Ujazdowskiego. Mówiąc szczerze, fatalna architektura ogrodowa.

No właśnie. Ruszyłem dalej. Obszedłem znany mi świetnie z dzieciństwa Park Ujazdowski. Dziś niemal w połowie przekształcono go w wykładany taranem ogródek jordanowski. To potrzebne dzieciom, jednak nie robi już takiego

wrażenia południowa część ogrodu z zapomnianym strumyczkiem i kamyczkowym brodem. Parczek z nagą Ewą B. Thorvaldsena i pomnikiem Stanisława Jachowicza też nie ma w sobie potrzebnej teatrom intymności.

Bez nadziei zagłębiłem się w ulicę Konopnickiej, by przypomnieć sobie estakadę Parku Kultury i Wypoczynku. Nigdy tam nic się nie działo. Miejsce kojarzyło mi się bodaj z jednym tylko spacerem z Ojcem. Bo częściej chodziliśmy po starej Agrykoli, gdzie były lampy zapalane na gaz. Z Parku Kultury i Wypoczynku zapamiętałem tylko jakiś labirynt z żywoplotu wyższego nieco od dziecka, w którym błąkałem się pod kontrolą Ojca. A potem, już w licealnych czasach, jako rodzaj wybiegu ze sceny Głównej Kwatery ZHP przy Konopnickiej 6, sceny, w której Janusz Józefowicz prowadzi dziś Teatr Buffo.

Ogrody Frascati, jak potem to miejsce nazwałem, były puste. Ogródki piwne urodzone w moim Lapidarium, inicjowane przez Wolskiego na Barce, spływały właśnie Mostową w stronę Wisły, by na dwa, trzy sezony ożywić bulwary między Trasą W-Z a Mostem Gdańskim.

Lecz o Ogródkach osobno. Patrząc zatem na Frascati i widzę ogromne, potencjalne możliwości tego terenu. Doświadczony jednak już kilkuletnim borykaniem się z przyrodą pleneru, zdawałem sobie sprawę, jak trudne będzie dostarczenie tam tzw. mediów, czyli wody, prądu, postawienie toalety, sprzątanie, odprowadzanie nieczystości, no i ochrona. Takie koszty nie mieszczą się w żadnym budżecie NGO, którym się właśnie stawałem. Nie dla psa kielbasa, pomyślałem, odnotowując to miejsce w pamięci na lepsze czasy.

Ruszyłem dalej – Nowym Światem. Zainteresowało mnie gwarne podwóreczko przy Pałacu Branickich, na rogu Smolnej i Nowego Światu.

Przedwojenna siedziba ambasady brytyjskiej, gdzie całe lata za komuny mieścił się stołeczny Pałac Ślubów, potem miał tu swą siedzibę KPN, a teraz różne mieszkają upiory.

Zagłębiłem się w Foksal, by oglądać ogródek z Pałacem Zamoyskich, będący dziś siedzibą SARP-u. To miejsce pamiętające knajpkę Ściek z lat 70. i pierwsze występy Tadeusza Kantora w Warszawie. To byłoby to. Ale jak nie udało mi się w grudniu 1976 r. zastosować sycylijskiego tricku i dostać przez płot do obleganego teatru z *Umarłą Klasą* (przegoniła mnie gierkowska milicja z psami), tak i teraz – mój ogródkowy plebsik zupełnie nie interesował nastawionego już na bardzo wyszukaną klientelę właściciela.



W tym miejscu mogą odbywać się rauty, sam byłem na przyjęciu ambasady ukraińskiej. Słowem, to już inna półka. Teatr zamknięty, dla elit finansowych, co dosyć typowe w Polsce.

Zboczywszy z Traktu Królewskiego, o którym wiedziałem, że już tylko do Starej Dziekanki doprowadzi, ruszyłem Skarpą. Odkryłem malowniczy, acz dziki zupełnie uskok na Skarpie, przy Okólniku pod Akademią Muzyczną, minąwszy Pałac Ostrogskich, mały park i ciekawe nawet alejki na tyłach Pałacu Kazimierzowskiego.

Dotarłem wreszcie na Mariensztat. Nie było o czym gadać. To jednak zdawało się najlepsze. Intymny rynek, tyle że bez kawiarni, niewielkie kamienice z podcieniami. I kawiarenka-pub Baryłeczka z dość sympatycznym właścicielem o nazwisku Madejski.

Zaszedłem doń, by spytać, czy widzi możliwość urządzenia kawiarenki, przy której mógłbym poprowadzić teatrzyk. Oczy mu się zapaliły, bo rok wcześniej dostał z Zarządu Terenów Publicznych odmowę na letni ogródek. Cóż to dla mnie: ja załatwię; pokutował we mnie jeszcze marszałek i dziennikarz. I załatwiłem. Za frico! Nie żeby mi gratyfikacja pieniężna do głowy nie przyszła albo bym uważał, że to nieuczciwe. Ale widać miałem na twarzy wypisane, iż będę działał za darmo. A kto rozsądny zapłaci komuś, kto jest skłonny pracować bez pieniędzy? Zaczął się sezon na Mariensztacie.



## XXI

## MARIENSZTAT

Pogoda niezbyt sprzyjała. Media były nasze. Ludzi coraz więcej, ale miejsce nie było idealne. Baryłeczce załatwiłem ogródek i cieszyłem się, że ludzie mają na czym siedzieć. Pojawił się jednak problem sceny. Zacząłem liczyć... pieniądze.

Od trzech lat umowy, które jako firma Media ATaK zawierałem z urzędem dzielnicy, oparte były na kosztorysie, gdzie uwzględniano koszt montażu sceny przez... Stołeczną Estradę. Tak jakby była ona jedynym wykonawcą. No cóż, instytucja była miejska, a ustawa o zamówieniach publicznych w powijakach. *Per saldo* sędzę, że i tak było uczciwiej niż teraz... W każdym razie koszt wynajmu wynosił kilkaset złotych za dzień. Niby nic, ale w skali dwóch miesięcy było to dobre 5-6 tysięcy. Jak dobrze poszukałem, okazało się, że wartość sceny nie musiała wiele przekraczać tysiąca złotych. Zacząłem więc skupować własny sprzęt i „kombinować” kosztorysy. Rzecz bowiem w tym, że kosztorysy wszystkich imprez plenerowych oparte są na wynajmie. Jest to zrozumiałe i uzasadnione, gdy buduje się scenę do różnie w przypadkowym miejscu. Wtedy koszt uwzględnia montaż i demontaż, szybkość i bezpieczeństwo konstrukcji oraz likwidacji. Jednak moja scena coraz bardziej dążyła do stałości. Potrzebna jej była intymność, swoista powtarzalność.

W wynajętym mi na biuro skromnym pokoiku na Wilczej zacząłem pierwsze potyczki z techniką. Po raz pierwszy zacząłem przeszkadzać. Stołecznej Estradzie, która nawykła raz w tygodniu w niedzielę wystawiać coś (jakiś koncert) na Mariensztacie. A tu ja z moim teatrem. I to w dodatku na stałe. Wiedziałem bowiem instynktownie, iż teatru dramatycznego na estradzie bez pleców i boków wystawić się nie da. Projekt zresztą miałem w oczach. Przypadkiem podejrziałem kiedyś w Instytucie Sztuki wywieszzone rysunki Józefa Galewskiego, scenografa, który debiutował w 1905 r. jeszcze w teatrzykach ogródkowych i (obdarzony wyjątkową pamięcią wzrokową) potem odrysował je z pamięci wraz z wieloma innymi fragmentami zrujnowanej Warszawy.

Według tego projektu pracowała w 1998 r. Małgosia Domańska, a w 2004 r. (już dla Frascati) Majka Zielińska, i każda, z poprawką na dziesięciokrotną różnicę budżetów, jakimi na projekt scenografii dysponowałem, zrobiła, co umiała.

Więc najpierw była Domańcia. Projekt mojej teatralnej budki, wykonanej za środki uzyskane z ówczesnego Biura Zarządu Miasta, realizowały pracownice Teatru Rampa. Przetrwiała, mimo demontowania i zwożenia po sezonie do stodoły w Ołtarzach, trzy sezony.

Jakiż ja byłem z niej dumny, a przecież każde Suwałki mają, co ostatnio odkryłem, na rynku nie gorszą scenę. Ta nie była już tymczasowa. Choć używać jej miałem tylko raz w tygodniu. Więc dlatego tak mi zależało, by otoczyć ją kawiarnią, która da prąd i upilnuje nocą. Cóż, upilnowała.

Na Mariensztacie zaczęły się tłumy. Atmosfera więcej jednak miała z festynu niż z teatralnego festiwalu. Jeszcze szukałem. Przed spektaklem lub po zapraszałem śpiewającego aktora, ogłosiliśmy po raz kolejny (pierwszy raz na VI KTO w Dziekance) plebiscyt publiczności. „Gazeta Wyborcza” przyjęła patronat, drukowała nasze logo, czyli biust KTO,



*Pierwsze logo KTO  
wg projektu  
Władysława Kufki*

wykonany przez polsko-białoruskiego malarza Władka Kufkę. Wydrukowała karteczki plebiscytowe, a nawet – rzecz niebywała – ofiarowała żywy pieniądź: tyśiąc złotych nagrody, które na Finale naczelny stołecznej „Wyborczej” Wojciech Fusek wręczał osobiście.

Mariensztat to także pierwsza próba współpracy z Małgosią Bocheńską, która wyprowadziła dla mnie swój Salon na powietrze. Zorganizowała w podcieniach kamieniczek (nieco przywodzących na pamięć te z Rynku w Kazimierzu Dolnym) przy aptece Galerię Salonu 101. To dla Małgosi (w ramach promocji pisma „Grizzli”) pojawił się na rynku Antoni Chodorowski, rysujący *gratis* przybyszy, a i Salon Niezależnych kto wie, czy nie ostatni raz wystąpił w Finale w komplecie, z Jackiem Kleyffem, Michałem Tarkowskim i Januszem Weisssem.

Marek Sulek, bardzo dziś znany w świecie performer, zrealizował na Mariensztacie dla publiczności ogródkowej jedną z pierwszych swoich plastycznych

provokacji. Nazywała się *Akcja Blue\* 6, czyli sen o błękiecie*. Powstała w ramach projektu „Warszawa Niezwykła”.



*Marek Sutek,  
Sen o błękiecie*

To ostatnie, dość skandalizujące wydarzenie zwróciło na nas uwagę artystowskiego świata. Akcja polegała bowiem na pokryciu nagości pięknej dziewczyny gipsem, w który zakuta i pomalowana na niebiesko – stawała się antycznym aktem. Po jakimś czasie jej odkuwanie, wyzwalenie z kamienia odbywało się ku uciesze licznie przybyłych artystów fotografików, w których oczach akt rzeźbiarski przekształcał się w naturalny.

Na Mariensztacie narodziła się formuła teatru jako miejsca spotkania. Jeszcze nieśmiało, nawet nie do końca świadomie realizowałem to, co wymyśliłem w *Chwycie teatralnym* – spotkanie, w którym grupa gromadzi się wokół jednostki czy sprawy, popijając herbatę czy piwo, bo w takim spotkaniu znajduje przyjemność i takie spotkanie oczyszcza ją i podnieca.

Było dużo telewizji. Warszawski Ośrodek Telewizyjny co tydzień dawał relacje. Pojawiły się ważne spektakle z Grupą Rafała Kmity czy Kabaretem Moralnego Niepokoju na czele.

Publiczność też nie była jaka. Na jednym ze spektakli pokazał się nawet socjeteriusz Komedii Francuskiej – Andrzej Seweryn.

A wystartowaliśmy w telewizji, w porannej „Kawie i herbacie”, zapowiedzią występu Teatru Rampa z *Muzykoterapią* Strzeleckiego w aranżacji Jasia Raczkowskiego. Tęgo samego Jasia, który rok wcześniej uratował gdyńskie przedstawienie w Starej Dziekance. Tylko że na zapowiedzi się skończyło! Tęgo dnia załło nas ze szczętem. To była jedna z trzech chyba klęsk pogodowych, jakie sobie przypominam wśród trzystu pięćdziesięciu przedstawień scenicznych, a dziewięciuset zdarzeń teatralnych, które w ciągu 15 lat zafundowałem Warszawie.

Raz, to było jeszcze w Lapidarium, kiedy załło Andręgo Ochodlo. W Dziekance, choć deszcz srożył się zarówno na Teatr Miejski z Gdyni, jak i na Wybrzeże, nie odwołałem żadnego spektaklu. Jeszcze raz papa Kijowski (miał przecież za pokutę z czyścowych przedsiönków do rajy parasol nad mym Ogródkiem rozciągać) zaśpi coś w Dolinie, ale zasadniczo wpadka z Rampą była najpoważniejszą. Hucznie zapowiedziana inauguracja: elektroniczne pianino, cuda-niewidy, ale nad sceną ani kawałka dachu, ani osłony dla aparatury. Technicy z Rampy to już nie szaleńcy z Wybrzeża pod komendą nawiedzonych pań – powiedzieli „pas”. W prasie ukazały się nawet zdjęcia, jak krążę zrozpaczony wokół mej pięknej sceny.

Ale za tydzień nie było silnych. Po pierwsze, porozumiałem się z Maciejem Sarapatą z firmy Bossar i kupiłem u niego pierwszy namiocik profesjonalnie okrywający scenę (będzie mnie pan Maciej przez następnych dziesięć lat zaopatrywał w namioty). Przywiozłem namiot wraz ze stelażem na dachu mojego tiponka. A gdy w następnym tygodniu deszczowe chmury zbierały się nad kolumną Zygmunta, zwróciłem się do deszczu ze skuteczną przemową.

– *Witam Państwa na VII KTO* – powiedziałem – *witam także deszcz, co zbiera się nad nami, ale ponieważ deszcz za bilet nie płacił, uprzejmie proszę, by ominął nasz teatr, nie zakłócając zgromadzenia.*

I podziałało! Gazety następnego dnia opisały, jak skutecznie zaklinam deszcz, a tylko ja dziś wiem (choć wtedy jeszcze się nie domyślałem), że to pokutujący dyrektor Teatru Słowackiego z okresu solidarnościowego karnawału tak nad moim zgromadzeniem czuwał.

Marynka Bersz-Szturo zajęła się programem, który zresztą ukazał się dopiero pod koniec imprezy, gdy wszystko już było wiadomo, nawet o wielkim Finale z Salonem Niezależnych i fińskimi gośćmi, których sprowadzenie rekomendował mi Międzynarodowy Instytut Teatralny. Rodzący się festiwal coraz wyraźniej układał mi się w głowie. Zacząłem rozumieć ten, jak go wówczas nazwałem, „Paradoks o Ogródkach”.

## XXII

## PARADOKS O OGRÓDKACH

Teatr ogródkowy, który odrodził się w warszawskim Lapidarium w 1992 r., zdawał się na początku żartem czy efemerydą. Miał być przewrotnym komentatorem do odzyskanej wówczas politycznej i ekonomicznej swobody. Miał być dodatkiem do kawiarni, gdzie sztuka wkracza znienacka i rozkwita w niewymuszonej atmosferze. A doczekał się 3 sierpnia 1998 r. setnego przedstawienia!



*Jury na Mariensztacie:  
W. Malajkat, M. Wójcyszko,  
I. Cywińska,  
1998*

*Fot. Jan Rolke*

Ogródek rozrastał się i plenił. Zakwitał wydarzeniami. Znakomite zespoły zgłaszały się już nie tylko z całej Polski, ale i z Ukrainy, Czech, Niemiec, Litwy i Finlandii. Ogródek chciał i mógł stać się letnim międzynarodowym festiwałem. Festiwałem Kultury Tutaj Obecnej. Tutaj, w Śródmieściu Warszawy, w centrum jednoczącej się Europy, powinna się spotkać i porozumieć Północ z Południem oraz Wschód z Zachodem.

Marzył mi się choćby kawałek dachu, poletko przestrzeni, choćby cień nadziei, że budżet przyszłorocznego konkursu określony zostanie w styczniu, a nie dopiero w maju. Marzyło mi się, że VIII KTO będzie się rozgrywać w scenerii historycznej Doliny Szwajcarskiej, przypomni, czym było Frascati, wskrzesi Lapidarium i Dziekanekę, będzie nadal gościć na malowniczym Mariensztacie...



*Przewodniczący jury  
Jacek Sieradzki,  
redaktor naczelny  
„Dialogu”*

*Fot. Jan Rolke*

Mieliśmy sympatię widzów, łaskawość samorządów, uwagę mediów. Mieliśmy wszystko. Brakowało nam tylko stałego miejsca, większych pieniędzy, niezbędnego personelu. Marzył mi się na przełomie tysiącleci letni warszawski Avignon czy Edynburg na środkowoeuropejską skalę. Czy to mrzonki? Czy paradoks?

Ogródkowy paradoks polega na tym, że teatr na świeżym powietrzu idzie z Forum, a nie z Pałacu, z przykościelnego placu, z drewnianej szekspirowskiej budy, z rybałtowskiego igrania.

Dyrektor czy antreprenier teatru ogródkowego o tym wiedział i przyjmował swoją rolę. Odkrywca talentu Heleny Modrzejewskiej, twórca letnich sukcesów Adolfiny Z. – „okrutny” impresario Gustaw Zimajer był mi zawsze bliższy od sztuki spod znaku Teatrów Rządowych, którą sponsoruje „subtelny” namiestnik Sergiusz Muchanow...



## XXIII

## MEDIA ATAK I GRUPY TRZYMAJĄCE KULTURĘ

Był więc Mariensztat wielkim sukcesem, ale też pierwszym sygnałem ostrzegawczym. Bowiem siła mojego pomysłu przez sześć lat polegała na tym, że nikomu nie przeszkadzałem. Pracowałem latem, w dodatku prawie bez honorarium, innych do tego namawiałem, ściągałem media, zapewniałem publiczność. Wszyscy byli zadowoleni. A ja nie śmiałem upomnieć się o swoje: pieniądze, pozycję, lokal.

No, może najbardziej o tę pozycję dbałem. I w zamian za uznanie, za przyznanie mi prawa publicznego istnienia byłem skłonny poświęcić wszystko. Wolno mi jednak było działać tylko pod warunkiem, że nie wchodziłem nikomu w drogę. Póki swoją działalnością nie zahaczałem o czyjeś interesy. Tak było w lokalnej NTW i w ogólnopolskiej Polonii 1, którą zamknięto brutalnie rękami Cimoszewicza (był wicepremierem, ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym w rządzie Pawlaka), lecz przy aplauzie „Gazety Wyborczej” – bardziej kibicującej Marianowi Terleckiemu, nawet Mariuszowi Walterowi z głębokiej komuny niż Mirkowi Chojeckiemu, z którym Michnik stawiał pierwsze opozycyjne kroki. Tak było oczywiście z dziennikiem „Nowy Świat” Jerzego Grohmana i Piotra Wierzbickiego, skierowanym wprost przeciwko „Gazecie”, tak też będzie z Doliną Szwajcarską i z Frascati, które istnieć będą mogły dopóty, dopóki nie naruszą interesów grup trzymających kulturę.

Na Mariensztacie było jednak hałaśliwie. Z tego powodu kilku teatrów pokazać nie mogłem. Pamiętam szczególnie zgłoszenie Teatru Il Canto z Warszawy. Chcieli wykonać *Starcze szaleństwo* Adriano Banchieriego. To był, zdawało mi się, bardzo ciekawy projekt, który, jak przeczuwałem, podniósłby poziom Ogródka. Ale teatralizowanych muzyków wypłoszył hałas tramwajów dochodzący z pobliskiej trasy W-Z.

Więc niby było wszystko: i „Gazeta”, i Międzynarodowy Instytut Teatralny ITI, i Fundacja Batorego, i Małgosia Bocheńska z Salonem 101, i tłumy

z Andrzejem Sewerynem na widowni, i Kleyff z kolegami, i stałe relacje w WOT-cie, a nawet pojawiła się – jak ją po latach nazwie Iza Cywińska – „izdebka stróża” na Wilczej 72/12, załatwiona przez panią Ewę Domanus z Dzielnicy Śródmieście. A mogłem ją dostać po ulgowych cenach dla instytucji kultury, jako że było wiadomo, iż dom jest przeznaczony do zwrotu prywatnym właścicielom, więc najemca długo się tam nie utrzyma (istotnie wykwaterowano mnie w 2004 r., po pięciu latach). Więc niby było wszystko, a jednak się rozmyło. Jurorom nie spodobał się, co rozumiem, festynowy charakter Mariensztatu, więc rozbiegli się jak na komendę. I w następnym roku, w którym, uzyskawszy decyzję o warunkach zabudowy Doliny Szwajcarskiej, będę mógł już do niej wkrazać, będzie znowu „wszystko”... Tylko jury przyjdzie kleić od nowa.

Co właściwie miałem? Dobre imię. Niewielkie wymagania. Poczucie misji i nadzieję, która umiera ostatnia. Z rzeczy? Może ten obraz Olgi Wolniak z wyciętymi twarzami dla festynowych fotografii...

Wiele lat (od V do XIII Konkursu) go wykorzystywałem. Doszła mi teraz budka Domańci, no i moja karykatura, autorstwa Antka Chodorowskiego.

Karykatura, o którą poprosiłem go w ostatniej chwili. Zabrakło mu już papieru, więc zrobił ją nieformatowo, na odwrotnej stronie plakatu ogródkowego. Przy okazji zrozumiałem, jak trzeba doceniać momenty niezwykle, zauważać je, dokumentować. Są tacy, co mają naturalny odruch historyczny. Zakładają książki pamiątkowe, zbierają dedykacje. Pamiętam zdziwienie Uli Rzepczak (dziś korespondentki TVP w Rzymie), że nie zbieram wpisów od gości „*A Teraz Konkretnie*”. Cóż, wpisów nie zbierałem, ale mam nagrania z NTW. Przy Chodorowskim jednak olśniło mnie i zawdzięczam temu dniu karykaturę, która często starcza mi za sygnaturę.



ATK  
by A. Chodorowski

Za mną zostało siedem lat. W przelom wtargnęła polityka. Po Mariensztacie skończyła się druga kadencja samorządowa (1994-98). Można ją nazwać „komunistyczną”. W Śródmieściu był to sojusz SLD, reprezentowanego przez dyrektora

Marka Rasińskiego, i Unii Wolności, której zakładniczką była przyszła wieloletnia orędowniczka mojego Ogródka – Teresa Stankowa.

Radna Teresa do pozycji królowej kultury śródmiejskiej przebijala się uparcie. Przypominam ją sobie jeszcze w perkalowych bluzeczkach na pierwszych posiedzeniach rady dzielnicy, tworzonej podówczas z nadania Komitetu Obywatelskiego. Ot, skromna pani, z powstańczą przeszłością, zasłużona jakąś uczciwą podziemną robotą, jakimś rozdawaniem darów przy którymś z kościołów.

Nagle otrzymała władzę. Wraz z młodziutkim Robertem Kwiatkowskim zdecydowali w łonie zarządu Śródmieścia o losie każdego lokalu użytkowego wynajmowanego prywatnie. Nie wiem, ile prawdy jest w opowieściach o Don Roberto i Donnie Teresie, ale zmianę wizażu widać było gołym okiem. W miejsce ręcznych robótek jedwabne bluzeczki u Teresy. U Roberta dżinsy, w jakich razem zalepialiśmy podczas kampanii 1990 r. starówkowe płoty, ustąpiły miejsca garniturom od Brokera. Nie wiem, jak tam było. W końcu pensje członków zarządu dzielnicy do niskich nie należały. Co prawda, inny członek tego zarządu (ale żaden z wymienionych) przyszedł kiedyś na spektakl do Lapidarium, postawił jury szampa, następnie zaciągnął mnie po nocy do Lochu na Wąskim Dunaju, gdzie pił, płacił, gadał, a w końcu wyciągnął harmonię pieniędzy, by skwitować przed wyniesieniem się do taksówki: „Widzisz, co przyniósł jeden dzień?”.

Zobaczyłem. Ale ani nie uszczknąłem tych pieniędzy, ani nie zmusiłem drania, by pomógł moje Śródmiejskie Centrum Kultury wykreować.

Co do Tereski, to zapamiętałem, jak w końcówce mojej kadencji radnego zdesantowała mi się na Komisję Kultury, Oświaty i Sportu, by walczyć... a to o pieniądze dla szkoły teatralnej, a to o dotowanie jakichś fragmentów wystroju Teatru Wielkiego. Pieniądzy na kulturę Dzielnica Śródmieście miała sporo (około 10 milionów złotych, co w 1994 r. było jeszcze kwotą bliską miliona dolarów). Sam przekonywałem radnych o ponadlokalnych zobowiązaniach samorządu, jednak tak bezpośrednio wyęczanie ministerstwa kultury w jego ewidentnych zadaniach wydawało mi się przesadne. Rozumiałem jednak, że zarządzająca sklepami chce się jakoś nobilitować przez kulturę, i nie walczyłem zbyt ostro. Pani Stankowa przeprowadziła, co chciała.

W drugiej kadencji radnym już nie zostałem. Wygrały partie: Unia Wolności i SLD. Z Markiem Rasińskim, który w pełnym ostracyzmie przeżył w dwuosobowym składzie pierwszą kadencję samorządową, złych stosunków nie miałem choćby dlatego, że gdy wielu okazywało samotnym opozycjonistom z byłego

PZPR swoją wzdargę, ja rozmawiałem z nim chętnie i przyjaźnie. Także dlatego, że w czasie jego rzadkich wystąpień na radzie, gdzie przemawiał z ręką w kieszeni i swoistą dezynwolturą – trudno było nie doceniać jednak sporej wiedzy i doświadczenia wieloletniego prezesa Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. W odróżnieniu od wielu radnych, Rasiński udowadniał, że wie, o czym mówi, zwłaszcza gdy była mowa o pieniądzach.

Raz nawet zjednoczyliśmy się w samotnym wołaniu na puszczy. Zaprotestowałem bowiem przeciw zmianie nazwy alei Armii Ludowej na Piłsudskiego. Wywodziłem, że tej stalinowskiej architektury i znaku historii, który za sobą niesie, nie warto wykorzeniać, jeśli nie chcemy, by w odwecie nas za lata wyrugowano.

– Stwórzmy własne przestrzenie, ochrzczijmy je alejami Solidarności, skwerami Michnika, placami Bujaka – wołałem, gdy jeszcze żadna z warszawskich ulic nie była tak przezwana. – Więc niech wyrują imię marszałka, gdzie wola. Jam się w alei Armii Ludowej wychował – zakończyłem przemówienie na radzie gminy, opublikowane zresztą potem w „Tygodniku Solidarność” pt. *Przeciw burzeniu pomników*.

Sprawę nazwy ulicy w głosowaniu rady sromotnie przegrałem: tylko ja i Marek z jeszcze jedną radną z SLD głosowaliśmy przeciw zmianie. Z tym, że ja z czystego przekonania i wbrew mojej formacji, a Marek z pewnością głównie w imieniu AL-owskich kombatantów, których też reprezentował. Jest rzeczą ciekawą, że mimo wyniku głosowania nazwy ulicy nie zmieniono. Moje argumenty wówczas w 1990 r. nie zadziałały politycznie, lecz merytorycznie wzięli je pod uwagę radni z komisji miejskiej zajmującej się zmianą nazewnictwa i... odpuścili.

Nie masz już, nie masz nawet Marka, że nie wspomnę radnego Jana Gromnickiego z Ułanów Jazłowieckich w radzie. To radny Jan, inżynier w typie mego dziadka z przedwojennych galicyjskich urzędników, był wśród tych, co uratowali ostatecznie nazwę Armii Ludowej, przy której zresztą mieszkał. W zamian przywrócił nazwę Oleandrów ulicy Partyzantów, doprowadził do nadania imienia Ronda Jazdy Polskiej i przeprowadził budowę jej pomnika przy bezimiennym skwerze łączącym aleję Armii Ludowej z ulicą Waryńskiego.

W tamtej radzie byli tacy radni – razem ideowi i rozsądni. Wspaniałe przedwojenne typy. Byli, i przez te pierwsze lata Ogródkowi dali żyć. To były lata Lapidarium, Dziekanki, no i Mariensztatu, na którym po raz ostatni Marek i Teresa wręczali, wzrastające z roku na rok aż do 14 tysięcy złotych w 1998 r., Nagrody Dyrektora Dzielnicy Śródmieście.

Teraz, a więc na przełomie 1998/99, sytuacja była całkiem nowa. Nadchodziły wybory. W ich konsekwencji reforma samorządowa. Wojewoda (notabene bardzo zaprzyjaźniony Bogdan Jastrzębski), w imieniu którego wspierał mnie już skromnie kwotą 10 tysięcy złotych Andrzej Hagmajer, tracił jakiekolwiek uprawnienia kulturalne, przekazując je Sejmikowi. Sejmik, z Warszawskiego przekształcony w Mazowiecki, poszerzał znacznie swoje kompetencje. W Warszawie powstawały dwie nowe struktury: Gmina Centrum i Starostwo Powiatowe.

Zrekapitulujmy aktywa: otrzymałem 11-metrowy lokal na Wilczej, przystąpiłem do konkursu na dyrektora podległego wojewodzie Warszawskiego Ośrodka Kultury, który zaproponowałem zamienić na Mazowieckie Centrum Kultury, uzyskałem wreszcie na Media ATaK decyzję o warunkach zabudowy Doliny Szwajcarskiej (uprawomocni się po roku). I znowu wszystkie sznurki w ręku. Jednak na stanowisku utrzymałem się jakieś pięć miesięcy. Dyrektorem przestałem być bodaj w maju 1999 r. I... jakby nigdy nic, ruszyłem organizować VIII Konkurs. Po raz pierwszy w Dolinie Szwajcarskiej.



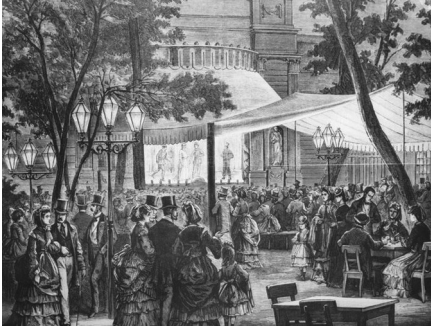
## XXIV

## DOLINA SZWAJCARSKA

Jak na nią wpadłem? Kiedy? Szczerze mówiąc, nie pomnę. Nie pamiętam też ślizgawki, o której potem tyle opowiadałem. A podobno jednak wylewano tam jakiś lód na przełomie lat 60. i 70. Ja wtedy chodziłem na Agrykołę. Dzwoniąc przykręcanymi do butów łyżwami, zbiegałem po torach saneczkowych w stronę połączonych ze sobą trzech kortów przy Myśliwieckiej, na których właśnie rozlewano lód.

Mnie Dolina kojarzy się z zapleczem lodziarni Palermo z Mokotowskiej, gdzie schodziliśmy z Sahibkiem (Andrzejem Axerem) na wycyganione przezeń lody. Sahibek jeszcze w późnych latach 60. wpadł na to, co Francuzi nazywają *marche*, czyli obchód. Składkę. Obiegał mianowicie całą szkołę „pożyczając” od każdego jakąś kwotę, która nawet dla dzieci zdawała się niewarta wzmianki: 10, może 20 groszy. W ten sposób po dwóch przerwach, zbajerowawszy 30-50 osób, miał 7,20 zł potrzebne na sześć kulek lodów. Był miły, ładny, zadbany – nikt mu nie odmawiał. Tak więc Axerek miał swoje wyżebrane sześć, czasem nawet siedem kulek, które zjadał w tempie, w jakim ja delektowałem się trzema, co najwyżej czterema, na które było mnie stać z kieszonkowego. Zajadając te swoje frykasy, wyprowadzał przy okazji „prawo Axera” brzmiące: smak lodów [S] jest iloczynem masy kulek [M] i czasu zjedzenia [T]. Czyli  $S = M \cdot T$ . Trzeba było czasu, bym pojął, że prawo to dla niektórych nie jest dalekie od moralności Kalego. I ci, którzy za komuny i od komuny dostali prestiżowe mieszkanie w alei Róż, nie dopuszczają nigdy, choć wprost będzie trudno to przyznać, by wróciła zniszczona przez dwie wojny tradycja.

Idea wszakże wydawała się piękna: Zapomniana Tradycja Doliny Szwajcarskiej, którą pan Kijowski odtwarza. Uruchomiłem prawdziwą kwerendę, by zebrać wszystkie, czy prawie wszystkie informacje, jakie o tym splachetku warszawskiej ziemi zebrać można. Od razu też pojawił się w „Gazecie Stołecznej” tekst



*Występy w Dolinie Szwajcarskiej*

zwracający – słusznie – uwagę, by nie spieszczać nazwy. Warszawiacy nie nazywali tego miejsca nigdy Dolinką, tylko Doliną.

Dziś wiem, że istniejąca do Powstania Warszawskiego Dolina Szwajcarska zajmowała kiedyś rozległą przestrzeń od ulicy Pięknej do alei Róż, aż po przebitą w XIX wieku ulicę Chopina. Ocalał zaledwie małeńki fragment ogródka oddzielony od Alei Ujazdowskich budynkiem sądu apelacyjnego, przed którym w 2005 r. postawiono pomnik generała „Grota” Roweckiego.

Jej dzieje zaczęły się około roku 1768, kiedy była jeszcze częścią Ujazdowa, a Stanisław August ofiarował te tereny ojcom bazylianom, stawiając im warunek, by wybudowali kościół i konwikt dla młodzieży pochodzącej z Rusi. Dał też zezwolenie na odbywanie kwest. Dzięki dotacjom królewskim budowa ruszyła z dużym impetem, później jednak zabrakło pieniędzy i bazylianie urządzili tam składy drewna, wapna i innych materiałów budowlanych. Wkrótce bazylianie zrezygnowali z ofiarowanych im terenów, gdyż zgromadzone środki okazały się za małe. Przyszła Dolina znowu stała się częścią Ujazdowa.

7 października 1825 r. tereny te przejął w wieczystą dzierżawę kapitan saperów Wojska Polskiego Stanisław Śleszyński. Okazał się obrotnym przedsiębiorcą. Założył tu rozległy ogród owocowy. Jak głosiła plotka, odkrył na tym terenie pozostawione przez bazylianów znacznych rozmiarów składowisko wapna, a fundusze otrzymane z jego sprzedaży przeznaczył na budowę pałacyku i ogrodu „fruktowego”.

Do budowy przystąpił w 1826 r. wraz z żoną Gertrudą Emilią z Jakubowskich i Józefem Foxem. Projektantem piętrowego pałacyku z portykiem i kolumnadą był Antonio Corazzi. Cała działka zajmowała wówczas ok. 4,5 ha. Dla publiczności ogród otworzono w 1827 r. Śleszyński urządził ten teren jako park publiczny: z licznymi pawilonami kawiarnianymi w stylu „architektury szwajcarskiej”.



Badacze do dziś nie ustalili pochodzenia nazwy Doliny Szwajcarskiej, choć być może wzięła się od wzniesionych tu drewnianych altan w stylu szwajcarskim. Właściciel odnajmował je handlarzom piwa oraz cukrów i kielbaśnikom. Z czasem ogród w Dolinie ozdobiły starannie wytyczone ścieżki oraz klomby kwiatowe. Latem spacerowiczom przygrywała muzyka.

Śleszyński, wcześniej jeżdżąc po Europie, zaważdził o Szwajcarię. Tam wpadły mu w oko charakterystyczne altanki, które zapragnął mieć w otaczającym jego rezydencję ogrodzie. Wybór takiej ich formy nie był z pewnością przypadkowy. Co lepiej pasowałoby do Doliny, jak nie modne w tym czasie domki-pawilony z romantycznej i podziwianej Szwajcarii? Charakterystyczne dla końca XVIII i całego XIX wieku zainteresowanie pięknem natury i krajobrazu odzwierciedlało się w sposobie kształtowania założen ogrodowych. Schemat ogrodu urządzonego w stylu krajobrazowym z licznymi pawilonami kawiarnianymi był powszechnie stosowany dla parków miejskich i uzdrowiskowych XIX wieku. Niemal każdy ówczesny park posiadał ozdoby kwiatowe, układy alejowe, ogrody tematyczne (rózanki, alpinaria, ogrody wodne...), altany wypoczynkowe i koncertowe.

25 maja 1852 r. sprzedał Śleszyński Dolinę Szwajcarską po połowie dwóm małżeństwom: Dziechcińskim (zakupili część z nieruchomością) oraz Winnickim (część z ogrodem). Nowi właściciele rozpoczęli wielką rozbudowę ogrodu w 1855 r., budując największy w ówczesnej Warszawie gmach koncertowy – Salon Wielkiej Alei (wg projektu I. Leona Esmanskiego). Inauguracja nastąpiła 9 lub 11 października 1856 r., koncertem orkiestry Escherta. Jednak zdaniem Stanisława Szenica i Józefa Chudka, autorów *Najstarszego szlaku Warszawy*, artysta nie zdobył uznania publiczności i wkrótce został zastąpiony przez Leopolda Lewandowskiego i Kuhnego. Szczególną popularnością cieszył się Lewandowski, którego nazywano warszawskim Straussem, a bez niego nie mógł się obejść żaden bal.

W wielkim gmachu koncertowym dorównującym gmachom niektórych filharmonii europejskich odbywały się koncerty z udziałem Jana i Edwarda Strausów, Beniamina Bilsego, Ignacego Paderewskiego, Władysława Sygietyńskiego. Wielką popularność zyskała zwłaszcza orkiestra Bilsego z Legnicy, który według badacza dziejów muzyki warszawskiej Mieczysława Skarzyńskiego w latach 1857-79 dominował w tutejszym życiu muzycznym. Na jego koncerty przychodziły ogromne tłumy.

Już rok później Artur i Pelagia Winniccy odsprzedają swoją część nieruchomości Karolinie z Wisnowskich Wedłowej, która w latach 60. XIX wieku sprze-

daje Dolinę Szwajcarską Beinowi. Po powstaniu styczniowym Dolina zostaje na drodze publicznej licytacji sprzedana kupcowi bławatnemu A. Włodkowskiemu, który w 1869 r. rozbudował Salon Wielkiej Alei zgodnie z projektem Ludwika Żychlińskiego i budowniczego Sztarka z Berlina. Przed budynkiem urządzono taras. Wnętrza ozdobiono pilastrami, lustrami i dekoracyjnymi stropami. Ozdobną posadzkę wykonała znana firma meblarska Simmlerów. Wzniesiono sale jadalne i galerie. Całość uzyskała nieco eklektyczny charakter z przewagą form renesansu i klasycyzmu. Nowo otwartą restaurację wydzierżawiono Aleksandrowi Jałoszyńskiemu, który urządzał tu zabawy taneczne i maskarady ogrodowe.

Po remoncie budynku Włodkowski wynajmuje go kolejno różnym restauratorom (m.in. A. Jałoszyńskiemu, Ablowi, Igielowi, Wojakowskiemu, Waśniewskiemu).

W 1874 r. w części przy ul. Mokotowskiej otworzono Nową Szwajcarię (ogród zabaw dziecięcych). Pod koniec XIX wieku okolice Doliny Szwajcarskiej stają się bardzo atrakcyjnym terenem pod zabudowę. W 1877 r. powstaje aleja Róż (wykrojona z terenu parku), podobnie w 1890 r. – ul. Szopena (obecnie pisana: Chopina).

Ogromną popularnością cieszyły się w Dolinie występy rozmaitych magików, jasnowidzów i połykaczy ognia. Dotarcie ułatwiał publiczności dochodzący do Doliny tramwaj konny, uruchomiony w latach 80. XIX wieku (cena biletu do Doliny wynosiła siedem kopiejek). Organizowano liczne konkursy i wystawy (I Samodzielna Wystawa Ogrodnicza – 1881 rok). Zimą natomiast Dolina Szwajcarska zmieniała się w najwytworniejszą ślizgawkę stolicy. W 1887 r. założono pierwszą ślizgawkę, która w ciągu jednego zaledwie sezonu stała się najpopularniejszym lodowiskiem Warszawy. Powstały także korty tenisowe i wrotkarnia, jesienią zaczęto organizować targi owocowe i jarmarki „płodów ziemi” (dużą popularnością cieszyły się organizowane w Dolinie Szwajcarskiej korowody kwiatowe).

Popularność ogrodu spowodowała, że z czasem pawilony zostały zastąpione letnią salą koncertową (zamienioną później na kino), w której odbywały się różnego rodzaju sezonowe spektakle, wystawy i koncerty. W latach 80. XIX wieku wydzierżawił teren Niemiec Salomonsky (dyrektor cyrku letniego). Od 1887 r. dzierżawę przejmuje Konstanty Kuziński, a od 1895 r. Warszawskie Towarzystwo Łyżwiarskie, które niezabudowany teren wydzierżawia Kożuchowskiemu celem rozszerzenia terenu spacerowego dla organizacji balów, zabaw ogrodowych, konkursów itp. W końcu XIX wieku teren pomiędzy Salonem a Alejami

Ujazdowskimi Warszawskie Towarzystwo Łyżwiarskie (WTŁ) odsprzedaje Maurycemu Spokornemu, który buduje w tym miejscu olbrzymią, pięciokondygnacyjną kamienicę według projektu Dawida Landego. W latach 1895-98 WTŁ rozbudowuje Salon. Latem w Dolinie Szwajcarskiej koncertowały liczne orkiestry, zarówno krajowe, jak i zagraniczne, odbywały się przedstawienia teatrzyku ogrodowego. W 1898 r. zgodę na prowadzenie teatru również po zakończeniu okresu letniego otrzymał dyrektor ogródkowego Teatru Odeon – Przybylski. Przedstawienia miały się odbywać początkowo w Dolinie Szwajcarskiej. Rok później po zakończeniu sezonu ogródkowego teatralna trupa komediowo-operetkowa Adolfiny Zimajerowej i Marcellego Trapszy w październiku i listopadzie zagościła w Dolinie Szwajcarskiej.

U schyłku XIX stulecia założono w Dolinie tak zwany cyrk letni (zimowym nazywano odtąd cyrk braci Staniewskich na ulicy Ordynackiej), wycięto sporo drzew, zbudowano stajnie dla koni i baraki dla akrobatów. Dolina z muzycznego salonu Warszawy stawała się miejscem popularnej rozrywki. Muzyka z trudem wytrzymywała konkurencję.

Już na początku XX wieku, w wyniku parcelacji, teren parku został znacznie okrojony i zabudowany. Przed II wojną światową granice ogródka były niemalże takie same jak dzisiaj.

Sam teren ogródka był nawet jeszcze bardziej „uwięziony” wśród zabudowy, gdyż oprócz ogrodzenia w postaci muru z prześwitami, od strony wschodniej ograniczał go okazałych rozmiarów budynek z salą koncertową połączony z willą Warszawskiego Towarzystwa Łyżwiarskiego, mieszczącą się na rogu ul. Chopina i Alej Ujazdowskich.

Kamienicę wznosił w 1903 r. Maurycy Spokorny z przeznaczeniem na dom dochodowy. Potężna, narożnikowa, otrzymała secesyjno-modernistyczny wystrój z narożnikiem zwieńczonym wieżyczką (usuniętą w latach 20. XX wieku). Elewację urozmaicały wykusze, balkony, loggie oraz lekki, secesyjny detal. Ostatnie piętra zakończono fantazyjnymi łukami, a elewację od strony Alej Ujazdowskich alegorycznymi rzeźbami Sławy i Wiedzy, autorstwa Stanisława Lewandowskiego.

Od 1910 r. mieszkał w kamienicy Czesław Przybylski, który posiadał tu swoją pracownię architektoniczną. Budynek w czasie wojny został wypalony, jednak jego mury pozostały prawie nienaruszone. Ruiny rozebrano około 1947 r. W tym miejscu stanął mały Dom Partii, czyli dzisiejszy Sąd Apelacyjny.

Obecnie na miejscu sali koncertowej przechodzi uliczka dla pieszych oraz znajduje się parking dla samochodów. Coraz bardziej uszczuplany teren nie sprzyjał rozwojowi tego miejsca. Powstają tu co prawda jeszcze w XIX wieku pierwsze betonowe korty (w początkach XX wieku pokryte asfaltem), lecz powoli park przestaje być miejscem sprzyjającym koncertom. Najpierw stał się terenem sportowym i wystawowym, później, w okresie międzywojennym, również miejscem manifestacji politycznych.

Rok 1939 przyniósł upadek Doliny. Nikt jej już nie odwiedzał ze względu na zbyt bliskie sąsiedztwo gestapo w alei Szucha. W czasie powstania przebiegała tędy linia walk, w trakcie których Dolina uległa kompletnemu zniszczeniu.

Wojna ostatecznie niszczy to, co pozostało po wcześniejszej parcelacji parku (pozostaje ok. jednej szóstej powierzchni z początkowej własności Śleszyńskiego). Co prawda, pałacyk Śleszyńskich przetrwał jako jeden z nielicznych budynków Warszawy, ale teren zamieniony na dzielnicę ambasad już nigdy nie odzyskał swej pozycji salonu muzyczno-kulturalnego, czy to z powodu niewielkiej powierzchni, czy braku wydarzeń kulturalnych (zabrakło teatryku ogródkowego, koncertów, maskarad i fajerwerków), w większości zamkniętych w salach teatrów, oper, domów kultury lub przeniesionych do nowo powstających „parków ludowych”.

Na początku lat 50. zabudowaną pałaczkami ulicę Chopina uzupełniono tzw. małym Domem Partii, w którym działał Komitet Warszawski PZPR. Przed budynkiem urządzono spory parking. Pozostałością po tamtej Dolinie jest miniaturowy ogródek z tarasami i fontanną, zaprojektowany w 1951 r. przez Zygmunta Stępińskiego i J. Dworakowską. Socrealistyczne rzeźby wykonane zostały przez R. Łukianowa. O dzisiejszym kształcie Doliny Szwajcarskiej zdecydowała zatem nie tyle niszcząca siła wojny, co brak woli odbudowania jej w dawnym kształcie. Dla ludu przewidziano inne miejsca zabaw, takie jak Park Kultury czy Rynek Mariensztacki, niebudzące wspomnień po burżuazyjnej Warszawie.<sup>1</sup>

1 Mnóstwo osób pomagało mi w tej pracy. Najpierw pani Danuta Szmít-Zawierucha i Joanna Dudek-Klimiuk, a także urzędniczki, pozytywnie opiniujące moje plany, z których niejedna wygrzebała jeszcze faktik – czy to pani Ewa Pustola-Kozłowska, czy Ewa Nékanda-Trepka.

Opierałem się też na opracowaniach: Stefan Kieniewicz, Warszawa w latach 1795–1914; Wiesław Głębocki, Karol Móravski, Warszawo – Ty moja Warszawo; Dzieje teatru polskiego pod red. Tadeusza Siverta, t. III i IV; Jerzy S. Majewski, Tomasz Markiewicz, Warszawa nie odbudowana; a także na tekstach publikowanych w „Gazecie Stołecznej” (Jerzy S. Majewski, Jarosław Osowski, Wójcicch Nowosielski).

XXV  
PARA W GWIZDEK!!!  
OD GĄSIOROWSKIEGO PO GACHSA

Rozdział XXV Para w gwizdek!!! Od Gąsiorowskiego po Sachsa

Trzeba, by kumpel został prezydentem miasta. Inaczej, jak widać, się nie da...

Myśl o Dolinie Szwajcarskiej zaczęła mi świtać jeszcze w Dziekance. Gdzieś około 1996 r. Lansowałem tę ideę w telewizyjnych programach i wywiadach, dzieliłem się pomysłem z dziennikarzami. Te moje enuncjacje zaczęły jednak wzbudzać coraz większy opór. A o sojuszników – trudniej. W Dolinie nie było wszak kawiarni ni ajenta, pod którego mógłbym się podczepić – o Dolinę musiałem wystąpić sam.

I występowałem. Pierwsze wnioski i projekty dotyczące Doliny Szwajcarskiej zachowane w moim komputerze pochodzą jeszcze z 1996 r. Po sezonie letnim myślałem już o zimowej „przygrywce”. Zaproponowałem więc Andrzejowi Kowalskiemu i Teresie Stankowej z Urzędu Dzielnicy Śródmieście organizację imprezy mikołajkowej. Chciałem, by około 6 grudnia zorganizować zimowy festyn, którego celem miało być zwrócenie uwagi na Dolinę Szwajcarską. Przypomnienie, że może stać się jak dawniej miejscem kulturalnych spotkań warszawiaków, miejscem tradycyjnych kwest, koncertów, imprez rodzinnych.

„Mikołajki” w Dolinie Szwajcarskiej to miała być właśnie familijna, przedświąteczna zabawa. W otwartej przestrzeni Doliny chciałem postawić estradę. Na niej miały się odbywać występy, pokazy, tu młodzi widzowie mogliby sami coś zaśpiewać. (To jeszcze nie był czas karaoke, lecz coś takiego chodziło mi po głowie).

Śnił mi się troszkę Wiedeń, do którego trafiliśmy w tym czasie na sylwestra. Wiedeń z uliczną zabawą i wolnymi estradkami do tańczenia w rytm melodii Straussów. Straussów, którzy przecież nieraz i w Dolinie koncertowali. Wyobrażałem sobie, że w centralnym miejscu stoją sanie z psim zaprzęgiem. W nich miał

zasiadać Mikołaj. Można by się z nim przejechać. Zrobić pamiątkowe zdjęcie. Zabawę chciałem połączyć z kwestą na rzecz biednych dzieci. Porozumiałem się nawet w tej sprawie z hufcem ZHP Warszawa Śródmieście i ich Akcją Bieszczadzką oraz Towarzystwem „Nasz Dom” i Akcją „Zima Dzieciaka”. Miał, rzecz jasna, grać jeszcze jakiś zespół muzyczny lub orkiestra, wykonując utwory świąteczno-taneczne. Przewidywałem konkurs na najpiękniej zaśpiewaną kolędę. Mieli występować clowni, mimowie parodiujący znane utwory muzyczne, a także wciągający publiczność do działań happeningowych (proponowałem występy duetu Białe Clowny). W przerwie między występami dzieciaki ucharakteryzowano by na małe clowny. Jeszcze jakiś konkurs układania świątecznych stroików, przy pomocy dekoratora z firmy Art Decor, Gardenia lub innej, skłonnej dostarczyć przygotowane elementy, z których można by ułożyć ozdobę... No i sprzedaż kartek z widokiem Doliny Szwajcarskiej. O miejscu tym opowiadałby varsavianista, inicjując akcję zbierania zdjęć, widokówek i innych pamiątek związanych z tym miejscem.

Następne wspólne spotkanie odbyłoby się 1 stycznia. Wyobrażałem sobie wtedy taki „sylwesterek” dla maluchów, które zostały na noc z babkami, a teraz zmierzającym popołudniem, około siedemnastej, chętnie z rozbudzonymi rodzicami przyszłyby się zabawić, oglądać zebrane na mikołajkach pamiątki.

Udział mediów zdawał się oczywisty. Do współorganizacji i promocji imprezy możliwe zdawało się zaproszenie kogoś z dzienników: „Gazety Wyborczej”, „Życia” czy „Życia Warszawy”. A i sponsorzy z Wedlem na czele (wszak Dolina kiedyś należała do Wedlowej), reklamujący swoje wyroby i wręczający dzieciom słodycze, wydawalioby się, że nie powinni zawieść. Słowem: festyn, jakich wiele wszędzie, tylko nie w Warszawie, nawet nieco jarmarczny, gdyby wydziały handlu wyraziły zgodę na udział sprzedawców oferujących świąteczne drobiazgi.

Nic z tego nie wyszło. Nikt już niczego nie czytał ani nikogo nie słuchał, a w każdym razie nie mnie, skoro przestałem być radnym i straciłem telewizję. Pozostałem jedynie facetem, który ma pomysły. Za wiele pomysłów pewnie, i nie bardzo wiadano, o co mi chodzi. Z kim gram i o co. Bo przecież odpowiedź najprostsza i prawdziwa, że chodzi mi o publiczność i o czerpanie satysfakcji z dobrej imprezy, nikomu prawdziwa się nie wydawała. Konkurs Teatrów Ogródkowych, raz przyjęty, miał już swoją markę. Elementarnie inteligentni ludzie, tacy jak Teresa Stankowa czy Marek Rasiński, nie widzieli powodu go niszczyć, tym bardziej że doceniali reklamę, jaką im przynosi. Poznali mnie zresztą i wiedzieli, że gram już w innej lidze, więc moja obecność im nie zagraża.

Po nich przyjdą gorsi. Jednak i oni nie umieli skupić się na nowych przedsięwzięciach. Marek werbalnie wsparł ideę zagospodarowania Doliny, lecz skończyło się na słowach. Z pozoru serdeczna Tereska Stankowa nie wiem nawet, czy projekt mych zimowych imprez przeczytała. W każdym razie nie zyskał jej akceptacji. I trzeba było siedmiu lat, by na kanwie tego pomysłu wykuła się organizowana już siłami Domu na Smolnej impreza: „Inwazja Gwiazdkowych Skrzatów”.

No, ale do tego było trzeba, by kumpel został prezydentem miasta. Inaczej, jak widać, się nie da...

Na razie jednak proponowałem. Proponowałem też od dawna zorganizowanie na wolnym powietrzu 1 stycznia imprezy noworocznej dla małych dzieci. Proponowałem imprezy karnawałowe przy bardziej lub mniej improwizowanej ślizgawce. Z papieru zużytego na kolejne wydruki poprawianych wersji mych projektów starczyłoby budulca, by las birnamski wskrziesić.

Żądano ode mnie najrozmaitszych uzgodnień. Tymczasem urzędnicy gminni zostali zaatakowani przez przedstawicieli wspólnot mieszkaniowych otaczających Dolinę. Mieszkańcy byli zdecydowanie przeciw. Burmistrz (a raczej dyrektor dzielnicy), którą to funkcję w latach 1994-97 sprawował Marek Rasiński, przy najmniej formalnie ideę popierał, ale od akceptacji do zatwierdzenia droga była daleka.

Telewizyjnie lansowałem tę ideę już od programu zrealizowanego w TVP 1 w 1996 r. Program ten, zrobiony po V KTO, wprawdzie wtedy emisji się nie doczekał, ale podczas którejś z rozmów w TV Polonia rok później wyemitowałem ten materiał na cały świat. Rasiński wypowiedział się tu pięknie i wspierająco. Wreszcie w lipcu 1997 r., w czasie, gdy VI KTO odbywało się po raz ostatni w Starej Dziekance, z poparciem dyrektora dzielnicy doszło do spotkania w urzędzie przy Nowogrodzkiej. Już byłem w Ogródku, już witałem się z gąską – 17 lipca 1997 r. W spotkaniu wzięła udział Ewa Domanus, zastępca dyrektora Dzielnicy Śródmieście, oraz Teresa Stanek, też zastępca dyrektora. Uczestniczyli w nim również: wojewódzki konserwator zabytków, dyrektor Zarządu Terenów Publicznych oraz naczelnik Wydziału Architektury Dzielnicy Śródmieście. Omówiono plany zagospodarowania przestrzennego i proponowany przez Media ATaK projekt przywrócenia tradycyjnych funkcji rozrywkowo-kulturalnych Dolinie Szwajcarskiej (obiektowi ochrony konserwatorskiej znajdującemu się na terenie zespołu administracji państwowej i placówek dyplomatycznych „Aleje Ujazdowskie” [UA1/SE/2]).

Ustalono, co następuje:

1. Wydaje się celowe proponowane przez firmę Media ATaK przywrócenie Dolinie Szwajcarskiej tradycyjnej funkcji, jaką było pełnienie przez nią roli rodzinnych rozrywek kulturalnych dla mieszkańców Śródmieścia.
2. W planach rekonstrukcji Doliny należy uwzględnić w pierwszym etapie budowę teatru letniego (projekt na kanwie rysunków Józefa Galewskiego z początku wieku [dwudziestego]).
3. Rekonstrukcja historycznych funkcji rozrywkowych Doliny Szwajcarskiej nie może się odbywać kosztem naruszenia swoistej rzeźby krajobrazowej ani prowadzić do zmniejszenia drzewostanu.
4. Wszelkie plany inwestycyjne dotyczące rozwoju letnich koncertów i gastronomii na tym terenie muszą uzyskać akceptację Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.
5. Prowadzona na tym terenie działalność kulturalna i gastronomiczna wynikać będzie z założeń polityki kulturalnej dzielnicy, a w szczególności nie może zakłócać spokoju okolicznych mieszkańców.

I pięknie. Rozpoczęła się zmundna droga uzgodnień warunków zabudowy. Zgód wydawanych przez urząd, odwołań wspólnot mieszkaniowych, odmów wojewódzkiego, pozwoleń generalnego konserwatora zabytków, apeli znakomitości. Notabene apel napisał ściśle związany z rządzącą Warszawą w stanie wojennym komunistyczną siłą, wcale niezły poeta, potomek Wacława Gąsiorowskiego rodzony brat Małgorzaty Bocheńskiej – Krzysztof Gąsiorowski.

Adresatami byli: generalny konserwator zabytków – profesor Andrzej Tomaszewski, prezydent Miasta Warszawy – Marcin Świącicki, dyrektor Dzielnicy Śródmieście Gminy Warszawa Centrum – Marek Rasiński, wojewoda warszawski – Maciej Gielecki oraz wojewódzki konserwator zabytków – Maria Brukalska.

## A P E L

*Nasze miasto Warszawa zmienia się żywiolowo. Istnieją piękne plany i założenia architektoniczne. Jednak decyzje urzędników nie mogą rodzić się na papierze, lecz wsłuchiwać się w życie miasta.*

*Chyba ciągle najwspanialszą arterią Warszawy jest Trakt Królewski. I oto okazuje się, że w swojej najpiękniejszej części, między placem Trzech Krzyży a placem Na Rozdrożu, jest to szlak martwy, wykorzystywany co najwyżej przez nielicznych przechodniów. Nic tutaj się nie dzieje, a przecież od co najmniej stu lat był tu jeden z ośrodków miejskiego życia.*



*Przywróćmy naszemu miastu, jego mieszkańcom i gościom Dolinę Szwajcarską, wypełniającą dziś jak pusty basen skrzyżowanie ulicy Chopina z Alejami Ujazdowskimi.*

*To przykre, że ten uroczy, poniekąd zabytkowy zakątek w samym sercu Warszawy zamienił się w kamienną pustynię. W PRL-u Dolinka opustoszała, bo sąsiedował z nią urząd partyjny. Niegdyś tętniło tu życie przez cały rok. Działała kawiarnia, występowała artyści, grali muzycy, odbywały się widowiska teatralne. Zimą czynne było lodowisko. Dzisiaj jest tu pusto i głucho.*

*Odtworzmy Dolinę Szwajcarską. Przywróćmy ją Warszawie, ożywy Trakt Królewski. Pojawiła się taka możliwość. Od siedmiu lat mieszkańcy stolicy i liczni turyści odwiedzający Letni Konkurs Teatrów Ogródkowych udowadniają miastu, że istnieje potrzeba stworzenia teatru letniego, kawiarnianego, osadzonego w miejscu zarazem centralnie usytuowanym, kameralnym i cichym.*

*Postulujemy wykorzystanie wieloletniego dorobku reżyserskiego i organizacyjnego Andrzeja Tadeusza Kijowskiego i tradycji Ogólnopolskiego Konkursu Teatrów Ogródkowych, wspierając jego starania o założenie w Dolince Szwajcarskiej artystycznego ogródka ze scenką teatralną, tak jak pamiętają to miejsce najstarsi mieszkańcy. Tak pomyślana działalność na pewno nie będzie dokuczliwa dla otoczenia, a otworzy to miejsce dla mieszkańców Warszawy.*

*My niżej podpisani, tworząc Komitet Restytucji Doliny Szwajcarskiej, apelujemy do samorządowych władz Miasta Warszawy, wojewody warszawskiego, a także do Generalnego Konserwatora Zabytków, do wszystkich władz znających Warszawę i potrzeby jej mieszkańców, o poparcie w miarę swych możliwości i kompetencji tej inicjatywy.*

*Nasze miasto wciąż nie za wiele godziwej rozrywki ma do zaoferowania. A to stolica Polski. Europejska stolica.*

*Podpisujemy ten apel z pełnym przekonaniem.*

Zbieraniem podpisów zajęła się Małgosia Bocheńska, której udało się skupić wokół mej idei dziesiątki autorytetów, włącznie z plejadą najwybitniejszych urbanistów warszawskich. Byli to: **Stanisław Wyganowski**, b. prezydent Warszawy, przewodniczący Towarzystwa Urbanistów Polskich; **Bohdan Jastrzębski**, b. wojewoda warszawski; **Olgiert Dziekoński**, architekt i potomek znanej architektonicznej rodziny, b. wiceprezydent Warszawy i podówczas prezes Agencji Rozwoju Komunalnego; **Czesław Bielecki** (używający w podziemiu solidarnościowym pseudonimu Maciej Poleski), architekt, a w tym czasie przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych; **Jan Rutkiewicz**, b. burmistrz

Dzielnicy Śródmieście Warszawa, też architekt; **prof. Marek Kwiatkowski**, dyrektor Królewskich Łazienek; **prof. Andrzej Rottermund**, szef Zamku Królewskiego i **Anda Rottenberg**, dyrektor Galerii Zachęta.

Papier jest ciepły. Fale eteru też. Mimo takiego poparcia o wpuszczeniu mnie do Doliny Szwajcarskiej nie mogło być mowy. Jak się o tym tylko dowiedzieli mieszkańcy alei Róż, protestom nie było już końca. Ponad półtora roku potrwa, aż się z tych pism i protestów złoży uzgodnienie warunków zabudowy. Ale się złoży! I pozwoli mi wejść wreszcie do Doliny po raz pierwszy w 1999 r. Jednak opór mieszkańców, ustosunkowanej nomenklaturowej klienteli alei Róż, okaże się w końcu nie do przebicia. Mimo że nawet w kolegium odwoławczym wygrywałem sprawy, mimo że w 2000 r. warunki zostały ostatecznie uzgodnione. Nic nie dane mi było budować.

Bój o Dolinę trwał dwa i pół roku. Wspierali mnie intelektualiści, artyści, dziennikarze. Urzędnicy (zwłaszcza ci wyższego stopnia) mówili to, co dobrze brzmiało, co ja i prasa chciałem usłyszeć. Nie było tak, bym tego nie wiedział, nie czuł, nie był gdzieś wewnątrznie świadom, że, mówiąc cytatem biblijnym, chętnie przywoływanym przez mego Ojca: „kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie” (Mat. 13, 12).

No, a ja tak naprawdę nie miałem. Gdybym miał naprawdę bogatego wuja albo gdybym mógł jak Broniek Wildstein w Paryżu po pieniądze na „Kontakt” zgłosić się do Gminy. Wszakże szukałem drogi. Pracowałem z Marynką Bersz. Ktoś podał mi namiary Karola Sachsa, architekta i szefa Banku BISe; goniłem za nim od Paryża po warszawską ulicę Dubois. Bezskutecznie występowałem o środki do Fundacji Kronenbergów. Gdy Broniek Wildstein został po raz kolejny bez pracy, usunięty z „Wprostu”, miał do wyboru „Rzepę” i „Wyborczą”. Zaproponowałem mu wówczas współpracę – oczywiście grzecznie wzgardził ogródkową ofertą.

Nie dane mi było poznać swojego kuzyna. A jak nie masz wujka w Gminie, pieniędzy też nie uświadczysz.

## XXVI

## MIĘDZY NAMI - SZWOLEŻERAMI!

Ukochaną lekturą mego dzieciństwa były czytane mi przez Ojca utwory Walerego Przyborowskiego. Nauczyciela, historyka, powstańca. Jednego z tych, którzy stanowią sól ziemi inteligencji polskiej. Otóż, przygody Stacha kończą się powrotem szwoleżerów do Warszawy. Z jakimś (zapewne na wojnie zdobytym) mająteczkiem żyją sobie w latach 1820–1860 spokojnie. I żyć im jakoś nikt nie broni. Może takim Stachem był Śleszyński, też żołnierz napoleoński, który powróciwszy do Warszawy, przejął pobazyliąńską schedę i miejsce, które prawie sto lat stanowiło ważny przybytek kulturalny stolicy. Instynktownie stworzył parkowy, więc bardziej otwarty salon, gdzie mogły mieszać się style życia nowych klas: zubożałej szlachty ściągającej do miast i zyskującego na znaczeniu mieszczaństwa.

Jakże mała jest nasza wiedza na ten temat. Jak szybko w tył odbiega tak niedawna, zdawałoby się, historia. Na pytanie, jaką rolę pełniły w XIX-wiecznej Europie Doliny Szwajcarskie – właściwie nikt mi nie odpowiedział. A przecież do szukania odpowiedzi wzięliśmy się profesjonalnie. Zatrudniłem znawczynię od architektury ogrodowej z SGGW, panią Joannę Dudek-Klimiuk, pomocny okazał się też Warszawski Ośrodek Telewizyjny (WOT).



*Dolina Szwajcarska  
Wrotkania*



*Maria Prażmówna, „Express Poranny”  
z 31 sierpnia 1927 r.*

Jednak kwerenda nie dała wielkich rezultatów. Pokazała, jak mało warszawiaków żyje w tym miejscu od pokoleń. Jak kruchą jest historia miasta opuszczonego i wielokroć podbijanego. A przecież nie jest tak, by tych pamiątek nie było. Ani by ludzie nie chcieli ich wydobywać. Jest tylko tak — że tego typu ludzi jest bardzo mało.

Gdy po sześciu latach odkryje moją Dolinę Ela Ryl-Górska (a ja jej talent), przyniesie mi wycinek „Expressu Porannego” z 1927 r. z informacją, że jej matka „p. Maria Prażmówna, uczennica szkoły śpiewu p. Sobolewskiej, występowała ostatnio z dużym powodzeniem na koncercie w «Dolinie Szwajcarskiej»”.

W dzisiejszej stolicy strasznie mało jest miłośników tradycji przechowywania pamiątek. Warszawiacy nie kochają swego miasta. Telewizja regionalna pracuje dla reklamy i polityki. Firmy myślą o szybkim zysku. Przybyli z Katowic, Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego czy nawet ze Szwajcarii, ale pod Suwałkami, jej władarze nie myślą o przestrzeni publicznej, lecz o własnych pieniądzach i szybkiej karierze.

Powodów jest multum. Pierwszym powojenne rozpadnięcie mieszkańców lewobrzeżnej Warszawy. Prawie nikt po tej stronie Wisły nie mieszka w trzecim



*Dolina Szwajcarska  
Łyżwiarze*

pokoleniu, a tych nielicznych, których biblioteki, zbiory, pamiątki, precjoza spalone, bardzo trudno skłonić, by na powrót zechcieli gromadzić archiwa. Zrozumiałem to, gdy bez przelewu krwi, bez pożaru, lecz nie mniej podle ograbiono mnie z domu, rodziny, latami gromadzonej biblioteki. Bardzo trudno budować na gruzach. A nasze „miasto ciemne”, jak pisał Baczyński, „oddycha długimi wiekami”, spowiada „dawnych grobów żalność”. Trzeba pokoleń, by to zmienić.

A jednak – gdy wspominamy nawet na blogu Agrykołę dzieciństwa, gdy „Tankista” prowadzi śledztwo sięgające roku 1824, widać, że zmysłu historycznego nie da się wykorzenić z człowieka. Dzięki pomocy „T-73” jedno udało się ustalić, co sporo tłumaczy: Śleszyński był nie tylko saperem i obrotnym przedsiębiorcą. Był także masonem, a ja, co ze skruczą wyznaję – niestety nie...

W Dolinę w 1999 r. wkroczyłem goły jak święty turecki. Bez kawiarni w zapleczu. Świeżo pozbawiony posady w Szpitalu Świętego Ducha na Elektoralnej, przy pomocy której, nie ukrywam, miałem nadzieję tę przestrzeń podbijać. Szukałem sponsora. Wydawałoby się, że przyszedł nań czas. Kontakt na dużą, czyli bogatą firmę impresaryjną otrzymałem *via* mamusia koleżanek moich córek z prywatnej szkoły i pani Dorota Wyżyńska z „Gazety”. Trudno lepiej.

Miłe młode brunetki miały dwa garaże, prowadziły jakiś festiwal kawy. Bodaj Tchibo. Wzięły moje „formaty telewizyjne”. Ale... No właśnie, gdzieś było to ale.

Pani Wyżyńska, gdy nagle, niespodziewanie i z czyjejs niewątpliwie inspiracji z przyjaciółki Ogródka przemieni się we wroga, napisze po latach, że zrażałem do siebie ludzi. Czym ją i te panie zrażałem? Czy tylko tym, że było widać, iż nie zrobi się ze mną taniego geszefu? Czy tym, że pracuję na siebie? Czy tym, co może najwyraźniej powie mi Halina Machulska po kilku miesiącach próbnej współpracy (z rekomendacji Macieja Wojtyszki miałem jej pomagać przy Festiwalu



*Salon wielkiej alei*

Korczak): „Ja zawsze pracowałam zespołowo”. („Pan jest typem samotnika, który lansuje siebie”, doda po latach).

Fakt. Nie ukrywam. Tym tekstem też znaczę własne ślady.

Więc na nowo, choć zawsze pod górkę (z Towarzystwem Teatralnym „Pod Górkę” w odwodzie). Do jury w Dolinie zaprosiłem wzmiankowaną Dorotę Wyżyńską, zasłużoną w popularyzacji Ogródka kanałami „Gazety Wyborczej”, Barbarę Borys-Damięcką, co było najniższym, na jaki było mnie stać, ukłonem w kierunku opanowującej Gminę Centrum komuny, oraz Adama Kiliana i Zosię Kucównę.

Kupiłem estradę, kolumny, plastikowe krzesła. Namiot za frontem sceny już miałem. Dokupiłem bazarowe daszki dla publiczności. Aha, wszakże pojawił się browar warszawski. Pamiątka po niedokończonej transakcji wynajmu kawiarni w WOK-u. Dodali mi kilka krzeseł, ław, prowadzili (na zasadzie jednodniowej koncesji) barek. Nie było mnie stać tylko na ochronę.

Uprosiłem zatem, pełniącego wówczas funkcję rzecznika prasowego u wicepremiera Tomaszewskiego, mojego studenta z teatrologii – Pawła Ciacha (wiem, że poszedł potem siedzieć) o pomoc: o ochronę przez wojskowych z nadwiślańskich jednostek Wojska Polskiego, nadzorujących mieszczące się naprzeciwko Doliny przy Chopina ambasadę: węgierską, szwedzką, fińską i rumuńską.

Kupuję ci ja sobie krzeselka plastikowe w Macro, a tu nagle dzwoni komórka. Pułkownik Stanisław Walewski (JW 261) do dyrektora Kijowskiego.

– Czym mogę służyć?

- Wzmózoną ochroną.
- Załatwione.

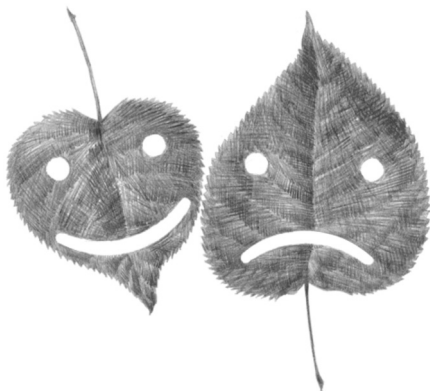
Tak! Właśnie tak za komuny góry przenoszono. Ale dyskretnie! A ta cecha do mych cnót nie należy, dlatego wywalilem na moim wolno stojącym przez tydzień obiekcie: „Zakaz gry w piłkę” (młodzieńcy chętnie traktowali obramowanie sceny jako bramkę) i poważnie wyglądający napis: „Obiekt chroniony przez jednostki nadwiślańskie WP”. Wzbudziło to zrozumiałą irytację nomenklaturowych, a również w wojskowości osadzonych sąsiadów z al. Róż i ul. Chopina, którzy wciąż prowadzili walkę w Kolegium Odwoławczym o podważenie prawomocności mojej decyzji o warunkach zabudowy. Zostałem więc po jakimś czasie sprowadzony przez generację do parteru, anons zdjąłem, ale teatrykowi nic się nie stało, jeśli nie liczyć dzieci z sąsiednich, nomenklaturowych domów, które pod koniec imprezy powyginały mi rusztowania od namiotów tak, że końca sezonu doczekały, ale o powtórny założeniu nie mogło już być mowy. Poszło to jednak, jeśli mnie pamięć nie myli, na karb wichury, która wcale mniejsze zrobiła spustoszenie.

Zaczęła się walka o Dolinę, próba rozbudowania repertuaru. Piosenki ogródkowe. Parada Kapeluszy. Idea urządzenia w Dolinie Parady Kwiatów. Ta ostatnia, mimo wielu prób i podejść zarówno w Dolinie, jak i potem na Frascati, nie znalazła nigdy realizatora. Nie wiem, czyja to wina – społeczeństwa czy moja, ale trudno było pozyskiwać realizatorów moich idei sytuujących się na pograniczu sztuki i komercji, w sferze paedeutyki właśnie, czyli tych obszarów życia codziennego, które niosą w sobie element estetyczny dostępny dla każdego. Kwiaty w Polsce muszą być przede wszystkim drogie, podobnie jak kapelusze czy wino. O cieszenie się tymi elementami zbytku, podnoszenie ich jakości, uprzystępnianie uboższym, acz wrażliwszym – strasznie trudno.

Kapelusze... Cóż – kapelusze rozbiły mi małżeństwo, zniszczyły rodzinę. Paradę ich wymyśliła moja ówczesna żona – Renata. Niestety jednak na ładnym pomysłe się skończyło. Tzw. sponsor, firma Porthos ograniczyła się do ufundowania dwu kapeluszy dla zwycięzców konkursu na najefektowniejsze nakrycie głowy. Ofiarowała też po kapeluszu dla jurerek i pani dyrektor dzielnicy z ramienia AWS-u, Anny Wysockiej. Jak widać, na tym poziomie pani Wyżyńskiej, reprezentującej w jury „Gazetę Wyborczą”, cała ta festynowa oprawa jakoś jeszcze wówczas nie raziła... Pojawiła się nawet agencja modelek, a obok nich pani reżyser zatrudniła nasze własne i wszystkie znajome dzieci. No, ale na tym koszta się nie kończą. Impreza musi mieć wszak oprawę, ktoś musi grać, ktoś występować, ktoś

rzeczy pilnować. Na to albo nie było środków (co boleśnie odczuły okradzione na zapleczu z komórek modelki), albo trzeba było je asygnować z bardzo w tych AWS-owskich czasach skromnego budżetu Ogródka.

Moje wchodzenie w Dolinę trwało bodaj trzy lata. Wymagano już bowiem decyzji o warunkach zabudowy. Wspólnoty mieszkaniowe z Chopina i alei Róż nie dawały się jednak za nic przekonać. Oni strzegli swych przywilejów. Swych nomenklaturowych przydziałów z czasów stalinizmu, zamienionych potem na uwłaszczenia epoki Gierka i późniejszych. Strzegli notabene wbrew logice, co wywodzący się wszakże z tego grona Jan Rutkiewicz (pasierb komunistycznego działacza Emila Starewicza) *expressis verbis* udowadniał. Mieszkańcy bali się przede wszystkim, że powstanie parku rozrywki obniży bezpieczeństwo, a w konsekwencji wartość ich posesji. Praktyka i teoria dowodziła, że jest dokładnie odwrotnie. Sąsiedztwo miejsc kulturalnej rozrywki podnosi, a nie obniża wartość nieruchomości. W czasie zaś, gdy chronilem okoliczny teren przez cały letni sezon, okoliczne mieszkanki odkrywały z pozytywnym zaskoczeniem, że nagle nie obawiają się wyjść do Doliny wieczorem z pieskiem na spacer. No cóż, ale racjonalne argumenty to najbardziej deficytowy w Polsce, a już w szczególności w jej stolicy towar.



*Logo KTO  
zaprojektowane przez Linasa Domarackasa*

Zatem sytuacja jest taka, że w 1999 r. mam już wreszcie (wydaną na moją spółkę cywilną Media ATaK) decyzję, na podstawie której wpuszczono mnie do Doliny na trzy letnie miesiące. Powołałem Fundację Kultura Tutaj Obecna, mającą status NGO – organizacji pozarządowej, wreszcie zastrzegłem w Urzędzie Patentowym znak firmowy Konkursu Teatrów Ogródkowych z nowym logiem zaprojektowanym przez Linasa Domarackasa.

Mam więc znowu wszystko. Z pozoru...



## XXVII

## WOLNA, CICHA I BOGATA...



*Dolina Szwajcarska,  
1999*

*Fot. Jan Rolke*

Tego lata 1999 r. teatr ogródkowy odnalazł swoje organiczne miejsce w historycznej Dolinie Szwajcarskiej. Ogródek piwny zorganizowaliśmy wspólnie z restauracją Szopa Wilanowska pani Beaty Lisickiej i Browarami Warszawskimi „Królewskie” S.A. VIII Konkurs Teatrów Ogródkowych odbywał się nareszcie w wymarzonej scenerii, która w efekcie hitlerowskiej okupacji i późniejszej socjalistycznej stagnacji stała się martwym placem, a teraz miała szansę odżyć. Dzielnica ambasad, nomenklaturowych kwaterunków i partyjnych urzędów nie sprzyjała swobodnej zabawie: ślizgawce, teatrzykowi letniemu, paradzie kwiatów.

Bo przecież teren ten jest dla rozrywki wprost stworzony. Różni się charakterem od Bielan, Powsinka czy nawet współczesnej Agrykoli. Tu nie przychodzi się w kąpielówkach, lecz w letnich kapeluszach, tu nie zrywa się kwiatów, lecz wielbi się je w bukietach. Tu nadal obowiązują formy, choć może mniej sztywne niż na balu czy w operze.

Kultura zwana niegdyś mieszczańską, a dziś zwracająca się do klasy średniej, zamarła przez półwiecze lat 1939–1989. Nasze społeczeństwo podzieliło się na lud pracujący miast i wsi i tzw. inteligencję. Z jednej strony był festyn: święto „Trybuny Ludu” czy dymarki, z drugiej sztuka kreacji: Jerzy Grotowski, Krzysztof Penderecki, Henryk Tomaszewski, Tadeusz Brzozowski, Witold Gombrowicz. Przestrzeń między kulturą elitarną a popularną wypełniały jedynie mass media.

Lata 90. stały się fenomenem tworzenia klasy środka – średniej klasy. Ludzi interesu, biznesu, samorządu. Ludzi wykształconych, lecz zajętych. Wrażliwych, ale pozbawionych snobizmu. Ludzi z tych, o których w 1981 r. powiedział Jacek Fedorowicz, iż nie chcą, by im ktokolwiek cokolwiek kształtował. Narzucał estetyczne kanony. Kazał tańcować w przysiadach lub milczkiem kontemplować niezrozumiałą sztukę.

Otóż, dla tych wszystkich, co szyk mają w sobie, dla których kulturalna forma jest kanonem, dla tych, którzy nie tęsknią za sztuką, lecz poszukują estetycznego miejsca dla spotkania – dla Towarzystwa, naszej sfery, socjety, obiecywałem otwierać te Ogrody. Na razie letnie, a wkrótce zimowe – Ogrody Szwajcarskie. Bliskie kopenhaskiemu Tivoli, paryskim Tuileries – ze ślizgawką, spokojniejszą od Torwaru, gdzie muzyka i niewielki obszar eliminowałyby sportowe szaleństwa, umożliwiając jazdę małym dzieciom, starszym państwu i zakochanym...

Nie tylko teatry miały przyciągać do Doliny w tym pierwszym sezonie. Krążyła mi też po głowie myśl odtworzenia kermasu książek, jaki pamiętałem jeszcze z lat 60. z Alei Ujazdowskich. Więc obiecywałem, że przyjdziemy tu także przewertować książki, a zimą, w karnawale, stworzyć miejsce spotkania dla dzieci. No i oczywiście zapewniałem, że przede wszystkim dążyć będziemy do tego, by Letnie i Zimowe Ogrody Szwajcarskiej Doliny nie narzucały się publiczności ani mieszkańcom okolicznych domów bulwarowym nagłośnieniem.

Dolina Szwajcarska, jak piękna Szwajcaria: ma być różnorodna, wolna, cicha i bogata. Ma być miejscem spotkania, gdzie tematem są przybyli goście, a tłem gospodarze.

*Teatr widziałem mój skromny  
kulisy jego drewniane  
widowni chciałem ogromnej  
z wrażenia – zamurowanej.*

## XXVIII

## CHAPEAUX BAS

Finał imprezy artystycznej, jaką był VIII Konkurs Teatrów Ogródkowych, odbył się zgodnie z tradycją w centrum miasta, na świeżym powietrzu. W konkursie o nagrodę dyrektora Dzielnicy Śródmieście Gminy Warszawa Centrum wystąpiło dziewięć teatrów i zespołów artystycznych z różnych miast Polski, które sam wyselekcjonowałem. Oceny dokonało jury pod przewodnictwem dyrektora warszawskiego Teatru Syrena, Barbary Borys-Damięckiej, w skład którego weszli: Zofia Kucówna, aktorka, Adam Kilian, scenograf, Dorota Wyżyńska, krytyk teatralny. Po obejrzeniu dziewięciu spektakli przyznano dwie nagrody oraz jedno wyróżnienie honorowe.

To wyróżnienie jurorzy postanowili przyznać grupie wielokrotnie już nagradzanej, m. in. na Konkursie Teatrów Ogródkowych w 1997 r. – Teatrowi Korez z Chorzowa, za brawurowo zagrąną *Konopielkę* według powieści Edwarda Redlińskiego, w reżyserii Macieja Ferlaka,

przez zespół aktorski w składzie: Elżbieta Okupska, Katarzyna Kulik, Bogdan Kalus, Mirosław Neinert i Piotr Warszawski.

Nagrodę Wielką Teatralną Ogródkową w wysokości 7 tysięcy złotych za zbiorową reżyserię otrzymał zespół wywodzący się z nurtu nieprofesjonalnego – trójka młodych ludzi, która z dużym wyczuciem teatralnym przygotowała nową wersję głośniejszej *Sztuki* Yasminy Rezy – Agnieszka Czekierda, Marcin Kołaczkowski i Adam Sajnuik z Teatru Konsekwentnie Niekonsekwentni, działającego przy Warszawskim Ośrodku Kultury. Przedstawienie dowcipne, błyskotliwe, zaskakujące (teatryk cieni), niepozbawione refleksji i jednocześnie interesująco zagrane.

Nagrodę Wielką Teatralną Ogródkową w wysokości 18 tysięcy złotych za spektakl skromny, kameralny, wydawałoby się prościutki, a przecież wysoce profesjonalny, misternie skonstruowany, wzruszający, szlachetny, elegancki, wychodzący poza bariery językowe, otrzymał Teatr Własny Stanisławiak z Chorzowa.

Lidia Majerczak-Stanisławiak (aktorka, autorka opracowania dramaturgicznego i scenografii), Grzegorz Stanisławiak (aktor i reżyser spektaklu), Jakub Skupiński (aktor i doskonały konferansjer) oraz Marek Wilczyński (autor muzyki) zaprezentowali *Wycinankę dla dwojga* według sztuki Krystyny Miłobędzkiej *Na wysokiej górze*.

Na Finał przypadł również „Konkurs na najbardziej ogródkowy kapelusz tego lata”. Zaprosiliśmy do udziału panie, dzieci, a nawet panów... Prosiłiśmy, by włożyli swój najpiękniejszy, najbardziej ogródkowy kapelusz i przyszli w nim 30 sierpnia. Jury z firmy Porthos wybrało najlepsze nakrycie głowy i nagrodziło swoim kapeluszem.

Podczas Finału zapewniałem także inne atrakcje: żywe bukiety – jak układać kwiaty, pokazywały panie Urszula Grosser z kwiaciarni Gaudi oraz przedstawicielka firmy Gardenia państwa Majki i Andrzeja Jakubowskich. Odbыл się też Koncert Orkiestry Dętej Legenda. Swoј minirecital dał Marek Majewski. Po ogłoszeniu werdyktu i wręczeniu nagród wystąpił jeszcze Robert Kudelski (laureat festiwalu piosenki francuskiej i aktor Teatr Nowego), prezentując swój koncert *Rejs Paryż–Moskwa*.

Finał imprezy transmitowany był przez telewizję: TVP 1, WOT, TVN oraz lokalne radia: Radio Plus, Radio dla Ciebie, RFM FM, Radio Zet, Program II i III PR, Radio Bis. Nazajutrz po konkursie (31 sierpnia) ukazało się mnóstwo relacji, m.in. w „Gazecie Stołecznej”, w „Rzeczpospolitej” i „Życiu Warszawy”.

Parada Kapeluszy odbyła się dwukrotnie, na VIII i IX KTO. Zakręcona między aspiracje towarzyskie na żyjącą jeszcze Hankę Bielicką a finansową socjetę Danki Piontek, która się z każdym zbrata, lecz nikomu nie użyczy chałata. Gdzieś w pół drogi między „Gazetą Wyborczą” a „Galą”, która zresztą jak „Elle” czy inna „Uroda” czasem coś o Ogródku napomknęły latem. Poniekąd przez prasę szukaliśmy naszej publiczności: tej z „Wyborczej”, ku której Ignąłem, z „Twórczości” czy z „Dialogu”, z których się „eskejpowałem”, tej z „Vivy”, o której marzyła matka moich córek, czy... no właśnie: czytany nawet przez osiem milionów osób „Tele Tydzień”, który wkrótce okaże się moim głównym oparciem. A jego target: moim!

A w następnym roku wszystko już było inaczej. Rok minął na szykowaniu się do skoku. Przygotowałem kolejną wersję zinstytucjonalizowania Doliny. Nie było burmistrza – Rutkiewicza, Rasińskiego, pani Wyszyńskiej, na końcu Piotrka Foglera – któremu bym tej propozycji nie przedstawiał.

## XXIX

## NOWE TYSIĄCLECIE

Wybijał rok 2000, zacząłem mutować ideę Festiwalu. No i walczyć o realną zabudowę Doliny Szwajcarskiej. Przed IX Konkursiem znów bezrobotny, z nadzieją jedynie na dotację Ogródkową, skryłem się na wsi w Oltarzach, gdzie wraz z moimi dziewczynkami witaliśmy trzecie tysiąclecie, dopingowaliśmy pierwszym sukcesom Małysza i studiowaliśmy *Hrabiego Monte Christo*. W sumie to były bardzo piękne dni. Choć oddalaliśmy się już coraz bardziej z ich matką, która zaczęła żyć swoim własnym, jeszcze bardziej niż moje oderwanym od realiów życiem przede mną IX Konkurs. Ogródek 2000. W grudniu jeszcze dopracowywałem w PAI, z którego mnie wyrzucił Krzysztof Czabański. Zorganizowałem tam na



*Krzysztof Wakuliński i Maria Pakulnis*

*Fot. Jan Rolke*

sam koniec kilka ważnych konferencji. A przetrwać do ogródkowego kontraktu pomogło mi ciekawe zlecenie, jakie dzięki Marynce Bersz dostała moja firma z ministerstwa kultury. Był to bowiem Rok Słowackiego, którego koordynatorem został niedawny doradca ministra, Jacek Kopciński. Nie mając pieniędzy (czy też mając ich bardzo mało), wymyślił sobie wystawienie w Teatrze Narodowym sztuki opartej na listach Słowackiego do matki. No, a ja zyskiwałem już, wcale nie jestem pewny, czy aby pochlebnią, opinię producenta oszczędnego, by nie powiedzieć – tandeciarza teatralnego.

W tym:

Rok – Konkurs	Suma dotacji	kwoty nagród	Liczba spektakli	Miejsce
1995 – IV KTO	54 115,04 zł	14 000,00 zł	17	Stara Dziekanka
1996 – V KTO	66 410,00 zł	17 000,00 zł	14	Stara Dziekanka
1997 – VI KTO	89 032,44 zł	20 000,00 zł	22	Stara Dziekanka
1998 – VII KTO	159 000,00 zł	22 000,00 zł	15	Mariensztat
1999 – VIII KTO	107 000,00 zł	25 000,00 zł	12	Dolina Szwajcarska
2000 – IX KTO	116 000,00 zł	38 000,00 zł	12	Dolina Szwajcarska
2001 – X KTO	195 000,00 zł	30 000,00 zł	72	Dolina Szwajcarska

Jak widać przez pierwsze trzy lata, kiedy organizowałem wszystko *pro publico bono*, żadnego budżetu nie było. Gdy na II Konkursie znalazło się i dla mnie kilkaset złotych, bardzo się zdziwiłem i nawet zastanawiałem, czy mi brać cokolwiek wypada. Odkąd sam zacząłem organizować imprezę, budżet wzrastał. Był to jednak wzrost pozorny. Czy też może – niewłaściwie lokowany.

Czasy się zmieniały. Gdy zaczynałem, zachłystywaliśmy się wszyscy wolnością. I rzadko pytaliśmy o pieniądze. Rozumieliśmy, że się nam należą i przyjdą same. Mieliliśmy przy tym poczucie niebywałego awansu ekonomicznego. Ktoś, kto jeszcze niedawno wyliczał, że pensja starcza mu na 20 czekolad, na kim posmakowany na greckim stateczku w 1981 r. batonik Mars pozostawił wrażenie nie mniej trwale od widoku egińskiej świątyni – dysponując komputerem, drukarką, ba!, nawet biurem, wszystko uważał za cud i dobro dane. Ktoś, kto jeszcze niedawno nie miał dostępu do TV, w zamian za reklamę zrobiłby również prawie wszystko, a już z pewnością nie pytał o pieniądze.

Więc nie pytałem i występujący też bardzo rzadko pytali. Tylko raz, już po likwidacji Lapidarium, nieuwzględnieni w werdykcie scenografowie *Tutama*, za którego jury nagrodziło hojnie Bronka Wrocławskiego, próbowali zaskarżyć moich Włochów od Grauso za realizację transmisji w pirackiej Polonii 1. Bezskutecznie. Bo i scenografia w ogródku była raczej naturalna, niewiele mająca wspólnego z teatralną salą, i ja sam zadbałem, by wszyscy występujący złożyli oświadczenie, że wyrażają zgodę na nieodpłatną transmisję. Ale tak generalnie – pracowało się dla sprawy.

Ciekawe: zasadniczo pragnąłem kapitalizmu, poglądy mam raczej prawicowe, a jednak w sprawach publicznych jestem jakby socjalistą. Dobra kultury w moim przekonaniu powinny być powszechnie dostępne. Zachwycają mnie dziś internetowe zasoby malarskie, muzyczne, literackie. Również zapisy wideo wydają mi się obowiązkowe, gdyż pierwszym prawem autora jest udostępnić dzieło współczesnym, a przede wszystkim zachować je dla przyszłych pokoleń. Dbąłem więc o to, by było tanio, taniej, najtaniej. Dbąłem wpięro o jakość, potem dostępność, na końcu miały przyjść pieniądze.

Jaką więc prowadziłem imprezę: drogą czy tanią?

I co to właściwie były za pieniądze? Niemale, jak ktoś popatrzy z zewnątrz. Maksymalna dotacja na poszczególne przedstawienia oscylowała od 9 do 10 tysięcy złotych. Na Mariensztacie, który okazał się maksymalnym wlotem śródmiejskiej dotacji. W późniejszych latach dotacja systematycznie spadała, do granicy 5-6 tysięcy złotych na spektakl, a nawet do 2 tysięcy na jubileuszowym X KTO.

Najgorsze było to, że wszyscy chętnie dawali, ale na nagrody. Nie było natomiast na honoraria i wszelkie inne koszty związane z oprawą, estetyką, bezpieczeństwem, higieną. No i wtedy właśnie z pomocą przyszedł mi Krzysztof Marszałek. Na IV, V, VI Konkurs załatwiał mi dotacje rzędu 5 tysięcy złotych, na VII – 10 tysięcy, na VIII – 15, na IX już 30 tysięcy, a przez ostatnie dwa lata, gdy jeszcze prywatnie ciągnąłem Ogródek, a śródmiejskim radnym stawał on już ością w gardle, dotacja Gminy Centrum przebiła śródmiejską, sięgając 100 tysięcy złotych. CZOLEM, PANIE MARSZAŁKU!

Czy to dużo? Zważywszy na poziom występów, gdzie w konkursie potrafił startować Jan Machulski, a jury od Malajkata poprzez Kucównę czy Jungowską świeciło gwiazdami. Zaś przede wszystkim, czy to wiele, uwzględniając w tych środkach zarobki personelu i całoroczną pracę? Zaczynało się wszakże od pełnej

amatorszczyzny. Oczywiście organizacyjnej, bo o poziom artystyczny, czy lepiej powiedzieć: towarzyski, szczególnie dbałem. Dlatego tak zależało mi zawsze na profesjonalistach w jury, a także na scenie – tzw. ruch amatorski jest mi organicznie obcy. Lecz równie, a może bardziej obcy są mi zawodowi chałturnicy.

O zawodowstwie nie świadczy bowiem dyplom czy instytucyjne oparcie, lecz stosunek do wykonywanej pracy. Pracy adresowanej przede wszystkim do szerokiej publiczności i otwartej na jej osąd oraz profesjonalną ocenę krytyków. Amatorem zaś jest ten, kto gra dla siebie, ku uciesze własnego towarzystwa, kto tworzy kółka wzajemnej adoracji. I jest nim dla mnie też wtedy, gdy legitymuje się członkostwem stowarzyszenia „twórczego”, że o związku „zawodowym” nie wspomnę.

Intencja amatorska sama w sobie nie ma nic złego. Bardzo szanuję ludzi piszących wiersze, malujących obrazy czy śpiewających ku uciesze przyjaciół, krewnych i rodziny. Ale amatorstwo stoi w sprzeczności z publikacją. Amatorstwo jest z założenia prywatne, kameralne. Kiedy chcesz publikować, szczególnie w miejscach szeroko dostępnych, obowiązują już wszystkich jednakowe reguły. W istocie bardzo proste. Reguły dobrego smaku.

I tu gdzieś następowało coraz większe nieporozumienie. Moja idea robienia imprezy właściwie za darmo, i to w czasie wakacji, gdy na sztukę jest zapotrzebowanie, a instytucjom artystycznym pracować się nie chce, ta idea wszystkim się spodobała. Ale też każdy mi powtarzał: to ma być małe, proste, spontaniczne.

„Niech ręka boska broni tradycji Teatru Ogródkowego przed przekształceniem w to, o czym przed chwilą, Andrzeju, wspominałeś, mówiąc o budowaniu jakiegoś gmachu, jakiegoś podniosłego miejsca. Dopóki to będzie lekkie, dopóty będzie wspaniałe i piękne” – powie nawet po piętnastym, odwiedzionym przez dziesiątki tysięcy widzów, Konkursie Jacek Sieradzki. I powie to tuż przed tym, jak wspólnym wysiłkiem miejskich urzędników i radnych oraz przy aplauzie „Gazety Wyborczej” rozrastający się do dziesiątków tysięcy widzów Teatr Ogródkowy na Frascati zostanie w 2007 r. przez Hannę Gronkiewicz-Waltz ukatrupiony.

Byłem licencjonowanym estetykiem, w miarę profesjonalnym krytykiem, byłem też organizatorem amatorem, który jednak od pierwszych chwil swoje produkty poddawał pod osąd publiczny. I publiczność, a także media to zaakceptowały. Z roku na rok uczyłem się nowych technik producenckich. Kombinowałem, nie naruszając jednak nigdy zasad uczciwości. W kosztorysie wpisywałem wynajem sprzętu – w istocie sprzęt kupowałem, co naturalnie wychodziło taniej. Jednak w związku z tym, że donator nie zaakceptowałby zakupu, więc fakturę



brało się na wynajem. Ten trick po raz pierwszy zastosowałem na Mariensztacie. Wynajem sceny po cenach Stołecznej Estrady stanowił koszt wysokości 1200 złotych dziennie. Po przemnożeniu przez 14 spektakli, dawało to w kosztorysie sumę blisko 17 tysięcy złotych.

Oczywiście, Wanda Rutkowska ze Stołecznej Estrady gotowa była przy 14 eventach zejść z ceny: dwadzieścia, trzydzieści, może nawet więcej procent. Ostateczna cena kształtować się miała w granicach 5 tysięcy złotych za sezon. Ja negocjowałem ostro i *summa summarum* poszukałem, poszperałem, potargowałem i kupiłem estradę spełniającą identyczne parametry za... tysiąc złotych! Praktycznie dostałem ją w prezencie od Witka Szymańskiego, który przez lata będzie zajmował się u mnie nagłośnieniem.

Taki już miałem widać „wdzięk”. Od czasu do czasu trafiałem na ludzi, najczęściej prostych, rzetelnych rzemieślników, których zarażałem swoim szalem. Taki był też Witek, który sprzęt nagłaśniający wynajmował mi za jakiś grosz symboliczny (z dziesięć razy taniej od Stołecznej Estrady). A potem, gdy już na nic stać mnie nie będzie, sprzeda mi nie tylko tę estradę, lecz także dwie potężne kolumny ze statywami, końcówkę mocy, kamerę pogłosową, dobry mikrofon kierunkowy. To wszystko za tysiąc złotych z małym okładem.

Niech to będzie w historii teatru złotymi zgłoskami zapisane, że **warszawski akustyk Witek Szymański był może najhojniejszym sponsorem imprezy o nazwie Konkurs Teatrów Ogródkowych.**

Na jego sprzęcie dojechałem aż do XII Ogródka. Z nim objadę Mazury i Podlasie podczas II Alertu Europejskiego w 2003 r. Będzie jeszcze pracował dla Domu Kultury, wspomagał nawet wielkie imprezy na Frascati.

Na tym tricku – zamiany dopuszczanego przez kosztorysy wynajmu na zakup niedrogiego sprzętu – zbudowałem wszystko: namiot do namiotu, krzesło do krzesła, kolumnę do kolumny. A w kosztorysie wpisywało się nieekonomiczny wynajem. Z wielkim, ogromnym trudem pozwalało to związać koniec z końcem. Jakoś żyć, płacić za telefon komórkowy, czynsz za „pakamerkę stróża” przy Wilczej. Wszystko więc było wymyślone dobrze dopóty, dopóki ktoś – włoska telewizja, Sejmik samorządowy, moja firma – dawały Ogródkowi bazę: lokal, księgową, słowem wikt, spunek i opierunek. Póki było zlecenie z KBN-u albo gdy miałem inną pracę. Ale nikt nigdy nie chciał się zgodzić, by Teatr Ogródkowy stanął na własnych nogach. By go zinstytucjonalizować.

Słyszę jeszcze dziennikarkę WOT-u Małgorzatę Deszkiewicz (notabene z firmy Media Corporation Józefa Węgrzyna; obok Mariusza Waltera i Lwa Rywina jednego z głównych pasów transmisyjnych telewizji gierkowskiej w nowe czasy). Otóż, po rozmowie z udziałem Maćka Wojtyszki na temat VII KTO na Mariensztacie, pani Deszkiewicz mówi:

– Teraz panowie pewnie bezzwłocznie przystępujecie do organizacji kolejnego Festiwalu?

Ma rację, pomyślałem. Żeby ten Festiwal był profesjonalny, od października powinny pracować przy nim dwie, trzy osoby. Żeby biura podróży rozwały włączenie go do swojej oferty, repertuar letni powinien być już w zarysie znany w listopadzie. Z drugiej jednak strony, brzmiał mi w uszach słowa Krzysztofa Marszałka, który – ilekroć tłumaczyłem, że miast kreować kolejne hasło w rodzaju: „Cała Warszawa” czy „Zakochaj się w Warszawie”, można rozbudować istniejący Festiwal – tonował mnie:

– Ma pan fajną lokalną imprezę. I po co panu więcej?

No właśnie – po co?

## XXX

## WARSZAWA JAK MIEDZA DLA RADNEGO ZAJĄCA

Więc po co mi ten teatr, konkurs i Szwajcarska Dolina?

Tak naprawdę także po to, by żyć. Bo czasem mi klaszczą, lecz nikt nie zastanawia się, z czego ja mam funkcjonować do pierwszego. Tak było wtedy. Dziś jest zresztą tak samo. Wydawać by się mogło na poziomie IX Festiwalu, że dowiodłem, iż impreza się rozwija, że zasługuje na zinstytucjonalizowanie. Na dodatek przy takich kosztach pracowałem za siedmiu, nawet dziesięciu ludzi: dyrektora, sekretarkę, webmastera, księgowego, kadrowca, kasjera, kierownicę, a czasem i za tragarza, szefa marketingu i PR. W kieszeni netto nawet te 3 tysiące mi nie zostawały. Co najwyżej połowa takiej sumy.

No, ale przecież miałem sukces i nie traciłem nadziei.

Werdykt IX Konkursu ogłoszono 28 sierpnia 2000 r. Małą Ogródkową Nagrodę Teatralną, 5 tysięcy złotych, otrzymał warszawski kabaret Strzały z Aurory, za spektakl *Kompendium wiedzy ogólnej z zakresu kabaretu amatorskiego*, według tekstu i w reżyserii Tomasza Jachimka. Spektakl przygotowany przez – jak sami o sobie mówią – „kabaret amatorski” zagrano z wdziękiem, świeżością i autoironią. Strzały z Aurory w swoim skromnym, acz niepozbanionym poczucia humoru przedstawieniu poszukiwały odpowiedzi na pytanie: „co to jest kabaret?”.

Indywidualną Ogródkową Nagrodę Teatralną, 7 tysięcy złotych, jury postanowiło przyznać autorowi scenografii i lalek do spektaklu *Szopka Don Cristobala* Teatru Luka z Bielska-Białej, Konradowi Dworakowskiemu, za kunszt, dobry smak i maestrię. Przedstawienie nawiązywało do najlepszych tradycji sztuki lalkarskiej.

Laureatem Dużej Ogródkowej Nagrody Teatralnej, 10 tysięcy złotych, został warszawski Teatr Montownia. Adam Krawczuk, Marcin Perchuć, Rafał Rutkowski, Maciej Wierzbicki oraz Dorota Naruszewicz w Dolinie Szwajcarskiej pokazali kabaretowy spektakl *Po naszymu* Olgerda Świerzawskiego, w reżyserii

zespołowej. Aktorzy Montowni znakomicie odnaleźli się na scenie ogródkowej i po raz kolejny udowodnili, że potrafią zawiązać publiczności. Ich przedstawienie – błyskotliwe, dowcipne, dynamiczne – poruszyło aktualny temat.

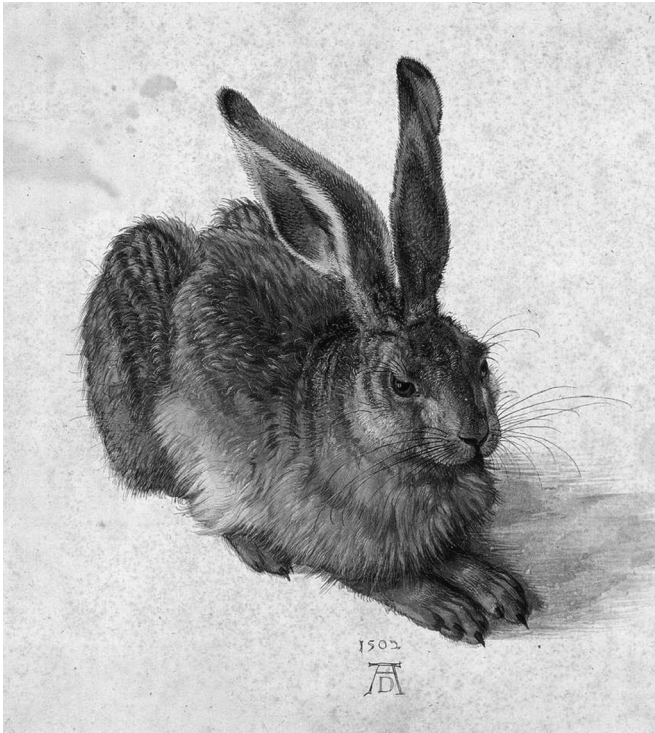
I wreszcie Wielką Teatralną Ogródkową, 16 tysięcy złotych, otrzymał wspomniany Teatr Luka z Bielska-Białej za spektakl *Szopka Don Cristobala*, będący przykładem niezwyklej symbiozy aktora z lalką. Teatr Luka zaskoczył różnorodnością form oraz niekonwencjonalną animacją lalek. Przedstawienie poetyckie, dowcipne – ambitna próba adaptacji tekstu F.G. Lorki.

Po epizodzie z Elektoralną, po krótkim romansie z PAI czułem, że minęły czasy programów kserowanych z komputerowej Banner Mani, że minęły już czasy przeskakiwania przez plot z torbą ulotek. Od dawna wiedziałem, czym jest prawdziwa, lecz niedroga telewizja. PAI nauczył mnie organizować konferencje prasowe. IX KTO było próbą zmierzenia się z zawodowstwem. Prawdziwa konferencja prasowa, akcja związana z odnajdywaniem pamiątek po Dolinie.

W końcu w czerwcu 2000 r. uprawomocniła się ostatecznie decyzja o warunkach zabudowy Doliny. Wydawało się, że zinstytucjonalizowanie tego miejsca jest o krok. Coraz dokładniej wiedziałem, czego chcę. Doliny. Albo użyczonej na rzecz fundacji, albo zinstytucjonalizowanej w postaci parku.

Dbałem o ten mój parczek. Dokupywałem krzesel. Nie wiązałem ich już łańcuchem na tydzień, lecz zwoziłem do zamkniętego w czasie urlopu Teatru Nowego, gdzie stały sobie na korytarzu. Pozostałe kłopoty: daszki dla publiczności, takie bazarowe baldachimy kupowane w marketach, stację energetyczną, zasilające kable, bezcenną drabinę – ładowałem co tydzień na moje tipo i wiozłem do stodoły w Oltarzach.

Tam miałem już komputer, fax, drukarkę. Stamtąd też rozsyłałem zaproszenia. W dopracowaną z Adamem Kilianem formatkę z Worda wklejałem aktualne programy. Zjeżdżałem do miasta w poniedziałek rano. Wpadałem na Górczewską po specjalny profesjonalny panel, którym nakrywało się przechodzący przez parkingową uliczkę kabel zasilający nas w elektryczność, tak by mogły po nim jeździć samochody. Wyrzucałem z mojego wozu Tespisa oprzyrządowanie. Synowie pana Macieja Polniaka (stolarza, który od Mariensztatu aż po Frascati pomagał mi w montażach) rozstawiali ogródek. Jechało się po krzesła, do ksero wydrukować programy. Około drugiej, trzeciej zjeżdżały zespoły. Próba. Czasem jeszcze jakieś studio radiowe czy telewizyjne. Wywiad i spektakl. Tak to trwało. Może miało trwać bez zmian? Ale mnie wciąż marzyło się więcej i więcej.



*Dürer Albrecht,  
Young Hare, 1502  
Graphische Sammlung  
Albertina,  
Vienna*

W sobotę 26 sierpnia 2000 r. na godzinę 16.30 zaprosiłem do studia na pl. Powstańców wszystkie osoby, które posiadają pamiątki z warszawskiej Doliny Szwajcarskiej oraz informacje związane z działalnością jej polskich oraz europejskich odpowiedników, tzw. *Schweizertal* czy *Vallée Suisse*. Czekałem we foyer WOT-u, przy wejściu od strony ul. Jasnej, obiecując, że najciekawsze relacje i pamiątki pokazane zostaną w rozmowie studyjnej o godzinie 18.50 i zaprezentowane podczas Finału Konkursu Teatrów Ogródkowych w poniedziałek 28 sierpnia o godzinie 19.00.

Udaliśmy się do WOT-u, a tu... pies z kulawą nogą się nie pojawił! Problem polega na tym, że nie ma warszawiaków w Warszawie. Gdyby taką akcją proponować krakowianom, którzy kochają swoje miasto, lubią o nim opowiadać, lubią śledzić jego historię...

Ba, wiedzą o tym stołeczni radni, z piastującym dziesięć już lat funkcję przewodniczącego śródmiejskiej komisji kultury, SLD-owskim aparaczkikiem

Przemysławem Zającem na czele. W i e d z ą i p o d m i e d z ą s i e d z ą. Byle przetrwać wyborcze żniwo, a po wyborach nie przejmują się specjalnie

miastem, tym bardziej jego historią. Patrzą, gdzie żytko dorodne. Tak, Warszawa niczym Rzym wg Sępa-Szarzyńskiego:

*„To miasto, świat zwalczywszy, i siebie zwalczyło –  
by nic niezwalzonego od niego nie było”.*

Jeszcze próbowałem. Staralem się zagospodarować Dolinę Szwajcarską. Udo-  
wodnić, że może funkcjonować przez cały rok. Andrzej Chyba z Teresą Stanek za-  
akceptowali nawet nie najgorszy kosztorys, więc próbowałem we wrześniu, po za-  
kończeniu Konkursu, zorganizować w Dolinie specjalne koncerty Marka Majew-  
skiego i Mariana Opani. Zupełnie dobrze wypadło. Próbowaliśmy też z Romkiem  
Holcem zorganizować imprezę dziecięcą, mającą stanowić początek akcji „Z dziec-  
ka król”. Akcji wymyślonej jeszcze w 1999 r. w WOK-u, a polegającej na tym,  
by w wieloboju konkursowym o charakterze sportowym, towarzyskim i meryto-  
rycznym wyłaniać najzdolniejsze dzieci, z których dwoje w czas zapustów obwo-  
ływałoby się Królem Stolicy.

Takie połączenie średniowiecznej tradycji karnawałowej ze współczesnym kon-  
kursem w południowoamerykańskim stylu, gdzie wybory mistrza patelni, króla  
rodeo, piękności miasta stają się często stymulatorem awansu całych grup mło-  
dzieży. Świetny pomysł, ale... widać – fatalny. Trzykrotnie próbowałem wcielić go  
w życie i za każdym razem bez powodzenia. Także i w tę wrześniową niedzielę  
w Dolinie, gdzie nas wszyscy, zarówno nauczyciele, jak i prasa, olali. Imprezy dziecięce  
z jakiegoś powodu najtrudniej wypromować. Przekonywałem się o tym wielokrotnie.

## XXXI

## FANTAZJE ADAMA KILIANA

Po IX KTO widać było, że pamiętająca Mariensztat i dwa szwajcarskie Ogródki Budka Domańci więcej w całości nie przetrzyma. Zresztą nadchodził jubileusz. Zwróciłem się zatem z kolejnym pismem do radnego Zająca. Dziwna postać. Postawiony przez SLD na straży śródmiejskiej kultury, zastąpiwszy mnie na stanowisku przewodniczącego komisji w 1994 r., nie mógł wprost utrupić dobrze rozwijającej się imprezy, której jego partyjny kolega Marek Rasiński raczej sprzyjał. Początkowo starał się jednak przekierować moje środki na teatralny ogródek, który jego znajomi studenci próbowali prowadzić na małym dziedzińcu przy uniwersyteckiej Sigmie (tej Sigmie z Olejarza, gdzieśmy swego czasu grali z Urbańskim *Meteora*).

Tam, gdy ja prowadziłem imprezę biletowaną, SLD-owscy propagandyści od razu wiedzieli, że chleb kulturalny tłumom rozrzuca się darmo. Ale i tak nie wyszło. Komuś po prostu zabrakło pary i skończyło się na imprezach muzycznych, które zresztą do dziś się tam z powodzeniem odbywają.

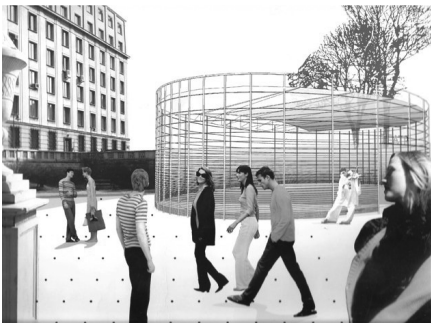
W każdym razie, przez 10 lat ocierania się o siebie pan Zajac nie znalazł 15 minut na rozmowę ze mną. No, ale po raz kolejny spróbowałem. Skoro nie chciał gadać – napisałem pismo.

Tłumaczyłem, że „dziewięć edycji Konkursu Teatrów Ogródkowych w latach 1992–2001 stanowi trwały dorobek organizacyjny i medialny samorządu warszawskiego. Letnia impreza jest dostrzegana przez wszystkie media (...) ma zasięg międzynarodowy, (...) dysponuje trzyjęzykowym portalem internetowym. W ciągu 9 lat odbyło się około 130 spektakli, które obejrzało około 13 000 osób. (...) W jury zasiadają najwybitniejsi przedstawiciele środowiska teatralnego. Na temat imprezy powstało 30 transmisji w sieci ogólnopolskiej”. A „Dowodem popularności imprezy jest umieszczenie jej w większości zapowiedzi turystycznych, a także odnotowanie wśród kilku najważniejszych imprez letnich przez prestiżowe przewodniki Wiedzy i Życia, zarówno w edycji krajowej (Polska), jak i stołecznej

(Warszawa)”; mimo zaś tych walorów impreza jest w znacznym stopniu niedoinwestowana. Boryka się też z kłopotami organizacyjnymi. Ale mogłem sobie pisać...

IX Konkurs się skończył. Nagrody zostały rozdane. Budżet w wysokości 116 tysięcy złotych musiałem zmniejszyć aż o 38 tysięcy przeznaczone na nagrody. Nie powiem, by mnie to bawiło. Na nagrody wszyscy dawali chętnie. Bo też to daje największe nagłośnienie. Ale na garderoby, podłogę, przyzwoitą dekorację, efektowniejsze wydawnictwa — na to już sponsorów nie było. Kończył się wiek. Nadchodziło trzecie tysiąclecie.

Po sezonie zaszyłem się w moich Ołtarzach-Gołaczach. Praktycznie na całą zimę. Siedziałem tam, pisałem sprawozdania, wnioski, memoriały. Przed weekendami zjeżdżałem do Warszawy. W piątek, czasem w czwartek odbywałem jakieś spotkanie. To wtedy próbowałem nawet zwolnionego z „Życia” Bronka Wildsteina namówić do współpracy. Czulem, że brakuje kogoś, kto miałby większą ode mnie wiarygodność finansową. Jednocześnie pracowałem nad projektem zabudowy Doliny. Skorzystałem z porady Małgorzaty Kozubowskiej z Wydziału Architektury i zatrudniłem młodych ludzi. Kontaktowaliśmy się praktycznie cały sezon. Przedstawiali symulację komputerową za symulacją.



*Warsztat M. Goszczyńskiej, A. Kowalczyka  
i M. Kwietowicza*

Warsztat M. Goszczyńskiej, A. Kowalczyka i M. Kwietowicza

Próbowałem spotykać ich z Adamem Kilianem. Członkiem jury, znakomitym grafikiem, ilustratorem, wieloletnim dyrektorem Teatru Lalka, do którego dzieła życia zaliczyć trzeba przede wszystkim słynną „szopkową” dekorację do *Wesela* Adama Hanuszkiewicza.

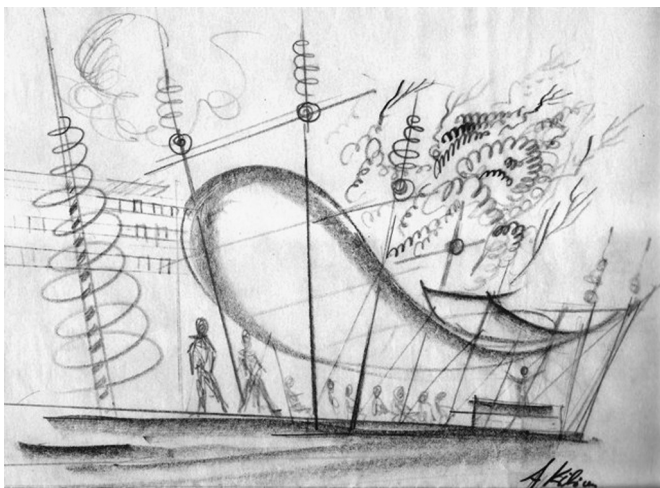
Ojciec Jarka Kiliana, szefującego od lat dziesięciu już Teatrowi Polskiemu, to przede wszystkim uroczy, ciepły człowiek, z którym współpraca była radością i zaszczytem. Cieszę się też, że udało mi się za ten trud podziękować. Swego



czasu, gdy kierowałem moją Fundacją Kultura Tutaj Obecna, otrzymałem bowiem ankietę z pytaniem, komu powinna zostać wręczona jako pierwszemu utworzona właśnie przez Prezydenta RP nagroda za twórczość i działalność artystyczną dla dzieci i młodzieży.

Wskazałem Pana Adama jako najlepszego kandydata i... okazało się, że tylko ja na to wpadłem, a jury powołane przez Prezydenta przychyliło się do wniosku właśnie mojej Fundacji. Kawaler Orderu Uśmiechu z roku 1980 może więc dopisać Nagrodę Prezydenta RP z roku 2002 do kolekcji zaszczytów.

No, ale z Doliną Szwajcarską, z którą zresztą Pan Adam sąsiadował, mieszkając nieopodal na Chopina, szło strasznie opornie. Raz, że nie było inwestora, ja miałem w głowie rysunki Galewskiego, młodzi architekci bujali w jakichś konstruktywnych szablonach, a Pan Adam – też fantazjował. Skoro tak martwiłem się o to, by ochronić publiczność od deszczu – Kilian wyrysowywał nam jakieś latające dachy.

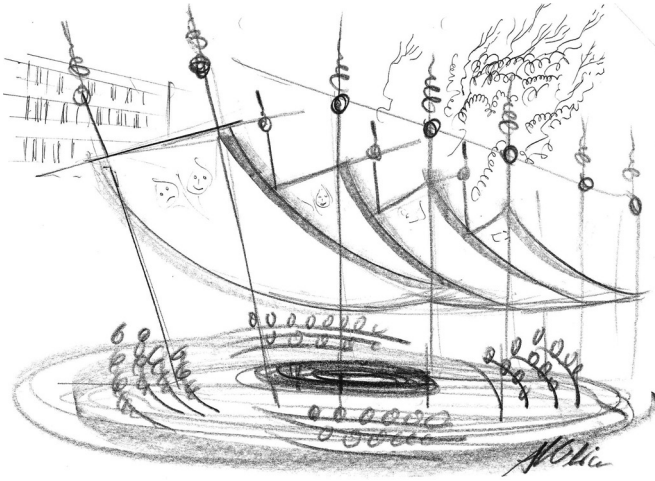


*Ogródkowe wizje  
Adama Kiliana*

Wsiadałem w samochód, spotykaliśmy się w bufecie Teatru Lalka, którego dyrektorem niegdyś, a teraz scenografem był Pan Adam.

Młodzież inżynierska symulowała z komputera. Pan Adam – dalej fantazjował. Prawdę mówiąc, wszystko o kant... potłuc.

Tymczasem po raz kolejny zmieniła się władza. Po tym, jak 23 maja 2000 r. Jerzy Buzek mianował komisarzem Warszawy Andrzeja Hermana, Anna Wysocka z AWS-u wzięła się za czuby z Teresą Wyszyńską z Unii Wolności.



*Fantazja na Ogródek  
i Dolinę Szwajcarską  
szkicowana przez  
Adama Kiliana*

Bez metafory – pobily się panie pod gabinetem, klóćąc o jakieś stolki czy apanaże. Samorząd Śródmieścia Warszawy sięgnął broku.

Przyszły kolejne wybory, które tradycyjnie wygrał Układ Warszawski. Dyrektorem Dzielnicy Śródmieście mianowano Piotra Foglera. On naczelnikiem Wydziału Kultury zrobił mojego dawnego asystenta z Sejmiku: Piotrusia Królikiewicza. Trudno sobie wyobrazić lepszą sytuację.

Starzy, dobrzy znajomi...

## XXXII

## FIRMA, CZYLI KRÓLIKIEWICZ

Jest taki film o mafii. Nazywa się *Firma*. Opowiada, jak swoje macki rozpostiera układ. Do kogo się zwraca. Więc przede wszystkim szuka ludzi skromnych, raczej introwertyków niż ekstrawertyków, najlepiej obciążonych rodziną, ale bez zaplecza familijnego, klasowego, terytorialnego.

Rozumie to świetnie każda władza. Komuniści rozumieli, perfekcyjnie przekuwając uruchomione już przez wojnę rozbitcie często zatęchłego świata tradycji i zastoju – w wolę awansu, wędrówki, ucieczki. Rozumiał to Senior pisząc, że dla komunistów każda tradycja była zła, każdy był nie taki: źle urodzony, złych obyczajów nauczony<sup>1</sup>. Naturalny bunt młodości przeciw starości przekuto w potępienie starości, a zarazem oderwanie się od osądu ojców. Partia po wojnie była Firmą właśnie – dawała, co chciałeś: najpierw talon na rower, wykształcenie, kawalerkę typu M-2 w okresie małej stabilizacji, z czasem talon na syrenkę, a w końcu malucha. Komunizm upadł, gdy Firma zbankrutowała, dawała coraz mniej i coraz mniej licznym. Wtedy słyszalnym okazał się głos Jana Pawła II, który przypomniał, że czas przywołać ojców dzieje. Tak, dla założycieli Firmy najmniej interesującym jest człowiek taki jak ja: zasadniczo zadowolony ze swego losu, czczący ojca swego i (do czasu...) matkę swoją, wdzięczność za pierwsze mieszkanie zachowujący dla rodziców, za rower czy magnetofon dla cici z Ameryki, za malucha skarbowym spod podłogi. Ani nuworysz, ani dorobkiewicz. Zapomniane pojęcia, prawda?

Ten, kto chce w górę, ucieka ze swojej ziemi, chaty, ze swego kantoru. Ten w szczególności, kto dla swego awansu nie ma ojcowskiego błogosławieństwa, braterskiego wsparcia, jest idealnym klientem Firmy. Tak samo jak ten, kto nie zrealizował pokładanych w nim nadziei, kto musi szybko nadrobić klęskę, kogo środowisko ocenia według sławy i kasy, komu ojciec nie zada tego przez mego dziada postawionego Seniorowi pytania. Dowiedziawszy się w latach 50., że ma

1 Andrzej Kijowski, *Notatnik ze współczesności*, por. [www.andrzej.kijowski.pl](http://www.andrzej.kijowski.pl), (cz. I-III, pliki w formacie mp3).

zamiar funkcjonować publicznie, miał spytać: „A nie zeszmacisz ty się, kochanieńki?”. Nie szmaciłem się. Zaszyłem się w Ołtarzach. Skoro Układ Warszawski wziął władzę, nie odpuszczałem Piotrom: Foglerowi i Królikiewiczowi.

Doradzał Fogler, by się z Tadeuszem Miętusem dogadać, a z diablem poszedłbym w tańce, byle tylko ideę zrealizować.

Foglera wspierał znajomy jeszcze z Sejmiku, prawnik i dawny opozycjonista Marek Borowik. Za jego też pośrednictwem próbowałem dogadać się z lewicą, czy tym jej odłamek reprezentowanym przez Tadeusza Miętusa. Zagłębiałem się odważniej – niby nurek na akwalungu.

Próbowałem Włodka Frenkla namówić do inwestycji w Dolinę – pokazał mi swoje wspólnie z Miętusem prowadzone Kon-Tiki przy basenach nad Wisłą, między mostami Poniatowskiego i Berlinga. No cóż, jak ta Rachel w *Wesela*: nie dorastam „do wielkich skal. Bawię się, *pour passer le temps* tylko”. I tak, za blazna wszyscy mnie widać mieli.

Dopingująca już z lekkiego autu Teresa Stankowa poznała mnie z Waldemarem Stańczykiem. Mówiono o nim, że stanowi zaplecze finansowe dla części restauracji Magdy Gessler, niezależnie od tego, że sam prowadzi Casa Valdemar, znakomitą restaurację u zbiegu Pięknej, Chopina i Mokotowskiej.

Ale i on wspomagał mnie radą, a nawet sprzętem, choć jak inni pewnie widział we mnie Don Kichota. No a z błędnymi rycerzami interesów się przecież nie robi.

Zabrakło Dulcynei, choć poznałem miłą, rezolutną kelnereczkę w knajpcie na Poznańskiej. Jednak i ten wariant nie wypalił. Ze zorganizowanym przez panią Anię zespołem postanowiłem pójść na całość. Na całe jubileuszowe lato zaanektować Dolinę – również kulinarnie.

Dlaczego nikt, poza towarzyszącą mi publicznością, nie chciał tak naprawdę Doliny? Nie chcieli jej mieszkańcy okolicznych domów ani władze, ani biznesmeni. A nie chcieli, bo pomysł jej odtworzenia był niestandardowy, zaś mój ewentualny sukces byłby moim, a nie aparatczykowskim triumfem. Budowałyby siłę jednostki i poczucie obywatelskiej wspólnoty. Dziesięć już lat trwał odrodzony samorząd. W roku 1990 chodziło o to, by urząd nauczył się być tylko pośrednikiem, emanacją wspólnoty lokalnej, czyli samorządowej. By pieniądze trafiały tam, gdzie są potrzebne, by zmieszać biurokrację, tworzyć miejsca prywatnej pracy a redukować biurka i etaty.

Uwierzyłem w te słowa i starałem się wcielać je w czyn. Pracując za kilku, nie czekając na etat, tworząc wpierw spółkę cywilną, potem fundację, potem jeszcze

jedną firmę już całkiem prywatną – wszystko po to, by nowemu systemowi stawić czoło. Dostawałem dotacje pozwalające na pokrycie kosztów imprez, ale nie zostawiające środków ani na mój zarobek, ani nawet na opłacenie tzw. kosztów pośrednich. Gdy z propozycjami choćby minimalnego zinstytucjonalizowania mej idei występowałem do władz, wszyscy – od Jacka Sieradzkiego z „Dialogu” po Piotra Foglera z samorządu – wykrzykiwali chórem: „Ależ nie! Małe jest piękne, a parzenie na ciebie, jak miotasz się w naiwnym szale, taką sprawia nam frajdę jak Ojcom chrzestnym obserwowanie delikwentów oddalających się łódką w stronę otwartego morza... Nie odmawiaj nam tej przyjemności”.

Tak też nie odmówiłem, a wtedy, gdy bezustannie posiłem o siedem osób dla obsługi wydzielonego w formę instytucji miejskiej Ogrodu Dolina Szwajcarska, panowie Fogler z Królikiewiczem pod hasłem „byłe nie etaty” spokojnie przekształcili budynek po Gralni i Digitalu przy ulicy Smolnej 9 w dom kultury. Utopili ponad milion złotych w niekompletnym remoncie, w zbędnym sprzęcie kuchennym, w nigdy nierozliczonych materiałach. Zatrudnili „na dzień dobry” osiemnaście, wkrótce ponad trzydzieści osób na etaty pochłaniające blisko milion złotych rocznie na same płace.

I tak powstanie Instytucja, której tajemnic zglębienie zajmie mi pięć lat życia. A trzeba było widzieć minę dawnego asystenta Piotra Królikiewicza, gdy mi przyjdzie pod koniec 2002 r., po tych wszystkich faryzejskich opowieściach o czystości instytucjonalnej, pojawić się w jego gabinecie w imieniu świeżo powołanego na urząd prezydenta Andrzeja Urbańskiego. Musiał mi pokazać budżet i spis tych wszystkich poukładanych etatów.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że segregator z danymi tej pseudo kulturalnej śródmiejskiej Firmy otwiera się niczym pudło znalezione przez bohatera filmu Sidneya Pollacka na Kajmanach.



## XXXIII

ZAJĄCE I KRÓLIKI,  
czyli gdzie jest sałata

Walka o teren, szukanie inwestora, wsparcie dla uzyskania kawałka dachu dla publiczności czy garderoby dla aktorów – to były mrzonki. Ani prywatni sponsorzy, ani urzędnicy nie mieli ochoty na inwestycję, za którą nie widać było w krótkiej perspektywie podstolnej „sałaty”. Teren Doliny Szwajcarskiej jest cenny, więc oddanie go w ręce prywatne mogło nieść za sobą niebezpieczeństwo, że wnet zamiast teatrzyku, czy pod jego przykrywką, powstaną tam na przykład garaże.

Zdawałem sobie z tego sprawę, więc też raczej dążyłem do powołania tam instytucji publicznej, w całości lub przynajmniej w znacznym procencie kontrolowanej przez władze miasta. Ale władze miasta interesowały się raczej tymi miejscami, z których dyskretniej, jak na przykład z pubów powstających w tym czasie na wybrzeżu wiślanym, można było prowizję pobierać. Mijał kolejny sezon zimowy i nic nie rokowało zmiany. Pozostała kwestia normalnego budżetu Ogródka, który już od pewnego czasu przestał wzrastać, a nawet był ograniczany.

Zatem negocjowałem pieniądze. Śródmiejscy radni wzięli mnie jednak pod but. Starali się dociec, rozumując swoimi kategoriami, czemu ja to robię. Jaki mam w tym interes. Więc trzęśli się i zmykali. Pilnując tylko, bym przypadkiem czegoś nie uszczknął ze strawy. Nie mogąc wprost utrupić imprezy, odmawiano wszystkiego, co pachniało komfortem: środków na komisję kwalifikacyjną działającą zimą, jakiejś zwyczajnej pensji – dla mnie jako szefa instytucji. Mieli nadzieję, że w końcu zaprzestaną. Czemu zaś to robię, nie będą w stanie pojąć do ostatka. Szczerze mówiąc, i ja nie do końca rozumiem sam siebie, a moim dzieciom jeszcze dziś trudno to wytłumaczyć.

11 stycznia 2001 r. odbyło się posiedzenie Komisji Kultury na temat możliwości finansowych Dzielnicy Śródmieście i poziomu dotacji dla X Jubileuszowej Edycji Konkursu Teatrów Ogródkowych. Postulowałem 90 tysięcy złotych, co byłoby kwotą dalece niewystarczającą, gdyby nie to, że miałem już realne podstawy oczeki-

wać równoległego wsparcia ze strony Gminy Centrum Krzysztofa Marszałka. Zwraçałem uwagę na fakt, z którym mało który organizator imprez kulturalnych się liczy. Otóż, że koszt udziału jednego uczestnika w imprezie IX KTO w 2000 r. wyniósł, w zależności od sposobu liczenia, około 26-38 złotych. Tymczasem koszt obecności jednego widza na spektaklu w każdym warszawskim teatrze miejskim, po obliczeniu frekwencji, sumy dotacji i przychodu z biletów – to dopłata rządu 100-200 złotych. W tych samych granicach kosztują miasto wszelkie jednorazowe imprezy plenerowe. U mnie – zakładając, że w 2001 r. w miejsce ośmiu sprzed roku odbędą się przez 14 tygodni po trzy spektakle tygodniowo, czyli 42 imprezy (w rezultacie zorganizuję ich 72!), i średnia frekwencja spadłaby z 350 do, powiedzmy, nawet 150 osób na spektakl – można by i tak spodziewać się frekwencji rządu 6-10 tysięcy osób. Wstęp jednego widza kosztowałby miasto średnio między 20 a 35 złotych! Trudno więc o Konkursie Teatrów Ogródkowych powiedzieć, co starali się mi wmówić radni, że był drogą imprezą! Bardzo niepokoiła radnych moja fundacja. Powołałem ją wobec faktu, że w dobie przetargów nie można było już dla prywatnej firmy otrzymać zamówienia na realizację autorskiej imprezy. Fundacja to co innego. Dotację mogłem otrzymać, ale z kolei nie mogłem wykazać żadnego zysku. Zapewniłem zatem zgodnie z prawdą, że zarówno Izabella Cywińska, jak i Maciej Wojtyzsko, którzy zasiadali w jury KTO w latach 1992-98, a w tymże 1998 r. zostali powołani do Rady Fundacji Kultura Tutaj Obecna, jako członkowie Rady nie uczestniczyli już w jury ani nie czerpali żadnych innych dochodów z Konkursu. Zgodnie zaś z § 19. pkt. 2. statutu Fundacji, członkowie Rady Fundacji nie pobierali też wynagrodzenia z tytułu tego członkostwa. To był już styczeń 2001 r. Czas na nawiązanie kontaktu np. z biurami podróży minął w listopadzie 2000. Zaklinałem o niemitrzenie czasu, o jakiś budżet stały, którego można by być pewnym wcześniej niż na cztery miesiące przed imprezą. Praktycznie uniemożliwiało to pozyskanie dodatkowych sponsorów, którzy zawsze wymagają potwierdzenia zaangażowania głównego inwestora. Przez 12 lat nie dane mi było od tych śródmiejskich zająców i królików wyciągnąć podobnej promesy. *Summa summarum* skończyło się na 65 tysiącach ze strony Dzielnicy Śródmieście. 100 tysięcy dała jednak Gmina Centrum, co pozwoliło uruchomić imprezę. I sfinansować. Tak, by wszyscy (poza mną!) zarobili.

Cóż – jakby ktoś w mojej kieszeni siedział. Poczynając gdzieś od tego X KTO, na Konkurs dostawałem tyle, by nikt nie powiedział, że mi odmówiono dotacji, ale bym sam nie mógł na tym uczciwie zarobić – miano, widać, nadzieję, że w końcu mi się zdzudi.



## XXXIV

JUBILEUSZ,  
czyli roboty ręczne

X KTO to było w istocie szalone przedsięwzięcie. Pamiętam ten moment, jak chwilę poetyckiego natchnienia. Kiedy już zliczyłem pieniądze, szedłem Puławską od strony Teatru Nowego, z mieszkania Andrzeja Radomińskiego, który projektował dla mnie program graficznie. Podążyłem w stronę mieszkającej nieopodal, *vis-à-vis* Europlexu, Marynki Bersz, której postanowiłem zlecić przygotowanie folderu podsumowującego dekadę. Miał być kolorowy, poręczny, nawiązujący do XIX-wiecznej, ale też i do mojej dziewięcioletniej już historii. I wtedy powiedziałem sobie: żyje się raz, a kto nie ryzykuje, ten zdycha. Albo się uda, albo niech mnie rozniesie z kretesem. „To ma być potężny całosezonowy festiwal – oświadczyłem Marynie. – Trzymaj miejsce na dwa miesiące zdarzeń”.

Festiwal uratował Krzysztof Marszałek. Ale... postawił niełatwe warunki: powrót do Lapidarium, które zamknięto po ataku mafii w '94, a potem przez pięć lat remontowano. Mówiono nawet o szklanym dachu

Skończyło się na wchrzaniu w to piękne podwóreczko ogromnego namiotu, którego dach mierzący 13 na 8 metrów pokrywa scenę na 8 metrów szeroką i 4 metry głęboką, oraz dwie trzecie widowni.

Knajpki, którą prowadził tam Kiliński, już nikt nie odtworzył.

Podwóreczko kamienicy Smockich przy Nowomiejskiej 6 i kamieniczki Mirosławskiej pod numerem 8 w rękach Sebastiana Lenarta ze Staromiejskiego Domu Kultury straciło wiele ze swego wdzięku. Imprezy postanowiono robić tam już tylko w weekendy, oferując teatrykom ogródkowym niedzielne popołudnia.

Lapidarium jest piękne. Z pewnością teatralnie lepsze od otwartej przestrzeni Doliny Szwajcarskiej, no, ale wygnano nas zeń: F i Jacka Kilińskiego oraz mnie. Wypchnęli nas urzędnicy, którzy tak strasznie boją się jakiegokolwiek spontanicznej inicjatywy. Odebrano temu miejscu osobowość. Nie zadbano o wygodę widzów. Co więcej, w przyległym budynku kamienicy Gębińskiej przy Nowomiejskiej

10 powstała miła restauracyjka Na Prowincji, której okno wychodzi na podwórczko Lapidarium.

W czasie spektakli gwar zza otwartego okna dekoncentrował oglądających spektakle widzów podwójnie: raz hałasem, a po wtóre przez fakt, że tam sobie popijają kawkę czy herbatkę, może nawet winko z włoskimi daniami... a my tu musimy kontemplować sztukę o suchej krtani. Najbliższym miejscem, gdzie można było wypić kawę w przerwie między (jak to zwykle u mnie bywało) dwoma spektaklami, był ogródek u Dekerta na Staromiejskim Rynku. Tam jednak naparstek świetnego włoskiego espresso kosztował drożej niż na Champs-Élysées, nie mówiąc o Fontannie di Trevi. Nie na kieszeń miłośnika teatru.

Szefowi Staromiejskiego Domu Kultury, sprawującemu urząd nieprzerwanie już lat dwadzieścia, oczywiście ani w głowie było dogadywać się z knajpiarzem, generować mu zyski, uruchamiać sprzedaż kawy choćby przez okno. Podnosić komfort zdarzenia.

Sebastian Lenart rozumie, że impreza nie jest dla ludzi, lecz dla sprawozdań, urzędników i tego, co oni w te wykazy włożą.

Zatem Pan (Marszałek) każe, sługa (Kijowski) musi. Marszałek uzależnił dotację w wysokości 100 tysięcy złotych od tego, bym powrócił z Konkursem do Lapidarium. Ja przejęty już byłem tworzeniem *genius loci* Doliny Szwajcarskiej. Po namyśle stwierdziłem jednak, że dobrze położone w centrum miasta Lapidarium będzie dla Doliny miejscem znakomitej promocji.

Poniedziałki były tradycyjnie dniami konkursowymi. Postanowiłem utrzymać je w Dolinie, w niedzielę zapraszając zespoły do Lapidarium na rodzaj sparingu przed staromiejską publicznością. Po raz dziesiąty zaprosiłem zatem do stolicy scenicznych profesjonalistów, którzy wiedzą, że latem w Warszawie jest świetna publiczność oraz mnóstwo złaknionych kulturalnych sensacyj – piór, mikrofonów i kamer!

Od 1 lipca do 27 sierpnia obiecałem powracać w niedziele do staromiejskiego Lapidarium, gdzie się Konkurs narodził, i występować w poniedziałki przed jury w Dolinie, którą Konkurs Teatrów Ogródkowych odtwarzał.

Słowem: normalny TEATR LETNI, na którego repertuar składały się powtórzenia występów prezentowanych w konkursie, a także prezentacje zaproszonych gości, głównie z grona dotychczasowych laureatów Festiwału.

Jak zawsze zapewniałem jedynie zwrot kosztów benzyny przejazdu zespołu (samochodem) i nocleg w jednym z tańszych stołecznych hoteli. Dochód z biletów

w całości natomiast przekazywałem występującym. I to było ich całe honorarium. Czapka – jak za Moliera!

Zająłem się organizowaniem Doliny. To miało być już przecież codzienne zdarzenie. Codzienne, z zabezpieczeniem wszystkiego. Oczywiście najprostszym rozwiązaniem wydawała się współpraca z kawiarnią, tak jak to było na Mariensztacie. Byłem skłonny umówić się z jakimś restauratorem, zdobyć dlań wszystkie zgody i pozwolenia, byle tylko on z kolei zadbał o krzesła i stoły, jakąś sensowną podłogę dla publiczności i dachy nad głowami, garderobę, toalety, wreszcie nocną ochronę. Tylko tyle.

Ale jakoś nikt się nie kwapił do tej roli. Nikt nie wierzył, że ludzie zaczną ściągać do Doliny Szwajcarskiej. No i przede wszystkim – każdy pytał o piwo. Zaczynała się rozmowa ślepego z głuchym. Ja zasadniczo nic przeciw piwu nie miałem. Na VIII KTO funkcjonował barek i jakiś układ z Browarami Warszawskimi. Na dziewiątym? Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Spektakle odbywały się raz w tygodniu. Chyba w ogóle temat gastronomiczny sobie odpuściłem. No, ale teraz coś należało zrobić. Trochę się obawiałem. Wiedziałem, że drogo sprzedawać nie mogę, więc jeśli w istocie zacznę serwować samo piwo, przekształcę teatrzyk w tani browar. Piwo tak, proszę bardzo, ale tylko droższe, elegantsze. Jakiś Guinness czy Heineken.

Ale przecież można podawać lody, herbaty w stu smakach, wreszcie „napój dionizyjski”, czyli szprycer: białe wino przemieszane z wodą, z dodatkiem lodu i cytryny. Zawsze zresztą, jeszcze od czasu Dziekanki, dbałem, by taka ambrozja pojawiła się przynajmniej na stole jurorów.

Zmieniał się już styl ogródków. Gdy zaczynaliśmy w Lapidarium, plastikowe krzeselka zdawały się szczytem komfortu. Teraz na ulicach pojawiły się piękne kute ogrodzenia, solidne drewniane ławy. Wszystko z browarnych zasobów.

Bogaciła się ogródkowa Warszawa. Z drugiej strony swoje apogeum przeżywały ogródki nad Wisłą. Uruchomione, jak mnie pamięć nie myli, po raz pierwszy w 1999 r., stały się na trzy, cztery sezony autentycznym hitem letniego życia w Warszawie. Byłem jedną z pierwszych osób, która ich powstanie dostrzegła. Temat ogródków był mi zresztą znany od czasu Barki Wolskiego, który w 1994 r. uruchomił jedno z pierwszych takich miejsc.

Władze Warszawy z Zarządem Terenów Publicznych trudno było do czegokolwiek przekonać, jednak nurty rzeki, jak się okazuje, nie im podlegają, lecz

ministerstwu żeglugi. Stąd – po czterech latach 1998–2002 szaleńczej ekspansji ogródków piwnych nad Wisłą – z nadejściem Lecha Kaczyńskiego uszpono wszystko. Ocaleli tylko właściciele dwóch barów, którzy koncesją dysponowali od czasów komuny, i ci, którzy dorobili się na tyle, by zainwestować w barki. Przybyło ich zatem, i do dziś podległe Krajowej Inspekcji Wód wodne oazy są jedynym miejscem wolnej zabawy dla warszawiaków.

A ludzie zabawy potrzebują. Kultury też – i to bardziej niż piwa. Nie docierała ta prosta prawda do właścicieli kawiarni. Niestety, osoby pokroju Jacka Kilińskiego nie rodzą się w tym fachu na ulicy. Negocjowałem i z profesorem Andrzejem Bliklem (parokrotnie), i jego synem, też bezskutecznie. Nawet w ich supermarketowej elegancji nie mieściła się moja wizja. Czy naprawdę przyjdzie mi kiedyś wreszcie kontynuować teatryki w jakiejś handlowej galerii? Skrzydło w skrzydło z basenem? Gdzieś podle kaplicy katolickiej, między McDonaldem a synagogą, gdy wszystkie świątynie już w samych marketach pozamykają? Trudno powiedzieć. Chrystus wyganiał przekupniów ze świątyni, co ma jednak zrobić z kapłanami, którzy swą wiarę hurtem w galeriach przeceniają?

Na razie jednak zostałem z jedną panią Anią, jej znajomą parą kelnerów, którzy wpadali do mnie po południu dorobić. Stańczyk z Casa Valdemar także w Dolinę nie wszedł. Acz zachował się bardzo dżentelmeńsko. Z własnej wiejskiej posiadłości pożyczył mi nieodpłatnie kilka potężnych drewnianych ław do siedzenia i ogromne stoły. To był taki jego aport na poczet mojego mało prawdopodobnego sukcesu.

Zatem Ogródek w Dolinie Szwajcarskiej zmieniał się po raz kolejny. Nic sensownego nie wynikło z negocjacji z architektami, zrobiłem więc wszystko sam i na zielono. Nie dało się już postawić frontu z Mariensztatu.

Zresztą znudził się on już i zużył. Nad sceną od Witka Szymańskiego rozpostarłem dach o wymiarach 5,3 na 5,3 m. Dach był zielony. Miał osiem nóg. Jedna kolumna wypadła zatem równo na środku sceny. Maciej Sarapata z firmy Bos-sar bronił tej nogi jak niepodległości, twierdząc, że jest ona zgodna z ISO i bez niej to on w ogóle za nic nie odpowiada. Nie trzeba mówić, jak do tej kolumny odnieśli się aktorzy. Jeszcze na pierwszym spektaklu jakoś to zniesiono. Potem z pomocą Mirka Wróblewskiego dokonaliśmy oficjalnej amputacji nogi przedniej, w taki jednak sposób, by można ją było przy znośnych warunkach atmosferycznych wyjmować na czas trwania spektaklu, a potem z powrotem wstawiać.

Nabyłem także dziesięciokątne altany dla publiczności. Trzy, a w każdej mieściło się przeszło 30 osób. Teren ogrodziłem w sposób najprostszy. Zleciłem

mianowicie znajomemu ślusarzowi w Nurze pocięcie prętów zbrojeniowych. Kazałem zaostrzyć sztyce, dorobić im uszka, a przez uszka przeplotłem ponad sto metrów ozdobnej liny. Kosztowało grosik. Z tym wszystkim zwróciłem się do firmy Gardenia, w której imieniu Marcin Radzymiński przystroił mi ogródek, jak potrafił. Ozdobił sztucznym kwieciami front sceny, w otwory altany wprowadził siatkę na ptaki, która miała (ludziom kulturalnym, rzecz prosta, i delikatnym) bronić wejścia, jednocześnie przepuszczając wiatr i służąc za stelaż dla kompozycji kwietnej. Nad sceną ułożyliśmy girlandy. Ba, girlandy były nawet wokół, także z drutu zbrojeniowego wykonanej, wygiętej w kształt łuku atrapy wejściowej bramy.

Pomyślałem również o podłogach. Miałem wciąż w oczach sytuację z IX Ogródka, gdy w czasie deszczu publiczność z jurorkami na czele była wprawdzie zabezpieczona przed opadem pod białą ogródkową altaną z supermarketu, jednak woda zaczęła spływać po gołej ziemi, tworząc błoto pod nogami. Patrzyłem, jak Basia Borys-Damięcka z Zosią Kucówną i Dorotą Wyżyńską niby gęsi nad brzegiem stawu podkulają nogi. Było mi wtedy wstyd. Chcąc podnieść komfort oglądania spektakli, u Macieja Polniaka zamówiłem do namiotów klasyczne podłogi. Był to spory wydatek, więc deski w wejściu uzupełniałem zdobytymi w jakimś magazynie panelami transportowymi.

Znałem już nieco opadające w dół ukształtowanie terenu Doliny i kazałem... kopać fosy. Tak by deszcze jak najmniej szkodziły publiczności. Istota mojego teatru sprowadzała się zawsze do dbałości o widza. Nie dbałem o architekta, który musi zarobić, ani scenografa, pragnącego zaspokoić swą próżność, ani nawet aktora w swoim pojęciu (szczególnie w plenerze) zstępującego z parnasu ku gawiedzi. Interesował mnie tylko widz. Oby jak najlepszy, ale tak naprawdę każdy był świetny, skoro zechciał nas odwiedzić. I on w Ogródku był zawsze hegemonem. To jemu należy się szacunek, to on swym patrzeniem teatr stwarza. Ale też jego stwarza – tak jak stworzyła mnie w Marina do Palermo – aura otaczającej go przestrzeni.

Było więc wejście, fosa, podłogi, altany dla publiczności, garderoba dla aktorów pod zasłoniętym ścianami namiotem, który jeszcze rok temu rozpościł się nad sceną. Kupiłem też wreszcie pianino. Nieczęsto dotąd bywało potrzebne, ale zdarzało się. A teraz musiałem je dostarczyć Zbyszkowi Rymarzowi. Ten zarzekał się wprawdzie, że w życiu nie zagra na „zdechłym kocie”, lecz zgodził się w towarzystwie Mirka Wróblewskiego, który w stanie wojennym zjadł zęby na handlu takim sprzętem, udać się na plac Konstytucji, by ocenić elektroniczną yamahe z dynamiczną klawiaturą i pedałem.

*Więc Rymarz jak trup blady siadł przy klawikordzie  
i z wolna jął próbować akord po akordzie.  
W sklepie zapadła cisza. Zbyszko grał jak z laski.  
Gdy skończył, wszyscy wstali. Zabrzmiały oklaski,  
a muzyk – rzecz niezwykła – oddał bold technice.  
Brzmi bosko. Kupuj acan. Grać się nie powstydzę...*

I tak stałem się posiadaczem elektronicznego pianina marki Yamaha, które było świadkiem niejednego wielkiego zdarzenia. Klawiatura ta posłuży wszystkim najwybitniejszym akompaniatorom warszawskim: Krzysztofowi Paszkowi i Januszowi Tylmanowi, Andrzejowi Płonczyńskiemu i Zbigniewowi Majchrzakowi, Irencie Kluk-Drozdowskiej i wspomnianemu Rymarzowi. Zresztą, kto na nim nie grał? Tylko Kamka z Emką, roztańczone córeczki moje, które myślałem przy jego pomocy umuzykalnić, nie zechciały poddać się tej kosie.

Stworzyliśmy też w Dolinie kawiarenkę. Jako że żaden poważny biznesmen nie chciał się zaangażować, wzięła się za nią w rezultacie wspomniana pani Ania z przyjaciółmi. Na piwo z dystrybutora uparcie zgodzić się nie chciałem, obstając przy winie z wodą, nazwanym przez nas „napojem dionizyjskim”. Jeszcze z pomocą Amiry i Matiny Bocheńskich, córek Małgosi, które mi wtedy pomagały, wymyśliliśmy parę greckich nazw.

Jakąś ambrozię, coś było teatralne, aktorskie, bywał też jakiś dramat z grilla. Wszystko kręciło się na niby. Po pierwsze i ostatnie nie mieliśmy bieżącej wody. Pod Doliną znajduje się jedynie tzw. ogrodowa hydraulika. Jeszcze gorzej było z odprowadzaniem nieczystości. Najbliższa studzienka to też tylko tzw. burzówka, a znajdowała się o kilkadziesiąt metrów na końcu trawnika. I to był prawdziwy powód, dla którego ewentualna kawiarenka, taka, co przyniosłaby jakiś realny dochód, wymagała znacznie większych inwestycji. Owszem, na wolnym powietrzu można uzyskać jednorazowe koncesje na piwo w plastyku, ale to groziłoby opanowaniem ogródka od przedpołudniowych godzin przez towarzystwo, które mogłoby zniszczyć elegancki charakter miejsca.

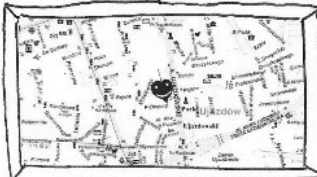
Samo piwo, rzecz jasna, mi nie przeszkadza, podobnie jak wino. Chodzi tylko o to, by było elegancko. Dążyłem więc do tego, by wino było bardzo tanie, stosowne dla inteligencji, piwo droższe, by nie ściągало szerszych rzesz. W rezultacie kawiarenka istniała nie tyle dla dochodu, co dla komfortu bywalców. Staralem się to wszystko w miarę zalegalizować. Częściowo się udało. Koncesję

**KAWIARNIA**  
**AN-TRAKT**  
 w Dolinie Szwajcarskiej

**DOLINA SZWAJCARSKA**  
 (Uzbiegu ulic Orszynki  
 i Alei Lipszawskich)

ZAPRASZA OD RANA

... kawa po aktorsku  
 herbata elżbietawska  
 napoje dionizyjskie  
 kokomediowa Coca-Cola  
 litość i trwoga z cytrynką  
 Jgraszki trafu  
 i miłości z owocami  
 Dramat z grila  
 Nie-boskie ciasteczka i farsz lodowa

Menu teatralne w AnTraKcie

na piwo mógłbym mieć, ale nie chciałem. Na wino już nie, bo to w Polsce alkohol „twardy” – traktowany jak wysokoprocentowy. Paranoja! Zarząd Dzielnicy wyraził jednak zgodę zarówno na nieodpłatne użyczenie kilkuset metrów Doliny mojej Fundacji na działalność kulturalną, jak i na wynajęcie kilkunastu metrów firmie Media ATaK na działalność gastronomiczną. Za to naturalnie musiałem już zapłacić. Dogadałem się nawet z Sanepidem, tak że legalnie sprzedawaliśmy z dystrybutora coca-cole, fantę i sprite’a. Herbatę. Świetne espresso. Jednorazowe lody z Zielonej Budki. A do „napoju dionizyjskiego” zaprzyjaźnieni dostawali łyk białego wina. Ot, przekręt po polsku, ale *à rebours*. Zwykle wszakże czegoś nie dolewają. Bardzo po cichutku zezwalałem też, by sobie kelnerzy dorobili, sprzedając spod lady – lecz jedynie najlepsze (Heineken, DaB czy Carlsberg) piwo.

Kawiarnia zatem specjalnego dochodu nie przynosiła. Chyba nawet nie pokryła kosztu wynajmu powierzchni. Jednak jej formalne przynajmniej funkcjonowa-

nie od godziny 10 rano do 10 wieczorem pozwalało obniżyć koszty dozoru. Panu Henrykowi, który przybywał z Ursusa, by pilnować ogródka nocą, musiałem płacić więcej niż kelnerce, która zastępowała go rano.

Pomyślałem też o reklamie. Dotychczas kombinowałem, jak umiałem. Teatry (nawet Teatr Mały, kierowany przez zaprzyjaźnionego ojca chrzestnego mojej córki Emilki – Pawła Konica) nie bardzo chciały udostępnić nam swoje gabloty, choć te świeciły pustkami w czasie wakacji. Jednak przez kilka sezonów wykorzystywałem przeszklone, a porzucone przez przekształcających się właścicieli panele reklamowe stojące naprzeciwko Hotelu Forum w Alejach Jerozolimskich, w przesmyku prowadzącym do apteki przy ul. Przeskok. Wieszalem tam na cały sezon plakaty. W końcu je jednak zdemontowano. Odkryłem za to, że przy dawnym ZBOWiD-zie na rogu Alej Ujazdowskich i Pięknej były też dwie przeszklone gabloty całkiem zapomniane. Już na IX KTO udało mi się jedną z nich wynająć. Teraz postanowiłem zwiększyć reklamę. Nawiązałem kontakty z Warexpo. Szczerze mówiąc, również nie do końca formalne. Ustaliłem, że część słupów, na czele z wielkim stojącym przy aptece u zbiegu Świętojerskiej i Freta, spadły z jakiegokolwiek ewidencji. Nawiązałem kontakty z Gildią, eksplorującą biznes pokątnego plakatowania, i stawaliśmy się coraz bardziej widoczni.

Oczywiście najważniejsza jest jednak reklama w najbliższej okolicy. Zatem między wielkimi drzewami od strony Chopina rozwiesiłem gigantycznych rozmiarów baner reklamujący kawiarenkę. Własnymi rękami zbiłem też (z płotków ogrodowych dostępnych w Castoramie) pierwszą tablicę ogłoszeniową, która stanęła u wrót Doliny. *Obiit Gardenia – theatrum natus est.*

Moją ambicją było, by opracowany przez Marynkę Bersz, najpiękniej jak umieliśmy, skomponowany graficznie przez Andrzeja Radomińskiego folder jubileuszowy wydany został tym razem już na start Ogródka, podobnie jak plakat. Wszystko się udało.

Pod koniec czerwca w siedzibie PAI przy Bagateli zorganizowałem konferencję prasową z udziałem Piotra Foglera i Basi Borys-Damięckiej z jury. Zaprezentowałem folder i plakat z 60-dniowym repertuarem. Ruszyło...



## XXXV

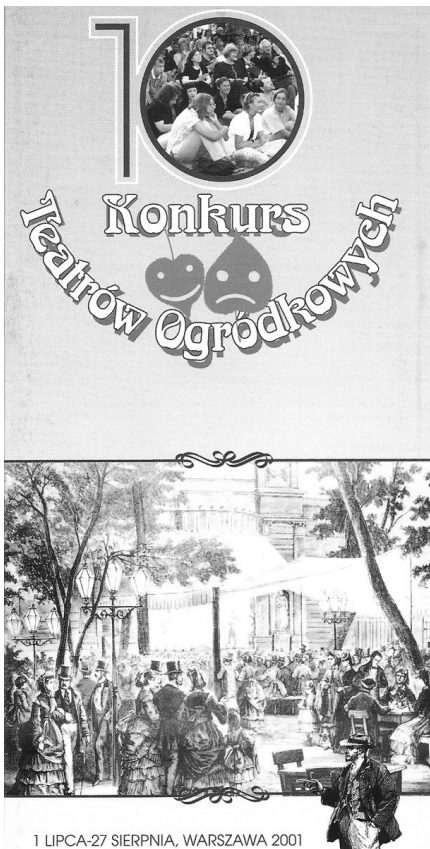
## TRUDNA ROCZNICA

Małżonkowie wiedzą, że to trudna rocznica. Okrągła, jeszcze młoda, a już zębem czasu kąsana. Po siedmiu latach należy wszystko zmienić, po dziesięciu ocenić, czy to na coś się zdało. Po siedmiu latach powiedziałem sobie: „Dolina Szwajcarska!”. Powiedziałem: „Letni Festiwal Ludów Europy na wolnym powietrzu w Warszawie”.

Ogłosiłem również ideę teatru będącego miejscem spotkania. Powiedziałem, że sztukę robią dziś twórcy filmowi, telewizyjni, pewnie internetowi – tam są pieniądze, tam są współczesne tworzywa i tam liczna publiczność. Ale ta publiczność medialna, blogosfera, wirtualny czytelnik książek z e-booka czy widz filmu z DVD, potrzebuje czasem wyjść na świeże powietrze, zdjąć słuchawki, oderwać się od monitora, znaleźć się wśród podobnych sobie. Zatem: „Nie gódźmy się na ekskluzywne widowiska przeznaczone dla garstki ludzi, którzy zamykają się smutnie w ciemnej speluncie i trwają zamknięci i nieruchomi w ciszy i beczynności (...) Nie, ludy szczęśliwe, nie dla was takie zabawy! Na pełnym powietrzu, pod gołym niebem powinniście się gromadzić i rozkoszować poczuciem własnego szczęścia”<sup>1</sup>. Tak pisał J. J. Rousseau dwieście lat temu, gdy sztuka z kościołów, dworów i placów zamierzała się wymknąć ku dziewiętnastowiecznym posłannictwom.

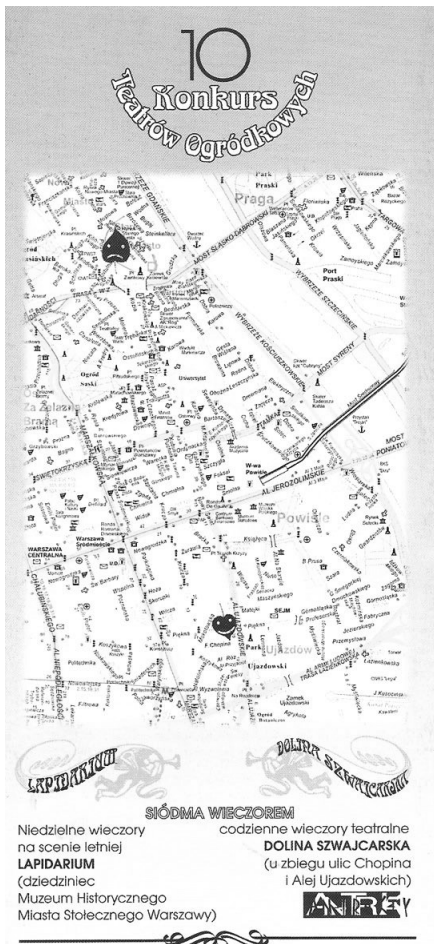
Oczywiście nigdy się to w pełni nie udało. Właśnie Dolina Szwajcarska była jednym z przykładów trwania idei antycznego festiwalu, średniowiecznego miraklu, renesansowego karnawału. Właśnie europejskie schweizertale, gdzie grano i śpiewano – niosły jedność sportu i gry (*sport und spiel*). I tak jak niegdyś między grecką świątynią i stadionem, sytuowały teatr między ślizgawką czy kortem tenisowym a estradą.

1 J. J. Rousseau, *List do pana d'Alemberta o widowiskach*, w: *Umowa społeczna i inne rozprawy*, przełożyła W. Bieńkowska, Warszawa 1966



1 LIPCA-27 SIERPNIA, WARSZAWA 2001

Folder X KTO, recto  
verso



Niedzielne wieczory

na scenie letniej

**LAPIDARIUM**

(dziecielniec

Muzeum Historycznego

Miasta Stołecznego Warszawy)

codzienne wieczory teatralne

**DOLINA SZWAJCARSKA**

(u zbiegu ulic Chopina

i Alei Ujazdowskich)

**ANREY**

Folder na X KTO wyszedł znakomicie. Było oczywiście parę błędów. Jak brak nazwiska Kucówny (mimo zdjęcia) wśród wszystkich jurorów, wstępowałyśmy je potem pracownicy. Czy przepiękna literówka w słowie „pro(e)fesjonalne”, gdy we wstępie pisałem o fachowych wreszcie wydrukach.

Folder wydrukował Jacek Juchniewicz. A właściwie państwo Juchniewiczowie, gdyż Jacek z żoną Elą staną się przez najbliższe trzy lata czasami doprawdy jedynym oparciem Ogródka.

Juchniewicza poznałem przez Andrzeja Radomińskiego jako drukarza. Nie do końca to jednak okazało się prawdą. Pan Jacek, związany od zawsze z edytorskim

światem, okazał się **mistrzem optymalizacji ceny** – tak bym go nazwał. To znaczy nie taniuchy bynajmniej, lecz tego, by za minimalną cenę uzyskać maksimum efektu. W zasadzie zaczęło się od programu na X KTO zrealizowanego przez Andrzeja Radomińskiego. Skład realizowałem po staremu u Ani Jedlińskiej i Janusza Wójcika w Cezanie, ale Juchniewicz okazał się bezkonkurencyjny w poszukiwaniu dobrych, acz niedrogich firm drukarskich.

Nie tylko. Jakoś tak z panią Elą przyłgnęli do mnie. Sponsora (była bodaj mowa o Dilmahu) znaleźć się nie udało, ale wciągnął ich mój szal. Po wydrukowaniu programu zaczęła się jego dystrybucja. Umówiliśmy się, że ich firma podejmie się sprzedaży biletów (co mogłem symbolicznie honorować), a także wspólnie wyprodukowanych programów, które zaczęliśmy rozprowadzać po 8 złotych, potem spuszczać cenę z tygodnia na tydzień. Państwo Juchniewiczowie próbowali sprzedawać jakieś swoje gadżety drukarsko-reklamowe, zainwestowali w kartki pocztowe. Wydrukowaliśmy ich pięć, z pięknymi zdjęciami dawnej Doliny, z pamiątką X KTO i Adolfiną Zimajer.

I tu zaczęliśmy się przekonywać o, przeczącej logice, odmowie ogródkowej publiczności na ponoszenie jakichkolwiek dodatkowych opłat. Za bilety płacono. Po dziesięć złotych. W miarę przybywania widzów, gdy brakło już krzeseł, wprowadzałem wejściówki po 5 złotych. Pamiętajmy, że impreza cały czas odbywała się bez honorariów aktorskich. Zwracałem przejazd i transport, a w miejsce honorarium była cała „kasa” zebrana od widzów. Sam nie brałem nic, a aktorzy mieli jeszcze nadzieję na dużą nagrodę. Więc inwestowali jak w totolotku. Widzowie więc bilety kupowali; kawka, piwko – proszę bardzo; ale nie poszło ani pół pamiątkowej kartki, ani ćwierć gadżetu.

Juchniewiczowie byli zszokowani, lecz trwając przy mnie dzień w dzień, powoli stawali się ludźmi teatru. Wkraczali w towarzystwo. Ona flirtowała z aktorami, on (a temperament ma pan Jacek kresowego szlachcica) rwał się do szabli. On śpiewał z Rosjankami – ona zwijała manatki.

Rozbiliśmy wszak rodzaj biwaku w samym centrum miasta. Kilometr od URM-u, spod którego podjeżdżał czasem do mnie rządową lancją Jędrrek Urbański – świeżo upieczony minister, podsekretarz stanu, czyli doradca premiera Jerzego Buzka do spraw polityki informacyjnej (2000–2001).

- A Pan Dyrektor to taką nową bryką pewnie z Ogródka wyjedzie? – spytał Pan Jacek w rozmarzeniu, widząc mnie pięćdziesiąty dzień na nogach... Nie myślał tek pewnie on jeden.



## XXXVI

## O KALISZU, BUZKU I BLUSZCZU Z LEGNICY

Nie zapomnę tego ranka na Długiej, gdzie spędzałem samotnie lato. Nagle dzwoni telefon.

– Czy to pan Kijowski? – pyta głos w słuchawce.

– Czym mogę służyć? – ledwie przytomnieję, gdyż pora była tak bardziej urzędnicza, parę minut po ósmej, pewnie już od czterech godzin spałem...

– My tu, wiecie, dzwoniemy do was z Zarządu Warszawskiego SLD w sprawie spotkania ministra Kalisza z młodzieżą w Dolinie Szwajcarskiej.

Przytkąło mnie. Jeszcze nie wiem, czy to sen, czy mara przypominająca czas, gdy w latach 70. wybrał się raz z polecenia mego promotora Krzemienia do budynku KW przy Chopina, a tam mnie „towarzyszem” tytułowano.

– Jakie spotkanie, o której? – pytam.

– O siódmej wieczorem.

– Zaraz, zaraz. O siódmej wieczorem istotnie jest spotkanie w Dolinie Szwajcarskiej, ale publiczności warszawskiej z aktorami z Legnicy, występującymi w Konkursie Teatrów Ogródkowych.

– No właśnie, właśnie – słyszę. – I pan minister Kalisz wybiera się na spektakl, by spotkać się z naszą partyjną młodzieżą. Chcielibyśmy zarezerwować dwadzieścia zaproszeń.

Zbaraniałem. Nie muszę ukrywać, że ta opcja polityczna nie należy do mych ulubionych. Jednak *noblesse oblige*. Co by nie mówić, trudno obrażać szefa kancelarii urzędującego prezydenta, nawet jeśli nie tylko nań nie głosowałem, lecz nawet pracowałem w konkurencyjnym sztabie.

– *Prawda* – powiadam – *ale ja pierwsze słyszę o spotkaniu, a ponadto spektakle są płatne. Jednak naturalnie* – zreflektowałem się – *dla pana ministra będzie czekało dwuosobowe zaproszenie.*

– *A ile kosztują bilety?*

Podaliśmy sumę, usłyszałem westchnienie i byliśmy umówieni.

Ja w szoku. Szybko zrobiłem wyliczenie. Teatr Ogródkowy pierwsze wystawienie miał w czwartek 23 lipca 1992 r., dziś jest poniedziałek 23 lipca 2001 – mija równe dziesięć sezonów. Niezauważona rocznica. A tu, co po chwili zrozumiałem, oczywiście kroila się następna kampania wyborcza. Przed rokiem (8 października) Aleksander Kwaśniewski wygrał, uzyskując 53,3%, i po raz drugi został obwołany prezydentem. Za dwa miesiące – 23 września 2001 r., w trzy tygodnie po moim X Ogródku, będę sobie siedział w Ołtarzach, a Jacek Kuroń zaprosi mnie na 25-lecie powołania KOR-u. Ale nie pojawię się u Mirka Chojckiego w przeddzień wyborów, w których ostatecznie i na lata oddamy władzę. Na własne żądanie. A czemu? Chociażby – temu.

Zbudzony przez służby Kalisza natychmiast zadzwoniłem przecież do mojego grubego ministra, doradcy premiera Buzka ds. polityki informacyjnej. Mówię:

*– Andrzej, SLD-owcy z Kaliszem robią kampanię u mnie w Ogródku, przyjdź, a może byś i premiera sprowadził? Ty jesteś prawie tak samo ciężki jak Kalisz, a może kiedyś nawet sekretarzem stanu zostaniesz. Uczcimy moją Dziesiątą okrągłą i jakoś przelknijemy tę Kaliską żabę.*



*Ryszard Kalisz  
na X KTO*

Ale gdzie tam! Minister Urbański mój teatrzyk miał zawsze za produkt niszowy. Lubiał nawet wpaść do mnie po godzinach, absolutnie bez docenienia jej politycznego wpływu. A tamci... Widz do widza, fotka do fotki – uzyska SLD ostatecznie 41,04% we wrześniowych wyborach. Głosy zyskiwali wszędzie, nawet na moim Ogródku. Nie powiem, by mi nie pochwiliło.

Piętnaście minut przed spektaklem stacza się jak pączek w maśle, ubrany po cywilnemu, w krótkim rękawku – minister stanu. Wychodzę mu naprzeciw z zaproszeniem, jak na dyrektora przystało. Wita się grzecznie i... ze schodków Doliny Szwajcarskiej wygłasza krótki wykład do otaczającej go młodzieży na temat magicznego zakątka Warszawy, tradycji teatrów ogródkowych i moich 10-letnich zmagañ. Myślałem, że wypiórkuję! Następnie, otrzymawszy dwuosobowe zaproszenie, odliczył otaczającą go trzódkę, wyciągnął portfel i wysłał asystentkę do kasy ze stówką czy dwiema, by kupiła dwadzieścia parę biletów. Skonstatowawszy, że nie sprzedajemy piwa, innego hunwejbina pchnął po krzynekę browaru do pobliskiego sklepu i, jak na barona z SLD przystało, rozsiadł się w tylnych rzędach w otoczeniu grona młodzieży.

W trakcie spektaklu śliczna asystentka wywierała na mnie presję wszelaką, bym może jednak przywitał albo pożegnał, słowem – zauważył obecność pana ministra. Nie przeszło mi to przez gardło, ale ujęli mnie na tyle, że po brawach, gdy już się zbierali, podpowiedziałem emablującej asystentce, by po prostu z własnej inicjatywy udał się pan minister do namiotu-garderoby i podziękował aktorom. Trzeba było widzieć, jak panienka gnała, jak Kalisz posłusznie wykręcił pirueta, jak to się wokół Przemka Bluszcza oplatali, a fotografowali...

Gdy w rok później, jeżdżąc przez kilka tygodni z byłym już wówczas premierem Jerzym Buzkiem w celu założenia wydziału medialnego przy Akademii Papięskiej w Częstochowie, opowiem mu ten wieczór. Ojciec pięknej Agaty nie będzie mógł pojąć, jak to się stało, że o niczym nie wiedział. A przecież kochając teatr jak córkę, przybiegłby tam bez wahania. Słowa. Słowa. Słowa.





## XXXVII

## WŚRÓD PRZYJACIOŁ MOSKALI

Urbański jednak dobiegł... acz po miesiącu. I załapał się na wieczór przyjaźni polsko-rosyjskiej. Jeszcze wiosną otrzymałem tajemniczego maila z rosyjskiej miejscowości Iwanowo, z propozycją zagrania adaptacji słynnych *Oświadczyń* Antoniego Czechowa, nazwanych przez artystów Teatru Ptak *Pasje pod brzozami*.



*Siergiej Szawarinski (Iwan Wasiliewicz Łomow), Wiktor Łobaczow (Stiepan Stiepanowicz Czubukow), Tatiana Griszantina-Szawarinska (Natalia Stiepanowna Czubukow)*

*Oświadczyń*, przypomnę, to ten słynny żart sceniczny (nb. bardzo często grany jako egzamin w ramach scen na II, III roku w szkołach teatralnych) – historia nieporozumień, można powiedzieć: komedia omyłek, w której nad realizacją marzenia ojca, Stiepana Stiepanowicza Czubukowa (Wiktor Łobaczow), o małżeństwie Natalii Stiepanowny Czubukowej (tu zagrała ją Tatiana Griszantina-Szawarinska) triumfuje (pozornie jednak tylko) małostkowość, zawziętość, krótkowzroczność.

Iwan Wasiliewicz Łomow w wykonaniu i reżyserii Siergieja Szawarinskiego nie był nareszcie żalonym parafialnym patafianem, lecz wesołym, autoironicznym, niezręcznym nieco marzycielem. Był taki, jakim okazał się Siergiej. Aktor, reżyser, choreograf. Ich „wołowe łączki”, jak lubię nazywać tę sztukę, nie były nadto charakterystyczne, były lekkie i romantyczne. Gdy w końcu po drugim

sporze (pierwszy był o własność wołowych łączek, drugi o ułożenie psa myśliwskiego) dochodzi do ożenku, to nie jest zwycięstwo kołtunerii, lecz życia: „*Nu, naczijnajetsia siemiejnoje szczastie! Szampanskowi !*” – w niezapomniany sposób podsumuje komedię Wiktor Łobaczow grający Czubukowa.

*Pasje pod brzozami* ukazywały to, co naprawdę tkwi w jednoaktówce Czechowa: miłość i szacunek do tych ludzi, którzy spędzą życie, jak spędzą. Ale najlepiej, jak im na to świat pozwoli. Którzy – zrobią z Iwanowa Hollywood, objadą świat na rowerze, zasadzą prawdziwe podmoskiewskie brzozy w centralnym parku Warszawy, pod którymi będą pić piwo (i także coś z piętnaście razy mocniejszego), śpiewając z grającym na gitarze ministrem rządu Jerzego Buzka i Kościelnym z serialu *Plebania* – Beatlesów, Młynarskiego i Okudżawę!



*Przyjaciele Moskale*

Tak było! Wydawało mi się do tego wieczoru, że jestem barwny, a może i pomysłowy. Ale fantazja Siergieja przeszła najśmielsze oczekiwania. Wtedy, w 2001 roku, pojawili się w Warszawie na moim pikniku pod ambasadami. Przyjechali w sumie na tydzień. Przedzierali się autobusami i pociągami osobowymi. Podbili wszystkich. Nagrodę Wielką Ogródkową (9 tys. zł) wypłacałem im w dolarach, a wielkie to były dla nich pieniądze. Otrzymali nagrodę za: „świetne aktorstwo, precyzję, lekkość, dowcip, inscenizację oraz kreatywne wykorzystanie muzyki do tekstów Czechowa.”. Przedtem prośbą, groźbą i najłagodniejszą perswazją zmusili mnie, bym objechał około warszawskie szkółki leśne, bo jak „*pod bieriozkami*” to *Pod Brzozami* – wychowani na „twórczym procesie przeżywania” Konstantego Stanisławskiego, nie wyobrażali sobie gry na świeżym powietrzu bez prawdziwych podmoskiewskich brzózek.

Przywiążą się do mnie. Za rok Tania i Siergiej (przed XI KTO) pojawią się w Warszawie w czerwcu. Tania gonić tu będzie Siergieja, który wyjechawszy z końcem kwietnia ze swojego odległego 300 km na północ od Moskwy Iwanowa, dotarł na rowerze w połowie czerwca do Warszawy jako „wędrujący aktor”.

## XXXVIII

## WĘDRUJĄCY AKTOR

Jego przodkowie wywodzili się z Polski. Nazywali się Szawarzyńscy. Dziś mieszka w Iwanowie, 300 km na północny wschód od Moskwy. To miasto włókiennicze. Przed pierwszą wojną można je było porównywać z polsko-rosyjsko-żydowsko-niemiecką Łodzią. I tam spotykały się cztery kultury, póki je sowiecko-komunistyczna antykultura nie rozpędziła na cztery wiatry.

Byłem tam. Jechałem pociągiem do Moskwy, a stamtąd autobusem przez bezkres włodzimierskiej *oblasti* trasą, którą Siergiej zwykł pokonywać... rowerem!

Tak to sobie wymyślił. Piętnaście bez mała lat Siergiej wędruje, czy raczej wędrował, po świecie na rowerze z laptopem, podłączony do internetu. Zdawał relacje sponsorom i iwanowskim fanom ze swoich wojaży. Coraz częściej w towarzystwie żony Tani, która z oddaniem typowym dla Rosjanek pędziła za nim na kraj świata. Dopadła w Warszawie, zmuszając mnie, bym jej znalazł wypożyczalnię rowerów, dzięki czemu mogła za ukochanym pognać na Maltę – do Poznania.

Kto mi nie wierzy, niech zajrzy na: <http://shavari.narod.ru/velo95rus.htm>, gdzie o szaleństwach tego Tespisa na bicyklu można więcej poczytać. Ale to nie koniec jego talentów. Poza tym, że znalazł sponsorów i fanów dopingujących go w okołoswiatowej podróży, pozyskał też środki, by w smutnym Iwanowie – „mieście dziewczynek”, królestwie przemysłu tekstylnego – urządzać iście hollywoodzką galę nazwaną *Biała Wrona*. Jestem taką wroną. Człowiekiem, który nie przystaje do swego środowiska, zwraca na siebie uwagę. Odwiedziłem Iwanowo po trzech latach znajomości z Tanią i Siergiejem.

W lutym 2003 r. gnałem do nich pociągiem przez Białoruś i Rosję. Zatrzymałem się w Moskwie, oglądałem szerokie prospekty i szosy, gdzie trup staruszki z prowincji leży niezakryty, a kierowca dzikiej taksówki, jaką mi zafundowano, za nieopatrzny skręt w lewo przez dwie godziny trzęsie się ze strachu (a ja, czyli *inostraniec* – czekam), nie wiedząc, czy wyląduje (może obaj wylądujemy?)



*Hollywood  
w Iwanowie*

w gułagu, czy jednak zostanie wreszcie przyjęta przez kałmuckiego milicjanta łapówka.

Byłem w Moskwie w Trietiakowskiej Galerii, gdzie pojąłem, czym jest rosyjski z ziemią związany naturalizm. W pełnej włoskich arcydzieł Puszkinińskiej Galerii rozumiałem, jak na tej nieludzkiej ziemi dalekimi się zdają włoskie lazury. I pierwszy raz z dogłębnym zrozumieniem powtarzałem za Miłozem ze *Sieny*, że „słodczy dosyć – ale ta słodczy od ziemi odpycha”. Patrzyłem na Moskwę, w której panienka w metrze sprzedaje na dziko rozmowy z automatycznej budki w cenie 50 impulsów karty za prawo do jednej rozmowy. I nikt jej nie aresztuje. I ktoś ją widać ochrania. Przyglądałem się oszołomiony Moskwie gwarnej i dzikiej, gdzie tylko na starym Arbacie, przypominającym nieco deptak w Sopocie czy Krupówki w Zakopanem, można poczuć się jak w przedsionku (wschodniej rzecz jasna) Europy. Trafiłem też do Teatru na Tagance, tam gdzie dusza się otwiera.

Wreszcie dotarłem do Iwanowa. Dziewiętnastowiecznej stolicy przemysłu włókienniczego, zrujnowanego przez stalinowców bardziej niż francuski Brest przez normandzką inwazję. Wkroczyłem do wielkiego jak hala sportowa kinoteatru, w którym Siergiej grać za nic nie chciał, ale musiał, skoro odmówiono mu sali kamestralnego „*kukolnego*” (lalkowego) teatru – i... zabrzmiała muzyka, i girlsy zatańczyły.

Nagle za sprawą Szawarinskiego znalazłem się w Moulin Rouge czy na Manhat-



*Tania i Siergiej Szawarinscy – Pożegnanie z Rosją*

tanie. Miejscowy lekarz śpiewał jazz, otoczony płaszącymi nimfami niby amerykański notabl. Aktor dowcipkował jak przy wręczaniu telewizyjnej Emmy. Zwycięzca olimpiady, nastolatek, był obsypany spadającymi z sufitu balonami, a niżej podpisanego powitano – ku memu absolutnemu zaskoczeniu – rozbrzmiewającymi na całą salę, a ściągniętymi z internetu w formacie MP3 mymi ogródkowymi piosenkami. Ku swemu zdumieniu wygłosiłem w tym momencie *éloge* w zniechęcającym rosyjskim języku ze zręcznością, jaką tylko takiej laurce zawdzięczać można<sup>1</sup>.

Laurka, no właśnie – święto! Balanga i śpiew, aż do rana. Patrząc na nich, nie wiedziałem, czy widzę przed sobą komediantów Bergmana czy zesłańców z Dostojewskiego. Czy ten rozśpiewany Siergiej to Dymitr Karamazow, który dla tańca, wyprawy, spektaklu – poświęci własne, a może każde życie? Czy to rosyjski los, czy trop wszystkich wędrowców-kuglarzy? A biegnąca za nim Tania, z roku na rok z większym trudem, niezmiennie zakochana – wielka artystka, która dla

<sup>1</sup> The 8th Nomination: „A special dancing of Champaign”  
 „The winner is a guest from Poland, Andzey Tadeush Kiyovskiy. He is known in Poland as a theatre specialist, a founder of a theater school and organizer of the annual festival „Theater in a park”. He is a very unruly and unpredictable person. He thanked everybody for a warm reception. His speech was brief but emotionally colored. He was very grateful for people who invented Internet because owing to it he has met Sergey and Tatiana Shavarinskiy. He was also very grateful for people who invented bicycle because owing to it Sergey Shavarinskiy was able to visit Poland. Moreover, he was very happy because he had an opportunity to visit Russia and meet a lot of wonderful people”.

Siergieja poświęciła moskiewską karierę na Tagance, a której jeden telefon wciąż otwierał wszystkie drzwi?

Miało być wesoło. „*Jaki piękny rozdział*” – zaanonsowała mi Ela Bąkowska z Delaware, moja amerykańska muza i korespondentka. „*I jaki – optymistyczny*”...

– Nie ma już Tani! Nie żyje!!!

W czerwcu 2009 r. znaleziono ją zamordowaną w skromnej klitce w Iwanowie, w komunistycznym blokowisku, tam gdzie mnie sześć lat temu przyjmowała z mężem. Ostatnia podróż rowerowa Siergieja do Irkucka została przerwana 25 czerwca 2009 r. przez rosyjską milicję. Sam jeszcze nie wierzę w to, co wyczytałem w internecie!

Ot i los człowieka. Szalonego podróżnika, genialnego organizatora czy wielkiego hochsztaplera? W 2005 r., jak się dowiaduję, kandydata na burmistrza czy mera Iwanowa, który jednak w ostatniej chwili wycofał swoje nazwisko z wyborczych list. Już, już dyrektora Kiszyńskiego Teatru Dramatycznego w Iwanowie, o czym donosiła prasa, publikując wywiady kandydata... aby wydział kultury po tych enuncjacjach ogłosił, że to myślenie życzeniowe.

*Dusza Rosyjska*. Z takim spektaklem objechał Siergiej cały świat. Zjechał Europę i Azję, Skandynawię, Niderlandy i Chiny. Zjechał, mając przecież jakieś oparcie i zaplecze. Obserwując ich „wronią” imprezę w Iwanowskiej kinowej sali, nie mogłem nadziwić się uwadze, z jaką rodacy dopingowali szalonemu Sergiejewowi, który ruszył w drogę, by Rosję ukazywać światu. Ba, nawet dziś, kto przeczyta w internecie tekst Aleksandra Gorochowa, uzna, że więcej pobrzmiwa w nim podskórnoego współczucia niż obowiązkowego potępienia.

Co tam się stało? Sierioża – pisze Gorochow w artykule *Biała Wrona, czyli nic po ludzku* – „był postrzegany jako człowiek wesoły, może nieco szalony, ale bezwzględnie dobry i poszukujący w życiu czegoś lepszego i niezwykłego”. Mogę się pod tą opinią podpisać obydwoma rękami. Czy mógł oszaleć? Ba! Każdy może! Potomek polskiego szlachcica zagonionego w tiumę, wychowany na Dostojewskim, rozpieszczony przez rosyjskie wcielenia dobroci tych Soń, Gruszeniek czy... Grizanin.

Kiedy jechałem do nich, do Rosji, odczułem z całą bezpośredniością siłę tego trwania. Wracalem z włoskich Alp, gdzie z córeczkami spędziłem kilka najpiękniejszych dni mego życia w dolomickiej Paganelli. Przejechałem w ciągu tygodnia 3 tysiące kilometrów i niezmierny dystans kulturowy. Zostawiłem dziewczynki w Warszawie, by spotkać się z beźmiarem rosyjskiej duszy.

I cóż mam dziś powiedzieć na obronę zakutego w kajdany pensjonariusza?

Że wszystkiemu z pewnością winien jakiś Smierdiakow?! Że w dwa tygodnie po śmierci Tani nadeszła wiadomość o śmierci Nikolaja Siemionowicza Maksimowa – aktora i dyrektora tego Kiszyńskiego Teatru w Iwanowie, którego szefem z jakiegoś powodu Sierioża dwa lata temu nie został...

Nie widziałem ich sześć lat. A zapamiętałem, jakbyśmy się rozstali wczoraj. Cóż mam powiedzieć tu, w Warszawie, o tym, co dzieje się trzysta kilometrów na wschód od Moskwy? Tam gdzie:

*„Kraina pusta, biała i otwarta  
Jak zgotowana do pisania karta.  
Czyż na niej pisać będzie palec Boski  
I ludzi dobrych używusz za głoski,  
Czyliż tu skreślił prawdę świętej wiary,  
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,  
Że trofeami świata są: ofiary?  
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary  
Przyjdzie i w księdze tej wyryje mieczem,  
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,  
Że trofeami ludzkości są: knuty”.*

Miało być radośnie. Bo przecież teatr, Dolina Szwajcarska, wędrownki i spotkania są znakiem Europy. Płyną z południa, znad Śródziemnego Morza.

A tu? Tu wieją wiatry od wschodu.

Czy czynownicy, co zakażają dziś kulturę przywiślańskiego miasta, są łagodniejsi od tych, co w Iwanowie natychmiast skasowali dostępną jeszcze tylko w skrócie pamięci Googli rozmowę zszokowanych internautów, wiążących – co naturalne – śmierć Tani ze śmiercią dyrektora teatru i pytających: kto następny? A podsumowanie oskarżenia Sierioży „mówiącym samym za siebie” stwierdzeniem, że wszak nie rozważa się nawet domniemania innej niż obciążającej Wiecznego Wędrowca wersji wydarzeń?

Czy to znak nadchodzących po piętnastoleciu czasów? Tych, w których zaproszona przez Kwaśniewskiego i Sikorskiego Rosja robi porządki u siebie i gotuje się do inspekcji także europejskiego NATO-wskiego ogródka? Dla mnie to było 15 lat Ogródka Teatralnego. Dla Szawarinkich też 15 lat trwającej rowerowej wędrownki z teatrem po świecie. Wędrownki, w trakcie której było nam dane natknąć się na siebie.



*Siergiej Szawarinski  
w Iwanowie*

Cóż powiedzieć? W mowie Szekspira czy Moliera, nawet w języku Mickiewicza i Żeromskiego brak dobrych słów. Nie znając wyjaśnienia, nie licząc na prawdę – zamknijmy ten rozdział głosem płynącym z otwartej rany rosyjskiej kultury:

„Ale czy chcecie ukarać go strasznie, okrutnie, najstraszliwszą karą, jaką można sobie wyobrazić, ale i zarazem uratować i odrodzić duszę jego na wieki? Jeżeli tak, to zmiażdżcie go waszym miłosierdziem! Zobaczycie, usłyszycie, jak wzdrygnie się i przerazi jego dusza: «Dla mnie tyle miłosierdzia, dla mnie tyle miłości, czy zasłużyłem na to!» — oto, co zawoła! O, znam je, znam to serce, to dzięki, lecz szlachetne serce, panowie przysięgli! Ukorzy się przed waszym czynem, bo łaknie wielkiego aktu miłości, rozplomieni się i odrodzi na wieki. Są dusze, ograniczone duszyczki, które zawsze czują żal do całego świata. Ale zmiażdżcie tę duszę miłosierdziem, okażcie jej miłość, a przeklnie swoje czyny, albowiem kryje w sobie wiele dobrych zadatków. Rozplomieni się i zobaczy, jak litościwy jest Bóg i jak piękni i sprawiedliwi są ludzie”.



## XXXVIX

EMILIAN KAMIŃSKI  
i inni Jaskiniowcy

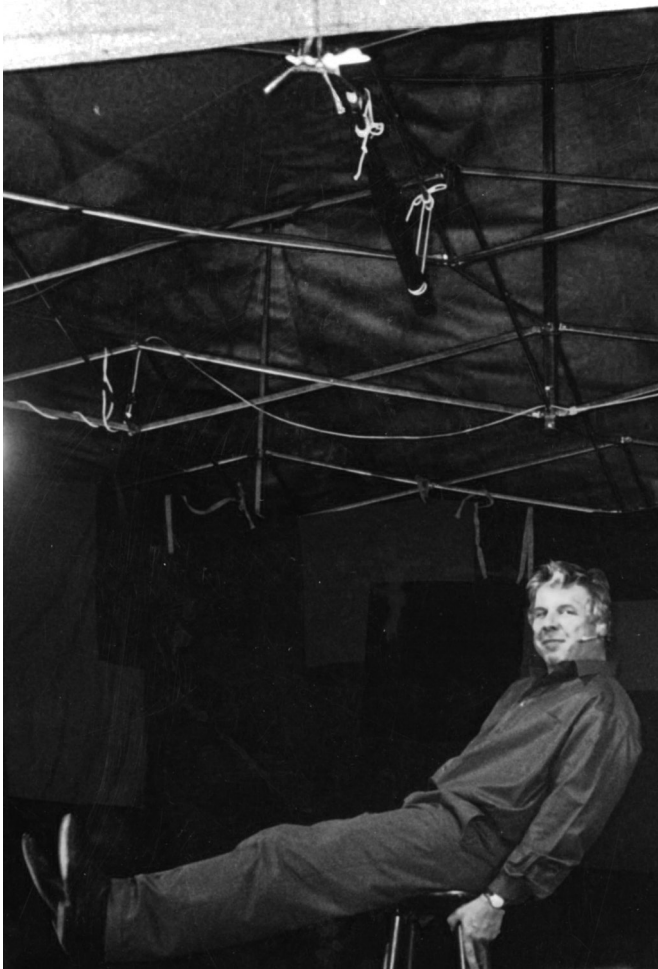
Tak – miałem krótkie rękawy i marzłem w lokcie. Codziennie budziłem się na Długiej – dzieci były z nianią na wsi, a żona krążyła gdzieś po cudzych festiwalach. Budziłem się więc codziennie rano z uczuciem paniki i narastającego przerażenia. Miałem wrażenie, że frunę, że wykonuję jakiś wielki 60-dniowy skok. Skok, którego etapami i ozdobami był

Jan Machulski startujący w tym roku w konkursie ze swymi studentami z Łodzi, Staszek Górka grający ze Zbyszkim Rymarzem i Machnickim cały swój lwowski repertuar (*Hemar mniej znany, Tylko we Lwowie*), Monika Świtaj, śpiewająca piosenki Jerzego Derfla.

A 11 sierpnia o 20.30 odbył się w Dolinie występ Emiliana Kamińskiego, który pokazał *W obronie Jaskiniowca*. Ten monodram skierowany do naszych domowych Ksantyp został przygotowany na benefis 25-lecia aktora w Teatrze Buffo. Autorski spektakl jest oparty na motywach sztuki Roba Beckera, napisanej na podstawie książki Johna Graya *Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus*. To prawdziwy popis gry, wirtuozeria wcieleń, pełna kreacji i akrobacji. Znaczną część dochodu z występu w Dolinie przeznaczył przy tym Kamiński na rzecz ofiar wówczas przelewającej się przez Polskę powodzi. Udało się wspaniale. Panie szalały. Panowie zresztą też. Tak nam się spodobało, że umówiliśmy się na powtórzenie sukcesu podczas finału, po ogłoszeniu werdyktu w poniedziałek 27 sierpnia.

X Konkurs odbywał się w dwu miejscach. Jak pisałem, Krzysztof Marszałek odbudował Lapidarium, więc w niedzielę sam sobie robiłem konkurencję, wystawiając jednocześnie w Lapidarium przedstawienie, które w poniedziałek jury oceniać miało w Dolinie.

W Dolinie zaś w niedzielę występował któryś z zespołów zaproszonych do występu w antraktach. Rozumiałem przez to pojęcie wszystkie odbywające się od wtorku do niedzieli występy pozakonkursowe.



*Emilian Kamiński,  
W obronie  
Jaskiniowca,  
Dolina Szwajcarska  
2001 r.*

W Dolinie też po raz pierwszy próbowaliśmy przyciągnąć do Ogródka w niedzielne przedpołudnia dzieci. W ten sposób narodziła się idea teatralnego „Poranka Familijnego”. W pełni zrealizuję ją dopiero w Ogrodach Frascati, gdzie w latach 2005-06 będą ściągały tłumy rodziców i dzieci.

Wszystko jednak w tym sezonie zmierzało do wielkiego finału.

## XL

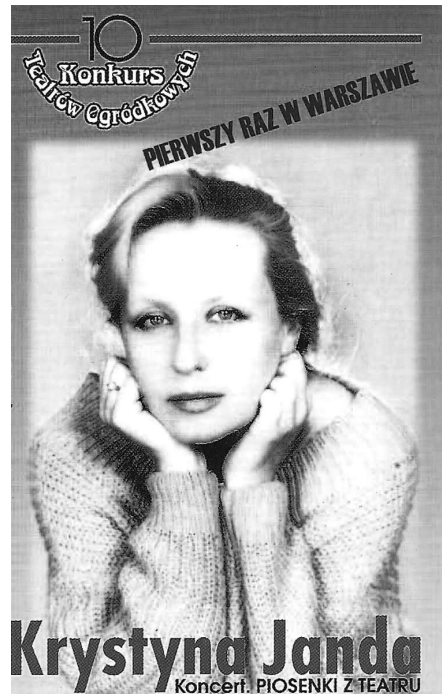
## KRYSTYNA JANDA i wspólne koszmary

Finał był przygotowywany nadzwyczaj starannie. Na ten dzień zaplanowałem bowiem występ Krystyny Jandy, która miała po raz pierwszy pokazać w Warszawie montaż nazwany *Piosenki z Teatru*. „Pełna profeska”. Umowa z agencją Grami Grażynki Miśkiewicz zawarta została jeszcze w czerwcu. Osobny plakat. Poczta. Bilety sprzedawane nawet w kasach ZAiKS-u. Na koncert przeznaczyłem całą dotację z ministerstwa kultury. I stał się on, jak chciałem, wydarzeniem sezonu.

Wydatek był jednak spory. Wszystko zależało zatem od frekwencji i sprzedaży biletów, które wyceniłem bodaj na 35 zł. O zarobku oczywiście nie mogło być mowy. Chodziło o to, by nie dołożyć.

Pan Juchniewicz, dzielnie (i bardzo uczciwie) pomagający mi odzyskać te pieniądze, wierzył jak już wspominałem, że z takiego teatralnego ogródka między ministerstwami wręcz rządową limuzyną się wyjedzie.

Mój Boże! Nowym wozem to ja istotnie wyjechałem – z włoskiej telewizji, i zajeżdżałem go przez piętnaście lat Ogródka na śmierć, którą mojemu poczciwemu tiponkowi zafundowali (podejrzewam, że inspirowani przez nieprzyjaznych mi związkowców i samorządowych urzędników dzielnicowych) uczniowie Liceum im. Zamoyskiego.



Urządzili sobie kiedyś harce na dachu utrzymanego na boisku szkolnym samochodu. Ale to potem. Potem.

Na razie więc na X KTO codziennie przez sześćdziesiąt dni śniłem koszmary: wichura, deszcz, choroba – tak drżałem o tę Jandę. Tak się trząsałem, że przeprowadziłem nawet *research*, który katolicki święty najbardziej jest odpowiedzialny za pogodę, i ustaliliśmy, że św. Antoni Padewski ma pod sobą cały departament spraw codziennych, w dzień poprzedzający niedzielny występ artystki udałem się do kościoła pod jego wezwaniem na Senatorskiej, gdzie przeznaczyłem całe sto złotych na podatek pogodowy. Poskutkowało!

Janda w ostatni poniedziałek nie mogła grać. Jej benefis poprzedzał finał i wyznaczony był na niedzielę 26 sierpnia. Na szczęście! Było ślicznie. Udało się wszystko. Do obsługi koncertu w Dolinie zatrudniłem firmę bileterską z Teatru Polskiego, wspierali mnie zaprzyjaźnieni i grzani od dwóch miesięcy herbatami policjanci, którzy od roku (w miejsce zlikwidowanych jednostek nadwiślańskich) strzeżli ambasad z Chopina. Wynająłem 250 dodatkowych krzeseł – 100 pożyczyłem z Lapidarium, gdzie równolegle odbywać się miał przedkonkursowy występ Latającego cyrku Monthly Pythona ze Szczecina. Spektakl, który nazajutrz miał być ostatnim przedstawieniem ocenianym w Dolinie przez jury. W niedzielę wszystko grało. Pogoda była piękna. Gazety doniosły o koncercie Jandy: od „Tele Tygodnia” i patronującej mi w tym roku „Anteny” po „Życie Warszawy” i „Gazetę Wyborczą” – wywiady, wywiady, wywiady. Mój Boże – ja naprawdę pieniędzy nie liczyłem. Byłem pewny, że sukces medialny musi w końcu zostać nagrodzony.

Na spektaklu Jandy wszystkie bilety, coś około 350 miejsc po 35 zł, zostały sprzedane. Dwakroć tyle osób obsiadło okoliczne murki. W tym czasie Lapidarium, gdzie zostawiłem 200 krzeseł, też wypełnione było niemal do ostatniego siedziska. Słowem, przekroczyłem liczbę tysiąca widzów w ciągu jednego wieczoru.

Spektakl Jandy był... No, ale o tym niech sama opowie: „Wczorajszy mój koncert to był zrealizowany koszmary sen aktorów, sen, który zresztą trapi mnie od jakiegoś czasu, wychodzę na scenę i zapominam tekstu. Tu było gorzej, bo zapomnieć tekstu piosenki to gorzej, niż gdybym zapomniała frazy wiersza, bo to można uratować, nie mówiąc o prozie. Tu muzycy grają dalej w rytmie i koniec. Do tego doszła jeszcze histeria i pożar w mózgu, jaki się zaczął po pierwszej pomyłce. Nie mogę ochłonąć do dzisiaj. Kilka razy zapomniałam tekstu i musiałam zatrzymywać muzyków i wracać, a od pewnego momentu śpiewać ze scenariusza, który przypadkowo zresztą miałam ze sobą. Koszmar.

*A zaczęło się od tego, że zapomniałam z domu mikrofonu, potem dostałam przed koncertem wrzós, co aktorze wróży nieszczęście, następnie na scenie nie miałam gdzie odłożyć scenariusza i rzuciłam go na ziemię, co jest największym przesądem w moim zawodzie; my nadeptujemy wszystko, co nam upadnie. Znam przypadek, że aktor nadepnął scenariusz, który się zsunął z siedzenia obok niego w samochodzie, kiedy prowadził, i spowodował poważny wypadek, ale to było silniejsze od niego. Ja swój scenariusz nadepnęłam, kładąc go na ziemi, ale nie pomogło. Jestem załamana. I na siebie zła. Nie wiem, jak po tym wieczorze będę uprawiała zawód dalej.*

*Przed moim wyjściem na scenę pomysłodawca i organizator Festiwalu Teatrów Ogródkowych, pan Kijowski, wzywał bogów, błagał o pomoc, co prawda w innej sprawie, ale jednak, potem na moje nieszczęście wspomniął coś o Modrzejewskiej i o mnie. No, jedyne «wspólne», co można by zastosować w tym wypadku, to to, że Modrzejewska kiedyś występując w Krynicy zapomniała na scenie nie tylko tekstu, ale nawet jak się nazywa, i pół roku musiała się leczyć. Był to wynik przepracowania i przemęczenia. W tamtych czasach aktorzy mieli premiery co tydzień, bo publiczności chodzącej do teatru starczało na dwa razy, dużo grano pod suflera, ale ona, Modrzejewska, była ambitna i starała się umieć przynajmniej monologu na pamięć, i sforsowała mózg. Nie wiem, czy mam to samo, ale może rzeczywiście mam za wiele ról w głowie: Shirley, Callas, Helver, Opowiadania, Marlena, a dodatkowo właśnie uczę się nowego monodramu na pamięć. Muszę chyba coś wyrzucić z twardego dysku.*

Dobrego dnia” .

Janda pisała to 27 sierpnia – w poniedziałek. Od rana napawałem się prasą – ale przed nami był wielki finał. Latający cyrk Monhy Pythona, a w trakcie obrad jury planowałem powtórzenie *Jaskiniowca* Emiliana Kamińskiego. Jednak ten koszmar, który mnie prześladował każdego poranka, wreszcie się ziścił. Spektakl Monthy Pythona rozpoczął się bez przeszkód przy wspaniałej frekwencji, gdy w połowie sztuki rozpętały się żywioły. To był istny szal. Ulewa. Wiatr porywisty wyginał płachty. Namiot garderoba (4,5 m długi i na 3 m szeroki) oparty na stelażu, który jeszcze rok temu chronił aktorów na scenie, teraz po powiększeniu estrady do 6 na 6 m i postawieniu na niej opisywanego estradowca stanął z boku sceny, służąc w połowie jako kabina dla akustyka, w połowie jako garderoba. Za ciężkie (jak na moją kieszeń) pieniądze zaopatrzyłem go w płócienne zielone ściany. Teraz jednak wiatr przybierał na sile, natężał się deszcz, moje cud pianino elektroniczne też było zagrożone.

A oni – grali! Poczulem się jak kapitan okrętu na wzburzonych falach. Po pierwsze, w jednej chwili kazałem towarzyszącemu od lat Radkowi Zarosie

włożyć środkowy filar na przód sceny, by wzmocnić konstrukcję dachu. W momencie przerwy w grze przesunęliśmy akompaniatora z pianinem ku środkowi sceny, by ochronić klawiaturę instrumentu (i plecy akompaniatora też) przed zalaniem wodą. Garderoba zrobiona z namiotu latała niczym maszt na morzu.

Rzuciłem się refować żagle. Nikt nie wiedział, co czynię. A tłumaczyć nie było czasu. I wtedy zobaczyłem, jak z rzędów też wycofującej się w głąb namiotów i kryjącej przed deszczem widowni wyskoczył mój wędrujący aktor – Sierioża Szawarinski. On jeden pojął, co czynię, podnosząc boki namiotu. Więc gdy ja podnosiłem jedną, przyskoczył do drugiej ściany. Bardzo przyspieszyło to akcję. W ten sposób uratowaliśmy konstrukcję przed porwaniem. Jeszcze jakaś folia, którą otulałem moje elektroniczne pianino...

Spektakl został dograny do końca. Publiczność też była wytrwała. Ale w trakcie mokrych obrad jury imprezy rozciągać nie było już sensu. Siedzący w samochodzie Emilian Kamiński musiał zrezygnować z występu. Piotr Fogler wręczał nagrody już bardzo kameralnie. Nawet nie na scenie, lecz w bufetowym namiocie.

I tak dobiegł końca X jubileuszowy Festiwal Teatrów Ogródkowych. W Dolinie Szwajcarskiej odbyło się sześćdziesiąt trzy, a w Lapidarium dodatkowo dziewięć – łącznie siedemdziesiąt dwa spektakle. Wystąpiło w sumie piętnaście teatrów. Z tej liczby dziewięć wzięło udział w zmaganiach konkursowych.

Jak oceniałem, w ciągu sezonu odwiedziło Dolinę Szwajcarską przeszło dwieście tysięcy widzów. A jeszcze z tysiąc przewinęło się przez Lapidarium.

A więc wszystko się udało. Choć z coraz większą zadyszka. Prasa pisała o konkursie dobrze i czule. A „Gazeta Wyborcza”, gdzie działem kultury kierował przez chwilę przyjaciel wierny – Tadeusz Sobolewski, piórem Romana Pawłowskiego zamieściła... piękny nekrolog.

Czegóż właściwie miałby chcieć człowiek próżny ponad taki tekst w milionowym nakładzie, ze zdjęciem, na pięciu szpaltach głównego polskiego dziennika i na kolumnach krajowych? I czegoż wymagać, że po piętnastym konkursie Dorota Wyżyńska zapytała: – To ten Kijowski jeszcze żyje!? Przecież to przeszłość. Historia.

„Krótka historia wlotu i upadku Konkursu Teatrów Ogródkowych” – być może tak się ta opowiadanka powinna nazywać...

## XLI

ZOSIA KUCÓWNA,  
czyli Przyjaciele

Zgłoszeń nie brakowało. I pieniędzy było niemało. Nawet sporo. Nie tyle jednak, co przed rokiem, który po szaleństwie codziennych imprez X KTO, pozostawił mnie z długami, a do Doliny i tak żadnego inwestora nie przyciągnął. No i środki te jak zwykle pojawiły się strasznie późno. Były też ściśle ukierunkowane. Ani koszt obsługi księgowej, ani lokalu, telefonu, wszystkich mediów czy biura nie mogły być pokrywane z dotacji. Nie wspomnę już o własnej płacy. Gdyż po raz kolejny straciwszy posadę, i ja, i moje dzieci powinniśmy się znaleźć na pełnym utrzymaniu Ogródka.

O powtórzeniu permanentnych letnich zdarzeń nie mogło już być mowy. Krzysztof Marszałek uzależniał zaś dotację od powrotu do wyremontowanego przezeń (czyli ze środków Gminy Centrum) Lapidarium. Po raz kolejny trzeba więc było szukać nowej formuły festiwalu. Festiwalu, który w swych początkach stał siłą mediów i autorytetem jury. A tu media w odwrocie. Autorytety – też coraz bardziej podejrzane.

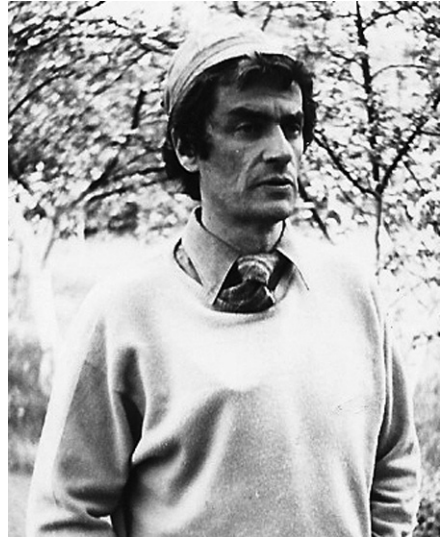
Nigdy nie wyartykułowałem mojej pretensji. Zawodu. Może nadwrażliwości – nie wiem. Kiedy jednak po VII KTO na Mariensztacie opuściło mnie całe jury pod wodzą Cywińskiej (która jednak wraz z Maciejem Wojtyszko nadal firmowała moją fundację), okazało się, że w szczególności wybitniejsi młodszy aktorzy nie byli już do zdobycia na cały sezon w każdy letni poniedziałek. Powód był prosty – zwiększyła się oferta serialowa często latem kręconych polskich telenowel. Musiałem więc



*D. Wyżyńska,  
(K. Marszałek),  
B. Borys-Damińska,  
(Z. Kucówna),  
A. Kilian*



*Zosia i mój Kali w maju 1973 r.  
w Domu Aktora w Skolimowie*



*Adam Hanuszkiewicz, Skolimów 1973*

zwrócić się do starszych – z moszczącą się właśnie w akademii teatralnej, a znaną od lat Zosią Kucówną na czele. Do jury zaprosiłem też Barbarę Borys-Damięcką.

Zaproszenie Basi było – nie ma co kryć – aktem swoistego konformizmu z mojej strony. Odejście poprzedniego jury oznaczało, że niepostrzeżenie nawet dla samego siebie zacząłem się oddalać od „naszej” elitarnej kultury „wybiórczej”. VII KTO na Mariensztacie bił rekordy frekwencji, jednak stracił charakter azylu dla wtajemniczonych. Jeszcze nie do końca to sobie uświadamiając, zaczynałem wszak poszukiwania organicznie obcej powojennym elitom z partyjnego przydziału (choćby praw do zameldowania w Warszawie) autentycznej, dalekiej „klerkom” i „dark roomom” autentycznej inteligencji polskiej.

Elitom z Krakowskiego Przedmieścia, które mnie dotąd wspierały, przestało się zatem podobać i to miejsce, i festynowa aura, jaka tam zaczynała się tworzyć. Mnie zaś nie spodobał się triumf SLD wracającego z Markiem Rasińskim do władzy. Był to jednak triumf demokratyczny. A że właśnie „demokratycznie” (jakby powiedział Wałęsa) podziękowawszy Damięckiej za służbę w telewizji, ofiarowano jej teraz bliski Dolinie Szwajcarskiej Teatr Syrena, więc i ja „demokratycznie” zaryzykowałem się z nią zbratać.



Współpraca z Basią była formą wyciągnięcia ręki z mojej strony ponad środowiskowe podziały. I wyciągnięcia jej po wsparcie. Wsparcie wszelakie: osobiste, ekonomiczne, organizacyjne. Tylko to pierwsze otrzymałem. Na jakąkolwiek inną pomoc nie mogłem już liczyć. Ale też nadmiernych złudzeń nie miałem.

Co innego Zośka, którą znałem lat trzydzieści bez mała. Zosia ciepła, wrażliwa, domowa. Widzę ją wśród włóczek w jej i Adama mieszkaniu w alei I Armii LWP, dziś znowu przemianowanej na aleję Szucha. To było w 1973 – roku mojej matury, inicjacji, zdawania do szkoły teatralnej. Mieszkanie przy Szucha było ogromne. Pozyskali je jakoś za wczesnego Gierka. W tym samym czasie Senior sprowadził w bonach dolarowych nagrodę Jurzykowskiego, która umożliwiła rodzicom zmienić mieszkanie przy Armii Ludowej na apartamencik przy Jaworzyńskiej.

Wszyscy się urządzali: Hanuszkiewiczowie przeprowadzali się ze skromnej kawalerki na Solcu na wspomniane salony przy Szucha. A zaprzyjaźnieni z nimi, i coraz bardziej z moimi rodzicami, Jarek Marek Rymkiewicz i jego żona Ewa, przyjmująca w Teatrze Narodowym pod komendą J. S. Sito stanowisko sekretarza literackiego, po przenosinach z Łodzi wili sobie gniazdko na Podwału.

Tak zapamiętałem te moje szesnastoletnie czasy gierkowskiej prosperity. Ryśowanie planów mieszkań. Wizyty w Dessie na Staromiejskim Rynku. Przeprowadzki i remonty wykonywane siłami rzemieślników Teatru Narodowego. Pan Modzelewski, tapicer, objął ściany materiałami, Dobroński szył garnitury. Cóż, bawili się, dorabiali, cieszyli. Choć z zupełnie innych źródeł płynęły ich dochody. Hanuszkiewiczowie dostawali wszystko za lojalność wobec czerwonych. Seniora wspierał Zachód za to, że godnie trwał w oporze. Czulo się jednak w latach 70. zmianę atmosfery. Czulo narastającą potrzebę solidarności.

Pewnie dlatego Senior, któremu nie było wolno po Marcu 68 publikować pod nazwiskiem, zdecydował się podać rękę Adamowi, a przeto i jego w końcu poślubionej (po rozwodzie z Rysiówną) Zosi Kucównie. Uczynił to pod czytelnym dla całego środowiska pseudonimem „Dedal”, publikując w „Twórczości” pochlebnią i zdejmującą z Hanuszkiewicza odium kolaboranta recenzję z Kordiana, w którym Kucia zagrała Laurę.

Wyglądało to na przyjaźń. Nawet na opiekę. Dowiedziawszy się, że moja matka, pragnąc wyjechać do ojca do Stanów, w momencie gdy miałem zdawać maturę, za nic nie chce samotnie pozostawić mnie w mieszkaniu, zaś ja się młodzieńczo buntuję przed pomysłami pozostawienia mnie – już pełnoletniego – pod opieką lekko zesklerociałej babci, Zosia i Adam zaproponowali, bym przeniósł się do

czasu ukończenia szkoły do nich. Skusiła mnie ta oferta. Lubilem ich oboje, a ponadto byli to bardzo znani i ciekawi ludzie.

Zosia wprawdzie najwięcej czasu zawsze spędzała z kobietami: panią Anną Orłowską, którą poznała śledząc losy Heleny Poświatowskiej, z koleżankami z teatru, młodymi dziewczętami z Agatką Tuszyńską na czele. Ale wydawało mi się, że i dla mnie ma trochę uwagi. Uważnie obserwowała moje stosunki z rodzicami. Szczególnie napięte od zawsze relacje z matką.

Co się stało potem? Dotyczy to Zosi, Julci Hartwig, Rymkiewiczów. Wszyscy poodsuwali się po wczesnej śmierci Seniora (w 1985 r. nie miał 57 lat!) od mojej matki. Temu się nie dziwię. Ale to odium, a może i wieść o naszych coraz gorszych stosunkach przeniosła się w jakiejś mierze na mnie. Pozbawiony świadomie przez uciekających z Krakowa rodziców krewnych, skazany na zastępczą rodzinę tych: Międzyrzeckich, Rymkiewiczów, Kazimierzów Brandysów, jeszcze Herbertów, no i Hanuszkiewiczów – zostałem po śmierci Ojca osierocony i ... jakoś naznaczony. Czulem, jak odsuwają się ode mnie.

Od czego więcej? Od mojej wiedzy? Pamięci siły Ojcowskiej diagnozy? Nie wiem. Wiem, że w każdej próbie publicznego zaistnienia po 1989 r. czulem się odosobniony. W oczach ludzi, których szanowałem, z Kucówną na czele, dostrzegałem co najwyżej obojętność lub tak nieprzyjemnie – po niefortunnym występie Strzałów z Aurory – zademonstrowaną przez Zośkę dezaprobate.

Pierwszy raz poszło o werdykt. Powiedzmy: nie do końca przemyślany. Panie Kucówna, Borys-Damięcka, Wyżyńska, przy cichym udziale Adama Kiliana, postanowiły bowiem nagrodzić Małą Ogródkową Nagrodą Teatralną – 5 tys. zł, warszawski kabaret Strzały z Aurory za spektakl *Kompendium wiedzy ogólnej z zakresu kabaretu amatorskiego* według tekstu i w reżyserii Tomasza Jachimka.

Spektakl, uzasadniano, przygotowany przez – jak sami o sobie mówią – „kabaret amatorski”, zagrano z wdziękiem, świeżością i autoironią. Strzały z Aurory w swoim skromnym, acz niepozbanionym poczuciu humoru przedstawieniu poszukiwały odpowiedzi na pytanie: „Co to jest kabaret?”. Mówiąc szczerze, troszkę mnie ten werdykt zdziwił, bo kabaret średniawy (później się okazało, że dostosowany do poziomu przyszłych widzów TVN-owskiego „Szkła Kontaktowego”), ale skoro tak, to zaprosiłem ich do finału, sugerując, by w tym uroczystym dniu, w którym nie było już czasu na powtórzenie nagrodzonego spektaklu, przygotowali jakiś skrót. Taki *The best of Aurora*. W sumie Jachimek i jego koledzy zaprezentowali nowy, dużo słabszy program, który niestety odsłonił średniość ich

gustu. Reakcja Kucówny z Damięką w tle przekroczyła jednak znacznie granice dobrych teatralnych obyczajów. Zamiast skomentować to drobne w końcu nieporozumienie, z cicha wywalily publiczną kupę. Kucówna powiedziała coś przy wręczaniu nagród i do telewizji. Damięcka dowaliła mi w „Wyborczej”. „Wystąpił również laureat Małej Nagrody Ogródkowej – kabaret Strzały z Aurory, który zaprezentował zupełnie inny program niż ten nagrodzony przez jury. – Żaluję, że organizator zgodził się na inny program koncertu laureatów. Nie nagrodzilibyśmy dzisiejszego przedstawienia – skomentowała Barbara Borys-Damięcka”.

No, ale po Borys-Damięckiej, czystej SLD-ówce (dziś senator PO), członkini komitetu wyborczego Kwaśniewskiego, osobie, która tworzyła TV Polonię jako odpowiedź na moją Polonię 1 – lojalności nigdy się nie spodziewałem.

Co się jednak tej Zosi stało? Taka była niegdyś serdeczna, prosta, kochana. Świetna aktorka, choć dziś – jako że od czasu jeszcze PRL-owskich *Dziewcząt z Nowolipek* (Bronka) nie występuje w kinie ani w serialach – nieco mniej już pamiętana. Zafunkcjonowała jednak, po rozstaniu z Adamem Hanuszkiewiczem, bestsellerowymi książkami: *Zatrzymać czas* (1990), *Zdarzenia potoczne* (1994), *Zapach szminki* (2000).

Dość trudno było mi ją namówić do udziału w jury i przez cały czas naszych kontaktów ciążyło na nich jakieś napięcie. W ogóle, odkąd na początku mijającego 15-lecia wymknąłem się ze szkoły teatralnej, pozwoliłem utożsamić z „Tygodnikiem Solidarność” Kaczyńskich, potem telewizją Grauso i Chojeckiego, czulem na sobie spojrzenie niechęci. Szczególnie większości dawnych przyjaciół mego nieżyjącego Ojca. Jakbym naruszał jakiś niepisany zakaz, chcąc czegoś więcej niż możliwości pisania (bez prawa do etatu) w „Dialogu” czy „Twórczości”, wygłaszania felietonów kulturalnych w radiu czy wykładania estetyki teatru w szkole teatralnej.

W oczach Adama Michnika, Julii Hartwig, Zosi Kucówny dostrzegałem jakąś dezaprobatę dla mojej aktywności. Dla tego samozwańczego pragnienia bycia ważnym. Spełnienia się poprzez bycie wśród ludzi, poprzez poszukiwanie takich, którym okażę się potrzebny, którzy i mnie dostarczą tego poczucia, jakim szczydzi się Zosia – dowartościowania.

Czy nie chodzi przypadkiem o to, kto nas dowartościowuje i pod jakimi warunkami?

Zofia Kucówna – co by nie mówić, to wszakże (abstrahując od talentu) pieszczoszka komunistycznych propagandystów. Laureatka „Złotego Ekranu” za rok 1968 i 1969 – nagrody przyznawanej przez zdecydowanie moczarowskie pismo



„Ekran”. Także Nagrody Komitetu ds. Radia i Telewizji za twórczość radiową i telewizyjną za rok 1968. W 1970 – odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1971 r. otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za twórczość artystyczną II stopnia za osiągnięcia aktorskie w teatrze oraz teatrze telewizji. W 1974 – Nagrodę Komitetu ds. Radia i Telewizji za rolę w *Opowieściach mojej żony* i w 1974 nagrodę m. st. Warszawy. W 1975 Medal 30-lecia. W 1977 – odznaczenie: „Za zasługi dla Warszawy”. W 1978 Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Wreszcie w 1998 otrzymała z rąk Aleksandra Kwaśniewskiego tytuł naukowy profesora, a także – z tych samych, nagradzających całe swe zaplecze polityczne rąk

– Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Żeby nie pomylić skali – nie są to apanaże ani Mai Komorowskiej, ani Haliny Mikołajskiej...

Czyżby więc stale była między nami jakaś nieoznaczona granica? Zbliżano się do mnie, gdy wydawało się, że tacy jak ja zaczną coś znaczyć w Polsce. Wskazywano drzwi, gdy po raz kolejny pragmatyzm, tak przez Jarosława Kaczyńskiego może najdelikatniej nazwanych „łże elit”, triumfował. Gdy porozumiewano się ponad podziałami, a Komandoria przyznana Zosi w III RP przez słynnego ze swej towarzyskiej polityki orderowej Aleksandra Kwaśniewskiego stawała się naturalną kontynuatką Krzyża Oficerskiego otrzymanego z rąk jakiegoś Tejchmy czy Jabłońskiego 20 lat wcześniej...

Po odejściu Kucówny z jury za gwiazdę w jubileuszowym X KTO robił już jedynie świeżo pozyskujący dzięki *Plebanii* telewizyjną popularność – Staszek Górka. Teraz, a nadchodził konkurs XI – nawet Staszek był już zbyt zajęty. Szukałem więc dalej.

## XLII

EDYTA JUNGOWSKA,  
czyli vox populi

Myślałem, myślałem, w końcu – wymyśliłem. Najpierw miałem trochę szczęścia. Spotkawszy na Starówce moją byłą studentkę ze szkoły teatralnej Edytę Jungowską, bez większego trudu udało mi się ją naciągnąć na udział w jury i występ z koncertem w finale. Edyta ma w repertuarze wyreżyserowany przez Rafała Sabarę spektakl muzyczny *Gotujący się pies*. Dogadaliśmy się łatwo. Edyta to świetna dziewczyna. Pamiętam ją z zajęć estetyki, które prowadziłem w szkole teatralnej.

Była tak inteligentna, że wydawało się, iż umysł może zablokować (co często się zdarza) jej emocję aktorską. Edyta jest jednak typem neurotycznym, funkcjonującym na bardzo wysokim diapazonie emocji. Poznał się na niej Adam Hanuszkiewicz, do którego, gdy pozyskał po Cybulskim dyrekcję warszawskiego Teatru Nowego, trafiła znaczna część moich studentów z jej roku. W czasie gdy Adam przebywał na zesłaniu w Łodzi w latach 1983-88, serdecznie opowiadałem im o jego teatrze. A wśród wychowanków warszawskiej teatrologii, ukształtowanych przez nienawidzącą go i niszczącą w „Polityce” przez lata Martę Fik, nie było

to czymś typowym. W warszawskim Nowym, przekształconym z tuwimowskiego jeszcze Ludowego (dziś hipermarket Carrefoura!!!) przy Puławskiej, po pojawieniu się Adama, w sezonie 1989 w znacznej mierze chyba z mojej inspiracji zatrudnili się: Beata Bandurska, Paweł Wodziński, Robert Tondera, także Edyta.

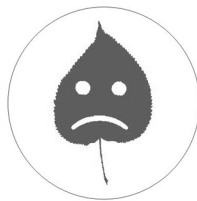
To dzięki Adamowi, który obsadził Edytę w *Balladynie*, dzięki Waldemarowi Zawodzińskiemu, którego ten-



że Adam zatrudnił w 1991 r., stwarzając mu szansę znakomitej inscenizacji *Peer Gynta* z Edytą w roli Solange, aktorka szybko zaistniała w teatrze.

Los pozwolił jej także odnaleźć się w dobrej roli serialowej jako siostra Bożenka w *Na dobre i na złe*. No, a o poziomie intelektualnym Edyty świadczą od dawna cieszące się sukcesem „Rozmowy Rolowane”, które artystka prowadziła z Rafałem Bryndalem w Radio Zet. Tak więc Edyta znalazła dla mnie, po długim szukaniu, ostatni tydzień sierpnia. I to przesądziło sprawę.

Poczynając od XI Konkursu Teatrów Ogródkowych, ten z jury i nagrodą trwa już tylko siedem, osiem ostatnich dni sierpnia. Przedtem przez całe lato odbywają się przeglądy. Arbitrem, czyli decydem, kto zostanie dopuszczony do przeglądu, pozostałem sam. Postanowiłem zaprosić jednak do współpracy mojego jedyne, osamotnione przez krytykę, coraz bardziej lekceważonego przez zajętych samymi sobą artystów sojusznika – teatralnego widza. Wymyśliłem więc plebiscyt. Chwilę to trwało, ale udało mi się w końcu ustalić zasady porównywania oceny publiczności, dokonywanej na różnych spektaklach przez różnych widzów. Przyjąłem po prostu współczynnik procentowy. Podzieliwszy moje Linasowe listki na wesole i smutny, pierwszemu dopisałem „Brawa”, drugi nazwałem „Kłapa”. Po każdym spektaklu publiczność chcąc zaprosić spektakl do drugiej części konkursu wkładała do koszyczka Kasi wesole listki z Brawami. Ci, którym się nie podobało, mieli wkładać Kłapy. Porównując stosunek Braw do Kłap na każdym spektaklu, otrzymywaliśmy wartość procentową akceptacji lub odrzucenia. Zakładając, że gdyby na jakimś spektaklu stosunek ten był identyczny (przypadek możliwy przy 100% Braw), czyli zdarzającej się czasem pełnej akceptacji, wtedy o pierwszeństwie decydować miała liczba osób obecnych na danym spektaklu. Tak mi się ten system spodobał, że po wyselekcjonowaniu z udziałem publiczności trzech spektakli z grona kilkunastu poddanych przeglądowi (pewniaków niewymagających przeglądu zawodowców dopuszczałem sam do drugiej części, korzystając





*Edyta Jungowska,  
Gotujący się pies*

z jedenastoletnich prerogatyw selekcjonera), również w drugiej części wyjąłem  $\frac{1}{4}$  środków przeznaczonych na nagrody, dając publiczności szansę przyznania swoich premii. Nad przebiegiem głosowania i obliczaniem proporcji czuwali wyłonieni z grona publiczności, jak ich nazywałem, Sędziowie Agonu.

Wszystkiemu towarzyszyła wyśpiewywana przez Staszka Górkę w towarzystwie Zbyszka Rymarza, a napisana przeze mnie na nutę przedwojennego przeboju *Cała Warszawa* – piosenka pt.

*KTO' Ś*

Czas na oklaski

i czas na widzów sąd.

Dla jednych brawa, innych klapa czeka tu.

Dziś vox populi

Najwyższy werdykt da.

Konkursy wszak to taka modna teraz gra.

Więc, widzu drogi,  
Wymogów podnoś próg,  
Nim w referendum swej ojczyźnie wskażesz los.  
I choćbyś Big Błagierów czy Plepperów kochał nawet stu,  
to nie wrywaj nas z błęgiego snu.  
W tym śnie wierzymy,  
że uda nam się też  
i rozpoznamy to, co dobre,  
a co złe.  
Bo dla Europy kłopoty  
możesz znieść,  
a Schwaizertale (przecież w Polsce narodziły się).  
Dla demokracji  
dla plutokracji – nie!  
Tu w Lapidarium generalna próba  
trwa i choćbyś  
*SMS-em w*  
*telebzdurze trafił nawet w... coś.*  
*Ten kogo wskażesz tu – To będzie Ktoś. To będzie Kto...ś!!!*  
No bo XI KTO to był też.



## XLIII

ZBYSZKO RYMARZ  
i czas piosenek

Znudzil mi się już serdecznie banalnie prosty, by nie powiedzieć: siermiężny, spisany na melodię *Bo piwo lwowski* nasz *Hymn Teatrów Ogródkowych* napisany jeszcze w Dziekance. Teraz miał być plebiscyt. Dwa miejsca do grania. W niedzielę Lapidarium, a w poniedziałek Dolina Szwajcarska. Zapragnąłem zmierzyć się ze zbiorowym śpiewem.

Moimi nadwornymi śpiewakami byli już od lat artyści z Grupy Pod Górkę, czyli Staszek Górka, Wojtek Machnicki i Monika Świtaj pod wodzą najwierniej im akompaniującego Zbyszka Rymarza. Zbyszko – to człowiek orkiestra.

Na scenach warszawskich występuje jako pianista i kompozytor już przeszło 60 lat. Od 1952 r. współpracuje z teatrami warszawskimi: Powszechnym, Kleksem (scena dzieci Teatru Satyryków), Teatrem Ludowym, Ateneum, Ziemi Mazowieckiej, Fraszka, Guliwerem. Był kierownikiem artystycznym i muzycznym „Wiercipięty”. Pracował też w Rozmaitościach, Dramatycznym, Współczesnym, Syrenie oraz w teatrach w Szczecinie, Elblągu, Toruniu, Rzeszowie, Jeleniej Górze, Lublinie, Radomiu, a także w londyńskim POSK-u.

Od powstania Telewizji Polskiej współpracował z jej różnymi redakcjami. Przez 10 lat był twórcą, kierownikiem i reżyserem Telewizyjnego Teatryku Piosenki Violinek, gdzie debiutowało wielu przyszłych artystów z Mieczysławem Gajdą na czele. Zbyszek jest także „archiwistą” – jak sam się nazywa. Namiętnym zbieraczem nut i programów teatralnych. No więc i dla mnie wyszperał kilka znakomitych melodii. Oprócz wspomianej dawno już opracowanej nuty *Bo piwo lwowski*, Zbyszko zaproponował jeszcze trzy: *Spotkamy się na Nowym Świecie*, *Qui pro quo* i *Cała Warszawa*. Ostatnia melodia posłużyła mi właśnie do napisania przytoczonej piosenki plebiscytowej.

KTO – to kto

Kto to KTO? – KaTeO!

Konkursy Teatralne.  
 Czemu tak te role są banalne?  
 Tutaj gwiazd mamy zjazd – gość z serialu znany.  
 Po co nam to – my mamy KaTeO!  
 Tęgo się nie przeceni,  
 choćby reklam sto:  
 Przeczytać w gazecie,  
 Zobaczyć na płocie,  
 To nie to – tylko KaTeO.  
 Kto tu gra? – aktorzy ogródkowi,  
 A kto lka – widzowie odlotowi.  
 Tutaj gwiazd widać blask, słońce też nam świeci.  
 Choć pada, spektakl leci.  
 Humor jest!  
 Nieważne, niech tam leje choćby cały dzień.  
 Na koniec zaświeci  
 Elektryk dla dzieci –  
 Słoneczko nasze KaTeO.

Zbyszko Rymarz nagrał mi te melodie na kasetowy magnetofon i całe towarzystwo ruszyło do Nałęczowa. Ja do prac codziennych posadziłem Kasię, sam nareszcie zajmując się tym, co lubię i chyba jakoś umiem.

Mam w oczach taki obrazek, jak siedzę z magnetofonem, słuchając nagrań Zbyszka w kawiarence u Dekerta na Starym Rynku. Siedzę i układam na melodie *Spotkamy się* chyba najbardziej epicką opowieść muzyczną o Ogródku, czyli *Piosenkę o teatrach ogródkowych*: „Tęgo nie pokażą w telewizji...”. Gdy skończyłem, a wydawało mi się, że nucę w takt dyktafonu dość dyskretnie, miły kelner zapytał z uśmiechem:

– *Udała się piosenka?*  
 – *I owszem, dziękuję* –

odpowiedziałem jakoś tak prosto i serdecznie. W tej chwili, w tym przeblasku, poczułem nieznaną mi dotąd jedność. Wiedziałem, że niczego nie gram ani nie udaję, że po prostu noszę w sobie przedwojenną, ojczystą, prawdziwie pol-



*Z archiwum Rymarza*

ską Warszawę. Nie było we mnie pozy ani popisu. Lecz zjednoczenie. Od tamtej chwili nabrałem pewności, że i ja, i schodzący się na mój ogródek ludzie reprezentują odradzającą się w drugim pokoleniu warszawską, czysto polską tradycję. Że teatr ogródkowy, moje „miejsce spotkania”, jest tej tradycji osłoną, szkółką i ostoją. Że ten teatr jest znakiem odrodzenia polskiej kultury i wyzwolenia jej spod terroru skamandryckiej ironii, schillerowskiej kpiny, ingardenowskiego sądenia – rządzących dziś niepodzielnie w szkolnictwie artystycznym i krytyce – wszystkich estetycznych midrasz.

Piosenki zostały napisane. Wracam do tego wątku może nadto uporczywie. Wracam, bo bardzo zabolalo. O tych piosenkach (ściśle o istotnie zużytych już

Przeobrażenie publikacji  
wydanej w 1952 r.

Final z teatru „Morski-Oleś”

CAŁA WARSZAWA

Nowa ANDRZEJA WĄSZA. Muzyka ROLT-KARASIEŃSKIEGO  
op. 8. WARS.

SPIEW. *Allegro* 1. U Łopusza grzeszo 2. To dla was wszystkich

ORZĘD. 1. w Złotym Mieście Włochy i zwali O jakimś hotelu mówią, tak! i tam, Na 2. piętro pa-śle, Wam się oświeca śpiew, O Warszawianki z wa-mi się posam grobi! Sto

1. Jasnokrócej i na Pańskiej Trzybi w ten sto ani I namiętno kłóczy wolało brań. 7 2. Kępcy jędy, dźwiękowi, ślicznie wystrza-żony Pa-moważca do-nymano ślip.

1. Pan Mo-ryz Kon-za-dachy ton Z-waszych stron wje-wa-ła 2. Protacki graf z-a-mi się haw, Z-a-mi się haw I nie-moż

Wydawnictwo Muzyczne, Warszawa, 1952 r.

w tym czasie *Hymnie*), otrzymawszy w 2006 roku – chciałbym wiedzieć skąd – polecenie zniszczenia Ogródka, napisze w „Gazecie Wyborczej” Dorota Wyżyńska: „Ja do Ogródków przestałam chodzić, gdy usłyszałam śpiewaną i wymyśloną przez samego dyrektora piosenkę, która zaczynała się mniej więcej tak: «Dzisiaj do ogródka zbiegła się trzódka z całego kraju teatralnych scen...». Niby niewinna fraza, ale... potrafi odpowiednio zniechęcić”.

Mało powiedzieć, że pani Wyżyńska kłamie! *Hymn Ogródkowy* powstał, jak już pisałem, na V KTO, a eksploatowany był głównie na VI i VII Konkursie, kiedy to pani Dorota była jedną z bardziej sprzyjających konkursowi dziennikarek „Gazety Wyborczej”. Hymn okazjonalnie puszczałem z taśmy nagranej na VI KTO przez Górkę i Machnickiego i przez trzy lata Doliny na VIII, IX i X KTO, gdy Pani Wyżyńska uczestniczyła w pracach jury, z których wycofała się przed XI Konkursem. Uczyniła to z najprostszego powodu, którym była kolejna ciąża tej bardzo wówczas przyzwoitej dziennikarki teatralnej. Ale jej „Gazecie” te pienia się podobają... wręcz bardziej chyba niż mnie... Odnutowywano każde chrząknięcie, co skłoniło mnie do dryfowania w tym kierunku.

Teraz, wracamy do 2002 roku, pani Dorota przekazała temat w dobre ręce Anety Prymaki i Beaty Kaczkowskiej, które nadal poświęcały KTO wiele uwagi.

Pomysł plebiscytu publiczności wręcz wszystkich zachwycił. „Gazeta Stołeczna” robiła na swojej drugiej stronie wywiady z przedstawicielami widowni i ze mną, publikując niemal w całości (oczywiście za friko!) udany chyba tekścik piosenki powstałej w ogródku U Dekerta na Staromiejskim Rynku.

„Wspólne śpiewanie w Lapidarium

Przyjdź w niedzielę (28.07) do Lapidarium i zaśpiewaj piosenkę! Co niedziela w Lapidarium widzowie oglądają i wybierają ulubione przedstawienia konkursu. Ale od jutra do tych zadań dojdzie kolejne: na pół godziny przed spektaklem będą wspólnie śpiewać piosenkę.

**Mateusz Zieliński: Skąd pomysł śpiewania wspólnie z warszawską publicznością?**

Andrzej Tadeusz Kijowski, dyrektor XI Konkursu Teatrów Ogródkowych: Jakiś czas temu założyłem się o 100 zł ze Stanisławem Górką o to, że Polacy to nie bawarska publiczność i nie zaśpiewają chórem wesołej piosenki. Staszek z kolei uważa, że jest to jak najbardziej możliwe i bardzo chce publiczność rozruszać. Próbował już trzy razy i jak dotąd jest mi winien 300 zł. Nic dziwnego, że trochę się zdenerwował i na tę niedzielę ściągnął Zbigniewa Rymarza, znakomitego akompaniatora. Liczy, że z jego pomocą wreszcie zakład wygra.

**Naprawdę do tej pory nikt nie chciał głośno śpiewać?**

Jakieś pojedyncze osoby. A śpiewać ma cały chór, przynajmniej podczas refrenu. Żeby pomóc widzom, nagraliśmy nawet piosenki na płycie kompaktowej, którą można kupić w Lapidarium. Są tam podkłady muzyczne, więc można przy nich potrenować. I ja także, mimo że działam przeciwko własnemu interesowi, pomagam Staszekowi z całych sił. Też bym chciał, żeby ludzie radośnie zaśpiewali. Niestety, to po prostu nie jest w naturze Polaków.

**Tak szczerze, to wolałby Pan chyba ten zakład wygrać?**

Ależ skąd! Ja bardzo chciałbym go nareszcie przegrać! Wiem, że moje pieniądze pójdą w dobre ręce, i z pewnością są warte tego, żeby publiczność wreszcie zaśpiewała. W niedzielę zrobię wszystko, żeby przegrać. Ale wątpię, czy to mi się uda.

[Lapidarium, Nowomiejska 6/8, niedziela 28 lipca: od godz. 18.30 wspólne śpiewanie pod kierunkiem Zbigniewa Rymarza, od godz. 19.00 spektakl *Kaczo, byczo, indyczo* w reżyserii Edwarda Żentary]

*Piosenka o teatrach ogródkowych*

*Tęgo nie pokażą w telewizji,  
Nie ma na to wizji, ani misji,  
Po to trzeba jechać do Warszawy  
Na Starówkę do teatru wpaść.*

Refren:

Czy pada deszcz, czy szumią wiatry,  
Aktorzy mkną ze wszystkich stron  
i w Lapidarium czujesz Tatry  
a w Schweizertalu słychać gong  
Tu niepotrzebny abonament,  
kablówka, cyfra ani WAP,  
tu zaraz widać, kto ma talent,  
a kto po prostu niewiele wart” – tyle „Gazeta Wyborcza”.

Dalej było tak:

„I w Alejach, i na Starym Mieście,  
I w Gwiazdeczce, i w Dziekance też –  
Ci zamarli w teatralnym geście,  
Ty masz taką sztukę, jakiej chcesz.

Refren

Czy pada deszcz.....  
Bo w teatrze naszym ogródkowym  
od ateńskich, starożytnych lat  
Czeka scena, aktor grać gotowy,  
a widzowie schodzą się na CZAT”.

Piosenka stała się autentycznym szlageriem sezonu. Staszek Górka nie mógł brać udziału w pracach jury, jako że pod koniec sierpnia miał jakieś „plebanijne” zobowiązania, pomagał jednak przez cały sezon w charakterze Arbitra Nagrody Publiczności zbierającego wraz z moją Kasią (jak na kościelnego przystało) listki wesole i smutne do koszyczka i śpiewającego przed spektaklem wraz z publicznością. Wszystko przy akompaniamencie Zbyszka Rymarza. Zaś na zakończenie wieczoru, gdy widzowie zbierali listki, śpiewaliśmy wszyscy wcale nie taki prosty melodycznie *Czas na Oklaski*.

Słowem, powstała już jakaś forma teatralnej obrzędowości, jakiś rytuał, jakaś stała oprawa.

## XLIV

GÓRKA I MACHNICKI,  
czyli Unia Ogródkowa

Wiele wskazywało na to, że Konkurs Teatrów Ogródkowych marzący o połączeniu Dolin Szwajcarskich Europy, walczący o przekształcenie się w racjonalną instytucję, jest nie z tej epoki. Konkurs najwyraźniej nie rozumiał, że siedemdziesięciu ludzi zatrudnionych w domu kultury może nie robić nic lub prawie nic i stanowić masę organizacyjną, której nie sposób rozwiązać. Lecz struktura 3-5-osobowa, całkowicie wystarczająca do realizacji celów, powstać nie mogła, dowodziłaby bowiem strukturom większym, że są nieefektywne i przeinwestowane.

Czy to znaczy, że etatystyczna mentalność wyparła konkurencyjną? Widać to było coraz wyraźniej. Jednak wciąż tliła się we mnie iskra nadziei. Iskierkę tę dała mi rozmowa z pewną panią, która była w Dolinie Szwajcarskiej bardzo oburzona, że ośmielamy się brać pieniądze za spektakle, skoro gdzie indziej nic się nie płaci...

– Zgadza się – powiadam – lecz my z Grupą Pod Górkę (która akurat tego dnia prezentowała *Ten Drogi Lwów*) jesteśmy prywatni i w bardzo małym zakresie dotowani.

Trudno to było naszej klientce zrozumieć, aż wyciągnęła argument, z którym, przyznam, i mnie trudno było sobie poradzić. Otóż, Towarzystwo Teatralne Pod Górkę nie występowało w 2001 r. w Dolinie Szwajcarskiej w konkursie; aktorzy nie liczyli więc nawet na nagrodę, a jedynie na honoraria z biletów. By jako tako wyjść na swoje, skalkulowali bilety po 15 zł. Jednak pełen humoru i przedsiębiorczości Staszek Górka, jako zawołany biznesmen, gdy już przeszła godzina 19.00, a miejsca pod namiotami nie były do końca zajęte, zaś na trawie otaczającej scenę zgromadziła się grupa starszych osób czy studentów, wyruszał z laseczką, proponując im bilety wejściowe bodaj po 5 czy 7 złotych. Lepszy wszak rydz niż nic, a wróble w garści!

– No więc, jak to jest? – indagowała mnie poirytowana dama. – Nie dość, że każecie sobie płacić, to jeszcze nie wiadomo ile. Moi znajomi obejrzeni spektakl trzy dni temu za 7 złotych, a ja mam teraz zapłacić 15?!

*Górka**Górka i Machnicki*

Tu już istotnie nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Poczulem się jak złodziej, spekulant, gomułkowska baba z mięsem niezakontraktowanym, gdy mnie nagle olśniło.

— Promocja! — wykrzyknąłem. — Pan Górka zrobił wczoraj promocję! Jak piwo: taki Heineken normalnie wart 8 złotych, ostatnio kupiłem za 3,60, bo była promocja. Spektakl Towarzystwa Teatralnego pod Górkę normalnie wart kilkanaście złotych, czasem w ramach promocji obejrzeć można taniej. Ale promocje nie są przecież wiecznotrwale.

Zwyciężyłem. Kobieta zrozumiała. Mentalność supermarketu pokonała tęsknotę za tym, by każdemu darmo, po równo, może i według potrzeb!

Szczerze mówiąc, jeszcze tylko na ten supermarket liczyłem. Na supermarket, który w amerykańskim wydaniu bywa i miejscem zakupów, i danciem, kaba-  
retem, teatrem – nawet niedzielą kaplicą. Supermarket, przy którym powstają już małe sztuczne ślizgawki, a w Dniu Dziecka, Matki, Taty czy na Gwiazdkę odbywają się coraz lepsze spektakle.

Do szefa marketingu tych supermarketów się zwracałem. Szefa marketingu szukałem. Kogoś, kto zrozumie, że w dobie globalizacji i Myszkki Miki pomysł Doliny Szwajcarskiej trafia w najgłębszą potrzebę kulturalnych Europejczyków.



Do szefa marketingu to pisałem, który wie, że na imprezie takiej jak opisywane Ogródki można znakomicie zarobić. Jednak nie sprawi już tego miejski samorząd ani jeden siwiejący pasjonat.

Do szefa marketingu to pisałem, z cieniem nadziei, że nas dostrzeże. Ten tłum. Ten ruch. Że nie nazwie „niszową” imprezy, która w ciągu lata przyciągała już dobre kilkanaście tysięcy widzów, a tylko tyle dlatego, że nie było komu zainwestować w projekt letniego teatru w Dolinie, kiermaszu książek, parady kwiatów, imprez dla dzieci. Apelowałem. Pisałem. Drukowałem wstępy w folderach. Szukałem kogoś, kto mnie wesprze w tym ekonomicznym i kulturalnym trudzie. Mnie czy nawet nas – twórców kultury niezależnej i samorządnej.

Takich jak niezawodny kościelny z *Plebani*, świetny organizator, odtwórca wielu znakomitych ról charakterystycznych, a także specjalista od impostacji głosu, w czym nie ma sobie równych. Stanisław Górka ma godność profesora Akademii Teatralnej.

Czy Wojtek Machnicki, jego kompan i wieloletni współpracownik. Od lat związany z warszawskim Teatrem Współczesnym. Aktor filmowy i teatralny, którego głos można słyszeć w dubbingach od *Zakochanego Kundla* Walta Disneya, w którym pracował jako 11-letni chłopiec, aż po *Górze Czarownic* wg Alexandra Keya.

Ale jest Wojtek też przede wszystkim człowiekiem niezwyklej klasy, szyku, elegancji. Nie brak mu także odwagi i godności; swego czasu zaangażowany w ruch podziemny, nigdy z tego tytułu nie domagał się apanaży.

Górka i Machnicki to para, którą porównywać można tylko z duetem Starszych Panów. Choć nie pochodzą ze Lwowa, język lwowski: szmonces, dialogi Szczepcia i Tońcia opanowali do perfekcji, ocalając od zapomnienia ważny fragment polskiej kultury kabaretowej. Ich spektakle: *Ten Drogą Lwów* czy montaż poświęcone Marianowi Hemarowi, oglądały w kameralnych (również Ogródkowych warunkach) tysiące wdzięcznych widzów, od mazurskiego Prania poprzez warszawskie Ogródki na licznych amerykańskich scenach polonijnych wcale nie kończąc.

To ze Stanów, wracając z jakiegoś stypendium, przywiózł Staszek pomysł, by skoro Englert (Maciej), u którego we Współczesnym zatrudniony był lat trzydzieści, nie obsadza go, to nie ma co narzekać, czekać na telefon w knajpie przy kontuarze, tylko sobie samemu poradzić. I radzi sobie. Jak może. Póki mogłem, i ja ich wspierałem, korzystając z hojności samorządu. Wierząc w konkurencję i prawo wyboru. Odrzucając koncesje i etaty.



*Trio: ATK & Górka & Machnicki*

Pisałem tak i robiłem po raz kolejny ów festiwal z nadzieją, że piosenki, które tam śpiewaliśmy, i oglądane spektakle, wspólnota, która tam się tworzyła, wywiedzie nas z odrastającego barbarzyńskiego lasu, gdzie rządzi głód i prawo silniejszego – przybliżając ku europejskim kulturalnym ogrodom.

## XLV

DIONIZJE,  
czyli z Jurkiem Derflem w saunie

To był w sumie bardzo miły sezon. Nawet nie szaleńczo pracowity. Repertuar ułożywszy z wyprzedzeniem, mając Kasię Synowiec do pomocy, mogłem sporo czasu wakacyjnego spędzić z moimi dziewczynkami (Kamka miała właśnie 11, Emka 9 lat) – w naszych podlaskich Ołtarzach-Golaczach. W Warszawie zjawiałem się w sobotę. Czasem dopiero w niedzielę. Miałem czas, by skserować w Verso, u pana Radka Pluteckiego bieżące programy.

Zrobić powiększenia plakatów. Czasem dodać kupony do losowania czy drukowane w formie zakładki regulaminy plebiscytu publiczności wraz z piosenką o teatrach ogródkowych. Wyłożyć folder do sprzedawania.

Folder na XI KTO był pierwszą próbą podsumowania. Przedstawienia poważnej bibliografii, zestawienia spektakli z dziesięciu lat wydarzeń. Zmniejszona do mojego ulubionego formatu A-5 antologia recenzji ogródkowych, przygotowana w kilkunastu egzemplarzach na konferencję prasową zorganizowaną w Centrum Prasowym PAI przed Paradą Dionizyjską otwierającą finały XI KTO, miała blisko sześćset stron. Bibliografia w folderze – dwa tysiące pozycji. Przedstawiłem w nim też moje marzenia, historię Doliny Szwajcarskiej, moje pomysły biznesowe na jej zagospodarowanie. To wszystko, poprzedzone Inwokacją do sponsora, mógłby ktoś nazwać transparentą. Spoglądając z perspektywy siedmioletnia, trzeba podsumować jako krańcową naiwność, wręcz graniczącą z głupotą.

Zastanawiam się, czy gdybym chciał na tym poprzestać, mogłoby tak trwać w nieskończoność? Nie sądzę. Krzysztof Marszałek, powstrzymujący mnie przed marzeniami o wielkim festiwalu, tłumaczył zawsze: „Ma pan porządną, małą, lokalną imprezę. Po co panu jakiś Avignon czy Edynburg?”

No właśnie – po co? Czemu nie umiałem, jak mnie w czasie negocjacji z Miętusem pouczał Marek Borowik, poznać swojego „miejsca w szeregu”? Czy dlatego, że taki próżny? Żem zawsze „poeta” – czy o tym wiedziałem, czy nie.

Że „*mediocribus non licet esse poete*”? A może dlatego, że warunki, na jakich stworzyłem konkurs, nie mogły trwać wiecznie. Uruchomiłem go przy okazji bycia radnym i dziennikarzem Nowej Telewizji Warszawa. Nigdy nie udało się pozyskać hojniejszych od samorządu sponsorów. Mogłem być nim tylko ja sam. I byłem – oddając swój czas i swoje pieniądze (także te niezarobione), wtedy gdy dane mi było realizować zlecenia dla Komitetu Badań Naukowych, wykładać w Wyższej Szkole Dziennikarstwa czy kierować Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Ale i te prace nie trwały wiecznie. Może dlatego, że nie dbałem o nie tak bardzo, gdy coraz wyraźniej czułem, iż w misji ogródkowej realizują się najpełniej, że Warszawa każdym oddechem odpowiada, iż czuje potrzebę proponowanego przeze mnie festiwalu. Zamknięte koło.

Przeglądy XI KTO zakończyły się pod koniec sierpnia. W sumie obejrzelśmy z 60–100 widzami w Lapidarium dwanaście spektakli. A w wyniku głosowań najwyższą ocenę otrzymało *Zaliczenie. Lekcja* Teatru Konsekwentnego z Warszawy. Na tak głosowało 138 osób, na nie 11. Pozytywna ocena wyrażała się w 93 proc., w związku z tym spektakl został zaproszony do konkursowej części festiwalu i otrzymał Nagrodę Publiczności w wysokości 2500 zł.

Drugie miejsce publiczności otrzymał spektakl *Wszystko zależy od Dziadka* Teatru Omnia z Nadarzyna, z 93 proc. aprobatą, gdzie spektakl spodobał się 59 widzom, a 4 uznało go za zły. Otrzymał nominację i Nagrodę Publiczności w wysokości 1500 zł.

Wreszcie trzecie miejsce widzowie przyznali spektaklowi *Jarosy zawsze ten sam*. Był to monogram Wojtka Machnickiego wyprodukowany przez Teatr Syrena. Zaakceptowało go 90 proc. widzów: 92 osobom spektakl podobał się, odrzuciło go 10. Został zaproszony do konkursowej części festiwalu i otrzymał Nagrodę Publiczności w wysokości 1000 zł.

Po obejrzeniu wszystkich spektakli ubiegających się o Nagrodę Publiczności, urzeczeni profesjonalizmem, skromnością i artystycznym polotem arbitrzy (czyli Staszek Górka i niżej podpisany) postanowili zaprosić do udziału w konkursowej części także spektakl Teatru Okno z Białegostoku, który nie został wysoko oceniony przez publiczność z Lapidarium (80-procentowe poparcie dawałoby mu dopiero dziewiąte miejsce). Jednak uznaliśmy go za wart obejrzenia. Decyzja ta nie pociągała za sobą konsekwencji finansowych i nie uszczuplała sumy przeznaczonej na Nagrodę Publiczności.

I zaczął się konkurs właściwy. Przenosiny z Lapidarium do Doliny postanowiłem uczcić, organizując nieznaną dotąd Warszawie Paradę Teatralną. Nazwałem ją Paradą Dionizyjską. A do jej zorganizowania zatrudniłem zawsze niezawodnego Romka Holca. Aktora i reżysera od trzydziestu już lat związanego z warszawskim teatrem Lalka. Także – świetnego organizatora.

Romka znam jeszcze z harcerskich czasów. Nigdy nie zapomnę, jak przed wieczorkiem zapoznawczo-rozpoznawczym podczas instruktorskiego zimowiska w gdańskim Wrzeszczu, w grudniu nad szumiącym morzem, w jakimś 1971 r., udzielał młodzieńcom błyskawicznej korepetycji tanecznej. Nauczył nas jednego uniwersalnego kroku z półobrotom, którym można dogonić dosłownie każdy rytm. Sprawdza mi się już 35 lat...

Pracowaliśmy też razem w Teatrze Reduta 77, gdzie wraz z Pawłem Konicem asystowaliśmy Marcinowi Idzińskiemu, późniejszemu spikerowi Radia Wolna Europa.

Romek tam debiutował w spektaklu, w którym nasze nazwiska pojawiły się pod montażem poetyckim *Kanon Polski*. Niezwykłość tego przedstawienie polegała na tym, że pierwszy raz od ucieczki autora *Umysłu Zniewolonego* z PRL, cenzura zaakceptowała (jeszcze przed wyborem Karola Wojtyły na papieża) pojawienie się na plakacie nazwiska przebywającego od 30 lat na emigracji Czesława Miłosza.

Idziński zgromadził w Reducie 77 różnorakie typy: od steranego teatralnymi walkami, pamiętającego czasy nowohuckiego teatru Skuszanki Waldemara Krygiera, poprzez takich gości jak Paweł Konic, aż po różnych „dziwaków” jak choćby ja – wówczas doktorant Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, czy także kończący filozofię Grzegorz Miecugow, który zatrudnił się tu w dziale technicznym. Czy wreszcie ambitnych lalkarzy w rodzaju Romka Holca.

Romek jednak nie dał się uwieść ani konszachtom Idzińskiego z Tadeuszem Łonickim (rektorem PWST i członkiem KC PZPR), ani ze Zjednoczonymi Przedsiębiorstwami Rozrywkowymi, które przekształcały ten teatr w scenę Na Rozdrożu, pamiętną tym z kolei, że na niej Jacek Kaczmarski wykonywał pierwszy raz w Warszawie z Przemysławem Gintrowskim i Zbigniewem Łapińskim program *Mury*.

Nie uległ też Holc pokusom emigracji. Zasadniczo oparł się nawet telewizji. Odnalazł się w sposób niezwykle w teatrze dziecięcym. Pracuje w Teatrze Lalka nieprzerwane już 20 lat, służąc pomocą zawsze, gdy trzeba skłonić do zabawy dzieciaki.

Wyobraziłem sobie kolorowy korowód, w którym powinny brać udział wszystkie obecne w danym momencie w stolicy zespoły. Jednak pomysł Parady

Teatralnej narodził się w mojej głowie późno, bo chyba dopiero gdzieś w czerwcu. Dowiedziałem się szybko, że podobną ideę proponował miastu pod nazwą *Wózy Tespisa* aktor i impresario – Andrzej Niemirski. Oczywiście zadzwoniłem doń z propozycją współpracy, ale nie widząc pieniędzy, nie był zainteresowany wspieraniem mego, czy tworzeniem wspólnego przedsięwzięcia. Jego pomysł polegał na tym, by każdy teatr jakimś pojazdem przejechał przez Warszawę. Akcję chciał wykonywać z osadzonym w telewizji Maciejem Orłosiem. Nie to nie. Pobawiliśmy się z Romkiem też sami.

Na razie chodziło mi o czystą promocję. Zatrudniłem więc Monikę Świtaj i Romka Holca, który „wypożyczył” dzieciaki z jakiegoś „Lata w Mieście”. Nakupowaliśmy im w zamian cukierków i balonów. Wynająłem dwie dorożki ze Starówki i tak przemaszerowaliśmy, wesoło podśpiewując i pokrzykując (nawet w językach obcych, w których z Moniką się uzupełnialiśmy), zaopatrzeni w kupioną przeze mnie specjalnie na tę okazję tubę elektryczną, z placu Zamkowego do Doliny Szwajcarskiej. Tam na dzieci czekały atrakcje. Jakies picie, słodczyce i spektakl w wykonaniu Holca oraz jego kolegów. W ten sposób – przy wsparciu cały czas w osobie Jakuba Chelmińskiego zachwyconej tym wszystkim „Gazety Stołecznej”, która nas pięknie obfotografowała, zareklamowaliśmy przenosiny z Lapidarium do Doliny i samą Dolinę. Tam od ostatniego poniedziałku sierpnia ruszał już oficjalny, co dzień przez tydzień trwający konkurs oceniany przez całkiem odnowione jury.

Poza Edytą Jungowską udało mi się w tym roku pozyskać, w miejsce przebywającej na urlopie macierzyńskim Doroty Wyżyńskiej, doświadczoną dziennikarkę radiowo-teatralną Anię Retmianiak. Na stanowisko przewodniczącego jury mianowałem Krzysztofa Raua.

Rau to świetny, znany w świecie reżyser i organizator. Twórca białostockiej szkoły lalkarskiej i teatru lalek w Białymstoku. Skądinąd stworzył to wszystko za gierkowskiej komuny, nie gardząc nawet stanowiskiem członka Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białymstoku, a i w KC pod X Zjeździe PZPR w 1986 r. też zasiadał. No, ale czego się nie robi z miłości do kukielek... Potem, na początku lat 90., był Rau krótko dyrektorem warszawskiego Teatru Guliwer. Próbował zreformować Teatr w Bielsko-Białej, gdzie potworzył trupy aktorskie, którym stwarzał szanse sukcesu podobnego temu, jaki odnosi jego prywatno-rodzinny Teatr 3/4 z Zusna.

Jury 2002 – Jerzy Derfel, Edyta Jungowska, Anna Retmianiak i Krzysztof Rau

Wreszcie wyjeżdżającego na ten akurat ostatni tydzień Staszka Górkę zastąpił w jury (w rzymskim stylu długo przekonywany przez nas w Staszkowej saunie z wiązowieńskich Kopek) znakomity pianista, kompozytor, a z czasem jeden z serdeczniejszych przyjaciół Ogródka – Jurek Derfel. Derfel to znakomity pianista. Szczególnie związany zawodowo z Wojciechem Młynarskim i Haliną Kunicką, dla której skomponował do tekstów Wojciecha Młynarskiego musical *Dwanaście godzin z życia kobiety*. To także autor licznych muzyk teatralnych. Szerokiej publiczności Jurek najlepiej jest znany jako akompaniator i kompozytor nieśmiertelnych przebojów Wojciecha Młynarskiego.

Nie będę ukrywał, że ta zmiana jury była kolejną próbą znalezienia osób, które pomogą utrzymać mój festiwal. Ułatwią bądź nadanie mu formy instytucjonalnej lub pozyskanie sponsora. Kończyła się jednak dwuletnia ważność decyzji o warunkach zabudowy Doliny Szwajcarskiej. Nikt nie zechciał w nią zainwestować. Sto tysięcy złotych, jakie dostałem z Gminy Centrum, płynęły w istocie na wypromowanie odrestaurowanego w fatalnym stylu Lapidarium, czyli miejsca, które w intelektualnym sensie Sebastian Lenart, szef Staromiejskiego Domu Kultury, przy wsparciu Krzysztofa Marszałka odebrał Jackowi Kilińskiemu.

Jeszcze szukałem sponsorów (stąd te wstępne inwokacje do HIT-a w folderze XI KTO). Zleciłem to zadanie Kasi Synowiec. Pod koniec sezonu zatrudniłem nawet przedstawiającą się jako specjalistkę od marketingu panią Izabellę Pieczykołan. Finansowo znajdowałem się bowiem w coraz bardziej błędnym kole. W przyszłość spoglądałem z coraz większym niepokojem.

Z jednej strony po stracie pracy w Centrum Monitoringu – 2,5 tysiąca złotych (przewidziane na moje honorarium dyrektorskie) mnożone nawet przez pięć miesięcy pensji od biedy starczało mi na życie. Z drugiej jednak strony pieniędzy na to XI KTO wcale nie było bardzo mało, a wydać trzeba je było wszystkie głównie na honoraria, aby należycie rozliczyć dotację. Stąd miałem na tych parę dorożek czy występ Edyty Jungowskiej w finale Ogródka. Ale przecież cały ten budżet nie starczyłby porządному impresario na jedną przyzwoitszą imprezę.

Postanowiłem więc zainwestować w dział marketingu, któremu nawet po skończeniu imprezy aż do grudnia przedłużyłem trwanie. Miały panny przygotować między innymi wystąpienie do założonej przy URM – jeszcze przez premiera Buzka, a teraz przezornie przeniesionej pod skrzydła rzecznika praw obywatelskich Andrzeja Zolla – Fundacji Pro Publico Bono. Od kilku lat mówiono, że ta

organizacja mogłaby wesprzeć moje dzieło. Materiały panie przygotowały pilnie i złożyły punktualnie. Dziś ślad po nich znajdziecie w internetowej bazie inicjatyw obywatelskich: ma znak B18. Jednak poza nadaniem znaku nie dostrzeżono mojej inicjatywy. A do innych efektów marketingowych mogę dodać tylko gwałtowny wzrost rachunków telefonicznych w lokalu na Wilczej, skąd panie rozsyłały faxy do potencjalnych sponsorów... Tak więc zakończył się XI Ogródek.

Jak zwykle bogaty repertuar. Po dwa spektakle dziennie. Po raz drugi przybyli Rosjanie z Iwanowa, pokazał się Adam Walny. Na przedstawieniach było pogodnie i publiczności sporo. W sumie zobaczyliśmy dziesięć spektakli.

Narody zaś otrzymali:

Kabaret Moralnego Niepokoju za przedstawienie *La granda Maniana* – Wielką Ogródkową w wysokości 6000 zł. Teatr Okno z Białegostoku za przedstawienie *Romans Perlimplina i Belissy* – Dużą Ogródkową w wysokości 3500 zł.

Teatr Koło z Warszawy za przedstawienie *Miłość do trzech pomarańczy* – Małą Ogródkową w wysokości 2500 zł.

Jeszcze dwa równorzędne wyróżnienia przyznano:

Teatrowi Własnemu Stanisławiak z Chorzowa za spektakl *Ogród Miłości* – w wysokości 1500 zł oraz Teatrowi Konsekwentnemu z Warszawy za spektakl *Zaliczenie. Lekcja* – w wysokości 1500 zł.

W oczekiwaniu na werdykt wystąpiłem wraz z zespołem Pod Górkę z ilustrowaną Ogródkowymi piosenkami i parafrazami, muzyczną opowieścią o naszych dziesięcioletnich zmaganiach.

Trzeba było wszak gościowi finału dać czas, by poawanturował się w jury. Narada z udziałem Edyty była ponoć wyjątkowo burzliwa. Jednak dama postawiła na swoim, po czym zgodnie z planem o godz. 21.00 przedzierzgnęła się w *Gotującego się psa*, racząc zebranych spektaklem muzycznym w reżyserii Rafała Sabara.

*No i po XI Konkursie. Przed nami znowu niepewne. Nadchodziła przecież kolejna zmiana władzy. Przygotowanie do akcesji unijnej. W sumie napięcie i nadzieje.*



## XLVI

## Z NAIMSKĄ PO ESTAKADACH

Moja sytuacja była pod koniec 2002 r. dziwna. Było wiadomo, że najbliższy przyjaciel został wiceprezydentem Warszawy. Zdawać by się więc mogło, że moja pozycja wzrosła. No, ale przecież Kaczory, z którymi Urbański się zbrałał, wszędzie wchodzi pod hasłem prawa i sprawiedliwości, co dla ludzi takich jak Andrzej czy ja w praktyce oznacza, że łatwiej zatrudnić kogoś z dawnego układu niż nawet najbardziej kompetentnego kolegę. Tak więc doszło do sytuacji w istocie paranooidalnej. Ustosunkowany, z pieniędzmi. Tu – UKiE i Europejskie Alerty, tam – idea EFiKu. Kumpel prezydenta, już prawie doradca i sekretarz prezydenckiej Rady Kultury. Kim to ja nie zdawałem się być. Na oko! A jednak coś stanęło na przeszkodzie. Niezręczne słowo? Spisek? Dość, że nie dopuścili mnie do pracy.

Moja Fundacja Kultura Tutaj Obecna i imprezy z Teatrami Ogródkowymi na czele jako dodatek do jakiejś płatnej pracy byłyby bowiem miłym apanażem. Same nie pozwalały związać końca z końcem. Niby wiadomo. A jednak – ciekawe.

Tym ciekawsze, że gdym w 2007 r. pisał te słowa, korzystałem akurat gościnnie z gabinetu jednego z dyrektorów biura kadr TVP SA. Było już po tym, co dopiero miało nadejść. Po oszałamiających sukcesach Ogrodów Frascati. Właśnie tego dnia lipcowego 2007 r. w „Rzeczpospolitej” ukazał się tekst wieszczący ich śmierć. Za chwilę miały zacząć się oszczerstwa. A ja w trakcie badań lekarskich czekałem na dyrektora Feliksa Langenfelda, który miał wrócić z moim kontraktem o pracę w Akademii Telewizyjnej TVP SA. Było jak 5 lat wcześniej. Z tą tylko różnicą, że mój przyjaciel został samym głównym prezesem TVP SA. I nie miał już nad sobą szefa. Chwilo! Trwaj! Myślałem... Krótka trwała. Ledwie 16 miesięcy – tyle co karnawał Solidarności. Przeżywszy rok 2009, stan wojenny wspominam jako dobre czasy.

Zatem na początku 2003 r. wiceprezydent Urbański łapał się lewą ręką za prawe ucho, by jakoś znaleźć miejsce dla byłego marszałka sejmiku, doktora nauk,

dość chyba sprawnego animatora kultury w prawicowym teamie współpracowników Lecha Kaczyńskiego, którzy... bardziej niż diabła obawiają się na urządzie – goja! Nie było na mnie pomysłu, więc chcąc nie chcąc przedstawiłem w imieniu mojej Fundacji projekt Letniego Festiwalu Artystycznego i kolejny wniosek Ogródkowy. Ciekawe, że po okrzyku „dawaj festiwal”, który usłyszałem jeszcze w listopadzie, gdy kwit ten (natychmiast!) został Urbańskiemu wręczony – zapadła kompletna cisza. Otrzymała go także obejmująca właśnie posadę dyrektora Biura Kultury – córka rabina, czyli Małgosia Naimska.

Małgosia Naimska (z domu Borkowska), że nie jest z gminy (przynależność do niej dziedziczy się wszak po matce) poinformowała mnie, niepytana, już przy trzecim spotkaniu. Dodając zaraz, że ona wprawdzie jest patriotką cywilną, jednak ma ojca... rabina. Przyznam, że mnie wparło. Nie sam fakt, lecz faryzeizm (jak by powiedział śp. Jurek Koenig) tego oświadczenia.

Jest Małgosia z wykształcenia... hebraistką. Życie spędziła w Pen-Clubie u boku Władysława Bartoszewskiego, jako sekretarka tej międzynarodowej literackiej korporacji. Harcerka, reytaniana, żona Piotra Naimskiego – jednego z twórców KOR-u. Potem razem z Ireną Lasotą prowadziła Fundację Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej. Epizod ten zakończyła w atmosferze tuszowanego skandalu. Szkoda słów. Więcej na ten temat, z wrodzonym sobie taktem opowiedziała Zofia Romaszewska<sup>1</sup>.

Straciwszy w niesławie pracę w Fundacji, została Naimska przez Kaczyńskiego namaszczona na osobę, która w imieniu prezydenta miasta będzie teraz zaopatrywać inne fundacje. Wtedy też ją poznałem. Nie znałem oczywiście wówczas raportu Zofii Romaszewskiej, ale o konflikcie i bankructwie Fundacji dla Wschodniej Europy słyszałem. Tak więc starałem się z Naimską rozmawiać jak swój ze swoim. Nie musiałem jej nadto przekonywać, że rozliczenie grantów jest bardzo trudną rzeczą. Jednak, jeśli nie zatrudnia się ludzi inaczej niż na zlecenia, a za siebie ZUS-u nie płaci – jakoś możliwą.

Pierwsze spotkanie odbyło się w gabinecie Andrzeja. Pamiętam, żeśmy nań czekali i nawet przez moment to mnie wypadło grać rolę gospodarza. Rozpostarłem skrzydła, nastroszyłem piórka – i wyśpiewałem moje marzenia, zdając sobie sprawę, że istotnym komunikatem, jaki w tym momencie przekazuję, jest to, że nie musi się mnie obawiać jako konkurenta do stołka. Jedyne czego chcę, to

<sup>1</sup> *Sprawozdanie o stanie Fundacji: Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej Zofii Romaszewskiej z dnia 14 listopada 2002 r.*

umożliwienia mi realizacji mojej wizji. A wizją był Festiwal, którego projekt zgodnie z dezyderatem złożyłem Andrzejowi, i na którego temat zapadła głucha cisza. Więc mówiłem, mówiłem, mówiłem. Tłumaczyłem, czemu nie Pałac Kultury ani plac Defilad. Nie ten anonimowy tłum, który doń zmierza. Pokazywałem miejsca. Miałem już w głowie park Frascati, o którym Naimska w gruncie rzeczy nie wiedziała. Więc (jako że jeszcze samochodu służbowego nie miała) postanowiłem odwiedzić ją do domu na Ursynów, po drodze zawożąc za Teatr Buffo. Objechałem z nią cały teren, trawersując moim tiponkiem niektóre estakady, czym wzbudziłem zdaje się lekkie oszłomienie. W każdym razie początek został zrobiony.

Tak mi się przynajmniej zdawało. Tymczasem pod auspicjami Naimskiej rodziła się w mieście koncepcja nowa: Festiwalu „Na skrzyżowaniu kultur”. Koncepcja, która była w moim przekonaniu prostym plagiatem stworzonego przez Macieja Domańskiego – po tym jak nie wyszła nasza wspólna koncepcja „Wisły Żywej” – Festiwalu Czterech Kultur. Festiwalu z powodzeniem – do czasu – realizowanego przezeń w Łodzi.

Tam chodziło o kulturę polską, niemiecką, żydowską, rosyjską – spotykające się w tym mieście. Tu miałyby chodzić o pokazanie wielu zjeżdżających dziś do Warszawy nacji. Ale powiedzmy sobie szczerze: wielowarstwowość Łodzi ma w sobie coś szczególnego. Nie można tego powiedzieć o Warszawie. Fakt, że ostatnimi czasy namnożyło się w niej przybyszy z różnych stron świata, nie odróżnia jej niczym od większości aglomeracji w dobie globalizacji.

Co tu gadać. Od Maćka Domańskiego ideę. Ode mnie nazwę. Wszak tytuł „Na Skrzyżowaniu” (*au Carrefour*), tyle że Europy, znajdował się wśród zaproponowanych teraz przeze mnie prezydentowi nazw. Rzecz nie w tytułach. Tych jest ci u mnie dostatek. Mój imiennik Janusz Kijowski, któremu po wygraniu przezeń konkursu na Teatr w Olsztynie udostępniłem projekt Mazurskiego Festiwalu, do dziś posługuje się wymyśloną przeze mnie pod copyrightem nazwą Festiwalu „Na Pomostach”. A niech im się darzy. Nie będę się przecież procesował z imiennikiem... Zabawne, że ten drugi Kijowski znany jest Małgosi i Piotrowi Naimskim jeszcze z harcerskiej Czarnej Jedyńki w Liceum im. Reytana. Gdy opowiedział Naimskiej o jego drobnym szalbierstwie, dodała na jego temat sporo pikantniejszych szczegółów. A to Polska właśnie.

Wracając do tytułów. Zaproponowałem ich parę: „Wisła Żywa”, „Vistule Vivante”, „Festiwal Odzyskanych Narodów Moskwa – Warszawa – Paryż”, „Wemarski Piknik Europejski (Newa – Wisła – Dunaj – Ren – Marna – Sekwana),

wreszcie „Na Skrzyżowaniu Europy (*au Carrefour*)”. Tytuły zmieniałem w zależności od tego, czy adresatem była Solidarność, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, czy Miasto Warszawa. Lecz pomysł był i nadal pozostaje aktualny – jeden.

Prawie dziesięć lat temu to pisałem. A dziś to bez słowa zmienię powtórzę:

„Warszawa stanowi geograficzne centrum Europy i w momencie wstąpienia do Unii Europejskiej może stanowić naturalne miejsce spotkania Europejczyków z północy (Finlandia, Szwecja, Litwa, Łotwa, Estonia) i wschodu (Rosja, Białoruś, Ukraina, Czechy, Słowacja) – spotkania, które może być bardzo interesujące dla turystów i znawców kultury z Europy Zachodniej (przede wszystkim Francji, Szwajcarii, Włoch, Hiszpanii).

Szczególne role Warszawy na trasie Paryż – Moskwa wyraża się w znanym powiedzeniu, iż zmierzający w obydwu kierunkach, kiedy przypadkiem wysiądą na warszawskim dworcu, mogą odnosić wrażenie, że znaleźli się już na miejscu. Istotną cechą Warszawy jest bowiem fakt, iż reprezentuje kraj z gruntu katolicki, oparty na chrześcijańskich wartościach kultury śródziemnomorskiej, zarazem jednak jest to kraj Unii Lubelskiej (1569 r.), która była praktycznym wyrazem dążeń integracji europejskiej, obecnej w myśli politycznej Europy od czasów Karola Wielkiego aż po traktat z Maastricht.

Jest oczywiste, że uniwersalnych podstaw nowej europejskiej pokojowej koegzystencji należy szukać we wspólnych korzeniach kultury. Zagrożenie amerykańską – jeszcze do niedawna bardzo pozytywnie odbieraną w tej części Europy – budzi opór młodego pokolenia Europejczyków. Młodzi warszawiaczy, podobnie jak paryżanie czy berlińscy, jednoczą się w poszukiwaniu korzeni, w odrzuceniu globalizacji – tego wszystkiego, co wyraża się w buncie Europa kontra Mc’Świat.

Odbywające się w wielu miastach Europy festiwale, spotkania i przeglądy o bogatej tradycji i ustalonej renomie, a także utrwalająca się w świadomości Europejczyków rola Berlina, grożą marginalizacją kulturalną stolicy Polski. Nie tylko turyści krajowi i zagraniczni, ale także mieszkańcy Warszawy i regionu, są pozbawieni w miesiącach letnich pozycji kulturalnych o różnym charakterze – od



*Małgorzata Naimska*

elitarnych do masowych. Korespondenci zachodni oceniając nasze miasto stwierdzają, że: «Warszawa pod każdym względem przypomina zachodnie metropole, ogromny ruch samochodowy – w jej szerokich alejach, duży wybór towarów w sklepach, billboardy i neony, luksusowe hotele, doskonała komunikacja miejska i dobra sieć telekomunikacyjna. Kuleje jedynie nocne życie miasta. Z zapadnięciem zmroku, nawet w weekendy, ulice pustoszeją»<sup>2</sup>.

Z powyższego wynika, że istnieje wolna, niezagospodarowana przestrzeń kulturalna, znajdująca się na przecięciu szlaków komunikacyjnych i kulturowych, gdzie spotkanie Wschodu i Zachodu byłoby próbą szukania antidotum na zagrożenia globalizacją kulturalną”.

Jednak moja idea nie przebiła się. Nie uzyskała urzędowej metki. Może po prostu dlatego, że była autorska. Kto ukradł pół tytułu mnie, a drugie pół Domańskiemu – nie wiadomo. Dość anonimowe Biuro Festiwalu mieści się natomiast przy prowadzonym przez Katarzynę Hagmajer mokotowskim Domu Kultury zwanym „Centrum Łowicka”. Ale pani Katarzyna nie taka głupia, by przypisywać sobie jakieś pisemne zasługi. Jak się chce trwać na stanowisku i zarabiać pieniądze, należy uważać na przeciwniała.

O przeciwniałach usłyszałem po raz pierwszy jeszcze w 1992 r., gdy powstała Niezależna Telewizja Polska. Mirek Chojecki namówił mnie wówczas, bym zrobił materiał na temat działalności Heleny Gąsiorowskiej: za czasu komuny, ale i potem, nieprzerwanie skutecznej organizatorki życia kulturalnego na Ochocie, aż po Ursynów, a nawet Mrągowo, gdyż dzielnica Ochota była jednym z pierwszych współorganizatorów Pikniku Country w Mrągowie. Udałem się więc do pani Heleny (nb. pierwszej żony wspomnianego już Krzysztofa Gąsiorowskiego, zacieklego komunisty i marksisty, rodzonego brata Małgosi Bocheńskiej i stryjecznego wnuka autora *Huraganu*, czyli Wacława). Pani Helena wszystko mi opowiedziała, powozila od Domu Kultury „Okno” aż po ursuski „Arsus”. Chcę ją brać do kamery, a ona – O tym nawet mowy nie ma – powiedziała.

– *Czemu?* – pytam zdziwiony, bo zwykle ludzie lubią się w szklanym okienku pokazać.

– *Bo jak się urzędnik pojawi w telewizji, to się uruchamiają przeciwniała* – powiada mi na to mądra Helena.

---

2 Yossi Melman w korespondencji *Już nie na Wschodzie, ale jeszcze nie na Zachodzie*, tekst z 3.12.2000 r.

No cóż, nigdy jako urzędnik zgodzić się z tym nie umiałem. Zawsze bardziej niż o pieniądze dbałem o pamięć i chwałę. I pewnie dlatego z urzędnikami przegrałem.

Festiwal „Na Skrzyżowaniu Kultur” wymyślono zaś tak, by nikt nie czerpał stąd chwały. No, może jakaś „drobna” kilkunastotysięczna premia została komuś przyznana. Nie wiadomo natomiast, ile pieniędzy przepompowano przez kasę miejską dla stworzenia nikomu niepotrzebnego logo, plakatu, występów swoich dla swoich ku uciesze urzędników. Ciężkie miliony! Tak się postępuje fachowo. Tak generuje się koszty. Kreuje pozorne sukcesy.

Mój Konkurs Teatrów Ogródkowych zbyt silnie osadzony w konkretności i związany z moją osobą, tych standardów nie spełniał.

## XLVII

## Z DUCHA TAŃCA

Pewna Grupa z Warszawy, *Mistrz Patbelin* (spektakl w Dolinie Szwajcarskiej)

Wróciłem wprost na XII Konkurs. Był już właściwie przygotowany. Skromniej niż przed rokiem. Dużo skromniej niż dwa lata wcześniej. Bo i pieniędzy było w sumie o ponad 20 tysięcy mniej niż przed rokiem. Wystartowałem więc w 2003 r. dopiero 6 lipca. W tym roku także w Lapidarium, które pod swoją kuratelę przejął już stanowczo Sebastian Lenart ze Staromiejskiego Domu Kultury.

Wracając do naszych baranów. Wróciła sprawa miejsca. Do Doliny Szwajcarskiej byłem przywiązany, ale przecież nie mogłem tak w kółko tkwić pod namiotami. A czułem, że przeciwiała się dużo mocniejsze. No i z pieniędzmi wcale nie było wesoło. W rozproszeniu poprzedniej struktury miasta wyciągałem od każdego po trochu. Dzięki Krzysztofowi Marszałkowi ciężar sponsorski przesunął się z Dzielnicy Śródmieście na Gminę Centrum, ale jeszcze kapka grosik z tzw. Powiatu i z Sejmiku Mazowieckiego. W sumie byłem w stanie zebrać w granicach 180 tysięcy.

Teraz, po reformie, odebraniu dzielnicom osobowości prawnej, likwidacji powiatu i Gminy Centrum oraz stworzeniu w to miejsce jednego Biura Kultury, suma 150 tysięcy, którą Urbański zgodził się z oporami podpisać dla fundacji znajomego (cóż z tego, że miastu równie dobrze znanego), zdawała się kwotą astronomiczną. Dostałem więc 154 tysiące od „swoich”, czyli... o 26 tysięcy mniej niż w poprzednim roku od „wrażych”.

Czułem, że coś z tym trzeba zrobić. Że musi być jakieś „nowe otwarcie”. Nieco tylko (co pozytywnie odróżniało mnie od wielu) okrojona dotacja, przeznaczona była jak w poprzednim roku na wykonanie Ogródka jak dotąd: w Dolinie Szwajcarskiej i w odrestaurowanym Lapidarium.

W trakcie XII KTO postanowiłem odarte przez Sebastiana Lenarta z całego wdzięku Lapidarium wykorzystać jako platformę reklamową dla Doliny.



*II Parada Dionizyjska, sierpień 2003 (XII KTO)*



*II Parada Dionizyjska, sierpień 2003 (XII KTO)*

Skupiłem się na Paradzie Dionizyjskiej. Już drugiej. Nie było więc powodu, by nie została lepiej zorganizowana. Zgłoszeń było wiele, a wśród nich teatr tańca z Poznania. Wsiadłem w samochód, z rowerem na bagażniku, i pojechałem na Maltę. Poznałem tam naprawdę nawiedzonych tańcem ludzi: Martynę i Piotra Bańkowskich i ich wspaniale roztańczoną młodzież. *Medea – moja sympatia* nazywał się spektakl, który zaprosiłem na otwarcie klasyfikowanej przez jury części konkursu.

A zaprosiłem także po to, by mieć tłum zdolnych statystów do przedefilowania z Lapidarium do Doliny w niedzielę sierpniowym wieczorem. W Warszawie to niemożliwe. Po pierwsze, każdy jest na urlopie. Po drugie – najpierw pyta o kasę. Przecież zadzwoniłem do Andrzeja Niemińskiego, o którym wiedziałem, że przedstawił miastu podobny projekt: Teatralne Parady wszystkich teatrów na wozach. Zaproponowałem współpracę. Wspólne szukanie sponsorów. Nie był tym zainteresowany. Zwróciłem się do Darka Sikorskiego, aktora zatrudnionego





*Martyna Bańkowska*



*Piotr Bańkowski*

w niedawno powstałym Domu Kultury Śródmieście (jeszcze nie wiedziałem, że za kilka miesięcy przyjdzie mi zostać jego szefem) i on także nie dysponował młodzieżą (nawet tą z „Lata w Mieście”), by wzmocnić liczbowo Paradę.

Baniak jednak potrafi. „Baniak”, czyli Piotr Bańkowski to tancerz, pedagog, ale przede wszystkim choreograf poznańskiego Teatru Tańca Zakreconego, artysta. Swoją przygodę z tańcem rozpoczął w 1984 r., jak sam mówi – to właśnie wtedy powiedział sakramentalne „tak”. Niebanalny, zabawny, o niecodziennym wyglądzie i stylu bycia, człowiek, który cały jest tańcem.

Mówi o sobie w wywiadzie: „Kim jest Piotr Bańkowski? Na pewno zwariowanym «old schoole’ m», który bawi się swoją pracą. Moją pasją jest tworzenie, budowanie projektów artystycznych o różnym zabarwieniu. Teraz wróciłem do swoich korzeni, czyli kultury hip-hop, i w niej odkrywam siebie na nowo (...). Gdzieś po drodze przygody z tańcem zajmowałem się też innymi dziedzinami sztuki tanecznej, np. współczesny rap dance. Próbowalem też aktorstwa, śpiewu, studiowałem muzykę, wszystko to jednak kierowało mnie w stronę tańca”.

Baniak ma jeszcze znakomitą żonę – Martynę, z którą razem pracują. Znaleźliśmy szybko wspólny język i, krótko mówiąc, udało mi się ściągnąć do Warszawy za jakiś symboliczny grosz (zwrot kosztów autobusu i noclegi) tłum roztańczonych młodzieży.

Do nich dołączył Artur Lis. Założyciel Towarzystwa Teatralnego Makata, z którym poznali mnie Konsekwentni. Artur to świetny aktor plenerowy, aranżer, ale i młody biznesmen. Umie starać się o środki unijne. Realizuje projekty międzynarodowe. Myślę, że z czasem osiągnie pozycję nie mniejszą od obecnego króla polskich plenerów – Jerzego Zonia z krakowskiego teatru KTO (zbieżność



*Artur Lis na Frascati (2005)*

skrótów z Konkursem Teatrów Ogródkowych niezamierzona, ale też nie nadużywana chyba nadto przeze mnie). Tak więc zaczął się dwunasty przegląd. Późno i spokojnie. Tak jak jedenasty.

Siedziałem na wsi z dziewczynkami. Na niedzielę zjeżdżałem do miasta. Tu tylko należało zadbać o kilka plakatów, sprawdzić, czy goście zakwaterowani, jeszcze kotyliony „Braw” i „Klap”. Programy w formacie A-4 składane moim zwyczajem na pół do postaci broszurki w Verso drukowałem ze sporym wyprzedzeniem. Słowem: rutyna.

## XLVIII

KARAOKE,  
czyli wspólne śpiewanie

Rutynę urozmaicałem wyśpiewywaniem nagranych przed rokiem przez Staszka Górkę i Wojtka Machnickiego piosenek. W tym roku Staszek był w jury.

Miał jednak mniej czasu na wspieranie mnie w charakterze Arbitra Nagrody Publiczności. Do tej roli wyznaczaliśmy więc drogą losowania Sędziów Agonu, którymi teraz zostały panie: Danuta Bednarek i Anna Bieńkowska-Gołąb. Śpiewy zatem były mechaniczne. Z płyty, którą uruchamiałem czas jakiś przed spektaklem. W tym roku podjąłem też pierwszą próbę zmierzenia się z techniką karaoke.

Karaoke – odkryłem w 2002 r., w czasie podróży gdzieś między Troyes a Lille. Teraz i w Warszawie stawało się powszechne. Szczególnie wiele dyskotek z karaoke powstało nad Wisłą, gdzie kolejny (nb. ostatni) rok święciły triumfy piwne puby nad wodą z danciegami. Stamtąd próbowałem też przyciągnąć młodych ludzi, by użyli swojej techniki do rozśpiewania mojej publiczności.

Przecież śpiew polski to osobne zagadnienie. My bowiem, jak już o tym na samym wstępie pisałem, nie znosimy śpiewać razem. Byłe nie w chórze. Że się posłużyć Norwidem, choć jemu o coś innego chodziło: „Śpiewają wciąż wybrani”. A ja za autorem *Fortepianu Chopina* wołałem: „Śpiewajcież, w chór zebrani. – Ja? zmięszać mógłbym śpiew...”.



Mieszałem. Nagrywałem płyty. Sam próbowałem intonować kancony. Niestety z karaoke trudno mi się było dogadać. *Teatralne Karaoke* miała mi przygotować poznana nad Wisłą Ewa Karpińska. Jednak 27 lipca 2003 lało. Towarzystwo się spóźniło. Wcześniej nie odbyto próby. Spotkałem się z tym innym światem: rzemieślników rozrywki. Myślących przede wszystkim, a może jedynie – o kasie. Podejmujących się wszystkiego, niewykonujących nic. Potem spóźnienie, bajki o wypadku czy defekcie samochodu. Marzenie o karaoke odleciało w przyszłość. Choć ja szczerze wierzę w ten instrument jako tzw. techniczny środek nauczania. Gdy wspomnę grundinga 140 ZK z 1970 r. (do dziś na chodzie!), czterościeżkowego, na którym starałem się nagrywać moje wokalne próby, mając do dyspozycji na jednej ścieżce podkład z linią melodyczną, na drugiej możliwość synchronizowania wokalu – czymże to jest wobec systemu karaoke, który grając muzykę wyświetla zarazem rytmicznie tekst!?! O ileż to lepsze od slajdu, jakim do dziś jeszcze posługują się księża w kościołach. Zasada karaoke to przyszłość i nadzieja na rozwój kultury muzycznej, szczególnie jak Polacy głuchych narodów.

Do Karaoke wrócimy jeszcze za rok. Tymczasem konkurs rozwijał się rytmicznie. Spektakl po spektaklu. Odbyły się wszystkie planowane Przeglądy Konkursowe w Lapidarium, przyznane zostały nagrody publiczności. W wyniku głosowań publiczności zgromadzonej w Lapidarium na Przeglądach XII Konkursu Teatrów Ogródkowych, najwyższą ocenę otrzymał:

Spektakl *Ferdynand* w reżyserii Andrzeja Marii Marczewskiego z Teatru Test z Warszawy. Na tak głosowało 78 osób, na nie 1. Pozytywna ocena wyraziła się w 98,76 proc. W związku z tym spektakl został zaproszony do konkursowej części festiwalu i otrzymał Nagrodę Publiczności w wysokości 2500 zł.

Drugie miejsce otrzymał spektakl *Audiencja, czyli III Raj Eskimosów* Bogusława Schaeffera w wykonaniu Bałtyckiego Teatru Dramatycznego z Koszalina z 97,67 proc. aprobatą, gdzie spektakl spodobał się 43 widzom, a 1 uznał go za zły. W związku z tym spektakl zaprosiliśmy do konkursowej części festiwalu, przekazując Nagrodę Publiczności w wysokości 1500 zł.

Trzecie miejsce przypadło spektaklowi *Mistrz Pathelin* warszawskiego Teatru Pewna Grupa, który zaakceptowało 96,40 proc. widzów: 111 osobom spektakl podobał się, odrzuciło go 4. W związku z tym spektakl awansował do konkursowej części festiwalu z Nagrodą Publiczności w wysokości 1000 zł.

W ciągu ośmiu niedziel przeglądu i całego ostatniego finałowego tygodnia sierpnia (15 dni) odbyło się dwadzieścia pięć spektakli. Od 24 sierpnia

impieza przeniosła się do Doliny Szwajcarskiej. W niedzielę przy współpracy Teatru Makata i Poznańskiego Studia Teatralnego „Próby” zrealizowana została II Parada Dionizyjska.

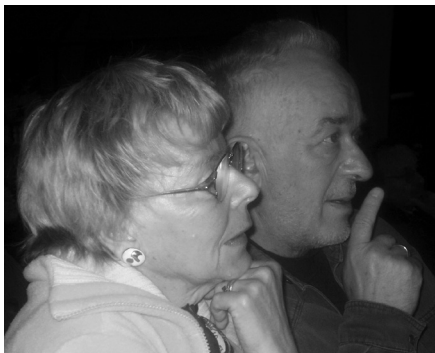


*Mirandolina Teatru  
Ptak z Iwanowa*

Kilkaset osób po przedstawieniu *Audiencja...*, które jako ostatnie odbywało się w Lapidarium, w asyście policji przemaszerowało z flagami, ze szczudlarzami, ze śpiewem i muzyką z Lapidarium Rynkiem Staromiejskim, Traktem Królewskim aż po róg Alej Ujazdowskich i uliczki Chopina – do Doliny Szwajcarskiej. Tu czekali na nas zeszlóroczni zwycięzcy. Przybyli z Iwanowa – Rosjanie. Była niedziela, więc o piątej Rosjanie w trupie Teatru Lalkowego (*kukolnego*) pokazali już dzieciom spektakl *Wiedzmy* w reż. W. Buhajewa, zaś na dziewiątą wieczorem w zespole Teatru Ptak mieli przygotowany przedkonkursowy pokaz *Mirandoliny* Carla Goldoniego, w reżyserii Siergieja Szawarinskiego.

Od poniedziałku zaczęły się już codzienne, oceniane przez ponad tydzień przez jurorów, konkursowe przedstawienia. Każdego wieczoru w tym ostatnim

tygodniu frekwencja była na poziomie 47 (minimum) do 150 osób. W Paradzie Dionizyjskiej wzięło udział około 400 osób. Oznacza to, że w całej imprezie wzięło łącznie udział około 3000 osób.



*Anna Retmianiak i Krzysztof Rau w jury  
XII KTO (2003)*

Partnerami XII KTO było Stowarzyszenie na rzecz Integracji, organizujące m.in. Festiwal Zdarzenia w Tczewie, oraz Stowarzyszenie Makata, realizujące akcje Zbliżenia w Płocku i w Ciechanowie. Pomoc tych partnerów była szczególnie ważna dla realizacji Parady Dionizyjskiej, której koszta w znacznej mierze zostały zredukowane dzięki wolontariuszom, czyli czterdziestu ośmiu osobom z Poznańskiego Studia „Próby”, działającego przy Centrum Zamek w Poznaniu.

Całkowity koszt wyniósł 154 tys. zł, w tym koszty pokryte z uzyskanej dotacji miasta to 150 tys. zł (już tylko 4 tys. zł dał sejmik wojewódzki). Budżet imprezy był zatem mniejszy o 26 tys. zł w porównaniu z budżetem 2002 r. Pokazałem jednak tyle samo imprez, obniżając koszta koncertu finałowego.

Koszta stałe pozostały przecież niezmiennie. Dokumentowany tzw. wkład własny Fundacji, która środków własnych nie posiadała, to w istocie wynik zainwestowania środków przeznaczonych na koszta pośrednie. Dokonano tego w efekcie rezygnacji z obsługi biurowej sekretariatu KTO. Kosztem, powiedzmy to wprost – znacznego obniżenia standardu i jakości prac sprawozdawczych, *public relations* i marketingowych.

## XLIX

ZNOWU ANDRZEJ URBAŃSKI,  
czyli tragedie są dla ludzi

Doszło do Finału. Jak zwykle udanego. Ludzi też przyszło sporo. Nagrody wręczał Andrzej Urbański – niby mało uważny, pobłażliwy, mówiący, że nie chce imprez niszowych, lecz tłumów pod Pałacem Kultury, a jednak wierny przyjaciel i najprawdziwszy obrońca Ogródka.

Toi Toia mi nie wymienili, więc zaciągnąłem Andrzeja po spektaklu czy raczej w trakcie występu wypełniającego czas obrad jury do pobliskiej Casa del Valdemar – do przyzwoitszego sanitariatu i na wyśmienitą kawę. Finał to było łódzkie *12 godzin z życia kobiety* Młynarskiego i Derfla, ze względu na udział Jurka w jury niepodlegające konkursowej ocenie. Kiedy więc odbywały się narady, zaciągnąłem Jędrka do Casa del Valdemar na kawę.

Casa przy skwerku u zbiegu Pięknej, Mokotowskiej i Chopina mieści się w miejscu, gdzie niegdyś był klub nauczyciela, w którym w 1977 r. odbył się ślub Halinki Kreid i Marka Waszkiela. Powspominawszy, jak kąpaliśmy wówczas w umywalce nasze naczubione głowy, spojrzałem mu głęboko w oczy i umówiliśmy się, że tak dalej być nie może. Ja już wiedziałem, że NGOs-em może być prezydentowa Jolanta Kwaśniewska z Orlenem w tle, no, ewentualnie pani ambasadorowa Koźmińska – przemiała Mme Irène, która w całej Polsce czyta dzieciom, czemu by jednak nie podolała bez pozycji męża i Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności w zapleczu.

Jędrkowi takich rzeczy tłumaczyć nie trzeba. On, rozumiejąc mój swoisty abstrakcjonizm, wiedząc, że życie jest dla mnie bardziej figurą literacką niż realną koniecznością, zaś cała moja odwaga płynie w istocie z niewiary w rzeczywistość przy absolutnym poczuciu formy – ma jednocześnie instynkt konkretny. Rozumie Parmenidesa, lecz wie, że życie nie jest eleackim złudzeniem – jest naprawdą. Zawsze powtarza pozornie banalne zdanie: „Ludzie są, jacy są”. Jednak Urbański umie przetłumaczyć to na Herbertowskie: „wybacz weneckim lustrom, że

powtarzają powierzchwnie”. Rozumie też (co odróżnia go od politycznych arywistów), że i idee materializują się czasami.

Nie zapomnę zdania, jakie wypowiedział w kilka miesięcy później, przewidując niczym Tejrezjasz bieg perypetii, która stanie się istotną przyczyną mojej, także rodzinnej tragedii.

– Matka wyrodna, zaślepiona żona, bohater odarty z godności: ty myślisz, że to literatura. Nieprawda. To wszystko dla ludzi!

Fakt! Przekonuję się o tym ze zdziwieniem od tamtej właśnie chwili. Od dnia, gdy zrozumiałem, że sam nie dam rady zbudować mego zamku na lodzie, korzystając ze wsparcia Andrzeja – urzędnika zacząłem przedzierać się przez gąszcz dworu. Obserwować niepojęte reguły. Powoli, powoli uczyć się słuchać. „Nie mów!” – powtarzał mi Andrzej przy każdym spotkaniu, których od tamtego czasu było coraz mniej, za to bardziej interesowne. Właściwie spotykamy się wtedy, gdy ja potrzebuję wsparcia, a on – lustra dla swojej pychy.

– Jasne, muszę ci załatwić jakąś pracę – powiedział wówczas w Casa del Valdemar.

Jak zwykle po konkursie, zwinąłem majdan na coraz większy TIR pana Darka i ruszyłem w stronę stodoły w Oltarzach. Kolejny podobny rok. Tylko że teraz bez żadnych już zabezpieczeń. Bez kontraktu dla firmy na zimę, zlecenia, telewizji, etatu. Plik rozliczeń w Excelu, w którym zamykałem Ogródki od kilku lat, nazywałem już tak samo: rozmiar klęski.xls.

Zwiozłem rzeczy. Czekałem na opóźniane wręcz celowo przez miasto płatności. M.in. skarbniczka miasta pani Łucja Konopka wymyśliła sobie, że 14-dniowy okres na wypłatę II transzy nie obowiązuje od momentu, kiedy to ja jako NGO przedstawię rozliczenie w podległym jej biurze kultury, lecz od chwili gdy to biuro przedstawi rozliczoną dokumentację w biurze finansów. Oczywisty biurokratyczny nonsens, którego jedynym bodaj (czy nie zamierzonym?) efektem było obniżenie wiarygodności pozarządowego partnera. W efekcie złożywszy sprawozdanie z wykonania I części dotacji gdzieś około 20 sierpnia i zakończywszy imprezę 31 sierpnia, drugą część pieniędzy – bagatelne 40 tys. złotych z okładem – zobaczyłem na koncie Fundacji 2 października, podczas gdy zgodnie z tą samą umową rozliczyć całą dotację powinienem do końca września. Zamknięte koło.

Popłaciłem dłużników, w kilku wypadkach mocno już po dwu miesiącach zdenerwowanych, a jeszcze oczekiwałem na dotację z sejmiku, co zmusiło mnie



do odroczenia kilku płatności o miesiąc. I tak lepiej niż przed rokiem, kiedy to z sejmikowej łaski kilka indywidualnych nagród wysłałem aktorom... na gwiazdkę. Czulem jak pętla zaciska mi się na szyi. Niejedna zresztą, bo zmęczona brakiem finansowego sukcesu, pozbawiona (od czasu niefortunnych przygód z kapeluszymi) satysfakcji i apanaży – matka mych córek zaczęła zachowywać się bardzo nieładnie. Widząc sporą gotówkę w mojej portmonetce, potrafiła wyjmować „alimenty” na życie, nie zwracając uwagi, że to kwoty ściśle odliczone na honoraria. Zmusiło mnie to do niezostawiania pieniędzy w domu, co z kolei obróciło się przeciw mnie. Jakaś typowa dekoncentracja, dystrakcja, poszukiwanie bodaj zagubionych kluczy, wybebeszenie z miliona gratów mego trespisa zwanego tiponkiem, zgubiona portmonetka, oddana portmonetka. W dniu finału w markecie po zrobieniu zakupów na przyjęcie końcowe, zajrzawszy do portmonetki odkryłem brak... 4 tys. złotych. Nawet nie drgnąłem! Tylko krew uciekła mi gdzieś w stopy. Po chwili dekoncentracji zapłaciłem rachunek kredytową kartą. Czym w końcu są 4 tys. (jedne wakacje z dziećmi!). Dla człowieka operującego 150 tys. złotych!? To się okazuje dopiero po zamknięciu bilansu. Spojrzeniu na debet karty kredytowej, opłaceniu dłużników.

Zaległy od mojej fikcyjnej gaży (1/4 etatu za 750 zł) w Fundacji i kilku umów o pracę ZUS za rok 2002 i ten 2003 sięga (bez odsetek) ok. 4 tys. zł – i do dziś nie został spłacony. O czym uprzejmie do Niebieskiego Urzędu Skarbowego sam na siebie donoszę. Należności pseudo dochodów (wynik wymiany faktur i generacji kosztów uznawanych przez sponsorów) sięgnęły pod koniec 2003 r. 20 tys. zł. Zgłosili się już po nie komornicy Urzędu Skarbowego. Należności z odsetkami urosły do 30 tysięcy. Do końca mych dni pewnie będę je spłacał...

Grunt osuwał mi się spod nóg. Na karcie kredytowej miałem dostępny limit bodaj w wysokości 14 tys. zł. Zacząłem w ratach wybierać gotówkę, licząc się... sam nie wiem z czym. Z ucieczką? Czarną godziną? Sam nie wiem. Formalnie zobowiązania popłaciłem. Długi skarbowe i debetowe sięgały w tym momencie 30 tys. zł, a więc kilka pensji. Tylko skąd je wziąć? Przebywałem cały czas w Ołtarzach. Pisałem sprawozdania. Wszedłem nawet w internetowe Gadu-Gadu. Abstrakcja. Syndrom Bankruta. Pamiętam nawet moment, gdy prawie poważnie zastanawiałem się, czy nie odpowiedzieć na internetowy apel syna afrykańskiego tyrana Mobutu, który proponował fundacjom pranie zdeponowanych jakoby przez tatusia w szwajcarskich bankach pieniędzy.

Wtedy po raz pierwszy oderwałem się od rzeczywistości. A może ją wreszcie zauważyłem. Rzeczywistość marzenia urzędnika pragnącego oderwać się od codziennej pracy. Rzeczywistość wirtualną losowania w toto-lotka, spotkania z dziewczyną poznaną w internecie. Wszedłem na Gadu-Gadu, w weekendy szukając Arkadii, gdzieś między Żelazową Wolą a Nieborowem wyznając do arystokratycznego mikrofonu gminne kulisy kolejnego sukcesu. Bo przecież medialnie XII Konkurs był tradycyjnie – sukcesem.

## L

## LECH KACZYŃSKI A SPRAWA OGRÓDKOWA

Nadchodził trzynasty Konkurs. Trzynastka? Feralna? Czy szczęśliwa. Nic na to nie poradzę, ale w szczególności, gdy los odwrócił się ode mnie wraz z końcem NTW, zacząłem czytać znaki. Zbliżając się wozem do miasta, zakładałem się z losem o zieloną falę, zdejmowałem nogę ze sprzęgła, dotaczałem się, byle tylko nie dotknąć hamulca. Byle nie stanąć. Podobnie bywało na kajaku. Testowałem swoją intuicję. Ile to ruchów wiosła potrzeba, by dotrzeć do mostu? Pięćset, a może prawie tysiąc. Przed przeprawą ruchy stawały się coraz mocniejsze, odbicia wiosła od wody wydłużone. Przeważnie wróżby dawały mi pozytywną nadzieję. Z jazdą na czas raczej nie igrałem. Ale raz to zrobiłem, gdy szło o II część reportażu, który zrealizowałem dla Jedynki TVP z VI Ogródka, gdzie zwyciężył *Punch* w reżyserii Włodzimierza Felenczaka z Białegostoku. Czy film był zły, czy wulgaryzmów w *Punczu* zbyt dużo, czy lobbying miałem za słaby? Nie wiem, ale czułem, że nowy szef Jedynki – czysto nordycki typ, redaktor kulturalny Paweł Sosnowski nie ma ochoty go skolaudować.

Myśląc o tym, płynąłem w stronę mostu na Bugu koło Nura. Pod prąd. Gdy naraz na dziobie stanęła NIKE NAPOLEONIDÓW i zadała mi kartę.

*„A teraz, pomnij: wiktoria  
na polach pod Warszawą?!  
Chwila to niedaleka.  
Rzucaj kartę i bierz!  
– wziąłem  
Przepadłeś!”*

*Poczułem się jak Chłopiczki w teatrze Wyspiańskiego.*

„– Daj mi pole otwarte.  
 NIKE NAPOLEONIDÓW  
 (przyzwala głową)  
 CHŁOPICKI  
 (rzuca kartę)  
 NIKE NAPOLEONIDÓW  
 Przegrałeś! – Bledniesz!  
 (łuna za oknami widowni)  
 CHŁOPICKI  
 Tam gore!  
 Niech będzie na jedną kartę!  
 (rzuca kartę)  
 NIKE NAPOLEONIDÓW  
 Przegrałeś!  
 (rzuca karty na ziemię)  
 Addio amore!  
 (odbiega)”<sup>1</sup>.

No cóż, jak zapłonęło, tak wciąż gore. A ja jeszcze i nieco zabobonny. Jednak – pożar na Solcu nie do końca zagaszony. **Lech Kaczyński wjechał na białym prezydenckim koniu do Warszawy – przed nim na kasztance harcował... Urbański.**

Jakaż więc to będzie trzynastka? Rozejrzałem się po moich nowych włościach. Przyjrzałem się domowi kultury. Możliwości otwierały się nieporównywalne. W zasadzie niczego nie chciałem pracownikom odbierać. No, może poza tym filmowym przekrętem, o którym już napomknąłem. I jeszcze poza tym, co było dla nich najważniejsze: świętym spokojem. Szukałem nowej formuły na Konkurs.

Lapidarium, już nie moje, straciło wprawdzie cały dawny wdzięk, ale służyć mogło choćby jako miejsce promocji mniej znanej Doliny Szwajcarskiej. Doliny, na którą istniały trzy pomysły. Pierwszy – z VIII i IX Ogródka, gdy uruchamiałem ją raz w tygodniu. To jednak nie pozwalało zadbać o stosowny wystrój. Można było zostawić bez dozoru co najwyżej gołą scenę, choć i ona była narażona na dewastację.

Ogródki raz w tygodniu

<sup>1</sup> Stanisław Wyspiański, *Noc Listopadowa*, Scena V

Drugi pomysł – jak to było na XI i XII Ogródku: staranniejsze zadbanie i uruchomienie Doliny tylko na trzeci tydzień sierpnia, z całosezonowym przeglądem w Lapidarium, które zamykane i chronione przez Muzeum m. st. Warszawy nie musiało borykać się z kwestią bezpieczeństwa. No i trzeci pomysł – najkosztowniejszy, lecz zarazem efektowny i niepowtarzany przez nikogo. Pomysł, na którym zacząłem kończyć się finansowo, poczynając od X Konkursu: całosezonowa ochrona, najstaranniejszy wystrój, no i jak szaleć, to szaleć: codzienna impreza. Na X Festiwalu ta codzienność to był przegląd zespołów, które aspirowały do konkursu z tym, że każdy występował przynajmniej trzykrotnie: w niedzielę w Lapidarium (w tym czasie kto inny produkował się w Dolinie), zaś w poniedziałek i we wtorek w Dolinie. Zawsze starałem się zbierać pieniądze za bilety, które to kwoty występującym musiały starczyć za honorarium. Ja z dotacji płaciłem im hotel i dojazd. Od środy do niedzieli występowała zaś jakaś ogródkowa gwiazda: a to Staszek z Grupą Pod Górkę, Konsekwentni czy Włodek Kaczkowski z Teatrem Atlantis.

Tak było przed laty, teraz postanowiłem poszerzyć formułę. Coraz bowiem lepiej czułem to, co można nazwać „sprawą ogródkową” albo „duchem Warszawy”. Każde miasto żyje własną specyfiką, tłumaczyłem prezydentowi Kaczyńskiemu. Paryż ma Montmartre, Praga – most Karola, Kopenhaga – swoje Tivoli. Gdy przybywamy do miasta, gdy chcemy je poznać, nie chodzi nam przecież o arcydzieła pochowane w skarbcach, które podziwiać można na tysiąc sposobów, lecz o styl, niepowtarzalny charakter przestrzeni.

Ta warszawska przestrzeń została zniszczona, warszawiacy wyginęli, rozpierchli się po Polsce i przybytkach emigracji, a do stolicy ściągnęliśmy my: przybysze z Krakowa i Kutna, Gdańska i Torunia, Suwałk i Kalisza. Cały naród budował stolicę i cały naród stworzył jej nowy charakter. Długo to trwało. W ciągu pół wieku odbudowano Starówkę, Łazienki, tworzone nowe przestrzenie, takie jak chociażby Park Kultury na miejscach dawnego Frascati; powstały nowe parki, jak choćby Pola Mokotowskie.

Przed kilkunastu laty postawiłem sobie za cel odtworzenie specyficznej atmosfery stołecznych ogrodów. Niepowtarzalnej aury kulturalnych spotkań na wolnym powietrzu, jakie odbywały się na Dynasach, w Ogrodach Brühla, Frascati czy w Dolinie Szwajcarskiej – miejscu, jak wykazują badania: magicznym i niepowtarzalnym. W całej bowiem Europie spotkać można romantyczne parki miejskie z oczkiem wodnym, zwane Schweizertall, Vallé Suisse czy Swiss Valley – jednak żadna, tak jak warszawska, nie stała się miejscem letniego spotkania. I te właśnie

spotkania, te letnie kulturalne ogródki, te inteligentkie gęgęty stanowią w moim przekonaniu o niepowtarzalności warszawskiej kultury.

Przekonany prezydent Lech Kaczyński zdecydował się powierzyć mi kierowanie Śródmiejskim Domem Kultury na Smolnej, dzięki czemu pojawiła się szansa wykorzystania potencjału miejsca, które przez całe lato, ale i zimą, mogło stać się miejscem spotkań mieszkańców, gości, turystów. Osób, które nigdy nie trafiłyby do dzielnicowego domu kultury, a które zainteresowaliśmy konkursami, paradami, zabawami, wystawami i festiwalami w urokliwym plenerze.

Zgodnie z moją teorią, iż teatralnym jest każde plenerowe zdarzenie z udziałem publiczności i osoby występującej, zacząłem budować strukturę multifestiwalu. Tak zatem zrodził się letni festiwal nazwany Ogródki Warszawskie. W 2004 r. dzięki poparciu Andrzeja Urbańskiego i decyzji prezydenta Lecha Kaczyńskiego udało się nawet odtworzyć tradycyjny, pamiętający lata 50. i 60. Kiermasz Książki.

Nie da się tego zrobić bez ludzi. Zawsze jacyś byli. Po kolei: Maryna Łyszczynska, Mateusz Rzepkowski, Marylka Bersz-Szturo, spotkana w pociągu Kasia Synowiec, pani Izabella Pieczykolan mająca zająć się promocją. Już po XII Konkursie, gdy miotałem się po kraju w poszukiwaniu teatru, który mnie zechce, zadzwonił nagle telefon nad elbląskim kanałem i Ania Bolecka (pisarka i rozwiedziona z Włodkiem profesorem współautorka ich bliźniąt) zadała mi pytanie, czy przy najbliższej imprezie nie zatrudniłbym jej córki Agnieszki, świeżo upieczonej absolwentki germanistyki, na jakiś staż przy festiwalu. Nie odmówiłem i gdy tylko w półtora miesiąca później zostałem szefem Domu na Smolnej, po pierwsze zatrudniłem Agnieszkę. Uroczę to dziewczę. Piękne. Dumne. Chłodne. Zorganizowane.

Ale mój Ogródek, moja „szajba” – jak by Młynarski powiedział, głęboko wciągnąć jej nie zdołała. Właściwie – i na tym polega moja tragedia – w nikim nie zdołałem zaszczepić wiary w sukces przedsięwzięcia. Agnieszce zleciłem tedy zorganizowanie Festiwalu Literatury. Czyli odrodzenie Kiermaszu Książki, takim jakim go pamiętałem z lat 60. – z jego nieco odpustowym, niedzielnym charakterem. Pamiętam ranek niedzielny na Armii Ludowej. Bloków okalających plac Na Rozdrożu jeszcze wtedy nie było. Poranek. Audycja dla dzieci w radio. Ja w pidżamce wybiegam na skąpany w pierwszym majowym słońcu balkon. A tam muzyka. Stoiska. Tłumy ludzi. No i... książki. Pochowane pod ladami. Zbierane w magazynach. Czasem nawet importowane. Na tłumaczeniu mi na język ojczysty Davida Crocketta i Koziółeczka Roudoudou wprawiał się potem mój Tata we francuszczyźnie. Spotkanie z książką było świętem. Lata 60., sam ich początek,

15  
maja


# Festiwal Literatury

K i e r m a s z

## Książki i Poezji



### DOLINA SZWAJCARSKA

u zbiegu Al. Ujazdowskich i ul. Chopina od godziny 11 do 7 wieczorem



zdjęcie: Eustachy Koszowski/FRORIUM

XII Kiermasz Warszawski  
Al. Ujazdowskie maj 1959 rok

**Autografy** 🍷  
wybitnych pisarzy

**Wielki Wybór Poezji** 🍷

**Antykwaryczne Białe Kruki** 🍷

**Śpiewa MARGITA** 🍷  
19.00 recital Margity Ślizowskiej

**Oprawa muzyczna** 🍷  
Zespół Państwowych Szkół  
Muzycznych nr 3 im. Grażyny Bacewicz

**Pokaz na żywo** 🍷  
malowania graffiti


---

Marek Nowakowski, Ingmar Viltqist, Anna Milewska, Max Cegielski, Iwona Petry, Piotr Siemion, Piotr Zaremba, Agnieszka Drotkiewicz, Stanisław Tekieli, Jerzy Zurek, Anna Piwkowska, Liliana Bardijewska, Zyta Rudzka Krzysztof Środa, Jarosław Mikołajski Krzysztof Miklaszewski, Henryk Chodźko, Janusz Bielecki, Tomasz Sakiewicz, Eliza Michalik, Jarosław Grzędowicz, Maria Ewa Letki, Agnieszka Tyszka, Eustachy Ryłski.

---


Pod Patronatem Prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego

ORGANIZATOR





DIREKTOR A. T. Kijowski

SPONSORZY





PATRONAT

nieliczni inteligenci jeszcze przedwojennego chowu, wszystkie ceny są niskie, więc towar lepszy, szczególnie importowany – trudno dostępny bądź reglamentowany. Formą reglamentacji była m.in. subskrypcja. Ale i do niej dostęp był ograniczany. Kiermasz był fetą. Na ten dzień (czasem tylko na ten) musiało starczyć nakładu. Właśnie tu (a czasem tylko tu) można było podpisać subskrypcję. Ale w tym ścisku i gwarze płonęły oczy – jaśniały twarze.

*To se ne wrati.* Naturalnie. Ale też nie o taki powrót idzie. Chodzi o powrót festynu. Festynu, który wspólnotę jednoczy. Festynu, który wszakże nie jest pochodną braku. Festynu, którego potrzebę potwierdziły wszystkie pozostałe



spotkania. Z tym jednym literackim wyjątkiem. Pierwszego roku, czyli przed XIII KTO, zimni ogrodnicy i deszcz jak z cebra sprzysięgły się przeciw Agnieszce, która wykonała znakomitą pracę wśród wydawców. Ci jednak na kiermaszu musieli cieszyć się sami sobą. No cóż. Łało. Senior Kijowski widać zaspał tam na górze.

Rzecz ciekawa: niepełny sukces budzi większe zainteresowanie niż akcja udana. Moja osobista przełożona, Małgosia Naimska tylko raz, i to na wyraźne polecenie Urbańskiego, okazała zainteresowanie dla 800 pełnych ludzi imprez Ogródków Warszawskich. Ale gdy poczuła wpadkę, znalazła czas, by nam współczuć przy zalanym deszczem Festiwalu Literatury.

Do trzech razy była sztuka. I trzy razy pomysł palił na panewce. Choć... nie do końca. Ludzi nigdy nie przybywało zbyt wielu. Ale też w tej dziedzinie wielką mieliśmy konkurencję. Pierwszego roku w Dolinie próbowałem zsynchronizować nasz Kiermasz z Międzynarodowymi Targami Książki, organizowanymi przez Ars Polonię. Wyszło jak wyszło, ale dobre stosunki z Grzegorzem Guzowskim i Magdą Ślusarską, która wcześniej kierowała departamentem książki, a za rok obejmie Instytut Książki w Krakowie, sprawi, że właśnie na tę imprezę łatwiej niż na popularne wśród widzów taneczne czy śpiewające Ogrody, będzie mi pozyskiwać dotacje budżetowe.

W następnym roku próbowaliśmy zjednoczyć nasz festiwal z akcją Ireny Koźmińskiej: „Cała Polska czyta dzieciom”. Kiedy więc współpracowniczk:



Agnieszka, a potem Żaneta Nalewajk, namawiały mnie, bym sobie już ten pomysł darował, uczucia miałem mieszane. Wychodziło średnio, ale... wiedziałem, że na tę imprezę szybciej dostanę pieniądze. Za które chociażby w następnych latach będę mógł honorować Irenie Piłatowskiej spotkania „Jedynki z reportażem zorganizowane”, już w Ogrodach Frascati, w ramach Ogródków Warszawskich.

Dolina Szwajcarska stała się miejscem spotkania dzieci i osób starszych, miłośników książek i teatru.

Tańczyliśmy w niej wspólnie i śpiewaliśmy. Z wolna poprawiała się jej zabudowa, choć jeszcze daleko jej było do przedwojennego stylu. Jest jednak pewne, że się udało. Już nie tylko Konkurs Teatrów Ogródkowych o nagrodę prezydenta Kaczyńskiego przyciągał widzów w poniedziałki. Wtorki nazwaliśmy „śpiewającymi”. Chodziło o to, by ludzie razem śpiewali. Razem, a nie osobno. Chórem, a nie solo. Strasznie trudno było mi znaleźć „zapiewajkę”. Bo Polacy to indywidualiści, artysta chce występować, a i widz, jeśli już da się wciągnąć do zabawy, to woli się popisywać, niż integrować. Woli „wyciągać”, niż „stroić”.

Gospodynią tych spotkań była Margita Ślizowska. Po jej koncertach piosenek Osieckiej, Młynarskiego, Kaczmarskiego, posługiwaliśmy się techniką karaoke, by wspólnie uczyć się i śpiewać ulubione przeboje. W środy nadal śpiewaliśmy, tym razem pod przewodnictwem Stanisława Klawego, autora programu Przybycie Bardów, w którym o mój laur – dyrektora Domu Kultury

(profesjonalnie zrealizowana w naszym studiu nagrań autorska płyta CD) walczyli następcy Stachury i Kaczmarskiego, ich zaś występy poprzedzały koncerty tak znanych gwiazd piosenki oryginalnej, jak Jacek Kleiff, Tomasz Szwed czy Marek Majewski.

Wyraziły pomysł miałem też na taniec. Chciałem po prostu parkietu na wolnym powietrzu. Miałem w oczach przedwojenne filmowe obrazy z parkowej zabawy w II części *Znachora* czy Reymontowskiej *Komediantki* w adaptacji Jerzego Sztwiertni. Potrzebowałem tylko „fordanserów”, takich, co rozkręcą towarzystwo. Przypomną mu, że tym towarzystwem jest i że ma prawo nim być. Zatem w czwartki był taniec. I znowu, mniej niż o występ chodziło o wspólną zabawę na wolnym powietrzu. Taką właśnie inteligencką *guinguettes*, jak nazywają Francuzi zabawę taneczną na pikniku przy wtórze harmonii czy gitary. W domu kultury młodzież świetnie tańczy, więc po występach prawdziwych gwiazd, skupionych przez Iżę Borkowską w Kabarecie'41, Andrzej Cieciewicz zapraszał do



*Mala Szwajcaria*

wspólnej nauki tańca, proponując to rumbę, to czaczę, to znów pocziwego walczyka.

Zacząłem w ten sposób bardzo świadomie skupiać wokół siebie towarzystwo. Lecz bardzo

to było trudne. Bo towarzystwo to grupa znajomych. Czasem nawet grupa znaczących znajomych. Choćby takich jak ludzie skupiający się wokół domu moich rodziców w latach 70., wokół Salonu 101 z Saskiej Małgosi Bocheńskiej, wokół domu Wildsteinów czy choćby Mundka Ipnarskiego z Leśnej Podkowy. Moje Ogródkowe, a więc publiczne towarzystwo stawało się prywatne poprzez rolę gospodarza, jaką nadałem sobie. To ja te miejsca publiczne „prywatyzowałem” – nadając im szczególny charakter, taki, w którym wcale nie każdy będąc „u mnie” czuł się zaraz „u siebie”. Lecz ten, kto się tak poczuł, zrozumiał, że to inny plener, w którym nie przebiera się gaci ani nie wcina kanapek na kocyku. A gdy to pojął, doznał przyjemności obcowania z „towarzystwem”.

I nie mam tu na myśli tego „autografowego” obcowania, jakie proponuje Waldemar Dąbrowski w Międzyzdrojach, gdzie gwiazdy napawają się swym gwiazdorstwem, a publiczność ją tym gwiazdorstwem po gombrowiczowsku pompuje. Nie. Towarzystwo, które zaczęło się zbierać w Dolinie, to były często (pewnie nie o wszystkich wiem) towarzyskie grupy znajomych. Za Małgosią Bocheńską jej salonowcy przyciągali na Ogródku jeszcze od Mariensztatu. Za Elżbietą Ryl-Górką przyszli inni. Czyli jakby zjazd, holding prywatnych salonów.

We wtorki wspólne śpiewanie, w środy spotkania literatów z bardami, we czwartki danse. Piątki roku 2004 zgodziłem się przeznaczyć na koncerty muzyczne, część wieczoru oferując mimom.

Było to wielkie nieporozumienie, ale w jakimś stopniu czułem się do tego zmuszony. Moi szacowni poprzednicy albowiem, szukając powodu dla łatwego wydania niedużych pieniędzy, zaprojektowali w domu kultury jednodniowy zlot mimów z całej Polski. Mimom miał zostać zwrócony koszt przyjazdu i noclegu. Zapłacone miały być honoraria za to, że przybędą na Smolną i w asyście krewnych i znajomych królika spotkają się razem. Zupełnie nie pasowało mi takie spotkanie do misji domu kultury, który jako żywo nie jest siedzibą stowarzyszenia mimów, lecz w moim przynajmniej rozumieniu instytucją zwróconą ku publiczności. Zatem odwoławszy jednodniowy zlot, dałem moim instruktorom szansę, by mimo- wie raz w tygodniu mogli jednak spotkać się latem i pokazać swą sztukę stołecznej publiczności. Albo wybór nie był ten, albo sztuka daleka od Maurice'a Béjarta – dość, że w zachwyte te wieczory nikogo nie wprawily.

Sobotnie wieczory, a także niedziele, zrażony niepowodzeniami występów Moniki Świtaj na X KTO, odpuszczałem. Wiedziałem, że nie mam środków, by stawić czoła bogatej, weekendowej ofercie Warszawy. Jednak zapoczątkowałem zwyczaj, który po dwóch latach przyjmie się znakomicie już na Frascati – przedpołudniowych sobotnich i niedzielnych spektakli dla dzieci. Nawiązując do tradycji, cykl ten powiązany z zabawami i gramami tematycznymi, organizowanymi w ramach funkcjonującej wciąż w domach kultury akcji „Lata w Mieście”, nazywałem „Małą Szwajcarią”.

Przecież nie o same występy tu szło, lecz o styl. Styl naszego spotkania, naszej wspólnej zabawy. Niektórzy żartują, że gdy Rosjanin i Francuz jadą, by się odwieść, i przez pomyłkę wysiądą w Warszawie, każdy może pomyśleć, że już dotarł do celu. Dolina Szwajcarska miała pomóc w określeniu warszawskiej specyfiki kulturalnej. Być otwarta dla gości. Chciała się stać miejscem spotkania artystów z Polski i Wschodniej Europy z turystami przybywającymi z Zachodu.

Artyści są zawsze. Publiczność też mnie nie zawodziła. Dotychczasowe, raz w tygodniu odbywające się Ogródki to było na 12 – 14 imprezach średnio około 5 tysięcy osób. Na codziennym X KTO w 2001 r. przeszło przez Dolinę około 10 tysięcy. I od tego momentu frekwencja wzrastać będzie w postępie geometrycznym. W 2004 r. przez Dolinę Szwajcarską przejdzie ponad 20 tysięcy osób. W 2005 przeszło 40 tys. W 2006 – z górą 80 tysięcy gości.

Artyści są zawsze. Padło nowe nazwisko. Ważne. Za moment wrócimy do Eli Ryl-Górskiej i Salonu Ipnarskiego, ale pewnie czas opowiedzieć o osobach. Prawdę mówiąc, do ludzi dużego szczęścia nie miałem. I na tym pewnie polega największy problem mej inicjatywy: współpracownicy. Ci stanowili problem największy. Nie wiedzieć czemu, niewiele osób potrafiłem do moich marzeń przekonać. A przedsięwzięcie takie jak codzienna impreza w Dolinie, potrzebowało logistycznego wsparcia. Pracownicy domu kultury, w zdecydowanej większości inspirowani przez związkowych aparatczyków, ogłosili *désintéressement* dla letnich zdarzeń, żądając przede wszystkim w tym czasie urlopów. Wtedy pojawili się nieoczekiwanie Krzysztof Chyży i Janusz Leśniewski. Ciekawe typy. Szczególnie pierwszy.

Mim z Wrocławia, który przyjechał do Warszawy gdzieś w połowie lat 70. Działal we wszelkich organizacjach młodzieży socjalistycznej, partiach i innych jacejkach. Nawet pracował na mojej Smolnej, gdy jeszcze przed etapem wypożyczalni kaset wideo funkcjonowała tam podległa Staromiejskiemu Domowi Kultury tzw. „Gralnia”. Gdyby wierzyć (a nie ma specjalnych powodów) Sebastianowi Lenartowi – Krzysztof zachowywał się w stanie wojennym paskudnie: szpiegował, przesłuchiwał, może i donosił. Nie wiem. Ja zetknąłem się z nim po raz pierwszy na początku lat 90., gdy przewodniczyłem śródmiejskiej Komisji Kultury i Oświaty, a on starał się w kinie Luna stworzyć Studio Kineo. Zapamiętałem jego zapal. Rola uwłaszczonej nomenklatury jednak Krzysztofowi nie wyszła. Wysadzony tak z Luni, jak później z Palladium, przyszedł do mnie ze swymi krzesłami i projektorami, żoną, córką i synem, psem i całą filmową „budą”. Pociągnęli Ogródek przełomu. Ogródek, który z formy prywatnej, rzekłbym: manufaktury, przekształcałem właśnie w samorządową fabrykę. Od czerwca poczynając, dzięki Chyżemu, zaczęliśmy też w Dolinie letnie pokazy filmowe. Nie cieszyły się zbyt wielką frekwencją, ale i powstawały w podwójnym ograniczeniu. Z jednej strony kino na letnim powietrzu trudno wyobrazić sobie przed zapadnięciem zmroku, który z końcem czerwca przychodzi dopiero w granicach dziesiątej wieczorem, z drugiej zaś strony mieszkańcy okalających Dolinę Szwajcarską kamienic z al. Róż i Chopina odarliby mnie ze skóry, gdybym po dziesiątej wieczorem kontynuował imprezę. Jednak z kinem w Dolinie było podobnie jak z literaturą w następnych latach. W ramach subwencji spod dużego palca, zatwierdzonej przez Andrzeja Urbańskiego, nie miałem środków na to, by opłacić obsługę techniczną Ogródków Warszawskich, lecz sporą kwotę, w sumie bodaj 50 tys. zł, udało mi się uzyskać na całoroczny projekt Akademii Filmowej. Zmieniwszy nazwę na „Letnią”, mogłem



*Krzysztof Chyży  
& ATK*

w ten sposób honorować trud Chyżego, ciesząc się frekwencją w granicach od 10 do 50 osób – niewielką jak na otwarty plener, porównywalną wszakże do liczby gości, którą takie ezoteryczne programy mogły do domu kultury przyciągnąć.

Niestety, opór, donosy, kontrole uniemożliwiły mi w następnym roku kontynuowanie pokazów kina letniego, które przy dobrym spopularyzowaniu są z pewnością potrzebne i mogą, jak każde realne spotkanie ludzi chcących wyrwać się z wirtualu, cieszyć się sporą popularnością.

Jeśli więc spotkanie z „komunistą” Chyżym przyniosło Ogródkom sporo dobrego, to po „solidarnościowym” Januszu Leśniewskim pozostało nieco niesmaku. To aktor, który nie spełnił się w zawodzie. Na początku lat 90. terminował w „Telewizyjnym Kurierze Warszawskim” telewizji publicznej. Zapisał się też, jak już wspominałem, na stałe w historii Teatru Ogródkowego jako autor mojej pierwszej telewizyjnej enuncjacji na jego temat.

Zatem Janusz Leśniewski pojawił się wraz z Chyżym z propozycją, że tamten od strony technicznej, a Janusz merytorycznie całe Ogródki poprowadzi.

Rozmowa była precyzyjna. Powiedziałem im wyraźnie, że do całej akcji potrzebuje, mówiąc językiem filmowym: szefa produkcji i kierownika planu.

O ile z tej pierwszej funkcji Chyży wywiązał się znakomicie, kierowanie planem wg pana Janusza polegało wyłącznie na angażowaniu kolegów pod własnym przewodem, bez zwracania uwagi na to, czy występy ich wzbudzą czyjekolwiek zainteresowanie. A od strony aktorskiej były one na dość żenującym poziomie. Nie trzeba było więcej niż dwu tygodni, bym zorientował się, że pieniądze zaczynają wyciekać, a impreza kompletnie nie wychodzi. Rozstałem się więc z panem Januszem (szczęśliwie nie miałem z nim żadnej dłuższej umowy), zachowując to, co dobrego wniósł (trudno mu tego nie przyznać), czyli kontakt z Jolantą Fiałkowską – świetną organizatorką imprez dziecięcych, która zresztą lojalnie pozwałała mu do końca sezonu występować w opłacanych przeze mnie produkcjach. W ten sposób uciąłem jednak jeden z klasycznych „chwytów artystycznych” polegających na tym, że ja płacę panu Iks za to, że umawia panią Zet, której też następnie płacę pieniądze, z których część ona wypłaca... panu Zet. Zamknięcie łańcuszka byłoby pełne, gdyby na końcu do mnie trafiło ileś procent stawki. Niestety, nie wiem ile. Mam coś takiego w twarzy, że nikt nie próbował mnie oswoić. Byłem nawet przy tym, jak Marek Majewski umawiając kogoś ze mną ostrzegając delikwenta, że ja należę do tych dyrektorów, z którymi rozliczać się nie trzeba.

No więc, rozstawszy się organizacyjnie z panem Januszem, zleciłem ostatecznie nadzór nad poniedziałkami i czwartkami Darkowi Sikorskiemu, który bez entuzjazmu, ale powierzone zadanie wykonywał rzetelnie. Wtorki śpiewające dałem drugiej w miarę rzetelnej pracowniczce domu kultury, pani Barbarze Babińskiej. Przy jej pomocy, lecz właściwie samowystarczalna, okazała się Fiałkowska, która zbudowała tradycję niedzielnych teatrów dla dzieci. Natomiast nadzór nad środami i piątkami przejęli Staszek Klawe, na środy wnoszący w posagu swoje powstałe jeszcze w czasach własnego kierownictwa domem kultury w Brwinowie „Przybycie bardów”, oraz Ryś Makowski, który jako kierujący Domem Kultury Praga wykorzystał niemalże kontakty byłego członka grupy OTTO w środowisku kabaretowym.

To dzięki Ryśkowi (któremu oddać trzeba było 15-minutowy haracz wysłuchania jego biesiadnych utworów) pojawią się w Ogródku Krzysztof Daukszewicz i Andrzej Poniedziałki, Andrzej Rosiewicz i Tadeusz Ross, o Janie Pietrzaku nie zapominając.

## LI

DOLINA SZWAJCARSKA  
i „gustowne zabawy”

W 2004 roku codzienne spotkania w Dolinie Szwajcarskiej rozpoczęły się 15 maja, opisanym już Festiwałem Literatury zmoczonym przez zimnych ogrodników. Jednak publiczności z każdym dniem przybywało.

Co niedzielę w Lapidarium i co poniedziałek graliśmy spektakl Przeglądu Ogródkowego. Było już wiadomo, że tego roku do jury prócz Jurka Derfla, dołączy ściągnięta przez Anię Retmianiak – Grażyna Barszczewska.



*J. Derfel, M. Nowak,  
E. Barszczewska,  
A. Retmianiak  
– Jury 2004*

Dokooptowałem też, naiwnie licząc na wsparcie reprezentowanych przezeń środowisk, świeżo odwołanego z Teatru Wybrzeże krytyka kulinarnego „Gazety Wyborczej”, zdeklarowanego geja i wytrawnego organizatora teatralnego, wychowywanego w latach 80. na placówce w Moskwie, Macieja Nowaka. Doprawdy, czy można było pójść dalej w tolerancji!? W ramach przeglądu wystąpił 17 maja 2004 Teatr Dramatyczny (Elbląg) z *Psychoterapią, czyli sexem w życiu człowieka*, a 24 maja Teatr Śląski (Katowice) ze spektaklem *Frank & Sztajn*. I to było ostatecznie przedstawienie, na którym próbowałem jeszcze biletować imprezę. Z tego biletowania musiałem się

wcześniej tłumaczyć, kiedy w odpowiedzi na moje prywatno-gminne ogródki, eseldowskie „zające” próbowały (a i tak bez powodzenia) wspierać urządzany na małym rynku Dziekanki przez studentów UW Letni Ogródek Teatralny.

A zrobili to dlatego, że w odróżnieniu od prawicy zawsze czuli siłę igrzysk, za które od peryklejskich czasów władza nie tylko nie kazała płacić, lecz skłonna była nawet wręczać ludowi teatralną dniówkę – ateńskie dwa obole.

Kiedy więc ruszywszy z imprezą w połowie maja zobaczyłem, że w pełni sezonu teatralnego i bez nawyku tak wczesnego odwiedzania plenerów w Dolinie nie przybywają doń tłumy, stwierdziłem, że blokowanie wejścia ludziom i zmniejszanie frekwencji dla 100–400 zł od spektaklu (co w skali sezonu mogło dać w porywach trzy do sześciu tysięcy złotych), które do tej pory przeznaczalem na skromne honoraria dla artystów, w istocie mija się z celem.

Dotychczas obowiązywała genialna, skromnie zaznaczę, w swej prostocie zasada, że aktorzy występujący w Konkursie walcząc o wysoką nagrodę rezygnują z honorariów. Satysfakcjonując się jedynie ściąganiem przeze mnie plenerowym (ale obowiązkowym) „kapeluszem”. Teraz jednak stwierdziłem, że przy 430 tys. zł, które udało mi się otrzymać od prezydenta Kaczyńskiego, ważniejsze jest podniesienie frekwencji niż kilka tysięcy złotych. Ustaliliśmy więc z Darkiem Sikorskim, którego zwolniłem w tym momencie z mało przyjemnej roli finansowego cerbera, że w Regulaminie Teatru Ogródkowego wprowadzona zostanie zmiana polegająca na tym, iż każdy występujący w konkursie aktor otrzyma ze strony organizatora prócz noclegu i zwrotu kosztów przejazdu także zryczałtowane honorarium w wysokości 100 zł.

Ważne jest to zastrzeżenie ze strony organizatora. Przez lata bowiem korzystając z patentu: „Gracie bez honorarium, za kasę z kapelusza z nadzieją na wysoką nagrodę”, dostarczałem stołecznej publiczności znakomite spektakle za przysłowiowy „psi grosz”. Patent ten jednak sprawdzał się w relacjach z małymi antypryzami prywatnymi, gdzie trupa 4–6 osób ponosi koszt, główny aktor jest kierowcą, heroina księgową, służący tragarzem, gdzie aktorzy wzajemnie charakteryzują się, strzegą rekwizytów, gdzie najwyżej jedna, góra dwie osoby, zwykle zajmujące się oświetleniem i nagłośnieniem, pracują za kulisami. Takich zespołów jest w Polsce parę: Teatr Tradycyjny Hankiewiczów, Clown Mikołaja Wiepriewa, Teatr Własny Stanisławiaka, Korez Mirka Najnerta, Montownia czy Kabaret Moralnego Niepokoju.





Jednak zespoły większe, stacjonarne, rządzą się zgoła innymi prawami. Tam nie opędzi się przyjazdu czterema osobami, tam za zespołem ciągną się tragarze i garderobiane, tam aktor nie widzi powodu, by zniżyć się do fizycznej pracy. Tam też nawet 10 tys. zł nagrody nie zrewolucjonizuje budżetu instytucji, a i nagroda na festiwalu sprawi przyjemność dyrekcji, lecz niewiele zmieni w życiu poszczególnego artysty. Taki też artysta zazwyczaj, nawet na festiwalu konkursowym, nie zrezygnuje ze swojej wyjazdowej stawki, którą wypłacać musi mu teatr. No i wypłacał. Tak było zawsze w przypadku profesjonalnych scen, z którymi dane mi było współpracować: Z Białostockim Teatrem Lalek, Ludowym z Nowej Huty, Miejskim z Gdyni, Tarnowskim im. Solskiego czy z Teatrem Powszechnym w Łodzi na samym czele.

Nie ma co ukrywać: był w mój festiwal wpisany paradoks. Paradoks, któremu najwyraźniej sprzeciwiał się jeszcze w połowie lat 90. dyrektor Teatru w Nowej Hucie – Jerzy Fedorowicz pytając wprost, jaki to ma sens, by dyrekcja Teatru wydawała 10 tys. zł na wyjazd zespołu do Warszawy, po to by dwie panie (reżyserka i scenografka) dostały po 500 zł nagrody. Fedorowicz miał słuszość, ze swego punktu widzenia. Ale przecież Konkurs Teatrów Ogródkowych powstał dla tych, którzy poza instytucją teatru szukają jego źródeł. Powstał z mojej, jakże naiwnej wiary, że oto wraz z nastaniem III RP kończy się zbiurokratyzowana instytucja sztuki socjalistycznej, taka jakiej genialne portrety skreśliła Agnieszka Holland

w *Aktorach Prowincjonalnych* czy Andrzej Wajda w *Dyrygencie* wg scenariusza Seniora.

No cóż, pomyliłem się. III RP nie stworzyła mechanizmów finansowania kultury ze źródeł pozabudżetowych. Artyści też, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, nie szukali sposobów na zrjonalizowanie funkcjonowania instytucji teatralnej. Efekt jest taki, że wcale niemałe środki, jakie przeznaczają rządy i samorządy na funkcjonowanie miejskich teatrów, giną w otynkowaniach, ogrzewaniu, premiach kasjerek, kieszeniach pań z organizacji widowni. Dziurawe to kieszenie i niegłębokie, ale każdy boi się ich oberwania: nie ma bowiem nic gorszego, niż zrobić sobie wrogość z teatralnych funkcjonariuszy.

Warszawa jest tego bodaj najwyrazistszym przykładem. Dysponuje bowiem jedną z największych w Europie, jeśli nie w świecie, liczbą miejskich scen dramatycznych. Po reformie samorządowej pozostało ich 17, ale przecież do tej liczby trzeba dodać trzy teatry wojewódzkie (Polski, Studio i Żydowski), podległe samorządowi województwa, i jeszcze cztery „ministerialne” (Współczesny, Powszechny, Ateneum, Narodowy). Przypomnijmy dla porównania, że niezwykle wspierająca sztukę Francja ma w Paryżu tylko dwa teatry dotowane: Teatr Odeon i Komedię Francuską. Takim molochem teatralnym, jakim dysponuje Warszawa, zarządzać się po prostu nie da.

Najlepiej tego dowodzi fakt, że po pierwszych kontaktach z tym, skądinąd bardzo opiniotwórczym środowiskiem, prezydent Kaczyński doszedł do wniosku, że konieczne jest powołanie w stolicy niezależnego od Biura Kultury (podporządkowanego wiceprezydentowi) Biura Teatrów, którego szefem uczyniwszy osadzonego we wszystkich, tak komunistycznych, jak masońsko-księżowskich układach Janusza Pietkiewicza, podporządkował je bezpośrednio sobie.

Wszak „Odkąd Nowosilcow wyjechał z Warszawy, nikt nie umie gustownie urządzić zabawy...”.

W takich też okolicznościach pojawiający, że samodzielna, pozbawiana bezpośrednio mafijnego finansowania przez piorące czasem w kulturze swe środki korporacje, fundacja stoi w tym kraju na z góry straconych pozycjach, podjąłem się organizacji imprezy za pośrednictwem instytucji budżetowej, dla której (jak uważałem) od przychodu ważniejsze jest racjonalne wydawanie środków z pożytkiem dla wspólnoty lokalnej. Stąd, począwszy od 31 maja 2004, godz. 19.00 i wystawienia przez Teatr Kanon z Bydgoszczy spektaklu *Świeczka zgasała*, zacząłem w postępie geometrycznym podnosić frekwencję na ogródkowych imprezach.



*Wręczenie Wielkiej  
Ogródkowej Annie  
Kękuś za Roxi Bar*

Tendencja wzrostowa trwała przez trzy lata, dopóki przez nowe władze Hanny Gronkiewicz i wnuka komunistycznego sługusa, jakim przez cały czas PRL-u był Lesław M., Wojciecha Bartelskiego, zręcznie lawirującego między PiS-em a Platformą nowożytnego „aparaczyka” – siłą nie została zatrzymana.

Gościem XIII KTO była Anna Chodakowska, która recitalem poetyckim *Otto* umilała czas publiczności oczekującej na werdykt jury.

A werdykt był następujący:

I Nagrodę Wielką Ogródkową otrzymał Teatr Muzyczny z Gdyni za *Roxi Bar* w reż. Anny Kękuś,

II Nagrodę Dużą Ogródkową przyznano Teatrowi Rampa z Warszawy za *Love* w reż. Andrzeja Strzeleckiego,

III oraz trzy równorzędne Nagrody Małe Ogródkowe otrzymali: Teatr Piosenki z Warszawy za *Odrobina piosenki na co dzień*, konsultacje Magda Umer; Teatr Mżonca z Warszawy za *Cud miód malina dziewice, czyli dziewczyny do wzięcia* w reż. zespołu; Teatr Alternatywa z Warszawy za *Czekaniem na ciebie* w reż. Piotra Rzymyszkiewicza i Tomasza Zaróda.

Wszystkie nagrody wręczał wiceprezydent miasta, czyli Andrzej Urbański. I było dość zabawnie patrzeć na nieszczęsnego Jarosława Zielińskiego z podsuwalskiej Szwajcarii (może dlatego tak lękał się naszej Doliny), który nic nie rozumiawszy z idei konkursu, zastanawiał się jedynie, co ja z tego mam, a że dla



siebie profitów nie widział, unikał jakiegokolwiek kontaktu z imprezą. Zwiedzawszy się jednak, że prezydent mnie „zaszczyca”, przybiegł na dwóch łapkach grzecznie wygłaszał *éloge* na moją cześć.

Mówiąc szczerze, to bardziej takich „burków”, niż kundelka jednej z wiernych audytorek miałem w oczach, pisząc tekst do wrześnieowego programu Doliny 2003.

## LII

## CO PO PSIE W TEATRZE?

Ponad pięćset osób oklaskiwało w Dolinie Szwajcarskiej przedstawienia *Roxi Bar* gdyńskiego teatru. W połowie spektaklu coś zaskuczało z cicha. Obejrawszy się odkryłem, że siedząca koło mnie pani trzyma na kolanach malutkiego jamnika. „Przepraszam, on taki sentymentalny” – wyszeptala elegancka dama, pogłaskaliśmy pieska, i ten wnet się uspokoil. Mieszka tu w okolicy. „Odkąd powstał ten teatrzyk przynajmniej nie boję się nocą chodzić z psem na spacer, no i idąc na spektakl, niekoniecznie trzeba pieska samego zostawiać” – powiada.

Iluż ludzi nie idzie do teatru czy do kina właśnie dlatego, że nie ma jak dojechać, obawia się o powrót czy z kim dziecko zostawić. Do Doliny Szwajcarskiej do teatru ogródkowego przychodzili rodzice z dziećmi, wielu (włącznie z mieszkającym nieopodal dyrektorem) potrafiło przyjechać rowerem. Mimo dżdżystej wiosny i niezbyt pogodnej pierwszej części lata, od 15 maja do końca września odwiedziło nas tutaj przeszło 20 tysięcy osób. To prawie drugie tyle, co roczna frekwencja całego domu kultury, który naturalnie niczego ze swej edukacyjnej działalności realizowanej na Smolnej 9 i w klubach przy Marszałkowskiej, Hożej, Mokotowskiej, Wilczej i Andersa nie zaniechał.

Wygraliśmy bitwę. Już nikt Doliny Szwajcarskiej niepotrzebnie nie spieszczał, zdawało się, że już niedługo nie będzie trzeba podawać jej adresu (przy ul. Chopina). Sama stawała się adresem – jak niegdyś.

Mnie najbardziej cieszyły pieski na widowni, rowery w boksach i najprawdziwsi inteligenci w krzeselkach. Bo, jak zgodnie podkreślali jurorzy naszych festiwali i przybyli goście, w Dolinie Szwajcarskiej zbierała się wówczas najlepsza publiczność Warszawy. Na występach teatralnych po pół tysiąca gości, dziesiątki dzieci wraz ze starszymi śpiewały karaoke, setki miłośników poezji przybywały we wtorki na spotkania z bardami organizowane przez Stanisława Klawego, trwał



*Renata Kretówna*

turniej tańców towarzyskich w czwartki, a w piątki przyciągały tłumy największe gwiazdy kabaretu (we wrześniu Jan Pietrzak, Paweł Dłużewski, Olek Grotowski, Stanisław Zygmunt), które zapraszał Ryszard Makowski.

Bywalcy ogródka jordanowskiego w Parku Ujazdowskim wnet się zorientowali, że w sobotę i w niedzielę czekała na dzieci w Małej Szwajcarii kawiarenka i zabawa w Akademii Pana Foresta – Janusza Leńniewskiego.

To wszystko pozwoliło mi przedłużyć imprezę nazwaną Ogródki Warszawskie do końca września – by oprócz codziennych koncertów, pomóc 8 września w realizacji organizowanej przez Salon 101 Małgorzaty Bocheńskiej wystawy pod hasłem „Dobra Wiadomość w Fotografii”; by przez cały wrzesień służyć wszystkim warszawskim scenom teatralnym miejscem dla ich promocji; by w sobotę 25 września przy współpracy z Biurem Teatrów Urzędu Miasta uczynić Dolinę bazą wielkiej Dionizyjskiej Parady Teatralnej.

A potem? Zamierzałem pójść za ciosem. W końcu każdy, kto wspomni Dolinę Szwajcarską, kojarzy ją przede wszystkim ze ślizgawką. Więc z pomocą

*Margita Ślizowska*

prezydenta Lecha Kaczyńskiego i Andrzeja Urbańskiego (bez których nadzwyczajnego wręcz zaangażowania w stworzenie budżetu dla Ogródków Warszawskich nie nastąpiłby ten niezwykle architektoniczny i estetyczny postęp w urzędzeniu Doliny) – zamierzałem przywrócić wreszcie Miastu jego Miejsce Magiczne.

Miejsce, które może nawet dziesięciokrotnie zwiększyć liczbę osób uczestniczących w stołecznej kulturze, miejsce, które wpisane jest w genotyp miejski i które może stać się rozpoznawalną w Europie, specyficzna wizytówką Warszawy. Miejsce przyjazne, zwrócone do tej części warszawiaków i odwiedzających ją turystów, którzy nie mają czasu, a bywa, że i pieniędzy na korzystanie z bogatej oferty warszawskich instytucji kultury. Wreszcie miejsce dla okolicznych mieszkańców, którzy jak moja rozmówczyni z *Roxi Baru* chcą czuć się bezpiecznie i szukają

razem niezobowiązującej, eleganckiej i kulturalnej rozrywki dla siebie i dla swych najwrażliwszych przyjaciół.

I tak zakończył się trzynasty konkurs. Nie był to jednak koniec imprezy. Przedłużyłem ją jeszcze o cały miesiąc, aż do końca września, fundując każdego dnia tygodnia inne plenerowe spotkania. W poniedziałki zaprosiłem laureatów konkursu. W pozostałe dni pojawiły się imprezy nowe.

I nowe powstawały wraz z nimi jakości. Spisałem je w końcu września *ex post*, tworząc i rozdając dokument, który nazwałem *Papirus dla potomności*. Charakterystyczne, że wydanie jego kosztowało grosze. Od razu jednak wzbudziło wielki gniew miejskich urzędników instynktownie rozumiejących, że to, co w moich działaniach najgroźniejsze, to pamięć. Pamięć przeszłości i pamiątka dla przyszłości – świadomość, że cokolwiek dziś powstaje, z przeszłości się rodzi i przyszłość sobą naznacza.

Tak – walka o rząd dusz to zawsze walka pamięci.



## LIII

ELŻBIETA RYL-GÓRSKA,  
czyli operetki czar

Na którymś z występów pojawiło się eleganckie towarzystwo. Po koncercie dwie albo trzy panie podeszły do mnie. Pogratiowały imprezy i jedna z nich, przedstawiając się jako Elżbieta Ryl-Górska, spytała, czy ewentualnie nie miałbym nic przeciw temu, by wystąpiła tu ze swoim recitałem. Ze skruczą wyznaję, że w tym momencie nic mi jej nazwisko nie mówiło. A że miałem już za sobą kilka występów przebrzmiałych gwiazd ocierających się o granicę kiczu, spytałem grzecznie, czy jednak mógłbym przed nagraniem przesłuchać jakieś demo koncertu. „Ależ oczywiście” — odparła niezrażona Artystka. „Danusiu — zwróciła się do towarzyszącej jej pani Krasnodębskiej — ofiaruj płytę panu dyrektorowi”.

Rzuciwszy okiem na profesjonalne nagranie, a następnie przesłuchawszy wspaniałe interpretacje operetkowe, byłem szczerze zawstydzony. Zresztą, gdym prosił o to demo, usłyszałem pół uchem zdumiony szept: „Pan Dyrektor chyba nie poznał...”. No, nie poznał, więc powiem: nie znał.

Świat operetki był bowiem w latach komuny całkiem teatrowi daleki. A łącząca te obszary postać wyjątkowej kanaalii i miłośnika operetki — Witolda Fillera, jeszcze bardziej osoby takie jak ja od operetki odstręczała. W prawdziwej operetce byłem tylko raz. I wcale nie jest wykluczone, że właśnie Elę Ryl na tym przedstawieniu w roli wesołej wdówki mogłem oglądać. No, ale było to trochę dawno. Około roku 1963.

Na tę *Wesołą Wdówkę* trafiłem zresztą absolutnym przypadkiem. Tak naprawdę rodzice chcieli, bym zobaczył wystawianych w Teatrze na Nowogrodzkiej *Krakoviaków i Górali*, a że przedstawienie zostało z powodu choroby aktora zamienione, więc Ojciec nie protestował i bileterzy przymknęli oczy na fakt, że 9-latek będzie podziwiał kankana i podglądał damską bieliznę.





*Na Frascati 2006*

*Fot. Ag. Epoka*

Przyszedł wrzesień 2004 roku. Rozpoczęliśmy go próbą nawiązania do tradycji festiwalu piosenki niezależnej. Wspaniały koncert z udziałem Marka Majewskiego, Kaczuch, Daukszewicza (przeszło 700 osób) rozpoczął cykl zupełnie nowych zdarzeń. 3 września wystąpił Janek Pietrzak (ponad 600 osób) z opisywanym już recitalem, a w dzień powszedni, wtorkowy, w ramach tego projektu nazwanego Śpiewające Ogrody – pojawiła się Elżbieta Ryl-Górska.

Szczerze powiem, że mnie zatkało. Skromna choć elegancka pani, która podeszła do mnie kilka tygodni wcześniej.

Kiedym teraz przyszedł do ogródka w namiotowej garderobie, wśród piór i tiurniur spostrzegłem kobietę piękną, młodą, rewelacyjnie ubraną, godną – słowem gwiazdę, od której Juliette Greco, na koncercie której ostatnio byłem – mogłaby się uczyć szyku.

Zaczął się koncert. Koncert, któremu postawiłem swoje wymagania – tak bardzo mi przecież zależało, by w moim ogródku ludzie śpiewali wraz z artystami. „Proszę być o to spokojnym” – usłyszałem, a następnie rozejrzałem się po krzesłach. Moje marzenie spełniało się samo. Nadciągała publiczność. Ale to już nie były tylko znane mi z Ogródków twarze, nie tylko studenci i inteligenci. Widzę godnych bankowych urzędników, monokle, biżuterie, krawaty. W wielu dłoniach zawczasu przygotowany bukiet. W zwyczajny powszedni dzień, po południu zabrakło krzesła (a mieliśmy ich 220) – wykorzystane zostały co do jednego.

Elżbieta w blasku mych jakże lichych reflektorów, w pięknych, skromnych, obnażonych tylko długimi dekolantami na plecach sukniach – wyglądała zjawiskowo. I śpiewała niezwykle. Ani cienia drżenia głosu, czystość, a wysokie „c” w arii *W ogródku szalona muzyka* z operetki *Czar Walca* O. Straussa niemal „rozśpiewywało” żarówki.

Patrząc na jej występ wspomniałem *Sentymentalną Pannę „S”* Jacka Kaczmarskiego. Piosenka ta odebrana w jej pierwszej, nie metaforycznej, lecz właśnie opisowej warstwie.

*„Gdy powróciła znów na scenę, z początku nie chciał nikt w to wierzyć,  
Widownia była przecież pusta, nie licząc stróży i żołnierzy,  
Ale rozniosło się po mieście, że znowu jest, że zagra ponoć  
Więc się zaczęli schodzić gapie, choć bilet NIE kosztował słono.  
Przyszli – jej DAWNI wielbiciel, już przeredzeni, postarziali.  
I po raz pierwszy znów po latach niektórzy z NICH się spotykali,  
A ona była trochę inna, choć przecież kostium był ten sam  
I takim wzrokiem – jak my jej – zaczęła się przyglądać nam”.*

Ale obok starszych państwa, obok garstki moich rówieśników, którzy mogli jeszcze bywać w operetce na Nowogrodzkiej, dostrzegłem też młodzież.

*„Niespodziewanie nam pomogli jej nowi wielbiciel młodzi  
Wielbiący ją, jak starą gwiazdę, co zamiast spadać – nagle wschodzi*

*I na ramionach ją ponieśli z tą siłą, której nam nie stało  
A ona miała twarz poważną, w której coś jakby odmłodziło”.*

Młodzi bankowcy, urzędnicy, przedstawiciele handlowi. To nie są ludzie kultury. To tzw. kulturalny establishment, który zawsze i wszędzie jest naturalnym klientem sztuki operetkowej. Prostej, wzruszającej, przyzwoitej – snobistycznej nieco. Operetki niosącej za sobą atmosferę pożądanego salonu. Operetki będącej miejscem spotkania, gdzie można – jakby powiedział Gombrowicz w *Operetce* – „w konwencjonalnej formie wieść lekki towarzyski flirt”.

Elżbieta Ryl-Górska, córka Marii Prażmówny, która jako „uczennica szkoły śpiewu pani Sobolewskiej występowała” z dużym powodzeniem na koncercie w Dolinie Szwajcarskiej, w miejscu tym śpiewała ze szczególnym wzruszeniem. Okazała się jedną z tych osób, które moje szaleństwo zrozumiały, czytały jego korzenie. Bywała także na innych koncertach. Przyniosła mi ten wycinek prasowy z fotografią swojej mamy, zrobiony w 1927 r. jeszcze w Prażmówny panińskich czasach. Z poczuciem humoru, dystansem do siebie opowiadała o swym piosenkarskim życiu, występach w operetce, pięciu małżeństwach, wieloletnim pobycie w Kolonii (u boku jednego z mężów), wreszcie o powrocie do ojczyzny i... do pierwszego męża.

Ma Elżbieta swój dwór, swych wielbicieli (i wielbicielki!). Urządza imieniny, bywa w uzdrowiskach, jest gwiazdą podkowieńskiego Salonu prowadzonego przez Edwarda Ipnarskiego. Za Elżbietą ciągną salony prawdziwe, muzyczne, ludzie ze słuchem, których nie trzeba namawiać, by *Usta milczą* z duszą wspólnie śpiewali. Tak jak Janek Pietrzak, stała się odtąd piękna Elżbieta drugą Ogródkową Muzą. I w następnych latach częstą ozdobą tak wtorkowych Śpiewających Ogrodów, jak i współtworzonych przez Aleksandra Czajkowskiego-Ładysza już na Frascati niedzielnych Muzycznych Ogrodów.

## LIV

**DIONIZJE OGRÓDKOWE**  
– Kaczyński sypnął groszem

A więc Jan Pietrzak, Elżbieta Ryl-Górska, Stanisław Klawe ze swymi bardami, Marek Majewski z ideą Koncertu Piosenki Niezależnej, a za nimi pojawienie się Krzysztofa Daukszewicza, potyczki z karaoke mającym wspomagać Śpiewające Ogrody – to były główne przeboje sezonu 2004, który zakończyła podchwycona przez Janusza Pietkiewicza moja idea Parady Dionizyjskiej zamienionej w Paradę Teatrów.

Udało mi się namówić przedstawicieli wszystkich warszawskich teatrów, by przy współpracy Stołecznej Estrady, której szef biura teatrów, Janusz Pietkiewicz zlecił wynajęcie powozów, zjechali rankiem 25 września do Doliny Szwajcarskiej. Stąd Parada Teatralna ruszyła Alejami Ujazdowskimi, Nowym Światem i Świętokrzyską, aż pod Pałac Kultury, gdzie przed głównym wejściem ustawił Pietkiewicz reklamowy namiot prezentujący dorobek wszystkich (włącznie z Ogródkową) scen warszawskich. Ostateczny kształt imprezy był wynikiem kompromisu mojej osobistej kameralności i miejskiej aspiracji. Dość szaleńczej, przyznać trzeba, albowiem nowożytny Muchanow, którym Lech Kaczyński uczynił Janusza Pietkiewicza, jeśli już działa, to z rozmachem. Moja Parada dwa lata wcześniej kosztowała około 3 tys. zł, rok wcześniej około 10 tysięcy. Pietkiewicz rzucił na ten dzień... sumę równą budżetowi mojej całej letniej, trwającej sto dni imprezy. Około 600 tys. zł kosztowało zaangażowanie gwiazd z trzydziestu warszawskich teatrów. Zarobili wszyscy. Z wyłączeniem mnie jednego, gdyż gołym okiem było widać, że tak mi zależy, iż udane spotkanie starczy za całą zapłatę. Co by jednak nie powiedzieć, Dolina żyła jak przed wojnami. Od rannego wymarszu poprzez finały wszystkich letnich imprez przewinęło się przez jej murawę powyżej dwudziestu tysięcy osób.

Sukces był pełen. Po sezonie zbierałem gratulacje. Pisałem sprawozdania, przygotowywałem następny, marzyła mi się już zabudowa, gdy...

Jednak lichy nie spało. Jak pisałem, urzędnicy z burmistrzem Jarosławem Zielińskim na czele robili co w ich mocy, by uprzykrzyć mi życie. Zieliński najbardziej bolał, że formalnie nie może skontrolować mojej instytucji. To bowiem, czego ten kresowy człowieczek pojąć nie był w stanie, to tego, że ja coś instytucji bezinteresownie daję. Te moje namioty, krzesła, reflektory. Jako osoby wyzbyte wszelkich społecznych instynktów, nawet chyba autentycznych ambicji przywódczych, pisowscy aparaczczyki gminni nie byli w stanie pojąć, co ja z tego mam, że coś oddaję.

Lata 2003–06 była to więc również ciągła przepychanka na burmistrzowskich stołkach. Czemu moja działalność również służyła tu za pretekst. Pod koniec 2004 r. radni obalili burmistrza Zielińskiego, któremu przede wszystkim nie mogli wybaczyć, że po powstaniu wakatu w parlamencie nie przestał być warszawskim burmistrzem, będąc suwalskim posłem. Nie ma co ukrywać, że mianowanie zarządcą Warszawy człowieka, który nie odróżniał parków Powiśla od Łazienek, z logiką mało miało wspólnego. Efekt jednak był taki, że burmistrza, który utrudniał mi życie, jak mógł (a mógł niewiele, skoro prezydent mnie wspierał), odwołano m.in. za to, że mi je... nie dość skutecznie utrudniał. Nie wytrzymałem. Próbowałem nawet wdać się w rozgrywki gminne, wspierając kandydaturę Grażyny Bandych, która miała objąć schedę po Zielińskim. Niestety jednak ta kompetentna i miła dziewczyna, polonistka, była szefowa Sejmiku i dyrektor generalny w ministerstwie kultury, dziś szefowa Archiwów Państwowych, nie wytrzymała napięcia i sporów z przeróżnymi cynicznymi radnymi w stylu panów Bittnera czy Bartelskiego i... dostała zawału. Miejsce Zielińskiego zajął Mariusz Błaszczak. Ja zaś zwróciłem się do radnych w te słowa:

„Szanowni Państwo Radni!

Pragnę wyrazić ubolewanie, że – jak wynika z uzasadnienia wniosku o odwołanie pana burmistrza Jarosława Zielińskiego – sprawy kultury próbuje się wykozystać w politycznej grze klubów i frakcji Rady Dzielnicy Warszawa-Śródmieście.

Wśród zarzutów pod adresem pana burmistrza znalazł się bowiem *passus*, w którym stwierdza się, iż «Źle oceniany jest także nadzór nad DKŚ. Utracono wpływ na finansowanie domu kultury», albowiem... «Projektowana przez Zarząd Dzielnicy dotacja dla tej instytucji na rok 2005 została znacznie zwiększona przez Urząd m. st. Warszawy kosztem pozostałej działalności w zakresie kultury realizowanej przez Dzielnicę».



*Miroslawa Krajewska,  
Dorota Dobrowolska,  
Hanna Chojnacka*

1. Pragnę stwierdzić, że podpisujący się pod tym sformułowaniem radni zdają się nie znać, czy raczej (uwzględnwszy ich staż w radzie) udawać, iż nie rozumieją sposobu tworzenia Budżetu Miasta Stołecznego Warszawy i jego Załącznika Dzielnicowego. Zwiększenie załącznika budżetowego Dzielnicy Śródmieście z przeznaczeniem dla Domu Kultury Śródmieście (już w roku 2004, i to z poparciem Zarządu Dzielnicy), o kwotę 507 000 PLN skutkuje nie tylko zwiększeniem budżetu dotacji dla Instytucji Kultury m. st. Warszawy w paragrafie 92109 o taką samą kwotę, lecz także zwiększeniem subwencji wyrównawczej dla dzielnicy Warszawa Śródmieście, w części dotyczącej dochodów w dziale 758, rozdz. 75814 o identyczną kwotę 507 000 PLN. Dokładna analiza porównawcza budżetu dzielnicy w rozdziałach 92105 i 92109 potwierdza, że zwiększenie budżetu DKŚ ani w roku 2004, ani w 2005, nie odbywa się ani kosztem wydatków bieżących Dzielnicy planowanych na rok 2004 na kwotę 656 000, a na rok 2005 na kwotę 670 000, ani planu dotacji dzielnicowych wynoszących 300 000 PLN. Cały zaś budżet załącznika dzielnicowego w dziale 921 wzrośnie z 11 900 000 PLN w roku 2004 do 14 171 407 PLN w roku 2005.

Muszę przyznać, że od 14 lat mojej pracy na rzecz samorządu Warszawy jeszcze nie spotkałem się z wystąpieniem, które obwiniałoby burmistrza o to, że dopuścił do zwiększenia budżetu dzielnicy!!!

2. Objąwszy równo rok temu dyrektcję domu kultury stwierdziłem, co wyka-



*B. Michalska,  
A. Hanuszkiewicz,  
W. Olejarz*

zaliśmy Zarządowi oraz Komisji Kultury, że koszty stałe: to jest czynsze, płace i pochodne przeszło 20 osób (byłych pracowników urzędu na Nowogrodzkiej), które zostały w DKŚ zatrudnione, gdy Urzędowi Dzielnicy nakazana została w 2001 redukcja etatów (o których utrzymanie walczą utworzone w dniu mego powołania związki zawodowe), pochłaniały w starej wersji budżetu 85% budżetu domu kultury.

a. Nie więcej niż 10–15% budżetu DKŚ przeznaczone było na działalność stricte merytoryczną.

b. Stwierdziłem natomiast, że poczyniono niezwykle kosztowne i niedokończone inwestycje na działalność restauracyjną.

c. Odkryliśmy także malwersacje. W latach 2001–2003 wyprowadzono z DKŚ kwotę 280 000 PLN (dochodzenie prokuratorskie w tej sprawie zostało zakończone dwoma wyrokami skazującymi wobec b. księgowej z okresu poprzedzającego czas mojej dyrekcji).

3. Dążąc do zaktywizowania merytorycznej działalności DKŚ, zachowałem wszystkie zajęcia dydaktyczne i oświatowe w klubach – starając się o podniesienie ich jakości (np. konsultacji literackich udzielali pisarze tej miary co Agata Tu-szyńska czy Tomasz Jastrun).

4. Poszerzałem oddziaływanie domu kultury poprzez rewitalizację Doliny Szwajcarskiej, w której w ciągu 4 miesięcy odbyło się przeszło 180 imprez, w których uczestniczyło przeszło 20 000 osób.





a. Zostało ucywilizowane (pomyślane jako „dworcowa” restauracja z wartym 120 tys. zł zapleczem kuchennym) foyer domu na Smolnej, w którym od września imprezy odbywają się codziennie, a także w niedziele i święta spotkania rodzinne.

5. Frekwencja w domu kultury wzrosła czterokrotnie łącznie z plenerami (tak zimowymi, jak letnimi), a przeszło trzykrotnie dzięki zintensyfikowaniu liczby imprez w samym domu na Smolnej.

6. Nie miejsce tu na przedstawianie raportu z działań DKŚ, na temat prac którego otrzymujecie Państwo garść materiałów. Jest jednak okazja, by wyraźnie powiedzieć, że:

a. tym, co stworzyli dom na Smolnej, po to by odbywały się tam nienagłaśniane medialnie (oczywiście nieodpłatnie organizowane dla fundacji czy stowarzyszeń) intymne spotkania pani Jolanty Kwaśniewskiej czy marszałka Borowskiego z «elektoratem», trudno będzie wytłumaczyć, co ma Śródmiejski Dom na Smolnej i Miasto Warszawa z tego, że odwiedza go dziś tłumnie i płaci za to, ile może, publiczność zlakniona występów charyzmatycznego artysty i pierwszej gwiazdy polskiego kabaretu Jana Pietrzaka z gwiazdami Kabaretu Pod Egidą;

b. tym zaś, którzy uważają, że dom kultury (działający w mieście, które dotuje trzy świetne teatry lalkowe) jest po to, by dać zarobić 300 PLN znajomemu – nawet przyzwoitemu – artyście, który może zdziałać tyle, co zdolniejszy ojciec czy matka we własnym domu, nie będą się też starać tłumaczyć, że lepiej (co potwierdza wzrastająca frekwencja na imprezach biletowanych) zrobić kosztowniejszą, zatrudniającą 10 osób, imprezę łączącą elementy dziecięcego teatru, konkursu i edukacji, do której naturalnie także dopłaci się tyle, na ile dotacja pozwala.

7. Mogę jednak Państwa Radnych zapewnić, że zdecydowanie nie można panu burmistrzowi Jarosławowi Zielińskiemu zarzucić braku zainteresowania naszą instytucją oraz (w szczególności po uzyskaniu przeze mnie zwiększenia budżetu domu kultury) woli kontrolowania jej w stopniu przynajmniej takim, w jakim umożliwiają to obowiązujące statuty i umocowania prawne.

8. W tej sytuacji zgodnie z przyjętą pragmatyką osobiście wystąpiłem we wrześniu 2004 i uzyskałem akceptację z-cy prezydenta miasta na zlecenie Biura Kontroli Wewnętrznej i Audytu Urzędu Miasta – kontroli finansowej DKŚ w latach 2001 – 2004 oraz kontroli realizacji zadań przynajmniej w okresie mojego zarządzania tą instytucją.

Z wyrazami poważania

Dyrektor Domu Kultury Śródmieście  
dr Andrzej Tadeusz Kijowski”.

Ja im tak, a ci karykaturalni radni mi na to w największym skrócie, że Zarząd zaproponował zmniejszenie dotacji dla Domu Kultury Śródmieście do kwoty 2 300 tys. zł (Uchwała Nr 1369/2004 z 30 sierpnia 2004 r.). W projekcie załącznika dzielnicowego na 2005 rok przygotowanym przez Skarbnika m. st. Warszawy kwota ta została jednak zwiększona do kwoty 2 733 967 zł. Burmistrz podkreślił, że Wydział Kultury na bieżąco monitoruje działalność Domu Kultury Śródmieście i jest w tym zakresie w stałym kontakcie z Biurem Kultury m. st. Warszawy.

To działo się w grudniu 2004. Krótko mówiąc: pieniądze od Kaczyńskiego strasznie bolaly. On je jednak dał. I mnie i teatrom, dla których występ w Dolinie był w istocie nadprogramową dotacją. Nigdy warszawska kultura nie miała się tak dobrze jak w czasach, gdy pieniądze na nie przyznawali Lech Kaczyński i jego zastępca Andrzej Urbański. Prace nad Doliną Szwajcarską ruszyły z miejsca. Marzyła mi się już decyzja o zabudowie. Stałe Centrum w Dolinie zrealizowane siłami Domu Kultury Śródmieście, gdy marcowym rankiem 2005 r. zadzwonił do mnie Andrzej Urbański, zwracając się w te słowa:

– Andrzejku, co ja takiego złego zrobiłem, by wyrwał mnie ze snu kandydat na prezydenta kraju pytając, czemu ten mój Kijowski w środku zimy w Dolinie rozrabia...?

## LV

LECH KACZYŃSKI  
i warszawska „klasa średnia”

Tak naprawdę to Lecha Kaczyńskiego obudzono. Przyzna mi się do tego za rok, gdy gratulując mi zbudowania Ogrodów Frascati, zacznie od słów: „Bardzo panu gratuluję. Udało się! Dolina Szwajcarska to nie było jednak najlepsze miejsce, ale tu zrobił pan wspaniałą robotę”.

Dziękując zapytałem, czemu jednak wygoniono mnie z tej kameralnej Doliny. „Zbyt wielu osobom to przeszkadzało” – usłyszałem w odpowiedzi.

Przecież nie można walczyć ze wszystkimi. Nie dowiem się, kto ustalił telefon na Czerwonego Krzyża. Na pewno ktoś z tych lub zastępczych osób, które jeszcze w 1998 r. składały protest na ręce prezydenta Świąćckiego. Pisano w tym liście: „Formuła imprezy p. Kijowskiego ma charakter jarmarczny i nie pasuje do dzielnicy, w której znajduje się Dolina Szwajcarska. Nadaje się do ludowych festynów na Bielanych i mało wykorzystanej Agrykoli. Tu jest dysonansem. Powoływanie się na przykład Tivoli w Kopenhadze jest nonsensem. Tivoli jest wielohektarowym parkiem rozrywki, poszczególne pawilony są znacznie oddalone zarówno od siebie, jak i od ulicy. Dolina Szwajcarska ma 0,8 ha. Należy przypomnieć, że w domach przy ul. Chopina i al. Róż 90% mieszkań jest wykupionych przez **obecną klasę średnią**. [...]. Doniesienia prasowe o gospodarowaniu terenami publicznymi budzą nasz niepokój. Kto wyraził zgodę, aby p. Kijowski traktował publiczny ogród jako swoje prywatne źródło dochodów”<sup>1</sup>.

Pod tekstem tym podpisali się wśród ledwie sześćdziesięciu (ale jakich!) mieszkańców, m.in. Ewa i Jan Kostrzewscy (Kostrzewski to były minister zdrowia w czasach gierkowskich), Anna i Jan Kreczmarowie (to spokrewniona z występującym w Dolinie Krzysiem Daukszewiczem rodzina byłego rektora szkoły teatralnej Jana, jego brata teatrologa Jerzego i Adama – też niezującego już satyryka, występującego niegdyś w kabarecie Jana Pietrzaka). Także pani Jadwiga

1 Zobacz na: <http://www.kijowski.pl/protest.pdf>



*Dolina Szwajcarska  
i aleja Róż 8–10*

Borejsza z rodziny twórcy SW „Czytelnik” oraz Włodzimierz Sokorski (były minister kultury i szef Radiokomitetu), który złożył tu chyba jeden z ostatnich w życiu własnoręcznych podpisów. Była też Małgorzata Spychalska, scenografka, z którą drogi nasze skrzyżowały się na krótko, gdy córka skomunizowanego marszałka i ekszona kulomiota Władysława Komara chciała zawłaszczyć włoską telewizję.

Wszyscy wraz z mieszkającą tamże Niną Andrycz — znaną aktorką i wieloletnią żoną premiera Józefa Cyrankiewicz, której jednakowoż nie zaprosiłem wbrew namowom do Ogródka, by swoim zwyczajem przedtła opowieść o Józefie Stalinie, uroczym mężczyźnie, jak zwykle mawiać — chronili swój parczek przed najeźdźcą inteligentek „holoty”, zwanej przeze mnie „klasą średnią”. Nie udało im się wprawdzie podważyć w Kolegium Odwoławczym decyzji o warunkach zabudowy. Jednak inwestorów skutecznie ode mnie odganiano. Teraz, gdy już zrezygnowałem z „prywaty”, zrozumiałem, że sam nie poradzę, współników nie było, a chciałem inwestorem uczynić Miasto — znaleźli przełożenie i na to. Moi przyjaciele z Janem Pietrzakiem, Marcinem Wolskim, Małgosią Bocheńską na czele próbowali kontratakować. Dziękczynny „Adres”<sup>2</sup> do prezydenta Kaczyńskiego podpisało (już po zakończeniu imprezy) kilkaset osób. Nic to jednak nie dało. Gdyż marcowy protest był kompletnie wysany z palca, jednak skuteczny. Na próżno pisałem oficjalnie do Urbańskiego: „W związku z Pańską wczorajszą interwencją dotyczącą nieformalnego stawiania estrady w Dolinie Szwajcarskiej uprzejmie wyjaśniam, że osobiście sprawdziłem, iż nic takiego ani ze strony Domu Kultury Śródmieście (opiekującego się już od roku tym terenem), ani z żadnej innej strony miejsca nie miało.

<sup>2</sup> Zobacz na: <http://www.kijowski.pl/adres.pdf>

Mamy więc do czynienia z celowym i na dodatek kłamliwym szerzeniem plotek ze strony kilkunastu osób. (Owszem wpływowych i zasiedziałych w swych nomenklaturowych przydziałowych mieszkaniach z alei Róż). Jaka jest proporcja zadowolonych i niezadowolonych z działalności, którą od lat próbuję prowadzić w Dolinie Szwajcarskiej, pokaże choćby stosunek kilku protestów mieszkańców, których pretensje już dawno odrzuciło w II Instancji Kolegium Odwoławcze konstatując, że mieszkańcy okolicznych posesji jako nie sąsiadujących bezpośrednio z Działką Parkowa nie wykazują tytułu prawnego do oprotestowywania planów zagospodarowania tego terenu, do znanych Panu, adresowanych do Prezydenta Kaczyńskiego podziękowań i opinii setek oraz tysięcy warszawskich inteligentów i młodzieży. (Frekwencja w Dolinie zeszłego lata sięgnęła 20 tys. osób).



*Prezydent  
Lech Kaczyński  
na Scenie Ogródów  
Frascati,  
wrzesień 2005*

Jak Panu wiadomo, akcje, jakie prowadzimy w Dolinie Szwajcarskiej, adresowane są właśnie do tej części warszawiaków, która winna być naturalnym zapleczem wyborczym Prawa i Sprawiedliwości: ludzi nie bardzo bogatych, lecz mających wysokie potrzeby kulturalne, ludzi nie ulegających snobizmom elit z Krakowskiego Przedmieścia, lecz również nie odnajdujących się na ulicznych festynach. To pokolenie 40–60-latków, tak wspaniale w tym roku opisane w internecie przez młodzież redagującą stronę internetową «Wstęp wolny».

*«We wtorek (4 sierpnia) znowu wybraliśmy się z Piotrem do Dolinki Szwajcarskiej. Zapowiedziano występ bardów. Wieczór spędzony w tym miejscu zawsze jest ciekawy i pełen pozytywnych wrażeń. Bo jest tam kulturalnie, publiczność jest specyficzna, miejsc nie brakuje. Mówiąc specyficzna publiczność, mam na myśli średnią wieku – otóż oscyluje ona wokół 40 lat! My z Piotrem należymy do tych młodszych widzów. Patrząc na piękne, mądre twarze siedzących obok widzów, aż chce się westchnąć z zachwyty. To nieprawda, że ludzie dojrzały są tak zmęczeni życiem, że nie chce im się nic oprócz świętego spokoju i telewizora*



Prezydent  
Lech Kaczyński i ATK  
w Centrum Prasowym  
„Smolna”,  
luty 2005

*z dobrym teleturniejem». Panie Prezydencie! Ja bym tego tekstu nie wymyślił – to autentyczna recenzja młodzieży, podobnie jak i Pan zdumionej, ile i jakich ludzi schodzi się do tego miejsca.*

Andrzeju! (zwracałem się już wprost do Urbańskiego). Nie chodzi tu już o moją donkiszoterię. Tej chwilami wstydę się sam przed sobą. Jak Ci wiadomo, jednym z głównych powodów objęcia przeze mnie urzędniczej posady w Śródmieściu jest wola zrealizowania idei, która dobrze zrobi Miastu i powinna przysporzyć chwaly naszej formacji politycznej. Nb. wiesz znakomicie, że formacje komunistyczne mają ogromne wyczucie dla tej sprawy. Wokół Doliny krążył nawet minister Kalisz, i jeśli dawno już Dolina nie została opanowana przez tych ludzi, to dlatego może, że zbyt mocno związałem ją z Samorządem, a trochę i z własną, trudną do przeczerwienia osobą.

Obecny atak na moją siedmioletnią pracę, na odtworzone już częściowo miejsce i nawyk kulturalny traktuję jako element w sumie pozytywny. Wierzę bowiem, że sprowokuje nas on do szybkiego i fachowego poradzenia sobie z przeciwnościami.

Obecnie sytuacja jest taka, że uzyskał Dom Kultury trzyletnią pozytywną opinię Wydziału Estetyki, dotyczącą naszych planów, również Konserwator Zabytków działania nasze popiera w całej rozciągłości. W porozumieniu z Burmistrzem Śródmieścia wystąpiłem (przesyłając Panu Prezydentowi te teksty do wiadomości) do Delegatury o 120-dniowe użyczenie tego terenu w roku obecnym, w okresie od czerwca do września. Ustaliliśmy z Panią Dyrektorką Naimską, że dążyć będę do osadzania w Dolinie jedynie najbardziej kameralnych, pasujących do tego miejsca imprez, rezerwując sobie jednocześnie odwód dla akcji bardziej masowych na terenie Ogrodów Frascati. Tak chciałbym nazywać teren Estakady za gmachem

IMCY, opadający tarasami w stronę Powiśla, zwany niegdyś Parkiem Kultury czy Parkiem Rydza-Śmigłego.

Zwróciłem się jednocześnie osobnym pismem do Architekta Warszawy o pomoc w opracowaniu wariantów zagospodarowania terenu Doliny Szwajcarskiej, niezbędnych do wydania warunków zabudowy w sytuacji, gdy nie ma w mieście planu miejscowego.

Panie Prezydencie, i oto jesteśmy w punkcie – jak sądzę – strategicznym dla Warszawy. Słyszę deklarację Ministra Waldemara Dąbrowskiego o odtwarzaniu wraz z Urzędem Miasta centrum Warszawy wokół Pałacu Kultury. Z drugiej jednak strony obserwuję ataki obozu prezydenta Kwaśniewskiego na własność Osi Saskiej. Słyszę o planie rewitalizacji Traktu Królewskiego. O zamykaniu Nowego Światu. Ale są to często tylko hasła i słowa, puste środki, za którymi nie idzie treść kulturalna.

Ja taką treść proponuję – dla całej osi Warszawy, od Nowego Światu, poprzez Ogrody Brühla, Frascati, aż po Dolinę Szwajcarską. Idea odtworzenia Doliny Szwajcarskiej powinna się stać jej ważnym elementem, ale nie jest naturalnie osią tego planu. Po to, by działania w Dolinie nikomu nie przeszkadzały, potrzebne jest wybudowanie kilku altan, pagód, może odtworzenie muszli. To nakład duży jak na budżet domu kultury. W porównaniu sięgający 2 mln złotych, ale przecież groszowy w skali dużych imprez miejskich, jakie wiem, że planuje Pan dla Warszawy!!!

Dlatego wnoszę o pilne powołanie pod Pana osobistym Patronatem Biura Organizacyjnego Plenerów Warszawskich. Najlepiej przy Domu Kultury Śródmieście. Służę tu całym moim doświadczeniem i uporem we współpracy z Architektem Warszawy, Dyrektorem Biura Promocji, Biura Kultury, organizatorami nadchodzącego Festiwalu Kultur, jaki planuje Pan jesienią. Dolina Szwajcarska i inne elementy przestrzenne kulturalnego centrum Warszawy powinny zostać rewitalizowane szybko i fachowo, bo istotnie tymczasowość, z jaką borykam się na tym terenie już od siedmiu lat, to młyn na wodę wszystkich malkontentów, którzy wykorzystując najprzeróżniejsze dojsćia, starają się utrudniać nam pozostawianie widocznych i skutecznych śladów w przestrzeni kulturalnej miasta.

W załączeniu:

1. Spis Aktualnych zgód i pozwoleń na realizację Teatrów Ogródkowych w Dolinie Szwajcarskiej.

2. Dokumentacja historyczna decyzji o warunkach zabudowy Doliny Szwajcarskiej (1997–2001)”.

– pustka ... i tak trzymać!

Tyle. I zasadniczo – grochem o ścianę.

Zasadniczo. Bo wprawdzie nikt mnie nie słuchał. Wprawdzie nikt mych pism nie czytał, to jednak, co mi kiedyś uświadomił Urbański, należałem do tych, którzy mieli wstęp do jego gabinetu. Tak, to było jedno z jego szerszych wyznań satrapy. „*Bo widzisz – wyznał mi w amoku szczerości – ludzie dzielą się na tych, którzy bezskutecznie starają się tu dostać, takich, których przyjmuje się raz: z grzeczności czy z próżności, i wreszcie tych, co załatwiają, bo tak jak ty (to znaczy ATK) mają w miarę prosty wstęp do tego gabinetu.*”

Nie nadużywałem tej mojej mocy, ale tylko dzięki temu udało mi się wbrew oporowi radnych i urzędników zdobyć dużo większe, niewyobrażalne dotąd dla mnie środki, i dzięki temu przenieść w końcu całą imprezę na Frascati.

Koniec tomu trzeciego





## A

Abl 96  
 Adaszyńska Natalia 64  
 Albee Edward 56  
 d'Alembert Jean Le Rond 11, 143  
 Andrycz Nina 242  
 Andrzejewski Janusz 56  
 Antoni Padewski św. 162  
 Arystofanes 17  
 Axer Andrzej 93  
 Axer Erwin 63

## B

Babilińska-Głódkowska Barbara 220  
 Baczyński Krzysztof Kamil 106  
 Banchieri Adriano 87  
 Bandurska Beata 171  
 Bańkowska Martyna 198, 199  
 Bańkowski Piotr 198, 199  
 Bardini Aleksander 63  
 Barszczewska Grażyna 221  
 Bartelski Wojciech 225, 236  
 Bartoszewski Władysław 192  
 Batteux Charles 9  
 Baumgarten Alexander Gottlieb 9  
 Bąkowska Elżbiera 156  
 Becker Rob 159  
 Bednarek Danuta 201  
 Bein 95  
 Bergman Ingmar 59, 155  
 Bersz-Szturo Maryla 54, 84, 104, 116, 135, 142, 212  
 Béjart Maurice 217  
 Bielecki Czesław 103  
 Bielicka Hanka (wł. Anna Weronika Bielicka) 114  
 Bieńkowska Wiera 11, 143  
 Bieńkowska-Gołąb Anna 201  
 Bierezin Jacek 43  
 Bilse Benjamin 95  
 Bińczycki Jerzy 53, 60  
 Bittner Michał 236  
 Bizoń Marta 53  
 Blikle Andrzej 45, 138  
 Bluszcz Przemysław 149  
 Błaszczak Mariusz 236  
 Bocheńska Amira 140

Bocheńska Małgorzata 82, 87, 102, 103, 195, 216, 228, 242  
 Bocheńska Martina? 140  
 Bogosian Eric 53  
 Bolecka Agnieszka 212  
 Bolecka Anna 212  
 Bonecki Jacek 23  
 Borejsza Jadwiga 242  
 Borkowska Izabela 215  
 Borowik Marek 130, 185  
 Borowska Sylwia 54  
 Borowski Marek 239  
 Borys-Damięcka Barbara 107, 113, 139, 142, 165, 166, 168, 169  
 Brach-Czaina Jolanta 15  
 Brandauer Klaus Maria 27  
 Brandys Kazimierz 168  
 Brukalska Maria 102  
 Bryndal Rafał 172  
 Brzozowski Tadeusz 112  
 Buhajew W. IMIĘ 203  
 Bujak Zbigniew 74, 90  
 Buzek Jerzy 127  
 Bzdawka Jan 62

## C

Celeda Agnieszka 64  
 Chłopicki Józef 209-210  
 Chmielewska Maria 26  
 Chodakowska Anna 68-69, 225  
 Chodorowski Antoni 82, 88  
 Chojecki Mirosław 23, 87, 148, 169, 195  
 Chojnacka Hanna 237  
 Chudek Józef 95  
 Chyba Andrzej 124  
 Chyży Krzysztof 218-220  
 Ciach Paweł 107  
 Ciechwierz Andrzej 215  
 Cieślak Jacek 19, 22,  
 Cieślak Piotr 40  
 Cimoszewicz Włodzimierz 26, 87  
 Clinton Bill 19  
 Clinton Hillary 19  
 Corazzi Antonio 94  
 Craig Edward Gordon 7  
 Crockett David 212  
 Cybulski Bohdan 171

Cyrankiewicz Józef 242  
 Cywińska Izabella 21, 30, 35, 54, 56, 60, 64, 85,  
 88, 134, 165,  
 Czabański Krzysztof 115  
 Czajkowski-Ładysz Aleksander 235  
 Czechow Antoni 151  
 Czekerda Agnieszka 114

## D

Dalkowska Ewa 53  
 Dankwa Eryk 24  
 Daukzewicz Krzysztof 220, 232, 235, 242  
 Dąbrowska Ewa 40-41, 43  
 Dąbrowski Waldemar 63, 216, 245  
 Dąbrowski Wojciech 40-41, 43-44  
 Dehnel Elżbieta 45  
 Dejmek Kazimierz 65-66, 70, 73  
 Dekert Jan 22, 25, 136, 176, 179  
 Derfel Jerzy 159, 185, 188-189, 205, 221  
 Deszkiewicz Małgorzata 120  
 Diderot Denis 11  
 Disney Walter 183  
 Dłużewski Paweł 228  
 Dobosz Marta 42  
 Dobroński 167  
 Dobrowolska Dorota 237  
 Domanus Ewa 88, 101  
 Domańska Małgorzata 82, 88, 125  
 Domański Maciej 193, 195  
 Domarackas Linas 109  
 Dostojewski Fiodor 155-156  
 Dudak-Klimiuk Joanna 98, 105  
 Durko Janusz 18, 21, 25,  
 Dworakowska J. 98  
 Dworakowski Konrad 121  
 Dykiel Bożena 67  
 Dymśówna Anita 68  
 Dziechcińscy 95  
 Dzieduszycki Wojciech 47, 53  
 Dziekoński Olgierd 103  
 Dzierżgowska Irena 56  
 Dziuk Andrzej 4

## E

Eichlerówna Irena 39  
 Ekiert Jan 20, 113, 125

Englert Jan 21, 24  
 Englert Maciej 183  
 Esmanowski Ignacy Leon 95

## F

Faber Tadeusz 24  
 Fedorowicz Jerzy 223  
 Fedorowicz Jacek 112  
 Felenczak Włodzimierz 41, 209  
 Ferlak Maciej 113  
 Fiałkowska Jolanta 220  
 Fik Marta 73, 171  
 Filler Witold 231  
 Flaszen Ludwik 4  
 Fogler Piotr 20, 114, 128, 130, 131, 142, 164  
 Foniok Dagmara 60, 62  
 Fox Józef 94  
 Frankowska Anna 22  
 Fraszynska Jolanta 22, 53, 54, 62  
 Frenkiel Mieczysław 51  
 Frenkiel Włodzimierz 130  
 Fusek Wojciech 82

## G

Gajda Mieczysław 175  
 Galewski Józef 51, 52, 53, 62, 81, 102, 127  
 Gałązka Ewa 19  
 Garczyński Stefan 69  
 Gardowska Magdalena 22  
 Gąsiorowska Helena 195  
 Gąsiorowski Krzysztof 102, 195  
 Gąsiorowski Wacław 99, 102  
 Gelman Aleksander 59  
 Gessler Magdalena 25, 26, 130  
 Gielecki Maciej 102  
 Giertych Maciej 74  
 Gintrowski Przemysław 187  
 Głębocki Wiesław 98  
 Goldoni Carlo 3, 203  
 Goldzamt Edmund 74  
 Gombrowicz Witold 69, 112, 216, 234  
 Gostkowski Juliusz 19  
 Goszczyńska Monika 126  
 Górka Stanisław 30, 41, 42, 60  
 Grabowski Juliusz 64  
 Grauso Nicola 24, 29, 117, 169

- Gray John 159  
 Greco Juliette 233  
 Griszanińska-Szawarinska Tatiana 151, 156  
 Grocholski 27  
 Grohman Jerzy 87  
 Gromnicki Jan 90  
 Gronkiewicz-Waltz Hanna 56, 118, 225  
 Grosser Urszula 114  
 Grotowski Aleksander 228  
 Grotowski Jerzy 5, 12, 112  
 Guzowski Grzegorz 214
- H**
- Hagmajer Andrzej 91  
 Hagmajer Katarzyna 159  
 Hankiewicz Tadeusz 30, 60, 62, 64, 222  
 Hanuszkiewicz Adam 21, 22, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 73, 74, 76, 126, 166, 167, 168, 169, 171, 238  
 Hartwig Julia 168, 169  
 Has Wojciech Jerzy 39  
 Hemar Marian 41, 159, 183  
 Herbert Zbigniew 168, 205  
 Herman Andrzej 127  
 Hintz Zygmunt 63  
 Holc Roman 41, 124, 187, 188  
 Holland Agnieszka 59, 223  
 Holoubek Gustaw 65  
 Holdys Zbigniew 56  
 Hugon od św. Wiktora 15  
 Hübner Zygmunt 63, 68
- I**
- Idziński Marcin 187  
 Igiel 96  
 Ignaczak-Bandych Grażyna 236  
 Ipnarski Edward (Mundek) 216, 218, 234
- J**
- Jabłoński Henryk 170  
 Jachimiek Tomasz 121, 168  
 Jachowicz Stanisław 78  
 Jacoszek Michał 22  
 Jagielski Mieczysław 75  
 Jakubowska Maja 114  
 Jakubowski Andrzej 114
- Jąkoszyński Aleksander 95-96  
 Jan Paweł II (Wojtyła Karol) 66, 187  
 Janda Krystyna 48, 68, 161-163  
 Janke Igor 64  
 Janowska Ewa 26  
 Jarosinski Paweł (Pawka) 23  
 Jaruzelski Wojciech 74  
 Jaskuła Grzegorz 4  
 Jastrun Tomasz 238  
 Jastrzębski Bohdan 91, 103,  
 Jedlińska Anna 54, 145  
 Józefowicz Janusz 78  
 Juchniewicz Elżbieta 144-145  
 Juchniewicz Jacek 144-145 161  
 Jungowska Edyta 40, 117, 171, 173, 188-189  
 Jurkowska Małgorzata 44
- K**
- Kaczkowska Beata 178  
 Kaczkowski Włodzimierz 211  
 Kaczmarek Jacek 187, 215, 233  
 Kaczyński Jarosław 76, 169-170  
 Kaczyński Lech 27, 28, 76, 138, 169, 192, 210-212, 215, 222, 224, 229, 235, 240-244  
 Kalinowski Grzegorz 27  
 Kalisz Ryszard 147-149, 244  
 Kalus Bogdan 113  
 Kamiński Emilian 159-160, 163  
 Kant Immanuel 9  
 Kantor Tadeusz 5, 78  
 Karol Wielki 194  
 Karpińska Ewa 202  
 Key Alexander 183  
 Kękuś Anna 225  
 Kępczyński Wojciech 54, 61-62  
 Kieniewicz Stefan 98  
 Kieszkiewicz Janusz 35  
 Kijowska Emilia 115, 140, 142  
 Kijowska Kamila 115, 140  
 Kijowski Andrzej (Senior) 17, 39, 43, 57, 59, 62, 64, 73, 74, 78, 84, 103-105, 129, 167-169, 214, 231  
 Kijowski Andrzej Tadeusz 1, 30, 44, 57, 93, 108, 136, 147, 163-164, 179, 224, 240-241,  
 Kijowski Janusz 63, 193  
 Kilian Adam 107, 113, 122, 126-128, 165, 168  
 Kilian Jarosław 54, 126

- Kiliński Jacek 18-19, 21, 26-27, 29, 52, 135, 138, 189  
Kirchner Hanna 17  
Klawe Stanisław 215, 220, 227, 235  
Kleczevska Maja 54, 59  
Kleyff Jacek 82, 88  
Kluk-Drozdowska Irena 140  
Kmita Rafał 22, 83  
Kobus Ewa 55  
Koenig Jerzy 63-64, 192  
Kotlarczyk Teresa 23  
Kolberger Krzysztof 68  
Kołaczkowski Marcin 113  
Komar Michał 23  
Komar Władysław 242  
Komar-Morawska Agnieszka 242  
Komorowska Maja 170  
Konarowski Mirosław 53, 56, 59,  
Konic Paweł 5, 21, 31, 35, 64, 142, 187,  
Konopka Lucja 206  
Kopciński Jacek 116  
Kostrzevska Ewa 241  
Kostrzewski Jan Karol 241  
Kowalczyk A. 126  
Kowalska Anna 19  
Kowalski Andrzej 99  
Kozubowska Małgorzata 126  
Kozłuk Tadeusz 40  
Kozmińska Irena 205, 214  
Kozuchowski 96  
Krajewska Mirosława 237  
Kranodębska Danuta 231  
Kreczmar Anna 241  
Kreczmar Adam 241  
Kreczmar Jan 241  
Kreczmar Jerzy 241  
Kreid Halina 205  
Kret Jarosław 23  
Kretówna Renata 228,  
Kreglicka Aneta 77  
Królikiewicz Piotr 20, 128, 129, 130, 131,  
Krygier Waldemar 187  
Ksenofont 15  
Kucówna Zofia 68, 70, 73, 74, 107, 113, 117,  
139, 144, 165, 166, 167, 168, 169, 170  
Kudelski Robert 114  
Kufko Władysław 82  
Kuhn 95  
Kulik Katarzyna 113  
Kuncewicz Henryk 75  
Kuncewicz Wiktor 75  
Kuncewicz (ojciec Henryka i Wiktora) 75  
Kunicka Halina 189  
Kuroń Jacek 76, 148  
Kurylewicz Andrzej 66, 68, 74  
Kus Andrzej 46  
Kuziński Konstanty 96,  
Kwaśniewska Jolanta 205, 239  
Kwaśniewski Aleksander 74, 148, 157, 169, 170,  
245,  
Kwaśniewski 52  
Kwiatkowski Marek 104  
Kwiatkowski Robert 89  
Kwietowicz M. 126
- L**
- Lande Dawid 96  
Langenfeld Feliks 191  
Lasocka Barbara 19, 24  
Lasota Irena 192  
Latkowski Jan 29  
Lenart Sebastian 25, 26, 135, 136, 189, 197, 218  
Lepper Andrzej 22, 174  
Lessing Gorthold Ephraim 10, 11, 59  
Leszczyński Bolesław 51  
Leśniewski Janusz 22, 218, 219, 228  
Lewandowski Leopold 95  
Lewandowski Stanisław 97  
Lis Artur 199, 200  
Lisicka Beata 111
- Ł**
- Łapiński Zbigniew 187  
Łobaczow Wiktor 151, 152  
Łomnicki Tadeusz 187  
Łukianow 98  
Łyszczynska Maria 44, 212
- M**
- Machnicki Wojciech 60, 159, 175, 178, 181, 182,  
183, 184, 186, 201, 42  
Machnowski Andrzej 23  
Machulska Halina 44, 107

Machulski Jan 44, 117, 159  
 Madejski Tomasz 79  
 Majcherek Janusz 64  
 Majchrzak Zbigniew 140  
 Majerczak-Stanisławiak Lidia 114  
 Makowski Ryszard 220, 228  
 Malajkar Wojciech 22, 30, 35, 85, 117  
 Malina Judith 12  
 Małysz Adam 115  
 Mamcarz Tomasz 19  
 Marczewski Andrzej Maria 202  
 Markiewicz Tomasz 98  
 Marszałek Krzysztof 117, 120, 134, 135, 136,  
 159, 165, 185, 189, 197  
 Mazowiecki Tadeusz 21, 74, 76  
 Melman Yossi 195  
 Meyerhold Wsiewołod 63  
 Michalska Bogusława 238  
 Michał Aniol (wł. Buonarroti Michelangelo) 28  
 Michnik Adam 43, 44, 76, 87, 90  
 Mickiewicz Adam 39, 70, 76, 77, 158  
 Miecugow Grzegorz 187  
 Międzyrzecki Artur 43, 168  
 Miętus Tadeusz 130, 185  
 Mikołajska Halina 170  
 Miller Leszek 56  
 Miłobędzka Krystyna 114  
 Miłosz Czesław 154, 187  
 Miquel Jean-Pierre 4  
 Miśkiewicz Grażyna 161  
 Młynarski Wojciech 4, 152, 189, 205, 212, 215  
 Mnouchkine Ariane 55  
 Mobutu Joseph-Désiré 207  
 Modrzejewska Helena 86, 163  
 Modzelewski IMIĘ (tapicer) 167  
 Morozowicz Henryk 52  
 Morozowicz Rufin 52  
 Móraski Karol 98  
 Muchanow Siergiej 86, 235

N

Naimska Małgorzata 191, 192, 193, 194, 214  
 Naimski Piotr 192  
 Nalewajk Zaneta 215  
 Nardelli Andrzej 66, 67, 68, 73, 74  
 Naruszewicz Dorota 121  
 Neinert Mirosław 113

Nekanda-Trepka Ewa 98  
 Niemirski Andrzej 188, 198  
 Norwid Cyprian Kamil 69  
 Nowak Grażyna 60  
 Nowak Maciej 19, 221  
 Nowicki Paweł 4  
 Nowosielski Wojciech 98  
 Nowosilcow Nikolaј 224

## O

Ochodlo André 84  
 Odrowąż-Pieniążek Janusz 25  
 Okudźawa Bulat 152  
 Okupska Elżbieta 62, 113  
 Olbrychski Daniel 68  
 Olejarz Witold 125, 238  
 Olszówka Edyta 22, 24, 47, 62  
 Opania Marian 124  
 Orłoś Maciej 188  
 Orłowska Anna 168  
 Osiecka Agnieszka 215  
 Osowski Jarosław 98

## P

Pacocha Jacek 30, 54  
 Paderewski Ignacy Jan 95  
 Pakulnis Maria 115  
 Palla Angelo 23  
 Parmenides z Elei 205  
 Paszko Krzysztof 140  
 Paszyński Włodzimierz 56  
 Pafka zob. Jarosinski Paweł 23  
 Pawlak Waldemar 26, 87  
 Pawłuśkiewicz Jan Kanty 60  
 Pawłowski Roman 164  
 Penderecki Krzysztof 112  
 Perchuc Marcin 121  
 Petersburski Jerzy 47  
 Pieczykolan Izabela 189, 212  
 Piekut Marek 64  
 Pierkiewicz Barbara 37  
 Pierkiewicz Janusz 224, 235,  
 Pietrzak Jan 220, 228, 232, 234, 235, 239, 241,  
 242  
 Piętaк (żona Stanisława Piętaка) 25  
 Piłatowska Irena 215

Piontek Danuta 114  
 Plutecki Radosław 185  
 Plonczyński Andrzej 140  
 Pluciennik Tomasz 19  
 Pollack Sydney 131  
 Polniak Maciej 122, 139  
 Poniedziałki Andrzej 220  
 Poświętowska Halina 168  
 Potocki Jan 55  
 Prażmówna Maria 105, 106, 234  
 Prus Bolesław (wl. Aleksander Głowacki) 47  
 Prus Maciej 31, 64  
 Prymaka Aneta 178  
 Przyborowski Walery 105  
 Przybylski Czesław 96, 97  
 Pszczoła 28, 59  
 Pustola-Kozłowska Ewa 98  
 Puzyra Konstanty 73  
 Pyka Tadeusz 75

## Q

Quinn Anthony 65

## R

Raczkowski Jan 61, 84  
 Radomiński Andrzej 135, 142, 144, 145  
 Radzymiński Marcin 139  
 Rakowski Mieczysław 73, 74  
 Rasiński Marek 33, 35, 89, 90, 100, 101, 102, 114, 125, 166,  
 Rau Krzysztof 53, 54, 60  
 Redliński Edward 113  
 Rembiszewski Maciej 29  
 Retmianiak Anna 188, 204, 221  
 Rodzeń Jan 25  
 Rokita Jan 24, 26  
 Romaszewska Irena Zofia 192  
 Rosiewicz Andrzej 220  
 Ross Tadeusz 220  
 Rottenberg Anda 104  
 Rottermund Andrzej 104  
 Rousseau Jean-Jacques 11, 12, 143  
 Rutkiewicz Jan 20, 21, 27, 29, 38, 114  
 Rutkowska Wanda 119  
 Rutkowski Rafał 23, 121  
 Rychcik Andrzej 35, 41

Ryl-Górska Elżbieta 105, 168, 216, 231, 233, 234  
 Rymarz Zbigniew 42, 60, 139, 140, 159, 175, 176, 177, 179, 180  
 Rymkiewicz Jarosław Marek 167, 168  
 Rysiówna Zofia 167  
 Rywin Lew 120  
 Rzepczak Urszula 56, 88  
 Rzepkowski Mareusz 44, 212  
 Rzymyszkiewicz Piotr 225

## S

Sabara Rafał 171, 190  
 Sachs Karol 99, 104  
 Sajjuk Adam 113  
 Salomonsky 96  
 Sarapata Maciej 84, 138  
 Sarbiewski Maciej Kazimierz 9  
 Schaeffer Bogusław 53, 202  
 Schechner Richard 12  
 Schiller Leon 7, 9, 63  
 Seweryn Andrzej 83, 88  
 Sieradzki Jacek 4, 5, 21, 30, 35, 54, 59, 61, 64, 86, 118, 131  
 Sikorski Dariusz 198, 220, 222  
 Sikorski Radosław 157  
 Sito Jerzy Stanisław 167  
 Sivert Tadeusz 98  
 Skupiński Jakub 114  
 Slonimski Antoni 43, 47  
 Słowacki Juliusz 116  
 Smolka Iwona 20  
 Sobocki Marcin 21  
 Sobolewska 234  
 Sobolewski Tadeusz 164  
 Sokorski Włodzimierz 242  
 Solorz-Żak Zygmunt 27  
 Solski Ludwik 51  
 Soros George 43  
 Sosnowski Paweł 209  
 Spokorny Maurycy 96, 97  
 Spychalska Małgorzata 242  
 Stachura Edward 215  
 Stalin Józef 242  
 Stanek Teresa 33, 101, 124  
 Staniewscy 47, 97  
 Stanisławiak Grzegorz 30, 60, 113, 114, 190, 222  
 Stanisławski Konstanty 152

- Stańczyk Waldemar 130, 138  
 Starewicz Emil 109  
 Stendhal (wł. Marie-Henri Beyle) 56  
 Stępiński Zygmunt 98  
 Straszewska Maria 20  
 Straus Oscar 233  
 Strauss Edward 95, 99  
 Strauss Jan 95, 99  
 Strehler Giorgio 3  
 Stryszowska Grażyna 44  
 Strzelecki Andrzej 61, 84, 225  
 Sulek Marek 82, 83  
 Swinarski Konrad 3  
 Sygietyński Władysław 95  
 Synowiec Katarzyna 185, 189, 212  
 Szapolowska Grażyna 68  
 Szarzyński Mikołaj Sęp 124  
 Szawariński Siergiej 151, 154, 157, 158, 164, 203  
 Szczepkowski Andrzej 62  
 Szekspir William (Shakespeare William) 158  
 Szenic Stanisław 95  
 Szmít-Zawierucha Danuta 98  
 Szpakowska Małgorzata 4  
 Sztarbowskí Paweł 33  
 Sztark 95  
 Sztwíertnia Jerzy 215  
 Szwed Tomasz 215  
 Szyfman Arnold 7, 63  
 Szymański Witold 119, 138
- Ś
- Śleszyńska ? Gertruda Emilia z Jakubowskich 94  
 Śleszyński Stanisław 94, 95, 98, 105, 107  
 Ślizowska Margita 215, 229  
 Ślusarska Magdalena 214  
 Święcicki Marcin 102, 241  
 Świerzawski Olgierd 121  
 Świtaj Monika 60, 159, 175, 188, 217
- T
- Tarkowski Michał 82  
 Tejchma Józef 170  
 Tejrzjasz 206  
 Terlecki Marian 87  
 Thorvaldsen Bertel 78  
 Tomaszewski Andrzej 102  
 Tomaszewski Janusz 107  
 Tondera Robert 171  
 Trapszo Marceli 49, 51, 52, 97,  
 Tuszyńska Agata 168, 238  
 Tylman Janusz 140
- U
- Umer Magdalena 225  
 Urbański Andrzej 4, 17, 27, 125, 131, 145, 148,  
 151, 191, 192, 197, 205, 210, 212, 214, 218, 225,  
 229, 240, 242, 244, 246
- V
- Verdiani 29  
 Vogelfanger Henryk (ps. Tońcio) 183
- W
- Wachowiak Maria 65  
 Wachrangow Jewgienij 63  
 Wajda Andrzej 23, 59, 64, 224  
 Wajda Kazimierz (ps. Szczepcio) 183  
 Wakuliński Krzysztof 115  
 Walewski Stanisław 108  
 Walkiewicz Wojciech 23  
 Walny Adam 190  
 Walter Mariusz 27, 29  
 Wałęsa Lech 26, 166  
 Wanat Andrzej 64  
 Warmiński Janusz 68  
 Warszawski Piotr 113  
 Waszkiel Marek 205  
 Waśniewski 96  
 Wedel Karolina z Wiśniowskich 95  
 Weiss Janusz 82  
 Wernio Julia 4, 47, 54, 60  
 Węgrzyn Józef 120  
 Wielowieyska Dominika 64  
 Wiepríew Mikołaj 222  
 Wieromiejczyk Dariusz 19  
 Wierzbicki Maciej 121  
 Wierzbicki Piotr 19, 87  
 Wilczyński Marek 114  
 Wildstein Bronisław 19, 104, 126, 216  
 Winnicki Artur 95  
 Włodkowski A. 95, 96



Wodziński Paweł 171  
Wojakowski IMIĘ 96  
Wojciechowski Krzysztof 27  
Wojtaszek Edward 54, 55, 57  
Wojtaszek Emil 55  
Wojtyła Karol 187  
Wojtyzsko Maciej 22, 35, 85, 107, 120, 134, 165  
Wolniak Olga 62, 88  
Wolski Marcin 242  
Wolski 18, 78, 137  
Wolszczan Aleksander 45, 46  
Wolek Tomasz 4  
Wołowski 52  
Wójcik Janusz 54, 145  
Wóycicki Kazimierz 4  
Wrocławski Bronisław 22, 47, 52, 53, 117  
Wróblewska Agnieszka 44  
Wróblewski Mirosław (Wróbel) 19, 26, 27, 138, 139  
Wyganowski Stanisław 20, 103  
Wysocka Anna 108, 127  
Wyspiański Stanisław 1, 64, 209  
Wyszyńska Teresa 114, 127  
Wyszyński Krzysztof 23  
Wyżyńska Dorota 42, 107, 108, 113, 139, 164, 165, 168, 178, 188

## Z

Zając Przemysław 121, 123, 125  
Zapolska Gabriela 52  
Zarosa Radosław 163  
Zaród Tomasz 225  
Zawodziński Waldemar 171  
Zborowski Wiktor 68  
Zbrojewicz Mirosław 55  
Zelnik Jerzy 41  
Zelwerowicz Aleksander 51  
Zielińska Maja 82  
Zieliński Jarosław 225, 236, 240  
Zieliński Mateusz 179  
Zielonka Hanna 19  
Zimajer Adolfina 49, 52, 97, 145  
Zimajer Gustaw 7, 86  
Zoll Andrzej 189  
Zoń Jerzy 199  
Zoszczenko Michaił 24  
Zwinogrodzka Wanda 20, 21, 64  
Zygmunt Stanisław 228

## Ż

Żeglikowska 39, 40  
Żeglikowski 39, 40  
Żentara Edward 179  
Żeromski Stefan 158  
Żychliński Ludwik 95

*Ogródkowy paradoks polega na tym, że teatr na świeżym powietrzu idzie z Forum, a nie z Pałacu, z przykościelnego placu, z drewnianej szekspirowskiej budy, z rybaltowskiego igrania.*

*(Z rozdziału: Paradoks o Ogródkach)*

\*\*\*

*Tak naprawdę to Lecha Kaczyńskiego obudzono. Przyzna mi się do tego za rok, gdy gratulując mi zbudowania Ogródów Frascati, zacznie od słów: „Bardzo panu gratuluje. Udało się! Dolina Szwajcarska to nie było jednak najlepsze miejsce, ale tu zrobił pan wspaniałą robotę”.*

*Dziękując zapytałem, czemu jednak wygoniono mnie z tej kameralnej Doliny.*

*„Zbyt wielu osobom to przeszkadzało” – usłyszałem w odpowiedzi.*

*(Z rozdziału: Lech Kaczyński i warszawska klasa średnia)*

*Jest to książka, którą czyta się jednym tchem. (...) Jest to książka o naszej współczesności. Stronnicza, więc wywoła z pewnością krytyczne uwagi. Tak być powinno. Nasze ostatnie dziesięciolecie dopiero wymagają opisania i przemyślenia. Tych opowieści będzie wiele. Pośród nich znaczące miejsce zajmie książka Kijowskiego.*

*Paweł Śpiewak*

*(ze wstępu do tomu I – Odsłaniane dramatu)*

*Andrzej Tadeusz Kijowski przeprowadził wstrząsającą wivisekcję organizmu medialnego III RP, która dzisiaj, tak naprawdę, jest sekcją zwłok wolności słowa. (...) Czuję się zawstydzony jako naczelny i wydawca „Wprost” w tamtych czasach, gdy uchwalano tę ustawę. Biję się we własne piersi i uważam, że Kijowski ma prawo i obowiązek wymierzyć policzek nie koncesjonowanej prasie, która nie zauważyła zapisu rodem z PRL-u.*

*Marek Król*

*(ze wstępu do tomu II – A Teraz Konkretnie)*

*ATK jest niesprawiedliwy, stronniczy, gwałtowny i zbuntowany. W jego bojach o teatr można natrafić na oceny krzywdzące ale dostrzega się również pasję, zaangażowanie i ogromne doświadczenie. Ta wielka energia, z jaką podejmował kolejne wyzwania, widoczna jest na każdej stronie. (...) Sądzę, że ukazanie się tej książki okaże się wydarzeniem w naszym życiu teatralnym.*

*Maciej Wojtyszko*

*(ze wstępu do tomu III/IV – Teatr to miejsce spotkań)*

PATRONAT  
MEDIALNY:



Agencja Produkcji  
Audycji Informacyjnych

TVP WARSZAWA

RZECZPOSPOLITA

salon24



ISBN 978-83-923292-8-2



9 788392 329282

WYDAWNICTWO  
**ANTRAKT**